

BESTSELLER „NEW YORK TIMESA”

PARYSKI ARCHITEKT

Charles
Belfoure

Powieść o odwadze, miłości
i poświęceniu, która wzrusza jak
Dziennik Anne Frank.

HORYZONT
znak



Charles
Belfoure

PARYSKI
ARCHITEKT

Tłumaczenie
ANNA BOROWSKA

ZNAK HORYZONT



Drogi Czytelniku!

Ponieważ jestem architektem, zawsze wydawało mi się, że moja dziedzina zawodowa byłaby oryginalnym tłem dla pomysłowej, fascynującej powieści. Myśl, że główny bohater mógłby wykorzystać swoją wiedzę architektoniczną i inżynierską, by przechytryć złoczyńcę, rozwikłać zagadkę kryminalną lub dokonać bohaterских czynów, nieustannie mnie intrygowała.

Pracując nad *Paryskim Architektem*, przeniosłem w inne czasy rzeczywiste wydarzenie historyczne. Kiedy podczas rządów Elżbiety I katolicyzm był w Anglii prześladowany, a sprawowanie mszy zabronione, angielscy księża postanowili celebrować nabożeństwa w tajemnicy, ukrywając się w zaprzyjaźnionych dworach. Aby zapewnić im bezpieczeństwo, projektowano i budowano dla nich specjalne kryjówki, tzw. *priest holes*, w których mogli się schować, gdyby dany dom został odkryty. (Schwytanego kapłana i tych, którzy udzieli mu schronienia, czekały tortury i śmierć). Żołnierze królowej mogli przeszukiwać podejrzany dwór nawet przez kilka dni, a i tak nie byli w stanie znaleźć księdza, który ukrywał się tuż obok nich.

Wykorzystując jako tło akcji Paryż okupowany przez Niemców podczas drugiej wojny światowej, zmieniłem elżbietańskiego cieślę we francuskiego architekta, który projektuje tymczasowe miejsca schronienia dla Żydów ukrywających się przed nazistami. Staralem się pokazać, jak wielkiego heroizmu wymagała taka pomoc, oraz podkreślić, że nie wszyscy pozostali obojętni na los prześladowanych. Podobnie jak mój bohater, ludzie, którzy podjęli to olbrzymie ryzyko, odkryli w sobie niezwykłą spójność wewnętrzną i odwagę, jakiej nigdy się po sobie nie spodziewali.

Istotny wpływ na tę książkę wywarły również doświadczenia mojej matki. Choć nie była Żydówką, spędziła znaczną część drugiej wojny światowej w straszliwych warunkach obozu pracy przymusowej. Ogromna determinacja i hart ducha pomogły jej przetrwać, ale nigdy nie przeżyłaby tych trudnych czasów, gdyby nie pomoc i dobroć innych ludzi. Niektórzy z nich ryzykowali dla niej własnym życiem.

Mam nadzieję, że lektura tej powieści sprawi wszystkim tyle radości, ile mnie dało jej pisanie.

Charles Belfoure
autor i architekt



Lucien Bernard wychodził właśnie zza rogu ulicy na rue la Boétie, gdy prawie zderzył się z nim biegnący z naprzeciwka mężczyzna. Nieznajomy przemknął obok tak blisko, że można było poczuć zapach jego wody kolońskiej.

Lucien zdążył zorientować się, że był to zapach L'Eau d'Aunay, którego sam używał, i w tej samej sekundzie usłyszał za sobą głośny trzask. Odwrócił się. Mężczyzna, który przed chwilą go minął, leżał teraz na chodniku dwa metry dalej twarzą w dół. Z otworu w tyle jego łysej głowy wartkim strumieniem płynęła krew, jak gdyby ktoś nagle odkręcił kran wewnątrz czaszki. Gęsta, ciemnoczerwona ciecz spływała wąską strugą po jego szyi, ściekała na elegancki biały kołnierz i wsiąkała w dobrze uszyty, granatowy garnitur, nadając mu w tym miejscu odcień głębokiego fioletu.

Przez ostatnie dwa lata, od momentu rozpoczęcia niemieckiej okupacji w 1940 roku, na ulicach Paryża zginęło wiele osób, ale Lucien jeszcze nigdy nie widział trupa na własne oczy. Wpatrywał się w nieboszczyka jak w transie, dziwnie zafascynowany nie tyle samym widokiem śmierci, ile nowym kolorem pojawiającym się właśnie na garniturze mężczyzny. Pamiętał, jak kiedyś podczas szkolnych zajęć plastycznych musiał malować nudne ćwiczenia oparte na kole barw. Teraz miał przed sobą osobliwy dowód na to, że połączenie niebieskiego i czerwonego rzeczywiście daje fioletowy.

– Nie ruszać się!

Podbiegł do niego niemiecki oficer ze stalowoniebieskim lugerem w dłoni. Towarzyszyło mu dwóch wysokich żołnierzy z pistoletami maszynowymi, które natychmiast wycelowali w Luciena.

– Ani kroku, draniu, bo skończysz jak kolega – warknął oficer.

Lucien nie mógłby się ruszyć nawet, gdyby chciał. Był kompletnie sparaliżowany ze strachu.

Oficer podszedł do zastrzelonego mężczyzny, po czym odwrócił się i zaczął iść w stronę Luciena krokiem tak zwyczajnym, jakby zamierzał poprosić o ogień. Wyglądał na jakieś trzydzieści lat, miał wyrazisty, orli nos i bardzo ciemne, niearyjskie, brązowe oczy, którymi wpatrywał się teraz intensywnie w szare oczy Luciena. Spojrzenie oficera sprawiło, że poczuł się nieswojo. Krótco po tym, jak Niemcy zajęli Paryż, powstało kilka francuskich broszur poświęconych sposobom postępowania w kontaktach z okupantami. Radziły one zachowywać godność i dystans, nie wdawać się w rozmowy oraz za wszelką cenę unikać kontaktu wzrokowego. W świecie zwierząt bezpośrednie spojrzenie oznaczało prowokację i było formą agresji. Trudno jednak było stosować się do tej zasady, mając oczy Niemca zaledwie kilka centymetrów przed swoimi.

– Nie znam go – powiedział cicho Lucien.

Twarz oficera rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

– Tego Żyda mało kto już teraz pozna – odrzekł. Mundur wskazywał, że był majorem Waffen-SS. Dwaj żołnierze wybuchnęli śmiechem.

Choć Lucien był tak przerażony, że miał wrażenie, iż zmoczył się w spodnie, wiedział, że musi działać szybko, jeśli nie chce za chwilę sam leżeć martwy na chodniku. Zdołał wziąć płytki oddech, uspokoić się nieco i pomyśleć. Jednym z najdziwniejszych aspektów okupacji był sposób, w jaki Niemcy potrafili odnosić się do podbitych Francuzów. Bywali wobec nich mili i uprzejmi, ustępowali nawet miejsca starszkom w metrze.

Lucien postanowił pójść tym tropem.

– Czy to pan zdołał tak celnie umieścić kulę w głowie tego dżentelmena? – zapytał.

– W rzeczy samej. Jednym strzałem – odparł major. – Ale to żaden wyczyn. Żydzi nie są zbyt wysportowani. Biegają cholernie wolno, nietrudno ich ustrzelić.

Niemiec zaczął przetrząsać kieszenie nieboszczyka. Wyciągnął z nich jakieś papiery i elegancki portfel z krokodylej skóry, które wsunął do bocznej kieszeni swojego zielono-czarnego munduru.

– Dziękuję jednak za docenienie moich umiejętności strzeleckich – uśmiechnął się szeroko.

Luciena ogarnęła fala ulgi – wyglądało na to, że dane mu będzie pożyć jeszcze trochę.

– Ależ nie ma za co, panie majorze.

Oficer wstał.

– Może pan odejść, ale radzę pójść najpierw do łazienki – powiedział zatroskany. Ręką w szarej rękawiczce wskazał coś na prawym ramieniu Luciena.

– Obawiam się, że pana ochlapałem. To paskudztwo obryzgało panu całe plecy. Szkoda garnituru, wygląda na bardzo porządnym. Swoją drogą, gdzie go pan szył?

Wykręciwszy szyję w prawo, Lucien zdołał zobaczyć, że szary materiał na ramieniu marynarki poznaczony był czerwony plamkami. Oficer wyciągnął długopis i mały brązowy notatnik.

– Monsieur. Gdzie szył pan garnitur?

– U Milleta. Przy rue de Mogador. – Lucien zawsze słyszał, że Niemcy prowadzą bardzo skrupulatne notatki.

Major starannie zapisał informację i włożył notatnik do kieszeni spodni.

– Bardzo panu dziękuję. Nikt na świecie nie jest w stanie prześcignąć mistrzostwa francuskich krawców, nawet Brytyjczycy. Wie pan, obawiam się, że Francuzi biją nas na głowę we wszystkich kwestiach związanych ze sztuką. W tych sprawach nawet my, Niemcy, musimy uznać wyższość kultury galijskiej nad teutońską. No, chyba że chodzi o sztukę prowadzenia wojny – roześmiał się, w czym zawtórowali mu dwaj jego podkomendni.

Lucien poszedł w ich ślady i również zaśmiał się serdecznie.

Gdy śmiech ucichł, major zasalutował krótko i powiedział:

– Nie będę pana dłużej zatrzymywał, monsieur.

Lucien skinął głową i ruszył przed siebie.

– Cholerne szwaby – wymamrotał pod nosem, gdy tylko znalazł się poza zasięgiem ich słuchu. Szedł wolnym, spokojnym krokiem; bieganie po ulicach Paryża było proszeniem się o śmierć, o czym miał okazję przekonać się leżący twarzą w dół na chodniku nieszczęśnik. Lucien uświadomił sobie, że widok zabójstwa mocno go wystraszył, ale nie czuł się jakoś szczególnie poruszony śmiercią mężczyzny. Liczyło się dla niego tylko to, że sam wyszedł z tego cało. Zastanawiało go, że ma w sobie tak mało współczucia dla drugiego człowieka.

Choć, z drugiej strony, nie było czemu się dziwić – dorastał w rodzinie, w której na współczucie nie było miejsca.

Jego ojciec, znakomity geolog, cieszący się uznaniem w kręgach akademickich, stosował taką samą bezwzględna filozofię życiową jak najbardziej prosty wieśniak.

Gdy spotykał się z nieszczęściem innych, wyznawał zasadę: „Mam to gdzieś, lepiej on niż ja”. Świętej pamięci profesor Jean-Baptiste Bernard zdawał się nie zauważać, że istoty ludzkie, w tym jego żona i dzieci, mają uczucia. Swoją miłością i uwagą obdarzał rzeczy nieożywione, głównie skały oraz minerały pochodzące z Francji lub jej kolonii. Wymagał też, aby jego dwaj synowie kochali to samo, co on. W wieku, gdy niektórzy z ich rówieśników nie umieli jeszcze czytać, Lucien i jego starszy brat, Mathieu, znali już nazwy wszystkich skał osadowych, magmowych i metamorficznych w każdej z dziewięciu prowincji geologicznych Francji.

Ojciec odpytywał ich podczas kolacji: ustawiał skały na stole, a oni mieli je nazywać. Jeśli popełnili choć jeden błąd, był bezlitosny, jak wtedy, gdy Lucien nie potrafił rozpoznać bertrandytu, minerału z rodziny krzemianów, i musiał za karę wziąć kawałek skały do ust. Ojciec twierdził, że dzięki temu już nigdy jej nie zapomni. Gorzki smak bertrandytu pamiętał do dziś.

Lucien nienawidził swojego ojca, ale teraz zaczął zastanawiać się, czy nie jest do niego podobny znacznie bardziej, niż chciałby to przyznać.

Idąc ulicą w skwarze czerwcowego popołudnia, podniósł wzrok na okoliczne budynki. Patrząc na ich fasady z wapienia („węglanowa skała osadowa” – przemknęło mu przez myśl), piękne, rustykowane partery, wysokie okna z kamiennymi obramieniami i misterne wzory kutych balkonowych balustrad, podtrzymywanych przez rzeźbione kamienne wsporniki. Niektóre z masywnych podwójnych drzwi kamienic były otwarte i mógł zobaczyć dzieci biegające po wewnętrznych dziedzińcach. Przypominał sobie, jak sam bawił się w ten sposób, gdy był chłopcem. Z okna na poziomie ulicy, które właśnie mijał, spoglądał na niego sennie biało-czarny kot.

Lucien kochał każdy budynek Paryża – miasta, w którym się urodził, najpiękniejszego miasta na świecie. W czasach swojej młodości wałęsał się praktycznie wszędzie, znał wszystkie pomniki i zabytki, główne aleje i bulwary, a także ciemne zaułki i uliczki w najbiedniejszych dzielnicach. Potrafił czytać historię miasta ze ścian jego domów. Gdyby tamten przeklęty szkop strzelał trochę mniej celnie, nigdy więcej nie ujrzałby już tych wspaniałych budynków, nie mogłoby spacerować tymi wybrukowanymi ulicami czy rozkoszować się cudownym zapachem świeżego chleba, wypiekanego w bulanzeriach.

Nieco dalej, na rue la Boétie, Lucien dostrzegł sklepikarzy, odsuwających się od witrynowych okien – stali wystarczająco daleko, by nie dało się ich zobaczyć z ulicy, a jednocześnie na tyle blisko, że z pewnością wszystko widzieli. Skinął na

niego jakiś tegi mężczyzna, stojący w wejściu do Café d'Été. Gdy Lucien podszedł do drzwi, mężczyzna – prawdopodobnie właściciel – podał mu wilgotny ręcznik.

– Łazienka jest na zapleczu – powiedział.

Lucien podziękował mu i ruszył na tył lokalu. Była to typowa, paryska kawiarnia: wąska, słabo oświetlona, z podłogą wykładaną biało-czarnymi płytkami, rzędem małych stolików stojących wzdłuż ściany i bardzo kiepsko zaopatrzonym barem po przeciwnej stronie. Okupacja sprawiła, że w Paryżu stała się rzecz niewyobrażalna – Francuzi zostali pozbawieni podstawowych środków niezbędnych do życia: wina i papierosów. Kawiarnie były jednak tak integralną częścią francuskiej egzystencji, że ludzie wciąż przychodzili do nich codziennie, by palić oszukane papierosy z ziół i trawy i pić rozwodnione popłuczyny, które uchodziły za wino. Klienci Café d'Été, którzy zapewne widzieli, co się stało, przerwali rozmowy i zapatrzyli się w swoje kieliszki, odnosząc się do przechodzącego Luciena tak, jakby został w jakiś sposób skażony poprzez kontakt z Niemcami. Przypomniał sobie wtedy inną sytuację, gdy pięciu niemieckich żołnierzy wpadło kiedyś do kawiarni, w której siedział. Wszyscy momentalnie ucichli, jak gdyby ktoś przekreślił wyłącznik radia. Żołnierze natychmiast wyszli.

Dotarłszy do obskurnej łazienki, Lucien zdjął marynarkę i zaczął ją czyścić. Kilka kropel krwi wielkości ziaren grochu znaczyło tył ubrania, jedna była na rękawie. Zmoczył ręcznik zimną wodą i próbował zetrzeć krew, ale lekkie ślady pozostały. Zirykowało go to – miał tylko jeden porządny garnitur biznesowy. Lucien był wysokim, przystojnym mężczyzną o bujnych, brązowych lokach, przywiązującym do ubioru dużą wagę. Na szczęście jego żona, Celeste, znała się na takich rzeczach, więc pocieszył się, że pewnie uda się jej wywabić plamę. Zrobił krok do tyłu i spojrzał w lustro, aby upewnić się, czy nie ma krwi na twarzy lub włosach, po czym rzucił okiem na zegarek i zdał sobie sprawę, że za dziesięć minut ma spotkanie. Założył z powrotem marynarkę i wrzucił brudny ręcznik do umywalki.

Gdy wyszedł znów na ulicę, nie mógł powstrzymać się, by nie spojrzeć jeszcze raz na róg, gdzie zastrzelono Żyda. Trup i Niemcy zniknęli; o tym, że coś się stało, świadczyła tylko duża kałuża krwi. Pod tym względem Niemcy byli niewiarygodnie sprawni. Francuzi godzinami staliby wokół ciała, rozmawiając i paląc papierosy. Stężenie pośmiertne zdążyłoby zapewne objąć wszystkie mięśnie, zanim ktoś zdecydowałby się wreszcie wywieźć zwłoki. Lucien ruszył niemal truchtem, po chwili jednak zwolnił do szybkiego kroku. Nie cierpiał się spóźniać, ale nie miał zamiaru dać się zastrzelić z powodu własnej obsesji na punkcie punktualności.

Monsieur Manet zrozumie. Lucien wiedział jednak, że spotkanie niosło ze sobą perspektywę pracy i bardzo zależało mu na tym, by nie zrobić złego pierwszego wrażenia.

Dość wcześnie w swojej karierze Lucien nauczył się, że architektura jest nie tylko sztuką, ale także interesem, i że pierwsze zlecenie od klienta należy traktować nie jak jednorazowe zamówienie, lecz jako wstęp do dłuższej współpracy. A to zlecenie było szczególnie obiecujące. Człowiek, z którym miał się spotkać, Auguste Manet, był właścicielem fabryki, która przed wojną wytwarzała silniki dla Citroëna i innych producentów samochodowych. Przed spotkaniem z nowym klientem Lucien zawsze sprawdzał, czy zleceniodawca ma pieniądze. Monsieur Manet miał dużo pieniędzy: był spadkobiercą starej fortuny, gromadzonej przez kolejne pokolenia znakomitej, arystokratycznej rodziny. Oprócz tego postanowił również zainwestować w przemysł, na co członkowie jego klasy społecznej patrzyli z pewną niechęcią. Pieniądze uzyskane z działalności przemysłowej uważano w tych kręgach za brudne i zdobyte w sposób niegodny. Manet zdołał jednak pomnożyć rodzinny majątek stukrotnie, wykorzystując szal motoryzacyjny i specjalizując się w produkcji silników.

Kiedy rozpoczęła się okupacja, przemysłowiec znajdował się w bardzo korzystnej sytuacji, dzięki której stał się dla Niemców świetnym partnerem inwestycyjnym. Jeszcze przed niemiecką inwazją w maju 1940 roku rozpoczął się we Francji masowy exodus: miliony ludzi uciekało z północy kraju na południe, mając nadzieję, że znajdą tam bezpieczeństwo. Wielu przemysłowców próbowało przenieść na południe całe fabryki wraz z pracownikami, lecz przedsięwzięcie to zakończyło się niepowodzeniem. Manet nie poddał się panice i pozostał na miejscu, dzięki czemu jego zakłady wciąż sprawnie funkcjonowały.

Zazwyczaj klęska militarna danego kraju wiąże się z kompletnym zastojem gospodarczym, ale Niemcy inwestowali w przemysł wojenny. Potrzebowali broni do walki z Rosją na froncie wschodnim i proponowali niektórym francuskim przedsiębiorcom kontrakty na produkcję sprzętu wojskowego. Początkowo przemysłowcy postrzegali współpracę z okupantem jako zdradę, ale kiedy mieli do wyboru przyjąć zlecenie lub pogodzić się z tym, że ich fabryki zostaną zawłaszczone przez Niemców bez żadnej rekompensaty, zdrowy rozsądek podpowiadał to pierwsze. Lucien był pewien, że Manet należał do ludzi kierujących się zdrowym rozsądkiem i że produkował broń dla Luftwaffe lub Wehrmachtu. A to oznaczało konieczność wybudowania nowych zakładów przemysłowych, które Lucien mógłby dla niego

zaprojektować.

Przed wojną Lucien podchodził zawsze do pierwszego spotkania z nowym klientem z przesadnym optymizmem, wyobrażając sobie od razu wielki sukces – zwłaszcza gdy wiedział, że klient jest bogaty. Teraz starał się trzymać wyobraźnię na wodzy, starając się nawet być złej myśli. Ostatnio zawsze, gdy zbyt wiele oczekiwał, dość szybko spotykało go rozczarowanie. Jak wtedy, gdy w 1938 roku zaczynał projekt sklepu przy rue de la Tour-d’Auvergne i jego kontrahent zbankrutował z powodu rozwodu lub gdy dostał zlecenie na dużą posiadłość w Orleanie, a jej właściciela niedługo później aresztowano za malwersacje finansowe. Lucien miał świadomość, że powinien być wdzięczny za każdą propozycję pracy, którą otrzymuje w czasie wojny.

Zapomniawszy już niemal o incydencie z Żydem, zaczął opracowywać w głowie ogólny projekt fabryki, która byłaby odpowiednia do produkcji wojennej. Gdy skręcał w avenue Marceau, miał na twarzy szeroki uśmiech – jak zawsze, gdy myślał o nowym projekcie.



Otwierając masywne drewniane drzwi kamienicy przy rue Galilée 28, Lucien zerknął na zegarek. Stwierdził z dużym zadowoleniem, że jest minutę przed czasem. Kto inny byłby w stanie przejść przez całe miasto, nie dać się zabić Niemcom, wyczyścić marynarkę z cudzej krwi i jeszcze zdążyć na czas? Utwierdził się w przekonaniu, że na spotkanie z klientem zawsze należy wyjść piętnaście minut wcześniej. Jego ulubiony zegarek marki Cartier, który dostał od rodziców z okazji ukończenia studiów, pokazywał godzinę czternastą czasu niemieckiego. Swoim pierwszym aktem urzędowym Niemcy narzucili strefę czasową Rzeszy na terenie okupowanej Francji. Według czasu francuskiego była godzina trzynasta. Choć okupacja trwała już dwa lata, ta wymuszona zmiana wciąż irytowała Luciena – denerwowała go chyba nawet bardziej niż swastyki i brzydkie, gotyckie litery, którymi Niemcy obwiesili wszystkie zabytki Paryża.

Wszedł do kamienicy, z ulgą przyjmując chłód i półmrok korytarza. Uwielbiał budynki mieszkalne, które baron Haussmann stworzył w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, gdy przebudowywał średniowieczny Paryż w nowoczesną metropolię. Lucien podziwiał ich kamienne elementy oraz wyraźne horyzontalne linie wyznaczone przez rzędy okien i metalowych balkonów. Sam mieszkał w podobnym budynku przy rue du Caire.

Od roku 1931 Lucien porzucił w swojej pracy wszelkie odniesienia historyczne i klasycystyczne, zamierzając stać się prawdziwym architektem modernistycznym. Był zafascynowany estetyką Bauhausu, stylu zapoczątkowanego przez Niemca Waltera Gropiusa, który utarował drogę nowoczesnej architekturze i wnętrzu (jeden przypadek, gdzie gust teutoński triumfował nad galijskim). Mimo to podziwiał wspaniałe budynki, które powstały na polecenie Napoleona III. Podziw ten stał się jeszcze większy, gdy Lucien odwiedził przed wojną swojego brata w Nowym Jorku. Amerykańskie kamienice nawet nie umywały się do paryskich.

Skierował kroki na lewo od wejścia, w stronę mieszkania konsjerżki. Szklane drzwi otwały się szeroko, ukazując starszą kobietę siedzącą za stołem, przykrytym

jaskrawym obrusem w żółte kwiatki, zajęta paleniem papierosa. Lucien odchrząknął.

– Jest pod numerem 3B... Winda nie działa – powiedziała, zanim zdążył o cokolwiek zapytać. Nie poruszyła się przy tym w ogóle, ciągle wpatrując się w przestrzeń.

Lucien zaczął wspinać się krętymi, ozdobnymi schodami na trzecie piętro. Serce biło mu coraz szybciej – nie tylko dlatego, że był w kiepskiej formie, ale też dlatego, że czuł się coraz bardziej zestresowany. Czy Manet będzie miał dla niego jakieś poważne zlecenie, czy też Lucien wróci z tego spotkania z pustymi rękami? A jeśli rzeczywiście dostanie zlecenie, czy będzie miał szansę pokazać, co potrafi?

Lucien wiedział, że ma talent. Powiedziało mu to kilku znanych architektów, dla których pracował w Paryżu, gdy skończył studia. Po kilku latach zdobywania doświadczenia, wierząc w swoje zdolności, postanowił otworzyć własną pracownię. Na początku było ciężko, tym bardziej że był modernistą, a nowoczesna architektura dopiero zyskiwała popularność. Większość klientów wolała bardziej tradycyjne budownictwo. Mimo to udawało mu się zarabiać tyle, że nie musiał się martwić o pieniądze. Ale tak, jak aktor potrzebuje dużej roli, by się wybić i zostać gwiazdą, tak samo architekt potrzebuje dużego projektu, który pozwoli mu zrobić prawdziwą karierę. A Lucien, mimo swoich trzydziestu pięciu lat, nie dostał jeszcze nigdy tak poważnego zlecenia. Tylko raz był blisko: gdy został finalistą w konkursie na projekt nowej biblioteki publicznej, ale nagrodę sprzątnął mu wtedy sprzed nosa Henri Devereaux, bo szwagier jego wuja był wiceministrem kultury. Okazywało się, że umiejętności to nie wszystko; trzeba było mieć również odpowiednie znajomości, jak Devereaux, i trochę szczęścia.

Lucien spojrzął w dół na swoje buty, które pokonywały kolejne marmurowe stopnie wielkich schodów. Była to jego najlepsza para, którą zakładał tylko na spotkania z klientami – ostatnie dobre buty, jakie mu zostały. Choć były już trochę znoszone, nadal wyglądały modnie i elegancko, a podeszwy miały wciąż w dobrym stanie. Ponieważ skóra należała do towarów deficytowych, gdy buty się przecierały, trzeba było naprawiać je, wykorzystując podeszwy z drewna lub sprasowanego papieru, w których kiepsko się chodziło zimą. Lucien cieszył się, że ma wciąż porządne buty ze skórzanymi podeszwami. Nie znosił odgłosu drewnianych obcasów, którymi rozbrzmiewały teraz ulice Paryża – dźwięk ten kojarzył mu się z drewniakami noszonymi przez wieśniaków.

Architekt podniósł wzrok i z zaskoczeniem stwierdził, że na posadzce trzeciego piętra, tuż na wysokości jego nosa, stoją drogie, ciemnobrązowe buty. Oczy Luciena

prześlizgnęły się po elegancko zaprasowanych nogawkach spodni, powędrowały w górę po szykownej marynarce i spoczęły na twarzy Auguste'a Maneta.

– Monsieur Bernard, cieszę się, że mogę pana poznać.

Mężczyzna wyciągnął rękę, zanim Lucien zdążył pokonać ostatnie stopnie.

Architekt chwycił za poręcz, podciągnął się i stanął obok szczupłego, siwowłosego mężczyzny. Przemysłowiec wyglądał na jakieś siedemdziesiąt lat, miał mocno wyrzeźbione kości policzkowe i był bardzo wysoki. Wyraźnie górował nad Lucieniem; możliwe, że był wyższy nawet od samego de Gaulle'a.

– To ja jestem zaszczycony, monsieur.

– Monsieur Gaston przy każdej okazji tak chwali biurowiec, który pan dla niego zaprojektował, że aż sam musiałem go zobaczyć. Wspaniała robota. – Uścisk dłoni Maneta był mocny i zdecydowany, jak przystało na człowieka, który dorobił się milionów.

Lucien od razu polubił tego starszego, dystyngowanego przemysłowca i pomyślał, że lepszego początku współpracy nie mógł sobie wymarzyć. W 1937 roku projektował dla Charles'a Gastona i jego firmy ubezpieczeniowej budynek przy rue Servan. Cztery kondygnacje pokryte wapieniem i kręta wieża schodowa ze szkła. Uważał, że była to najlepsza rzecz, jaką do tej pory stworzył.

– Miło mi słyszeć, że monsieur Gaston mnie panu polecił. W czym mogę panu pomóc? – Na ogół Lucien nie miał nic przeciwko zwyczajowym pogawędkom, poprzedzającym właściwe interesy, ale tym razem był zdenerwowany i chciał przekonać się, czy czeka go jakieś konkretne zlecenie.

Manet odwrócił się i skierował ku otwartym drzwiom mieszkania pod numerem 3B. Lucien ruszył za nim. Nawet widziany od tyłu, przedsiębiorca prezentował się imponująco: wyprostowana, dumna sylwetka i drogi, świetnie skrojony garnitur robiły duże wrażenie. Major z Waffen-SS na pewno byłby zainteresowany nazwiskiem jego krawca.

– Już mówię, co chodzi mi po głowie, monsieur Bernard. Przez jakiś czas będzie tu mieszkać mój gość i chciałbym wprowadzić w mieszkaniu pewne zmiany, aby dostosować to miejsce do jego potrzeb – powiedział milioner, gdy weszli do środka.

Lucien zachodził w głowę, próbując zrozumieć, co Manet może mieć na myśli. Mieszkanie było wspaniałe: miało wysokie sufity i okna, piękne parkiety i marmurowe kominki, ściany wykładane ozdobną, drewnianą boazerią i ogromne kolumny, zdobiące szerokie wejścia do głównych pomieszczeń. Wszystkie łazienki i kuchnia wyposażone były zgodnie z obowiązującą modą w porcelanowo-stalowe

zlewy, umywalki i wanny z chromowaną armaturą. Jak na paryskie standardy, lokal był dość duży: jego powierzchnia użytkowa była dwa razy większa niż powierzchnia normalnego mieszkania.

Manet zatrzymał się i spojrział na Luciena.

– Słyszałem, że architekt patrzy na przestrzeń inaczej niż wszyscy. Zwykły człowiek widzi pomieszczenie takim, jakie ono jest, ale architekt podświadomie wyobraża sobie, w jaki sposób można by uczynić je jeszcze lepszym. Czy to prawda?

– Oczywiście – odparł z dumą Lucien. – Większość ludzi uważa stare, zniszczone mieszkanie za niewarte najmniejszej uwagi, ale architekt potrafi wyremontować je w wyobraźni tak, że byłoby nie do poznania.

Był coraz bardziej podekscytowany. Może Manet będzie chciał, żeby zupełnie przerobić całe mieszkanie?

– Rozumiem. Proszę powiedzieć, monsieur, czy lubi pan wyzwania? Czy chciałby pan zmierzyć się z prawdziwym wyjątkowym problemem?

– Naturalnie. Uwielbiam rozwiązywać problemy architektoniczne – odrzekł Lucien. – Im większe wyzwanie, tym lepiej.

Miał nadzieję, że mówi to, co Manet chciał usłyszeć. Gdyby przemysłowiec zapytał go, czy da radę upchnąć w mieszkaniu Łuk Triumfalny, stwierdziłby, że to żaden kłopot. W czasie wojny przyjmuje się nawet najdziwniejszą robotę. Każdy głupi to wiedział.

– Cieszę się. – Manet przeszedł przez salon i ojcowskim gestem położył Lucienowi rękę na ramieniu. – Chyba najwyższy czas, abym wprowadził pana w szczegóły projektu, ale porozmawiajmy najpierw o wynagrodzeniu. Chciałbym zaproponować panu... dwanaście tysięcy franków.

– Tysiąc dwieście to bardzo hojna oferta, monsieur.

– Nie, dobrze pan usłyszał. Powiedziałem dwanaście tysięcy.

Zapadła cisza. Poszczególne cyfry po kolei pojawiały się w głowie Luciena, jak gdyby nauczyciel pisał je na tablicy: najpierw jedynka, potem dwójka, następnie trzy zera. Oszołomiony architekt przyjrzał się w wyobraźni całej liczbie i wykrztusił:

– Ależ monsieur... taka kwota to czyste szaleństwo!

– Nie, to sprawa życia i śmierci.

Sądząc, że milioner żartuje, Lucien zamierzał roześmiać się tubalnie w sposób, który zawsze denerwował jego żonę, choć bawił kochankę. Manet nie uśmiechał się jednak. Jego twarz nie wyrażała w ogóle żadnych emocji.

– Zanim zdradzę panu coś więcej, proszę pozwolić, że zadam panu pytanie natury osobistej – powiedział.

– Zamieniam się w słuch, monsieur Manet.

– Co sądzi pan o Żydach?

Lucien zaniemówił. Co to w ogóle za pytanie? Miał już zamiar odpowiedzieć odruchowo, że to dusigrosze i złodzieje, ale wziął głęboki oddech. Nie chciał stracić zlecenia, mówiąc coś, co mogłoby urazić Maneta.

– No cóż, są ludźmi, jak wszyscy inni – rzekł bez przekonania.

Lucien dorastał w domu, w którym panował silny antysemityzm. Słowo „Żyd” zawsze poprzedzane było przymiotnikiem „cholerny”. Jego ojciec i dziadek święcie wierzyli, że kapitan Alfred Dreyfus, żydowski oficer, który służył w dowództwie armii francuskiej pod koniec dziewiętnastego wieku, sprzedawał Niemcom tajemnice wojskowe, choć zdradę ojczyzny udowodniono innemu wojskowemu, majorowi Esterhazy’emu. Dziadek Luciena uważał również, że to Żydzi byli odpowiedzialni za upokarzającą porażkę Francji w 1870 roku podczas wojny francusko-pruskiej, mimo iż nigdy nie był w stanie poprzeć tego twierdzenia żadnymi dowodami. Lucien sądził zresztą, że w głębi serca wszyscy Francuzi byli antysemitami. Ludzie nienawidzili Żydów: podejrzewali ich o zdradę kraju, obwiniali o śmierć Chrystusa lub czuli się przez nich po prostu oszukani w interesach. Zawsze tak było.

Architekt spojrział na Maneta i ucieszył się, że nie wypowiedział swoich myśli na głos.

Na twarzy przedsiębiorcy malowała się niepokojąca stanowczość.

– Zauważył pan zapewne, że od maja tego roku wszyscy Żydzi powyżej szóstego roku życia mają obowiązek noszenia żółtej gwiazdy Dawida – rzekł Manet.

– Tak, monsieur.

Lucien zdawał sobie sprawę, że Żydzi musieli nosić filcowe naszywki w kształcie gwiazdy, choć nie uważał, żeby było to coś strasznego. Wielu mieszkańców Paryża ten fakt jednak oburzał. Niektórzy, choć nie mieli z Żydami nic wspólnego, na znak protestu również zaczęli nosić żółte gwiazdy, przypinali do ubrania żółte kwiaty lub używali żółtych poszetek. Architekt słyszał nawet o kobiecie, która przyczepiła żółtą gwiazdę swojemu psu.

– Szesnastego lipca – ciągnął Manet – na ulicach Paryża zatrzymano prawie trzynaście tysięcy Żydów. Wszystkich wysłano do Drancy, dziewięć tysięcy z nich to były kobiety i dzieci.

Lucien słyszał o Drancy, niewykończonym kompleksie mieszkalnym obok

lotniska Le Bourget, nad którym pracował jego przyjaciel, Maurice Pappon. Przed rokiem Niemcy utworzyli tam główny obóz internowania dla rejonu paryskiego, choć w budynkach nie było ani wody, ani elektryczności, ani żadnych instalacji sanitarnych. Pappon mówił, że więźniów z Drancy wywożono pociągami gdzieś na Wschód.

– Sto osób wolało popełnić samobójstwo, niż dać się aresztować. Matki skakały z okien, trzymając dzieci na rękach. Wiedział pan o tym, monsieur?

Lucien widział, że Manet jest coraz bardziej wzburzony. Postanowił skierować rozmowę ponownie na temat projektu i dwunastu tysięcy franków.

– To ogromna tragedia, monsieur. Jakiego rodzaju zmiany chciałby pan wprowadzić w mieszkaniu?

Manet zachowywał się tak, jakby go nie słyszał.

– Nie wystarczy już, że Żydom odbiera się ich przedsiębiorstwa i zamraża konta, teraz mają zakaz wstępu do restauracji, kawiarni, teatrów, kin i parków. I traktuje się w ten sposób nie tylko imigrantów, ale także Żydów francuskiego pochodzenia, których przodkowie walczyli za ten kraj. A najgorsze – mówił dalej – że większości aresztowań wcale nie przeprowadzają Niemcy, ale robi to Vichy i nasza policja.

Lucien miał tego świadomość. Niemcy wykorzystywali Francuzów przeciwko Francuzom. Jeśli ktoś pukał w środku nocy do drzwi mieszkańców Paryża, byli to najczęściej francuscy żandarmi nasłani przez Gestapo.

– Wszyscy cierpią teraz z powodu okupacji, monsieur – zaczął ostrożnie. – Aresztowania spotykają nie tylko Żydów. Nawet w drodze tutaj... – urwał, gdy przypomniał sobie, że zastrzelony mężczyzna był przecież Żydem. Zauważył, że Manet przypatruje mu się uważnie i poczuł się nieswojo. Opuścił oczy i wlepił wzrok we wspaniałe parkiet i eleganckie buty przemysłowca.

– Monsieur Bernard, Gaston zna pana od dawna. Twierdzi, że jest pan człowiekiem niezwykle uczciwym i honorowym. Człowiekiem, który kocha swój kraj... i potrafi dotrzymać danego słowa – usłyszał po chwili.

Lucien był już całkiem zbity z tropu. O czym ten człowiek w ogóle mówi? Przecież Gaston nic o nim nie wie, zna go wyłącznie od strony zawodowej. Nie mógł mieć żadnego pojęcia o tym, jakim tak naprawdę jest człowiekiem. Równie dobrze mógłby być mordercą lub męską prostytutką, a Gaston w życiu by się o tym nie dowiedział.

Manet podszedł do jednego z wielkich okien, które wychodziły na rue Galilée i przez kilka chwil patrzył na ulicę. Wreszcie odwrócił się i spojrzał w oczy

architekta. Lucien zdumiony był nagłą powagą na jego twarzy.

– Monsieur Bernard, chciałbym, aby zaprojektował pan w tym mieszkaniu kryjówkę dla pewnego Żyda, którego ściga Gestapo. Miejsce, gdzie mógłby się tak schować, żeby Niemcy go nie znaleźli, gdyby przyszli go tu szukać. Mając na względzie pana bezpieczeństwo, nie powiem panu, jak się nazywa, ale jest człowiekiem bardzo majątnym i Rzeszy ogromnie zależy na tym, by położyć rękę na jego fortunie.

Lucien osłupiał.

– Czy pan oszalał? Ukrywać Żyda?

Lucien nigdy nie odezwałby się w ten sposób do klienta, zwłaszcza tak bogatego, ale Manet zaczynał właśnie zapuszczać się na niebezpieczne terytorium. Pomoc Żydom: Niemcy mówili na to „Judenbegünstigung”. Manet mógł zarabiać miliony, ale gdyby wydało się, że ukrywa Żydów, czekały go aresztowanie i egzekucja. Pieniądze nic by mu wtedy nie pomogły: było to jedyne przestępstwo, które Niemcy karali z taką surowością. Przypinanie do ubrania jakiejś głupiej żółtej gwiazdy w geście solidarności to jedno, ale udzielenie konkretnej pomocy Żydowi ściganemu przez Gestapo granoczyło już z obłędem. Lucien z przerażaniem zaczął się zastanawiać, w co się właśnie wpakował, a raczej: w co wpakował go ten przeklęty Gaston. Manet miał niezły tupet, żeby w ogóle proponować mu coś takiego za dwanaście tysięcy czy nawet za dwanaście milionów franków.

– Prosi mnie pan, żebym popełnił samobójstwo. Zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda?

– Oczywiście. Ja również robię to samo.

– Więc czemu pan się w to wikła, na miłość boską?! – wykrzyknął Lucien.

Manet nie wydawał się wcale speszony pytaniem. Wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się go doczekać. Uśmiechnął się do architekta.

– Coś panu powiem, monsieur Bernard. Kiedy w 1940 roku rozpętało się to piekło, zdałem sobie sprawę, że moim pierwszym obowiązkiem jako chrześcijanina jest przewyciężenie własnego egoizmu, że nie powinienem uciekać przed niedogodnościami, kiedy życie innego człowieka znajduje się w niebezpieczeństwie. Nie obchodzi mnie, kim ten człowiek jest, czy urodził się Francuzem, czy nie. Postanowiłem, że nie będę stać obojętnie.

Lucien pomyślał, że w tych okolicznościach określenie „niedogodności” to trochę mało powiedziane. Co do chrześcijaństwa zgadzał się ze swoim ojcem: może i był to szlachetny system przekonań, ale nigdy nie sprawdzał się w codziennym

życiu.

– A więc, monsieur Bernard – ciągnął Manet – zapłacę panu dwanaście tysięcy franków za zaprojektowanie w tym mieszkaniu kryjówki niedostrzegalnej gołym okiem. Oto pańskie wyzwanie architektoniczne. Mam świetnych rzemieślników, którzy wykonają skrytkę, ale nie są architektami. Pan widzi przestrzeń inaczej i z pewnością znajdzie jakieś sprytne rozwiązanie. Dlatego właśnie proszę pana... o pomoc.

– Monsieur, muszę kategorycznie odmówić. To szaleństwo. Nie wezmę w tym udziału.

– Mam nadzieję, że przemyśli pan jeszcze moją propozycję, monsieur Bernard. Wierzę, że nasza współpraca przyniosłaby obustronne korzyści. Chodzi tylko o ten jeden raz.

– Nie, monsieur. Nie przekona mnie pan...

– Zdaję sobie sprawę, że trudno jest podjąć od razu decyzję, która może kosztować pana życie. Proszę pana o jedno: niech pan przemyśli to wszystko w spokoju i da mi odpowiedź dziś o szóstej w Café du Monde. Domyślam się, że chciałby pan przyjrzeć się mieszkaniu trochę bliżej, więc proszę wziąć ten klucz i zamknąć, kiedy pan skończy. A teraz, monsieur, zostawię pana samego.

Lucien kiwnął głową i próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

– Przy okazji, jutro o dziewiątej rano będę podpisywał kontrakt na produkcję silników dla wytwórni lotniczej Heinkla. Moje obecne zakłady są zbyt małe na takie zlecenie, więc zamierzam rozbudować fabrykę w Chaville. Szukam architekta – powiedział Manet, podchodząc do drzwi. – Nie zna pan jakiegoś?



Pokój zaczął wirować i Lucienowi zakręciło się w głowie do tego stopnia, że nie był w stanie utrzymać równowagi. Usiadł na podłodze i pomyślał, że zaraz zwymiotuje.

– Chryste, co za dzień! – mruknął.

Zwykle Lucien nie cofał się przed niczym, żeby dostać zlecenie. Potrafił robić rzeczy naprawdę podłe, jak wtedy, gdy przespał się z otyłą żoną Gattiera, kupca winnego, który otwierał nowy sklep przy rue Vaneau. Wszystko potoczyło się zgodnie z planem: kobieta namówiła męża, żeby zatrudnił Luciena, a budynek wyszedł naprawdę nieźle – w oryginalnym projekcie nie wprowadzono ani jednej zmiany.

Tym razem jednak chodziło o coś zupełnie innego. To prawda, nie miał grosza przy duszy, ale czy warto było ryzykować życie dla dwunastu tysięcy franków i dużego, gwarantowanego zlecenia? Jeśli zginie, pieniądze do niczego mu się już nie przydadzą. Właściwie to bał się nawet nie tyle samej śmierci, ile tortur, które by ją poprzedzały. Lucien wiedział z dobrego źródła, w jaki sposób Gestapo postępuje z ludźmi, którzy odmawiają współpracy: Niemcy potrafili katować człowieka całymi dniami. Potem strzelali mu w głowę albo czasem, w przypływie dobrego serca, wysyłali go do obozu.

Mieszkańcy Paryża szybko nauczyli się, że nie wszyscy niemieccy żołnierze są tacy sami. Można było wyodrębnić trzy bardzo różne grupy. Największą z nich był Wehrmacht – regularna armia, która prowadziła większość walk i odnosiła się do Francuzów w miarę przyzwoicie. Kolejnym typem byli żołnierze Waffen-SS – specjalnych oddziałów zbrojnych niemieckiej partii nazistowskiej – którzy brali udział w działaniach wojskowych, lecz przeprowadzali również łapanki Żydów. Jednak najgorsi ze wszystkich byli członkowie Gestapo, tajnej niemieckiej policji, która torturowała, okaleczała i mordowała Żydów oraz wszystkich innych, którzy odważyli się popełnić zbrodnię przeciwko Rzeszy, również Niemców. Okrucieństwo gestapowców przekraczało czasem ludzkie pojęcie.

Ludzie czuli strach nawet przed samym słowem „Gestapo”. Zazwyczaj mówiono

tylko: „Aresztowali go”. Siedziba Gestapo mieściła się przy rue de Saussaies 11, nieopodal Pałacu Elizejskiego, który był dawną rezydencją prezydenta Francji. Każdy w Paryżu znał ten adres. Wszyscy się go bali.

Nie, nieważne, jak bardzo potrzebuje teraz pieniędzy i jak bardzo chciałby dostać ten projekt, ryzyko było zbyt duże. Lucien nigdy nie łudził się, że byłby zdolny do heroicznych czynów. Przekonał się o tym w 1939 roku, gdy jako oficer rezerwy stacjonował przez osiem miesięcy na Linii Maginota – szeregu fortyfikacji, który według zamysłu rządu francuskiego miał ochronić kraj przed niemiecką agresją. Jako że po upadku Polski na terenie Francji nie toczyły się żadne walki, Lucien siedział po prostu na tyłku, czytał czasopisma architektoniczne, które wysyłała mu żona, i projektował w głowie kolejne budynki. Jeden z jego kolegów, profesor akademicki, który również służył jako oficer, zdążył nawet napisać przez ten czas książkę o historii Etrusków.

A potem, 10 maja, rozpoczęła się niemiecka inwazja. Zamiast jednak atakować Linie Maginota, która miała być nie do sforsowania, Niemcy obeszlą ją i uderzyli na Francję od północy, przeprawiając się przez Ardeny. Lucien stacjonował wtedy w jednym z maginotowskich bunkrów i nigdy nie miał okazji wziąć udziału w prawdziwej akcji. Nie rozpaczał specjalnie z tego powodu. W skrytości ducha zawsze bał się walki z Niemcami, którzy wydawali mu się jakby nadistotami. Z niezwykłą łatwością miażdżyli każdego na swojej drodze: Polaków, Belgów, Holendrów. Pod Dunkierką nawet Brytyjczyków zmusili do ewakuacji.

Kiedy 22 czerwca Francja podpisała kapitulację, Lucien powinien złożyć broń i oddać się do niewoli, ale ani on, ani inni oficerowie nie mieli zamiaru dać się wywieźć do obozu jenieckiego w Niemczech. Wuj Albert, brat matki Luciena, spędził podczas pierwszej wojny światowej w takim obozie cztery lata i wrócił z niego kompletnie pomyłony. Biegał potem za wiewiórkami w parku jak pies i robił różne dziwne rzeczy. Lucien, podobnie jak wielu innych francuskich żołnierzy, zwyczajnie zdjął mundur, zniszczył swoje papiery wojskowe i wmieszał się w tłum cywilów, używając sfałszowanych dokumentów demobilizacyjnych. Zanim Wehrmacht dotarł pod koniec czerwca do garnizonów na Linii Maginota, architekt był już w domu z żoną.

Lucien czuł się wtedy, jakby wrócił do miasta duchów. Choć Paryż został ogłoszony przez Brytyjczyków miastem otwartym i nie musiał obawiać się bombardowań, stolicę opuściło ponad milion osób – jedna trzecia jego mieszkańców. Lucien i Celeste postanowili zostać, sądząc, że niebezpieczeństwa

tułaczki mogą okazać się bardziej groźne niż spotkanie z Niemcami. Czas pokazał, że wybrali słusznie: gdy na południe ruszyły tłumy, drogi szybko stały się nieprzejezdne. Wiele osób zaginęło lub zmarło z powodu chłodu lub wycieńczenia. Ten masowy exodus i szybka kapitulacja upokorzyły Francję w oczach świata. Lucien z całego serca nienawidził Niemców za to, co zrobili z jego krajem. Płakał w dniu, w którym Francja się poddała. Ale liczyło się dla niego przede wszystkim to, że on i jego żona nadal żyją.

Nie, Lucien nie był bohaterem. Nie miał w zwyczaju czynić dobra na lewo i prawo ani bronić pokrzywdzonych. Manet z kolei miał szlachetność wypisaną na twarzy. Ale ryzykować własne życie, żeby ratować Żyda? Ojciec Luciena roześmiałyby mu się w twarz. Dorastając w Paryżu, Lucien zawsze miał w mniejszym lub większym stopniu do czynienia z Żydami. Słyszał kiedyś, że jest ich w mieście prawie dwieście tysięcy, choć na studiach w Ecole Spéciale d'Architecture nigdy żadnego nie spotkał. Architektów żydowskiego pochodzenia w ogóle było niewielu. Lucien zawsze tłumaczył to sobie tym, że Żydzi mają wrodzony talent do handlu i dlatego większość z nich zakłada własne interesy lub wybiera prawo czy medycynę – zawody, w których łatwo jest się dorobić. Architektura – Lucien wiedział to z własnego doświadczenia – to kiepski wybór, jeśli chce się być bogatym.

Czuł jednak, że Manet ma rację w jednej sprawie: Żydzi rzeczywiście traktowani byli niesprawiedliwie. Niemcy odbierali im coraz bardziej podstawowe rzeczy – osobom żydowskiego pochodzenia odłączano telefony i konfiskowano rowery. I to nie tylko imigrantom z Polski, Węgier czy Rosji, mieszkającym głównie na wschodnich obrzeżach Paryża, ale również Żydom urodzonym we Francji, którzy w ogóle nie mieli semickich rysów. Cierpieli przedstawiciele wszystkich kategorii zawodowych: lekarze, prawnicy czy pracownicy akademicy. Nie liczyło się, czy ktoś jest sławny, czy nie. Laureat Nagrody Nobla Henri Bergson zmarł na zapalenie płuc, którego nabawił się, gdy stał w kolejce, aby zarejestrować się we francuskim urzędzie jako Żyd. Ale wszystko to, co się działo, związane było z sytuacją polityczną, na którą Lucien nie miał żadnego wpływu, nawet jeśli uważał, że Niemcy nie postępują w porządku.

Jednocześnie przemknęło mu przez myśl, że jak na ludzi, o których sprycie tyle się mówi, Żydzi zachowują się raczej bezmyślnie. Od 1933 roku francuskie gazety publikowały reportaże, które opisywały, w jaki sposób naziści traktują osoby żydowskiego pochodzenia w Niemczech. Czy nie przyszło im do głowy, że to samo stanie się też tutaj? Co mądrzejsi zorientowali się, co ich czeka, i zdążyli uciec przez

Pireneje do Hiszpanii lub Portugalii albo wyjechali do Szwajcarii, kiedy jeszcze mieli takie możliwości.

Żydów, którzy zostali we Francji, nie czekało nic dobrego. Od jesieni 1940 roku nie wolno im było wyjeżdżać z kraju. Nie mogli nawet przekraczać linii demarkacyjnej oddzielającej terytorium północne od nieokupowanego Vichy. Byli zmuszeni uciekać z miast, aby uniknąć aresztowania i deportacji. Lucien pomyślał, że na wsi z pewnością ukrywa się teraz kilka tysięcy Żydów. Całe rodziny, dzieci, osoby starsze. Ludzie, którzy byli tak przyzwyczajeni do wygodnego życia, musieli teraz chować się na strychach stodół, mając za pożywienie raptem kilka gramów chleba dziennie. W porównaniu z takimi warunkami kryjówka Maneta byłaby jak pałac.

Lucien podniósł się z podłogi i zaczął chodzić po mieszkaniu.

Bez dwóch zdań, zgoda na propozycję milionera byłaby samobójstwem.

Ale... gdyby Lucien wpadł na jakiś sprytny pomysł, może Gestapo nigdy nie znalazłoby tam tego Żyda i nikt by się nie dowiedział, że miał z tym w ogóle coś wspólnego. A najlepsze, że dostałby wtedy mnóstwo pieniędzy i naprawdę duże zlecenie. Poza tym Manet nie jest przecież w ciemną bity: niewątpliwie umiał podejmować rozsądne ryzyko, skoro osiągnął w życiu taki sukces. Na pewno nie pakuje się w to lekkomyślnie i ma wszystko dokładnie zaplanowane.

A potem nagle Lucien wyobraził sobie siebie przywiązanego do krzesła przy rue de Saussaies 11, z krwawą miazgą zamiast twarzy. Odwrócił się natychmiast i ruszył w kierunku drzwi. Pomyślał jednak, że przy odrobinie pomysłowości dałoby radę ukryć tu człowieka tak, że nikt nie byłby w stanie go znaleźć. Zatrzymał się z ręką na klamce i spojrzał za siebie na puste mieszkanie. Potrząsnął głową, uchylił wielkie drewniane drzwi na kilka centymetrów, aby upewnić się, że nikt go nie widzi, i wyszedł na korytarz.

Przyszło mu jednak na myśl, że warto by zaryzykować choćby tylko ze względu na zlecenie, które zaproponował mu Manet. Tak duży projekt był dla Luciena ogromną szansą – stwarzał przed nim możliwości, o jakich przed wojną mógł tylko pomarzyć. I prawdą było, że desperacko potrzebował pieniędzy – nie pracował od początku okupacji. Jego własne oszczędności skończyły się dawno, a fundusze jego żony też były już mocno uszczuplone. Pomyślał, że nie zaszkodzi trochę się rozejrzeć. Wrócił do mieszkania i zaczął jeszcze raz oglądać pokoje.

Od razu wykluczył kryjówki zbyt oczywiste – wykorzystanie przestrzeni za regałami czy szafą wydawało mu się za proste i kojarzyło się z amerykańskimi

filmami kryminalnymi. Jego oczy, niczym obiektyw kamery, badały każdy metr kwadratowy mieszkania, rejestrując nawet najmniejsze szczegóły. Przyglądając się jakiejś powierzchni, Lucien odruchowo analizował, w jaki sposób zbudowana jest przestrzeń za nią – zupełnie jakby prześwietlał ją w myśli promieniami rentgenowskimi. Choć nie miał pojęcia, jak wygląda „gość” Maneta, próbował wyobrazić sobie, czy dane miejsce jest dostatecznie duże, żeby zmieścić się w nim przeciętnie zbudowany mężczyzna. Wzrok Luciena zatrzymał się na pięknej boazerii, zdobiącej ściany mieszkania. Szerokie drewniane panele dałoby radę zdjąć, a przestrzeń za nimi była wystarczająco głęboka, by pomieścić człowieka. Czy nie byłaby to jednak kryjówka zbyt łatwa do odkrycia? Lepiej nie ryzykować, na pewno można wymyślić coś lepszego. A gdyby tak dało się przejść przez otwierany panel, a potem prześliznąć się za boazerią wzdłuż ściany i schować we wgłębieniu wydrążonym w jakimś innym miejscu? Nawet gdyby Niemcy odkryli zdejmowany fragment okładziny, znaleźliby za nim tylko pustą przestrzeń. Niestety, przy bliższej inspekcji okazało się, że ściany za boazerią były zbyt cienkie, żeby można było wydrążyć w nich odpowiednio głęboką wnękę.

Potem Lucien zauważył, że listwy przypodłogowe w mieszkaniu Maneta były wyjątkowo wysokie. Używając kieszonkowej miarki, którą zawsze ze sobą nosił, upewnił się, że miały prawie czterdzieści centymetrów. Pewnie dałoby radę zamontować przy którejś zawiasy, tak że otwierałaby się jak klapka w skrzynce pocztowej, a wtedy można by było wydrążyć przy podłodze niski otwór, w którym ktoś mógłby się schować, leżąc na brzuchu. Rozwiązanie byłoby idealne, gdyby tylko ściany miały odpowiednią grubość. Szkoda, Niemcom nigdy nie przyszłoby do głowy szukać w takim miejscu.

Lucien ruszył dalej. W półkolistej niszy na środku ściany sąsiadującej z korytarzem na podstawie, która miała około metra wysokości, stała mała statuetka z brązu przedstawiająca Merkurego. Ktoś, kto nie byłby bardzo wysoki, mógłby z powodzeniem zmieścić się wewnątrz postumentu, siedząc w kucki. Żeby wejść do środka, trzeba by było jednak najpierw podnieść, a potem opuścić na miejsce zarówno statuetkę, jak i górę drewnianej podstawy, co mogłoby być dość trudne. Nawet gdyby udało się przymocować rzeźbę na stałe do górnej części postumentu, a górę połączyć zawiasami z resztą podstawy, cała instalacja byłaby bardzo ciężka. Lucien podniósł figurkę Merkurego. Ważyła chyba z pięćdziesiąt kilo. Czy gość Maneta będzie na tyle silny, by poradzić sobie z takim ciężarem?

Lucien przeszedł przez pokój, aby lepiej przyjrzeć się niszy. Zapalił papierosa

i oparł się o jedną z dwóch wysokich, doryckich kolumn, stojących po obu stronach przejścia między pokojem a jadalnią. Spojrzał w górę i zauważył, że cały żłobiony trzon kolumny zrobiony był z jednego kawałka wspaniałego drewna kasztanowego. Gdyby stała na jakiejś wysokiej podstawie, jej baza byłaby świetną kryjówką. A potem nagle Lucien zorientował się, jak dużą średnicę ma kolumna. Wyciągnął miarkę – niecałe pięćdziesiąt sześć centymetrów. Ogarnęła go fala niesamowitej euforii. Przymierzył szerokość kolumny do swoich ramion i ocenił, że nawet uwzględniając grubość wewnętrznych ścian, jest ona na tyle duża, by pomieścić stojącego mężczyznę normalnej postury.

Zakręciło mu się w głowie z wrażenia. Wiedział, że kolumny nie podtrzymują stropu i pełnią wyłącznie funkcję dekoracyjną, muszą więc być w środku puste. Uśmiechając się, przesunął ręką po kasztanowym drewnie; trzeba będzie wyciąć wąskie drzwi i zamontować od środka zawiasy. Żłobienia kolumny posłużą do zamaskowania pionowych krawędzi, krawędzie poziome będą wymagały trochę więcej pracy: nie może być widać żadnych poprzecznych linii, więc dolna krawędź drzwi będzie musiała iść równo z podłogą, a górną trzeba będzie połączyć z kapitelem. Co prawda trzon kolumny ma prawie cztery metry wysokości, ale wystarczy użyć zawiasów taśmowych i nie powinno być żadnych problemów. Lucien zaprojektował kiedyś trzymetrowe drzwi, które zawieszono były na zwykłych zawiasach. Jeśli ludzie Maneta są rzeczywiście tak zdolni, jak twierdzi, to szaleństwo ma szansę powodzenia.

Udało mu się! Znalazł kreatywne, eleganckie i błyskotliwe rozwiązanie. Przechytrył tych zasranych szkopów.



Na dwie godziny przed spotkaniem z Manetem Lucien kończył już czwarty kieliszek rozwodnionego czerwonego wina. Euforia, którą odczuwał, gdy znalazł sposób, by wywieść Niemców w pole, zdążyła już osłabnąć, a natrętna myśl o bolesnej śmierci z rąk Gestapo wciąż powracała. Zbyt wiele rzeczy mogło pójść nie tak. Wiedział, że mieszkańcy Paryża codziennie wydają Niemcom kolejnych Żydów. A gdyby ktoś dowiedział się o Żydzie ukrywanym przez Maneta i doniósł o tym na Gestapo, a kolumna w jakiś sposób by zawiodła? Żyd wydałby Maneta, a Manet wydałby jego. Musiałby oszaleć, żeby się w to pakować.

Lucien, zanim opuścił mieszkanie przy rue Galilée, zdążył naszkicować na kawałku papieru szczegóły kolumny. Odwrócił go teraz i zaczął rozplanowywać budynek fabryki w Chaville, na zachodnich przedmieściach Paryża. Wyobrażał sobie żąbkowany dach, który przepuszczałby dużo światła, i szklane ściany, podzielone co metr stalowymi szprosami. Co dziesięć metrów dodałby ścianę z cegieł. Ściana wejściowa również byłaby z cegieł, ale miałaby lekko zakrzywiony kształt, prowadzący do głęboko osadzonych szklanych drzwi. Może dałoby radę zbudować całość z lanego betonu i umieścić w środku duże, strzeliste łuki? Uśmiechnął się, projektując krzywizny łuków i rysując przy każdym rozszerzającą się podporę dla lepszego rozłożenia zewnętrznych obciążeń. Wypróbował cztery różne profile łuków, zanim zdecydował się na ten, który podobał mu się najbardziej.

W latach trzydziestych Lucien miał szansę obejrzeć w Niemczech fabrykę obuwia Fagus, stworzoną przez Waltera Gropiusa. Był zachwycony prostotą i przejrzystością budynku. Od tamtej chwili marzył o tym, by zaprojektować własny kompleks fabryczny. Choć propozycja Maneta przyszła w tak dziwacznych okolicznościach, była dla Luciena szansą, na którą czekał całe życie. Wreszcie mógł udowodnić, że ma prawdziwy talent, projektując duży, ważny budynek.

Wypił ostatni łyk wina i spojrzął przez okno na opustoszałą rue Kepler. Pamiętał, że gdy wrócił do Paryża, widok wyludnionego miasta był dla niego ogromnym szokiem. Bulwar Saint-Germain, paryska rue de Rivoli, Place de la Concorde –

wszystkie ulice przez większość doby były puste i sprawiały całkiem surrealistyczne wrażenie. Przed wojną nawet rue Kepler roiła się w godzinach wieczornych od przechodniów. Architekt uwielbiał patrzeć na miasto: często sączył w kawiarni kawę lub wino, szukając w tłumie ciekawych twarzy lub pięknych kobiet. Teraz siedział przy oknie i widok pojedynczych osób przemykających ulicą napełnił go głębokim smutkiem. Hitlerowcy zdołali wyssać całe piękno życia z Paryża, który tak kochał.

Lucien nigdy nie miał okazji walczyć z Niemcami. Choć nienawidził ich z całego serca, wiedział, że kiepski byłby z niego żołnierz – bał się broni. Honor i walka za kraj były ideałami, które Francuzi bardzo cenili, chociaż Lucien traktował je zawsze jak patriotyczne farmazony. Jednak odkąd wrócił do Paryża, dręczyło go poczucie, że jest tchórzem. Wrażenie to wzmacniał ponadto fakt, że w stolicy przebywało teraz bardzo wiele kobiet i bardzo niewiele mężczyzn – większość zginęła lub przebywała w niewoli. Lucien miał szczęście. Syn jego sąsiadki, madame Dehor, został rozerwany na kawałki podczas próby zatrzymania czołgu. Sześć miesięcy po śmierci chłopaka wciąż słyszał zza grubej ściany niekontrolowany płacz jego matki. W skrytości ducha Lucien czuł wstyd, że tak mało zrobił dla swojego kraju. Czasami czuł się winny, że w ogóle żyje.

Wiedział też, że nie ma wystarczającej odwagi, żeby wstąpić do ruchu oporu. Zresztą, nie wierzył w ich sprawę. Sądził, że organizacja ta składa się głównie z fanatycznych komunistów, którzy przeprowadzają jakieś głupie, bezsensowne akty sabotażu, mając w nosie to, że Niemcy zabijają w odwecie setki zakładników.

Lucien przyjrzał się szkicowi fabryki. Prawdę mówiąc, Manet proponował mu całkiem niezły układ – wyjąwszy perspektywę tortur i śmierci ze strony Gestapo. Jedna kryjówka, której zaprojektowanie zajęło mu niecałą godzinę, za dwanaście tysięcy franków, pozwalających mu kupić na czarnym rynku, czego dusza zapragnie. I do tego zlecenie na fabrykę. Obrócił kartkę papieru i uśmiechnął się mimowolnie, patrząc na rysunek kolumny. Uniesienie i poczucie triumfu, które czuł w mieszkaniu, powróciły z całą mocą. Świadomość, że znalazł naprawdę dobre rozwiązanie, wzbudzała w nim nadal niesamowitą radość. Może właśnie w ten sposób będzie mógł odpłacić Niemcom? To prawda, nie potrafi ryzykować życia, walcząc z karabinem w dłoni, ale może przecież ryzykować inaczej, po swojemu. Poza tym, czy ryzyko jest rzeczywiście tak duże? Kryjówka, którą wymyślił, jest bardzo sprytna – Gestapo może szukać do woli i nigdy jej nie znajdzie. Ta myśl sprawiła mu wyjątkową przyjemność.

Wiedział, że to samobójstwo. Ale jakiś wewnętrzny głos kazał mu to zrobić.

– Ludzi takich jak pan, monsieur Bernard, Żydzi nazywają „mensch” – powiedział Manet, biorąc łyk wina. Lucien zadbał o to, żeby mieli stolik tylko dla siebie i żeby nikt nie siedział w pobliżu.

– I co to niby znaczy? – spytał szorstko. Słowo brzmiało jakoś obraźliwie, podobnie jak żydowskie „schmuck”.

– Zdaje się, że mówiąc tak, mają na myśli istotę ludzką. Kogoś, kto nie boi się postąpić właściwie.

– Zanim postąpię właściwie, chcę postawić kilka warunków.

– Zamieniam się w słuch – odrzekł Manet.

– Nie chcę nic wiedzieć... absolutnie nic... o tym pańskim cholernym Żydzie – wyszeptał Lucien, rozglądając się, czy nikt ich nie słyszy.

– Oczywiście, rozumiem.

– Jeśli chodzi o robotników, którzy będą pracowali nad konstrukcją... skąd mam wiedzieć, że nie zaczną gadać?

– Ci ludzie pracują dla mnie od ponad dwudziestu lat. Ufam im całkowicie, pan również może.

– Pozostali lokatorzy będą się zastanawiać, co się dzieje, gdy usłyszą cały ten hałas. Gdyby w budynku znaleziono Żyda, wszystkich ich czeka deportacja. Jeśli będą cokolwiek podejrzewać, natychmiast poinformują Niemców, żeby ratować własną skórę.

– Przyznaję, istnieje takie ryzyko, ale konsjerżka jest dobrze opłacona i będzie kłamać, jeśli zajdzie taka potrzeba. A pozostali lokatorzy w ciągu dnia będą w pracy. Poza tym pańskie rozwiązanie jest genialne właśnie dlatego, że jest takie proste. Nie powinno być dużego hałasu.

– A co z właścicielem budynku? Nie zorientuje się, że coś jest nie tak?

– Budynek należy do mnie, monsieur Bernard.

Lucien rozluźnił się wreszcie i usiadł wygodniej na krześle. Teraz, gdy wyjaśnił już wątpliwości, czas przystąpić do interesów.

– Wspominał pan o dwunastu tysiącach franków.

Manet sięgnął do torby, którą trzymał na kolanach, i wyciągnął z niej grubą książkę w twardej oprawie. Położył ją na stole i przesunął w kierunku architekta.

– Lubi pan czytać? Tę powieść napisał znakomity amerykański autor, Hemingway. Jest niezwykle interesująca – powiedział z szerokim uśmiechem.

Lucien czytał wyłącznie czasopisma architektoniczne, ale często chodził do kina i widział wszystkie amerykańskie filmy oparte na arcydziełach literatury, więc mógł udawać, że wie co nieco o książkach.

– Hemingway. Tak, słyszałem. Gary Cooper grał w 1932 roku w *Pożegnaniu z bronią*. Cholernie dobry film.

Nie spiesząc się, Lucien sięgnął po opasły tom, obejrzał okładkę i zaczął przerzucać strony. Przerwał raptownie, gdy zobaczył pierwszy banknot ukryty w wydrążeniu w środku książki.

– Rzeczywiście, wygląda bardzo ciekawie. Zacznę ją czytać jeszcze dziś wieczorem.

– Na pewno się panu spodoba – odparł Manet.

– Czy dobrze pamiętam, że podpisał pan właśnie nowy kontrakt i będzie pan potrzebował dodatkowej przestrzeni fabrycznej? – spytał Lucien, ściskając książkę obiema rękami.

– Ma pan doskonałą pamięć. Proszę przyjść do mojego biura pojutrze, powiedzmy koło drugiej. Omówimy wtedy projekt i dostanie pan ode mnie na piśmie wszystkie wymogi. Jestem pewien, że będzie pan chciał zajrzeć jeszcze do mieszkania, żeby zmierzyć kilka rzeczy, więc proszę zatrzymać klucz.

Uśmiech momentalnie zniknął z twarzy Luciena.

– Wyjaśnijmy sobie jedną kwestię, monsieur Manet. Proszę nie liczyć na to, że zrobię coś takiego jeszcze raz.

– Naturalnie. Świetnie pana rozumiem.

Zapadła niezręczna cisza. Lucien wypił kolejny łyk wina. Marzył o tym, żeby zabrać książkę i wyjść wreszcie z kawiarni. Manet uśmiechał się i sącył wino z niewzruszonym spokojem.

– Pytał mnie pan, dlaczego popełniam samobójstwo.

– Tak, i powiedział mi pan, że jest pobożnym chrześcijaninem, który chce pomagać bliźnim – odpowiedział Lucien.

– Pobożnym? Skądże znowu. Chodzę do kościoła w Boże Narodzenie i Wielkanoc, nic poza tym. To prawda, wierzę, że jako chrześcijanie mamy moralny obowiązek postępować właściwie, ale nie chodzi tylko o to. Jest coś więcej.

– Naprawdę?

– Monsieur Bernard, ludzie sądzą, że arystokraci mają wszystko. Pieniądze, przywileje... Bardzo się mylą. Dzieciom z mojej klasy brakuje najważniejszego:

rodziców.

– Był pan sierotą?

– Nie. Miałem ojca i matkę, ale podobnie jak większość ludzi z wyższych sfer nigdy nie mieli czasu dla swoich dzieci. Ciągłe spotkania towarzyskie, rozrywki w mieście i na wsi, posiadłości i interesy, których trzeba doglądać... W ciągu tygodnia spędzałem z moimi rodzicami raptem godzinę. Rzadko kiedy pamiętali o moich urodzinach. Gdy byłem w szkole z internatem, nie widziałem ich przez kilka miesięcy i nigdy nie przysłali mi nawet listu. Byli po prostu zbyt zajęci, żeby poświęcać uwagę mnie i mojemu rodzeństwu.

– Bardzo mi przykro – powiedział Lucien.

– Niepotrzebnie. Wychowała mnie madame Ducrot. Była moją nianią, ale dała mi więcej miłości i czułości niż najlepsza matka. I była Żydówką.

– Żydówką? Ale jak...

– Nie mam pojęcia, jak to się stało, że rodzice wybrali Żydówkę na naszą nianię. Może nie byli aż takimi antysemitami, jak reszta ludzi z ich kręgów. To prawda, uczyłem się katechizmu od księży, jak wszyscy, ale madame Ducrot nigdy nie kryła się ze swoją wiarą. Ciągłe nam o niej opowiadała. Mówiła o świętach, o synagodze, o Księdze Wyjścia... o wszystkim.

Lucien słuchał z zainteresowaniem.

– Przed wojną gościłem kilkakrotnie u Winstona Churchilla w jego angielskiej rezydencji w Chartwell. Pewnego razu zapytałem go o zdjęcie starszej kobiety, stojące na kominku. Powiedział, że fotografia przedstawia panią Everest, jego nianię. Nazywał ją „Woomany” i gdy umarła, czuł stokroć większy smutek niż w dniu śmierci własnej matki. Czułem się tak samo, gdy zmarła moja niania, moja „prawdziwa matka”. Więc w pewnym sensie, monsieur Bernard, gdy ukrywam tych ludzi, pomagam madame Ducrot.



Lucien nie mógł doczekać się, kiedy wróci do domu i opowie o wszystkim Celeste. A przynajmniej o fabryce. Gdyby dowiedziała się o mieszkaniu Maneta, znalazłaby się w niebezpieczeństwie. Kryjówka musi na zawsze pozostać tajemnicą. Po wyjściu z kawiarni Lucien szedł, tuląc książkę mocno do piersi. Zorientował się jednak po chwili, że gdyby obserwował go jakiś agent Gestapo, na pewno wydałoby mu się to podejrzane, przełożył więc tomiszczce do jednej ręki i trzymał je luźno przy boku, starając się wyglądać naturalnie. Bał się jednak panicznie, że książka wymsknie mu się z ręki i upadnie na chodnik, a banknoty rozsypią się dookoła, dlatego ścisnął ją ze wszystkich sił.

Gdy mijał budkę telefoniczną, przyszła mu do głowy pewna myśl. Podniósł słuchawkę, wrzucił monetę i wykręcił numer swojej kochanki, Adele Bonneau. Dawno już nie miał okazji chwalić się jej nowym zleceniem, a wiedział, że bardzo się ucieszy. Jako kobieta sukcesu i ceniona projektantka mody, Adele szczerze interesowała się jego pracą. Lubiła oglądać jego projekty i nie bała się mówić, co o nich sądzi. Choć rzadko słuchał jej rad, Lucien bardzo cenił jej zaangażowanie. Gdy leżeli w łóżku po upojnie spędzonych chwilach, paląc papierosy i pijąc wino, uwielbiał klócić się z nią o to, co nie podobało jej się w jego szkicach. Podobne rozmowy podniecały go również jako gra wstępną. Jak to często bywa z kochankami, Lucien żałował, że nie ożenił się z taką kobietą, jak Adele. Imponowało mu, że była na bieżąco z dokonaniem architektonicznymi w Paryżu. Celeste uważała, że architektura to domena mężczyzn, i nie chciała mieć z jego pracą nic wspólnego.

Telefon zadzwonił kilka razy, nim w słuchawce odezwał się głęboki, seksowny głos. Choć Adele była już dobrze po trzydziestce, wciąż sprawiała wrażenie dwudziestokilkulatki, za którą chciała uchodzić.

– Adele, skarbie, będę projektował nową fabrykę dla Augusta Maneta, tego przemysłowca – wyrzucił z siebie niemal jednym tchem.

– To cudownie, mój drogi. Cóż za wspaniałe wieści – odpowiedziała. – Uwielbiam, kiedy dostajesz nowe zlecenie. Przypominasz wtedy pięciolatka w dniu

Bożego Narodzenia. Bardzo się cieszę. Pamiętaj, że musisz pokazać mi wstępne szkice, zanim zanieziesz je Manetowi.

– Wiesz, że to zrobię, kochanie. Jesteś przecież moim współarchitektem, nad wszystkim pracujemy razem – odparł Lucien. Swoim klientom mówił to samo, że będą pracowali nad projektem jako zespół, ale wiedział, że to bzdury. Wszystkie ważne decyzje podejmował zawsze sam – jak każdy artysta, nie lubił, kiedy ktoś ingerował w jego dzieło.

– Musimy się spotkać, żeby to uczcić – powiedziała Adele. – Najlepiej w La Chat Roux.

Lucien skrzywił się. La Chat Roux było najdroższą restauracją w mieście.

– Zobaczymy – wymamrotał.

– Pamiętam, że gdy moi rodzice mówili „zobaczymy”, to zawsze znaczyło „nie”.

– Ależ skąd. Pójdziemy tam, obiecuję.

– Kochanie, właśnie przyszła Bette, moja menadżerka. Muszę z nią porozmawiać o najbliższym pokazie. Mamy tu teraz urwanie głowy przy przygotowaniach. Pamiętaj, że nigdy ci nie wybaczę, jeśli nie przyjdiesz. Zadzwoń jutro, powiem ci, kiedy będę wolna.

– Chcę wykorzystać te betonowe łuki, które...

– Lucien, skarbie, Bette na mnie czeka. Zadzwoń jutro – przerwała mu Adele i odłożyła słuchawkę.

Adele odwróciła się od telefonu i przejrzała się w dużym lustrze w korytarzu, podziwiając swoje nagie ciało. Choć miała prawie czterdzieści lat, nadal była dumna z tego, jak wygląda. Spojrzała z uznaniem na płaski brzuch, nadal jędrne piersi i swój największy atut: zgrabne nogi o kształtnych łydkach, a co najważniejsze, szczupłych kostkach (nie miała pojęcia, po kim odziedziczyła takie nogi – kostki jej matki były grube jak pniaki). Wyjęła spinki z długich złotych włosów, pozwalając im swobodnie opaść, i obróciła się, by zerknąć na pośladki i smukłą talię. Największą przyjemnością sprawiało jej to, że żadna z jej modelek nie była w stanie poszczycić się takim ciałem. Od czasu do czasu, żeby przypomnieć wszystkim, kto tu rządzi, zaczynała przebierać się w swój strój na pokaz mody, po czym wchodziła całkiem naga do pokoju, gdzie szykowały się jej dziewczęta. Wymieniała z każdą kilka słów i pozwalała, by modelki mogły obejrzeć swoją szefową w całej okazałości.

Adele przesunęła rękami po udach i przeszła korytarzem w stronę sypialni.

Uwielbiała swoje mieszkanie – Lucien zaprojektował je w stylu moderne i cieszyła się, że jest tak odważne i nowatorskie. Większość mieszkańców Paryża, choć uważała się za kosmopolitów, była strasznie staromodna, a ich mieszkania wyglądały, jakby były żywcem wyjęte z Wersalu. Niewielu miało odwagę na nowy styl, zaprezentowany w 1925 roku na Międzynarodowej Wystawie w Paryżu. Adele uważała, że prekursorka mody powinna być również prekursorką sztuki w ogóle. Doceniała piękno prostych, eleganckich wnętrz i lubiła urządzać przyjęcia wśród szklanych ścian i mebli ze stali i czarnej skóry. A przynajmniej lubiła przed wojną.

Stanęła w progu sypialni, opierając się o drzwi z czarnego, nieprzezroczystego szkła i patrzyła, jak pułkownik Helmut Schlegal zdejmuje koszulę. Jego opalone, muskularne ciało sprawiło, że wstrząsnął nią dreszcz podniecenia. Oficer starannie położył koszulę na swojej czarnej kurtce, przewieszanej przez oparcie krzesła. Adele uwielbiała mundury Gestapo. Sądziła, że były bardzo twarzowe i dużo ładniejsze niż zgniłozielone mundury Wehrmachtu. Nie umywały się do nich nawet czarno-zielone mundury Waffen-SS. Choć musiała przyznać, że paradne sztylety noszone na łańcuszku przy pasie przez oficerów Wehrmachtu wyglądały bardzo interesująco. Zastanawiała się zresztą, czy nie udałoby jej się wykorzystać tego motywu przy jakiejś nowej sukience. Była jednak zdania, że Gestapo i tak ubiera się najlepiej. Lata doświadczenia utwierdziły ją w przekonaniu, że w czerni po prostu nie można wyglądać źle. Schlegal zaczął mocować się z wysokimi, czarnymi oficerkami, więc weszła do pokoju, uklękła na grubym, beżowym dywanie i pomogła mu zdjąć jeden z butów.

– Kto dzwonił? Któryś z twoich adoratorów? – zapytał.

– Owszem. Pewien bardzo zdolny architekt. Będzie projektował fabrykę dla jakiegoś przemysłowca, który produkuje broń dla Niemców.

– Będzie miał teraz dużo pracy. W najbliższych miesiącach Berlin chce podpisać wiele kontraktów. Rzesza potrzebuje wszelkich dostępnych środków, aby zwyciężyć w Rosji.

– Lucien stworzy najlepsze fabryki, jakie Rzesza widziała. Piękne, nowoczesne, budynki ze szkła i stali – powiedziała Adele, zdejmując drugi but.

– To jeden z tych modernistycznych degeneratów? Führer uważa, że nowoczesna architektura to prowokacja wymierzona w niemieckiego ducha. Powinnaś zobaczyć projekty jego osobistego architekta, Alberta Speera. To dopiero geniusz. Zaprojektował ogromną kopułę, wysoką na trzysta metrów. Chce przebudować cały Berlin i uczynić go równie wspaniałym jak starożytny Rzym.

– Jestem pewna, że mu się uda – odrzekła, ściągając z Niemca bryczesy jednym szarpnięciem. Bardzo podobało jej się połączenie tych spodni z czarnymi oficerkami. „Może udałoby się wprowadzić takie nogawki do kobiecej garderoby? Trzeba o tym koniecznie porozmawiać z Bette”.

Adele wstała i z zadowoleniem spojrzała na nagie już ciało Schlegala.

– Ale mam teraz na głowie ciekawsze sprawy niż architektura.

– To się nazywa kolaboracja ekonomiczna. Nie możesz tego zrobić.

Lucien miał ochotę rzucić filiżanką w swoją żonę.

Celeste wracała właśnie z balkonu, trzymając w ręce martwego królika. Racje żywności, jakie francuski rząd przyznawał obywatelom, były tak małe, że ludzie musieli sobie radzić sami. Nawet zamożniejsi mieszkańcy Paryża trzymali na balkonie klatkę z królikami, aby zapewnić rodzinie choć trochę mięsa. Kto wie, co spotkałoby koty, gdyby nie oficjalny komunikat rządowy, który ostrzegał, że gulasze z dachowców mogą być niebezpieczne dla zdrowia. Nikt nie jadł też psów, ale wiele zwierzaków wylądowało na ulicy, bo ich właściciele nie byli w stanie ich wykarmić. Gołębie i kaczki zniknęły z parków niemal błyskawicznie.

Brakowało wszystkiego. Francuzi, przyzwyczajeni wcześniej do omletów z sześciu jaj, mieli teraz problemy, by dostać jedno jajko w miesiącu. Racjonowano mięso, mleko, jaja, masło, ser, ziemniaki, sól i ryby. Nigdzie nie dało się kupić prawdziwej kawy, więc Celeste, podobnie jak inni, eksperymentowała z żołądziami i suszonymi jabłkami. Z marnym skutkiem. Z jakiegoś powodu marchwi i pieczonych kasztanów było zawsze pod dostatkiem, więc jadało się je do każdego dania i w każdej postaci. Dzienna racja żywnościowa dla osoby dorosłej wynosiła zaledwie 1200 kalorii, a miesięczny przydział sera – 140 gramów. Mieszkańcy Paryża chodzili ciągle głodni. Myśleli i rozmawiali właściwie tylko o jedzeniu.

Celeste, która przed chwilą pozbawiła królika życia, uderzając go w głowę ołowianą rurą, zaczynała właśnie oskórowywać zwierzątko nad zlewem. Jak na dziewczynę z miasta, nauczyła się tej umiejętności dość szybko. Lucien obawiał się, że przy tempie, z jakim rozpadało się ich małżeństwo, Celeste może zechcieć którejs nocy wypróbować swoje nowe zdolności na nim.

Siedząc przy kuchennym stole, architekt obserwował żonę przy pracy. Zawsze był dumny, że udało mu się ożenić z tak ładną i inteligentną dziewczyną z dobrej rodziny. Większość francuskich dziewcząt nie szła na studia, ale Celeste skończyła

matematykę w renomowanej Ecole Normale Supérieure. Pracowała jako nauczycielka w elitarnej szkole dla dziewcząt i przestała uczyć dopiero wtedy, gdy wyszła za Luciena. Po siedmiu latach małżeństwa wciąż miała kształtną, drobną sylwetkę o szczupłej talii. Lucien uwielbiał jej niezwykły kolor włosów: intensywny, kasztanowy odcień jej loków zawsze bardzo go pociągał i wspaniale kontrastował z jej ciemnoniebieskimi oczami. Wydawało mu się to naturalne, że jako architekt powinien mieć atrakcyjną żonę. Był dumny, kiedy towarzyszyła mu na przyjęciach.

Celeste nadal wyglądała pięknie, ale zrobiła się bardzo zgorzkniała. Właściwie nie winił jej za to. Kiedy w 1939 roku poroniła po raz drugi, była zdruzgotana. Od tamtej pory nosiła w sercu ogromny gniew i wstyd, a jej rozgoryczenie wisiało nad ich małżeństwem jak ciężka mgła. Sytuację pogorszył ponadto jej ojciec, bogaty handlarz winem, który uciekł w 1941 roku do Hiszpanii bez słowa pożegnania. Dla Celeste, jedynaczki, która w wieku sześciu lat straciła matkę, był to ogromny cios. Nigdy się po nim w pełni nie pozbierała. Darzyła ojca wielkim uczuciem oraz przywiązaniem i wierzyła, że zawsze przy niej będzie.

Kiedy Lucien wrócił z Linii Maginota, Celeste nie posiadała się ze szczęścia. Martwiła się, że jej mąż zginie, a ona zostanie na świecie zupełnie sama. Ale radość trwała krótko. Oszczędności Luciena szybko się skończyły i żeby przeżyć, musieli zacząć korzystać z jej funduszu powierniczego. Celeste miała o to do niego żal i okazywała swoją niechęć przy każdej okazji. Uważała, że to mąż powinien, niezależnie od okoliczności, zapewniać byt żonie. Lucien był na nią wściekły i przypominał jej, że przed wojną niczego im nie brakowało. Wstydił się, że Celeste musi utrzymywać ich oboje, i również stał się gorzki i nieprzyjemny.

A teraz udało mu się wreszcie zdobyć zlecenie, a ona wciąż miała jakieś pretensje.

– Wolałabyś, żeby Manet i pozostali Francuzi pozwolili Niemcom po prostu zawłaszczyć swoje fabryki i przedsiębiorstwa?

– To przynajmniej byłoby honorowe – odpowiedziała Celeste ze złością. – Wyprodukowanie choćby jednej śrubki dla tych szwabów to zdrada stanu. Zobaczysz, kiedy wojna się skończy, poderzną im wszystkim gardła za kolaborację.

Kolaboracja była najgorszą rzeczą, jaką można było komuś zarzucić w okupowanym Paryżu. Gorszą niż nazwanie kogoś skurwielem lub stwierdzenie, że czyjaś matka jest dziwką. Obelga ta potrafiła być poważnym oskarżeniem i mogła oznaczać śmierć, jeśli ruch oporu wziął ją na serio: nieraz znajdowano poza miastem mężczyzn z kulą w głowie. Najgorzej traktowano jednak kobiety, które sypiały z Niemcami – ten rodzaj współpracy z okupantem nazywano „kolaboracją

horyzontalną”.

Lucien miał właśnie zamiar coś odpowiedzieć, gdy nagle światła zamigotały i zgasły, pogrążając mieszkanie w głębokim mroku. Nie miał potrzeby wyglądać za okno, by sprawdzić, czy w sąsiednich budynkach też jest ciemno. W ostatnich miesiącach dostawy elektryczności stawały się coraz bardziej niepewne. Czasami prądu nie było nawet przez kilka godzin. Celeste podeszła bez słowa do szafki na prawo od zlewu, wyjęła trzy świece, zapaliła je i wróciła do skórowania królika. W żółtawym świetle świec jej drżący cień na ścianach kuchni wyglądał nieco makabrycznie.

– A nie przyszło ci do głowy, że te fabryki mogą pomóc Francji po wojnie? – spytał Lucien.

– Zaraz zaczniesz mi wciskać te kolaboranckie bzdury: „Pokażmy, że potrafimy przegrywać, wróćmy do pracy jak gdyby nigdy nic i pracujmy razem ze szkopami”. Zresztą, teraz, gdy Amerykanie przyłączyli się do wojny, nad Francją będą latać setki bombowców. Twoje arcydzieło legnie w gruzach.

Lucien przeżuwał kawałek bardzo czerstwego chleba. Naprawdę miał zamiar projektować budynki, z których Francja mogłaby korzystać po upadku Rzeszy. Choć w tym momencie wydawało się to marzeniem ściętej głowy, szczerze wierzył, że taki dzień kiedyś nadejdzie. Trzeba było tylko jakoś do tego dnia dożyć.

– Będę się widział w tym tygodniu z Manetem, żeby omówić szczegóły projektu – powiedział.

Celeste odwróciła się powoli w jego stronę. W rękę miała zakrwawiony nóż, a na ustach nieprzyjemny uśmiech.

– Założę się, że byłbyś gotów poprosić mnie, żebym przespała się z klientem, gdyby od tego zależało twoje zlecenie. Mam rację?

– Nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego! – wykrzyknął. – Jak możesz mówić takie rzeczy!

– Ale nie masz żadnych oporów, żeby projektować dla Niemców.

– Jest wojna. Zrobię wszystko, żebyśmy przeżyli.

– I jesteś gotów sprzedać swój honor?

Celeste wrzuciła nóż do zlewu. Gdy wychodziła z kuchni, światła zamrugały i rozbliły na nowo.

Celeste wśliznęła się do sypialni i usiadła w dużym, głębokim fotelu przy oknie. To było jej ulubione miejsce w całym mieszkaniu. Lubiła tu czytać lub patrzeć po południu na dzieci bawiące się na podwórku. Siadała w miękkim, wygodnym fotelu, zupełnie innym niż te modernistyczne meble w salonie, które Lucien tak bardzo uwielbiał. Jej samej „proste, nowoczesne linie” krzeseł i sofy wydawały się zimne i odpychające. To Lucien urządzał mieszkanie – była to cena, jaką musiała zapłacić, wychodząc za mąż za architekta. Celeste zgodziła się na to, bo go kochała i miała zaufanie do jego gustu. Osobiście wolała jednak styl bardziej tradycyjny. Brakowało jej trochę kwiecistych tapet i rzeźbionych drewnianych mebli, podobnych do tych, wśród których się wychowała.

Sięgnęła po szal do stojącej naprzeciwko łóżka komody ze stali nierdzewnej i mahoni. Znieruchomiała na chwilę, gdy zobaczyła, co leżało w szufladzie pod spodem. Dziesiątki kocyków dziecięcych w jasnych kolorach. Przesunęła ręką po miękkiej wełnie, po czym podniosła jeden z nich i przytuliła do policzka.



Kiedy starszy portier wprowadził Luciena do biura Maneta w jego fabryce w Chaville, architekt przeżył niemały wstrząs na widok dwóch niemieckich oficerów, z którymi przemysłowiec gawędził w najlepsze, paląc papierosa. Lucien wyobrażał sobie, że szczegóły projektu omówi tylko z Manetem, a potem przedsiębiorca zaprosi go na wspólny lunch i będą mogli porozmawiać przy pieczonej kaczce i lampce prawdziwego wina. Oczywiście, za wszystko płaciłby milioner.

Manet przywitał go szerokim, serdecznym uśmiechem, wstając z za ozdobnego, mahoniowego biurka. Obaj Niemcy nie ruszyli się z miejsca. Zajęci papierosami, wyglądali na zupełnie niezainteresowanych przyczynami późnego przybycia architekta. Lucien był dwie minuty przed czasem, ale znając niemiecką punktualność, domyślał się, że oficerowie przyjechali tu co najmniej dziesięć minut wcześniej.

– Ach, Lucien. Dziękuję, że pan przyszedł – powiedział Manet. – Chciałbym przedstawić panu członków naszego zespołu.

Lucienowi słowo „zespół” od razu się nie spodobało. Zespół oznaczał problemy i zakłócenia w procesie twórczym.

– To pułkownik Max Lieber z Wehrmachtu.

Jeden z Niemców, tęgi jak beczka, wstał z krzesła, strzelił obcasami i mocno uściśnął dłoń architekta. Lucien po raz pierwszy w życiu ścisnął rękę Niemca i był zdziwiony, że oficer nie próbował pogruchotać mu palców. Wyobrażał sobie, że pruscy wojskowi często to robili. Lieber był ucieleśnieniem stereotypu niemieckiego żołnierza: miał krótko obcięte włosy i grubą szyję, z czego tak często śmiali się Francuzi.

– Bardzo mi miło, monsieur Bernard – odparł pułkownik. Melodyjny, łagodny głos w ogóle nie pasował do jego ciężkich rysów.

– A to major Dieter Herzog, również z Wehrmachtu. Zajmuje się inżynierią budowlaną i odpowiada za konstrukcję obiektów przemysłu zbrojeniowego w rejonie Paryża.

Drugi Niemiec był średniego wzrostu i miał około trzydziestu pięciu lat. Wyglądał jak gwiazda filmowa. Zgasił papierosa w popielniczce na biurku Maneta i powoli podniósł się z krzesła. Ucisnął dłoń Luciena tak samo, jak Lieber. „Musieli ich tego chyba uczyć w szkole oficerskiej”. Herzog miał jasne, niebieskie oczy; przyjrzał się architektowi badawczo, ale Lucien tylko uśmiechnął się bez słowa.

Wciąż czuł się odrobinę oszołomiony i osaczony obecnością Niemców.

– Proszę, niech pan siada. Zaczynamy – rzekł Manet. – Mam tutaj plan terenu, żebyśmy mogli zobaczyć, jak najlepiej umiejscowić budynek.

Przemysłowiec wyciągnął duży arkusz papieru i rozłożył go na swoim biurku. Lucien pomyślał, że lepiej byłoby powiesić plan na ścianie.

– Monsieur Manet, czy mógłbym przypiąć szkic na tamtej ścianie, żebyśmy mogli lepiej mu się przyjrzeć? – zapytał uprzejmie Herzog. – Łatwiej nam będzie na nim rysować, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Niemiec zabrał arkusz z biurka i bez najmniejszego kłopotu przykleił go do ściany kilkoma pinezkami. Lucien był pod wrażeniem jego taktu i sprawności. Nie wypowiadając ani jednego słowa, wszyscy czterej chwycili swoje krzesła i postawili je pod szkicem. Herzog podszedł do planu, przyglądał mu się przez jakiś czas z bliska, po czym wyciągnął z kieszeni kurtki niedużą skalówkę i zaczął mierzyć odległości. Lucien wiedział już, że to Herzog będzie rozdawał karty i że od tej chwili sam będzie musiał robić to, co Niemiec mu każe.

– Skoro fabryka będzie miała tylko jeden poziom, to pomijając przestrzeń na antresoli, trzeba by przyjąć powierzchnię wielkości pięćdziesięciu tysięcy metrów kwadratowych – odezwał się Herzog, sprawiając wrażenie, jakby rozmawiał ze szkicem. Przyłożył skalówkę w kilku miejscach, a następnie wyciągnął z tej samej kieszeni ołówek i naniósł na papier kilka oznaczeń. – Zmieści się bez problemu, a na zewnątrz zostanie jeszcze dużo miejsca, gdzie będzie można przechowywać materiały.

– Doskonale, majorze – pochwalił Lieber.

– W przyszłości można będzie wykorzystać pozostałą przestrzeń pod rozbudowę – dodał Lucien, chcąc przypodobać się Niemcom. Rozbudowa oznaczałaby, że wojna idzie po ich myśli.

– Otóż to, monsieur Bernard. Zostawimy miejsce na dodatkowy zakład lub dobudówkę – powiedział Herzog.

Znów zaczął rysować coś na planie, ale zawahał się i spojrzął na Luciena.

– Monsieur Bernard, może pan mógłby pokazać nam, gdzie chciałby pan

umieścić fabrykę i którądy najlepiej poprowadzić do niej drogę? Wystarczy prosty szkic, żebyśmy mieli od czego zacząć. – Niemiec podał ołówek architektowi.

Luciena nie trzeba było dwa razy prosić. Przez kolejne dwie godziny prowadził ożywioną dyskusję, szukając najlepszej lokalizacji dla nowego budynku. Kilkakrotnie kreślił zarys fabryki na planie, ścierał go i przenosił w inne miejsce, aż wszyscy czterej zgodzili się na to samo usytuowanie. Rozmawiali o rozmieszczeniu wejść, o organizacji i przebiegu produkcji oraz oświetleniu.

Kiedy Niemcy zaczęli uzgadniać z Manetem koszty konstrukcji, Lucien usiadł na chwilę i poczuł na plecach zimny dreszcz. Tak wciągnął się w dyskusję nad projektem fabryki, że na śmierć zapomniał o dodatkowej pracy, którą zlecił mu Manet. Obaj wchodzili właśnie prosto w paszczę lwa. Stres i strach sprawiły, że zaczął się mocno pocić. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł sobie czoło.

Herzog spojrział na niego z z troskaniem.

– Monsieur Bernard, słabo pan wygląda. Chce pan napić się wody?

– Nie, nie, dziękuję. Wszystko w porządku, po prostu strasznie tu gorąco.

Niemcy dalej targowali się z Manetem, a Lucien wciąż się pocił. A potem usłyszał te magiczne słowa, o których marzy każdy architekt.

– A zatem ustalone – stwierdził Manet. – Jeśli panowie oficerowie nie mają nic przeciwko, może pan zaczynać pracę.

Niemcy skinęli głową na znak przyzwolenia i wstali z krzesel.

– Monsieur Bernard, bardzo zależy nam na czasie, proszę więc nie bawić się w zbędne detale – powiedział Herzog.

– Czy zje pan z nami obiad, monsieur Manet? – spytał Lieber.

Lucien wiedział, jak brzmi odpowiedź. Lieber zadał pytanie wyłącznie przez grzeczność. Robić prywatne interesy z Niemcami to jedno, ale żaden Francuz nie zgodziłby się na to, by pokazywać się z nimi publicznie w środku dnia. Niemcy byli tego świadomi i choć nie obchodziło ich, co ruch oporu robi z kolaborantami, nie chcieli niepotrzebnie narażać osób, z którymi współpracowali.

– Dziękuję za zaproszenie, pułkowniku, ale niestety, nie dam rady – odparł Manet.

Herzog podszedł do Luciena, by uścisnąć mu rękę na pożegnanie.

– Bardzo podoba mi się budynek, który zaprojektował pan dla monsieur Gastona. Przeszklenie tej zewnętrznej klatki schodowej było świetnym pomysłem. Fenomenalny detal.

Gdy Lucien usłyszał z ust Niemca słowo „detal”, wiedział, że nie ma do czynienia z laikiem.

– Jest pan architektem, majorze?

– Chciałem być. Studiowałem nawet w latach dwudziestych w Bauhausie pod kierunkiem Waltera Gropiusa. Ale kiedy mój ojciec przyjechał do mnie do Dessau, stwierdził, że to jedna wielka bzdura i kazał mi przenieść się na inżynierię budowlaną na politechnikę w Berlinie.

Lucien wychwycił w ostatnim zdaniu nutę głębokiego żalu. Poczuł dla Niemca szczere współczucie i podziw.

– Gropius to geniusz – powiedział do majora. – Nawet krótka nauka u niego musiała być fascynującym doświadczeniem. Szkoda, że musiał opuścić Niemcy.

– Führer ma inne poglądy na architekturę. Uważa, że Gropius i jego idee są wywrotowe.

Lucien już chciał powiedzieć, że poglądy Führera są idiotyczne, ale ugryzł się w język. Herzog może i był kiedyś architektem modernistą, ale teraz jest niemieckim oficerem. Decyzja o wysłaniu kogoś do obozu zajmuje mu najwyżej kilka sekund.

– Tak, szkoda jednak, że musiał wyjechać do Stanów – wykrztusił wreszcie. – Jaki był?

– Och, bardzo surowy i pedantyczny. Ale miał ogromną wizję i jeszcze większy talent. Widział pan kiedyś fabrykę Fagus?

Lucien miał ochotę opowiedzieć Herzogowi ze szczegółami o swojej pielgrzymce do Niemiec, podczas której obejrzał wszystkie słynne budynki prekursorów niemieckiego modernizmu. Zdjęcia wielu z tych obiektów trzymał obok swojego stołu kreślarskiego i czerpał z nich inspirację do swojej pracy.

– W latach trzydziestych spędziłem w Niemczech dwa miesiące, podróżując i oglądając różne budynki. Uważam, że fabryka Fagus Gropiusa to arcydzieło. Przewyższa nawet siedzibę Bauhausu, którą również udało mi się odwiedzić.

Herzog uśmiechnął się szeroko. Podniósł z bocznego stolika swoją czapkę i rękawiczki, włożył je i ruszył wolno w kierunku drzwi.

– Nie mogę się doczekać pańskiego projektu dla monsieur Maneta. Kto wie, może będzie to druga fabryka Fagus? – powiedział z ręką na klamce.

Lucien uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Nigdy nie uda mi się stworzyć czegoś tak dobrego. Ale zapewniam pana, że wymyślę coś niebanalnego.

– Rzesza będzie z pana dumna – odrzekł Herzog.



Lucien szybko odkrył cenę, którą trzeba było zapłacić za te dwanaście tysięcy franków, zlecenie na fabrykę i dreszcz związany z projektowaniem kryjówki w mieszkaniu Maneta. Było nią życie w ciągłym strachu. Zatrzymywał się już przy trzecim z kolei sklepie, żeby sprawdzić, czy nikt go nie śledzi. Manet nalegał, żeby się spotkali. Lucien uważał, że nie ma takiej potrzeby; przekazał milionerowi rysunki kolumny i nie chciał mieć z tą sprawą już więcej nic wspólnego. Ale Manet uparł się, że architekt powinien zobaczyć skończone dzieło. Lucien wyjrzał zza kolejnych drzwi sklepowych na rue Euler, zaledwie przecnicę od kamienicy Maneta, i znalazł się twarzą w twarz z trzema uśmiechniętymi żołnierzami w niemieckich mundurach.

– Bardzo przepraszam, monsieur. Czy mógłby nam pan wskazać drogę do Notre Dame? Zupełnie się zgubiliśmy – powiedział jeden z nich, przystojny chłopak o jasnych włosach.

Jego koledzy wybuchnęli śmiechem i bezradnie rozłożyli ręce. Lucien zdawał sobie sprawę, że na jego twarzy maluje się właśnie wyraz skrajnego przerażenia, ale Niemcy zdawali się wcale nie zwracać na to uwagi. Okupacja sprawiła, że do Paryża zjeżdżały w celach turystycznych autobusy pełne żołnierzy. Obwieszeni aparatami i przewodnikami zwiedzali wszystkie dostępne atrakcje: wspinali się na wieżę Eiffla i odwiedzali Grób Nieznanego Żołnierza, skąd każdy musiał wrócić z obowiązkowym zdjęciem. Po tym gdy Hitler odbył dwugodzinną wycieczkę po mieście zaraz po zawieszeniu broni, dowództwo zachęcało, żeby każdy niemiecki żołnierz odwiedził Paryż. Z jednej strony wszystkie te wycieczki były swojego rodzaju hołdem uznania składanym kulturze francuskiej – Niemcy nie mogły poszczycić się podobnym miejscem. Nawet Berlin wypadał blade w porównaniu z Miastem Świata. Trzeba było jednak bardzo uważać, gdy Niemcy pytali o drogę. Wskazanie złego kierunku mogło skończyć się tragicznie, gdy wpadło się na nich ponownie. Dzieciaki i osoby starsze notorycznie wprowadzały żołnierzy w błąd (do tego stopnia, że stało się to lokalnym żartem), ale większość mieszkańców Paryża chowała na chwilę nienawiść do kieszeni

i wskazywała Niemcom drogę tak samo, jak wszystkim innym. Lucien zwalczył w sobie narastającą paniczną chęć rzucenia się do ucieczki. Przełknął głośno ślinę i uśmiechnął się.

– Oczywiście, panowie. Musicie pójść wzdłuż tej ulicy do avenue Marceau, skrócić w lewo i iść prosto tak długo, aż dojdziecie do Sekwany. Potem trzeba znów skrócić w lewo i iść wzdłuż rzeki przez jakieś piętnaście minut, i dojdziecie do Notre Dame. Katedra jest położona na małej wyspie na Sekwanie.

Niemiec o rudobrzązowych włosach zanotował drogę w małym notatniku. Blondyn powtórzył trasę jeszcze raz, żeby upewnić się, że wszystko dobrze zrozumiał.

– Bardzo panu dziękujemy, monsieur. Macie przepiękne miasto.

– Miłego zwiedzania. Przypominam, że mamy również największy wybór sprośnych pocztówek w Europie.

Żołnierze parsknęli śmiechem, pomachali mu i ruszyli przed siebie. Lucien nie ruszał się z miejsca, dopóki nie znikli mu z oczu. Oparł się o ścianę budynku i sięgnął do kieszeni marynarki po papierosy. Czy to możliwe, żeby gestapowcy śledzili go w przebraniu żołnierzy Wehrmachtu? Ręce mu się trzęsły, ale zdołał zapalić papierosa i zaciągnąć się kilka razy, po czym wyrzucił niedopałek do rynsztoka. Odczekał kolejne pięć minut, zanim zdecydował się wreszcie wejść do budynku. Skinął głową konsjerżce, która udawała, że go nie widzi, i zaczął wspinać się po schodach.

Wiedział, że Gestapo może czekać na niego w mieszkaniu. Będą go torturować, a potem zabiją i nie będzie miał nawet szansy nacieszyć się zarobionymi pieniędzmi. Zdążył wydać zaledwie siedemset z dwunastu tysięcy franków, kupując na czarnym rynku jajka i trochę prawdziwego wina. Na każdym półpiętrze miał ochotę odwrócić się i zbiec na dół, mimo to piął się coraz wyżej. Nie mógł odpędzić myśli, że budowa kryjówki trwała bardzo krótko – raptem kilka dni. Wydawało mu się to niemożliwe. A może była to pułapka?

Dokończenie rysunków kolumny zajęło mu kilka godzin, a potem zaczął pracować nad fabryką. Cieszył się, że mógł znów projektować: każda minuta kreślenia, każdy detal, każdy kolejny pomysł na frontową elewację budynku sprawiały mu niezwykłą radość. Zdecydował się na duże okna dachowe, które zapewnią światło w hali produkcyjnej, oraz na trzy wysokie, dwupiętrowe wejścia dla robotników. Musiał teraz jeszcze tylko narysować widok perspektywiczny całego obiektu, na którym będzie widać fabrykę jakby z lotu ptaka. Do poniedziałku

powinien skończyć wszystkie rysunki. Nie mógł się doczekać chwili, gdy pokaże je wreszcie na wtorkowym spotkaniu. Herzog będzie pod wrażeniem.

Niemcy dali mu tydzień na zrobienie projektu. Gdyby ktokolwiek inny zaproponował mu taki termin, wysłałby go do diabła. Lucien miał jednak świadomość, że tym razem klient może go w każdej chwili rozstrzelać, więc nie protestował. Nie protestował również przeciwko niskiemu wynagrodzeniu – miał dostać za fabrykę tylko trzy tysiące franków. Liczyło się dla niego to, że miał szansę zaprojektować naprawdę dobry budynek. Nie zamierzał jej zaprzepaścić.

Podszedł do drzwi mieszkania i zapukał cicho, nie chcąc zwracać niepotrzebnie uwagi sąsiadów. Otworzył mu rozpromieniony Manet.

– Niech pan wejdzie, Lucien. Proszę obejrzeć swoje dzieło – powiedział tak głośno, że architekt aż się skulił.

Rzuciwszy za siebie nerwowe spojrzenie, Lucien wśliznął się do środka i poszedł za Manetem do salonu. Na początku zdziwił się, że wszystko wygląda tak samo, jak przed tygodniem, gdy widział mieszkanie po raz pierwszy. Potem dotarło do niego, że to dobry znak. Wydawało się, jakby nikt niczego tu nie robił. Ruszył w kierunku kolumny, ale zatrzymał się jakieś trzy metry przed nią, żeby zobaczyć, czy uda mu się dostrzec coś podejrzanego. Okrążył kolumnę, wypatrując jakichkolwiek rysów, ale wszystko wyglądało zupełnie normalnie. Podszedł na około metr i wciąż nie był w stanie wypatrzeć żadnej szczeliny. Wreszcie, z nosem niemal przy samej kolumnie, obejrzał dokładnie cały trzon, szukając jakiegokolwiek drobiazgu, który zdradziłby lokalizację kryjówki. Z ogromnym trudem zdołał dostrzec rysę pionowej krawędzi drzwi, ukrytą w jednym z wyżłobień kolumny. Zdarzało mu się przed wojną dość często projektować meble na wymiar i widział już naprawdę precyzyjną robotę, ale to, co miał teraz przed sobą, było po prostu zdumiewające. Ślady łączeń były cienkie jak żyłotka, niemal niewidoczne gołym okiem. Taką dokładność spotykało się chyba tylko przy produkcji wysokiej jakości części do maszyn. Dla jeszcze większego bezpieczeństwa drzwi do skrytki umieszczono na kolumnie od strony ściany, żeby były jeszcze mniej widoczne.

Lucien stuknął mocno dwoma palcami w prawą krawędź drzwi, mniej więcej trzy metry nad podłogą. Wysokie drzwiczki odskoczyły, odsłaniając pustą przestrzeń wewnątrz kolumny. Wszedł do środka i pociągnął za mosiężny uchwyt, zamykając się w kryjówce. Otoczyła go kompletna ciemność. Rozejrzał się dookoła, upewniając się, że szczeliny nie wpuszczają do wewnątrz żadnego światła, po czym przykucnął i odszukał ręką niewielki skobel zamocowany u dołu drzwi. Zamknął go i przejechał

ręką w górę wzdłuż krawędzi, próbując wyczuć kolejne skoble, rozmieszczone co pół metra. Gdy zamknął wszystkie pięć, wykrzyknął:

– Monsieur Manet, proszę walić we drzwi ze wszystkich sił.

Przemysłowiec wziął rozbieg i huknął w kolumnę całym ciałem. Cofnął się i powtórzył uderzenie jeszcze dwa razy. Przez cały czas Lucien trzymał rękę na drzwiach – nawet nie drgnęły. Podstawa kolumny również nie ruszyła się z miejsca. Robotnicy dobrze przymocowali ją do podłogi.

– Jeszcze kilka razy – zawołał Lucien.

Manet cofnął się cztery metry i natarł na kolumnę jak wściekły byk. Był już trochę zmęczony i zaczynało brakować mu oddechu, ale trzykrotnie powtórzył atak.

– Wystarczy, monsieur, wychodzę.

Już na zewnątrz Lucien obszedł kolumnę jeszcze raz, gładząc dłonią misterne drewniane żłobienia. Promieniał dumą. Uczucie niezwykłej euforii wróciło po raz kolejny.

– Potrafi pan dotrzymać obietnic, monsieur Manet. Robotnicy spisali się doskonale.

– Cieszę się, że jest pan zadowolony. Moi ludzie są bardzo zdolni, ale nie mają pańskiej wyobraźni. Zrobili po prostu to, co pan narysował.

– Jestem pod wrażeniem, że udało im się wykonać pracę tak starannie w tak krótkim czasie.

– Poprosiłem ich, by przygotowali również drugą kolumnę, na wypadek gdybym musiał ugościć tu więcej niż jedną osobę – odrzekł Manet.

Lucien natychmiast podszedł, żeby obejrzeć drugą kolumnę. Robota była równie precyzyjna.

– Jestem pod jeszcze większym wrażeniem – powiedział z uśmiechem.

– Sprytny pomysł, monsieur. – Manet poklepał go po ramieniu.

– Pod warunkiem, że pański gość nie zacznie panikować i będzie tam siedzieć cicho – odparł Lucien, wiedząc, że nawet najbardziej genialny projekt nie sprawdzi się, gdy osobie, która będzie z niego korzystać, puszcza nerwy. – Wnętrza kolumny nie da się wyciszyć.

– Obawiam się, że na to ani pan, ani ja nie mamy już żadnego wpływu.

– Przygotowałem wszystko na wtorkowe spotkanie. – Lucien postanowił zmienić temat na bardziej przyjemny.

– Major Herzog nie może się już doczekać. Dzwonił wczoraj, żeby zapytać, jak

panu idzie.

– Jestem pewien, że będzie pan bardzo zadowolony... Major również – powiedział Lucien. – Projekt jest niezwykle funkcjonalny...

– Widzimy się zatem we wtorek o dziewiątej, tak? – Manet ruszył w kierunku drzwi i dał architektowi znak, żeby wyszedł pierwszy. Nie chcieli, by widziano ich przy mieszkaniu razem.

Lucien nie był zły, że Manet nie dał mu dokończyć. Milioner zapewne nieraz pracował już z architektami i wiedział, że gdy raz pozwoliło się im mówić o pracy, nie sposób było im potem przerwać.

W miarę jak Lucien schodził po schodach, duma, którą czuł w mieszkaniu, ustępowała coraz bardziej miejsca strachowi. Gdy dotarł do drzwi frontowych, był tak przerażony, że bał się wyjść na ulicę. Przed domem mógł przecież czekać na niego czarny Citroën Gestapo. Stał bez ruchu jakieś dwie minuty, po czym wziął głęboki oddech i powoli otworzył drzwi. Rozejrzał się na lewo i prawo, wyszedł na chodnik i ruszył szybkim krokiem wzdłuż rue Galilée. Miał ochotę rzucić się biegiem, ale przypomniał sobie Żyda w niebieskim garniturze i doszedł do wniosku, że chyba nie warto się spieszyć.



Miałeś rację, skrytka jest genialna.

Mendel Januski otworzył drzwi kolumny i wszedł do środka. Zatrzasnął panel i po paru chwilach wyszedł z powrotem na zewnątrz.

– Ta ciemność bardzo uspokaja – powiedział, podchodząc do Maneta. – Czy temu twojemu architektowi można ufać?

– Absolutnie, przyjacielu. W jego rękach jesteś zupełnie bezpieczny.

– Oby. Mam już dość uciekania, Auguste. Są takie dni, kiedy zastanawiam się, czy nie pójść po prostu na Gestapo, powiedzieć im, gdzie są pieniądze, i dać się zabić.

Manet roześmiał się. Znał Mendla Januskiego od prawie dwudziestu lat i wiedział, że nie jest człowiekiem, który łatwo się poddaje. Nigdy nie oddałby się dobrowolnie w ręce nazistów, a już na pewno nie pozwoliłby im tknąć swoich pieniędzy. Każdy grosz swej ogromnej fortuny przeznaczał na to, by kupić wolność swoim braciom – nie tylko we Francji, ale w całej Europie. Od końca lat trzydziestych tworzył na Starym Kontynencie całą siatkę kontaktów i współpracowników, którzy pomagali Żydom zdobywać niezbędne papiery i wize, pozwalające na ucieczkę do Portugalii, Turcji czy krajów Ameryki Południowej – miejsc, gdzie najłatwiej było przekupić oficjeli. Pieniądze nieraz potrafiły ocalić komuś życie, a Mendel gotów był wydać tyle, ile było trzeba. Jeszcze przed dwoma laty dzięki jego pomocy ratowały się całe rodziny. Manet wiedział też o sześćdziesięciu Żydach, którym Januski zorganizował ostatnio przewóz do Turcji, a stamtąd transport statkiem do Wenezueli. Choć przyjaciele ostrzegali go, że sam musi uciekać z Francji, Mendel postanowił zostać w kraju i znalazł się w pułapce. Gestapo z każdym dniem coraz bardziej deptało mu po piętach. Manet znał jednak jego determinację: wiedział, że nawet jeśli uda mu się wydostać za granicę, nie spocznie, dopóki nie pomoże wszystkim, którym zdoła.

– Chyba żartujesz. Prędzej chyba sam pójde do Niemców i się przyznam.

Januski uśmiechnął się.

– Dobry z ciebie człowiek, Manet. Kiedy większość francuskich przedsiębiorców

odwróciła się od Żydów, ty nie wahałeś się narażać siebie i swojej rodziny, żeby nam pomóc.

– Każdy chrześcijanin zrobiłby to samo.

– I kto tu żartuje? Wiesz, nigdy nie ufałem gojom. Uśmiechają się do ciebie, ale wystarczy tylko, że się odwrócisz i zaraz nazwą cię pieprzonym Żydem. Robią z nami interesy, ale poza tym nie chcą mieć z nami nic wspólnego. Czy ktokolwiek poza tobą zaprosił mnie kiedyś na weekend poza miasto? Nie. Francja może i była pierwszym krajem w Europie, który przyznał Żydom pełne prawa obywatelskie, ale nadal roi się tu od antysemitów. Chyba zgłupiałem, gdy sądziłem, że ludzie wreszcie nas zaakceptowali.

– Ja myślę inaczej.

– Dlatego, że jesteś prawdziwym chrześcijańskim dżentelmenem. Ale jesteś też głupcem, jeśli uważasz, że inni myślą tak samo, jak ty.

Manet stwierdził ze smutkiem, że jego przyjaciel bardzo się zmienił. Pamiętał go jako wysokiego, wytwornego mężczyznę o bystrych, niebieskich oczach i charyzmatycznej osobowości. Teraz wodził dookoła wzrokiem przygaszonym i pozbawionym życia. Miał zapadniętą twarz, a jego włosy – jeszcze niedawno szpakowate – stały się zupełnie białe. Januski, wyraźnie przygarbiony, podszedł znowu do kolumny i przejechał palcami po drewnianych żłobieniach. Gładkość materiału sprawiała mu widoczną przyjemność.

– Wiesz, śnił mi się wczoraj mój ojciec – powiedział jakby w roztargnieniu. – Pierwszy raz od wielu lat.

– Pamiętam twój ojca. Nigdy nie spotkałem bardziej pracowitego człowieka, który byłby tak oddany swojej rodzinie. A zaczynał, nie mając kompletnie nic.

– Miał nawet mniej niż nic. Ocalał z pogromów w Rosji w 1881 roku. Zbierał złom po osiemnaście godzin dziennie i sprzedawał go potem za śmieszne pieniądze. Ciułał i ciułał, aż wreszcie został właścicielem największego skupu złomu w Paryżu. A potem otworzył własną hutę.

– Najlepszą w całej Francji.

– Po tym, jak udało nam się odnieść sukces, myśleliśmy, że jesteśmy w jakiś sposób lepsi od Żydów, którzy przyjechali do Francji później. Ale to były tylko mrzonki, Auguste. Wciąż byliśmy tylko imigrantami, w niczym nie różniliśmy się od tych, którzy przybyli choćby wczoraj. Kiedy Niemcy zaczęli urządzać obławy, Żydów wysłano do Drancy w pierwszej kolejności. Nikt nie patrzył na to, od jak dawna mieszkają w kraju, czy ile mają pieniędzy.

Manet pamiętał dzień, w którym poznał Januskiego. Było to w latach dwudziestych, gdy ogłosił przetarg na dostawy stali do swojej fabryki silników. Każdy z oferentów musiał pokazać Manetowi swoje zakłady i udowodnić, że będzie w stanie wywiązać się z warunków kontraktu. Januski osobiście oprowadził Maneta po swojej hucie, pokazując mu cały nowoczesny sprzęt i tłumacząc wydajność poszczególnych elementów procesu. Maneta jednak najbardziej zaskoczyło to, że Mendel wydawał się znać każdego z setek mijanych pracowników. Znał nie tylko ich imiona, ale interesował się ich życiem – wiedział o chorobie czyjejś żony, pytał, jak uda się występ dziecka albo czy udało się komuś złapać w weekend rybę. Jednemu z robotników dał nawet franka w prezencie dla syna, bo wiedział, że chłopiec wkrótce obchodzi urodziny. Kiedy przechodził, wszyscy się uśmiechali. Rzeczywiście cieszyli się, że go widzą.

Manet uważał zawsze, że jest niezłym szefem, ale musiał przyznać, że o swoich ludziach wiedział niewiele. Relacje, jakie Januski miał ze swoimi pracownikami, zrobiły na nim większe wrażenie niż sama huta. Mendel ostatecznie wygrał przetarg i od tamtej pory zapewniał jego zakładom samochodowym całą potrzebną stal. Znajomi często odradzali mu interesy z Żydami, twierdząc, że to złodzieje i oszuści, ale Manet szybko przekonał się, że może mieć do Januskiego pełne zaufanie. Był jego najlepszym i najbardziej solidnym dostawcą. Człowiekiem honoru.

– Mendel, zostaniesz tutaj co najmniej miesiąc. Ale potem będziemy musieli cię gdzieś przenieść. Niebezpiecznie jest przebywać zbyt długo w jednym miejscu.

– Przyzwyczailem się już. Co chwila mnie gdzieś przenoszą – odpowiedział ze śmiechem.

– Gdy nadarzy się odpowiedni moment i gdy uda się załatwić wszystkie sprawy finansowe, przerzucę cię do Hiszpanii, a potem do Portugalii – ciągnął Manet.

– A potem do Stanów. Trzeba im powiedzieć, co tu się dzieje.

– Do Stanów. Na razie jednak nie możemy ryzykować przewiezienia cię przez granicę. Mój kontakt w Gestapo mówi, że zabijają ludzi na prawo i lewo, żeby cię znaleźć. Pamiętasz Deligny'ego?

– Myślałem, że udało mu się uciec. Zgarnęli go?

– Nie wiem, czy coś z niego wydusili. Prędzej czy później dotrą do kogoś z moich ludzi. Chciałbym wierzyć, że się nie złamią, ale ci dranie z Gestapo są zdolni do takich rzeczy, że nawet najtwardsi zaczynają mówić. Żyjemy w czasach, kiedy ludzie nie chcą zdradzać innych, ale często nie mają innego wyboru.

– Biedny Deligny. Wszystko przeze mnie. To nie w porządku, Auguste.

Manet postanowił zmienić temat.

– Musisz siedzieć tu cicho jak mysz pod miotłą. I pod żadnym pozorem nie zbliżaj się do okien, nawet jeśli są zasłonięte. Wydaje nam się, że będziesz tu bezpieczny, ale zawsze mogą się jakoś dowiedzieć. Wszędzie są szpicle.

– Cicho jak mysz.

– Jedzenie będziemy ci dostarczać co trzy dni windą kuchenną.

– No cóż – westchnął Januski i rozejrzał się wokół. – W porównaniu z beczką po winie w tamtej piwniczce twoje mieszkanie to szczyt luksusu.

– Tak mi się zdawało, że wyczuwam od ciebie Pinot Noir – powiedział Manet, klepiąc przyjaciela po ramieniu.



Cóż za cudowna niespodzianka, mój drogi. Musiały kosztować cię fortunę.

Lucien uśmiechnął się z zadowoleniem, patrząc, jak Adele przysuwa sznur pereł do świeczki, by lepiej im się przyjrzeć. Wiedział, że zdarzało jej się już dostawać od mężczyzn imitacje zamiast prawdziwych pereł, i cieszył się, że może ofiarować jej autentyczny naszyjnik.

– Prawdziwa jakość zawsze kosztuje, ale taka kobieta jak ty zasługuje na to, co najlepsze – odparł. Prawdę mówiąc, kupił perły praktycznie za bezcen. Znajomy powiedział mu o pewnym homoseksualiście, który rozpaczliwie chciał sprzedać wszystkie rodzinne klejnoty, gdyż lada dzień spodziewał się wywiezienia do Drancy.

– Są przepiękne, Lucien. – Adele zawiesiła perły na smukłej szyi.

Architekt spojrział na nią z uśmiechem. Jego życie towarzyskie wreszcie wróciło do normy. Podczas gdy ludzie na zewnątrz musieli zadowolić się ogryzkami i kawą z żółędzi, La Chat Roux oferowało wybór sześciu rodzajów ryb i ostryg, *bouillabaisse*, królika, kurczaka, sałatkę owocową, a nawet ananasa w *kirschu*. „Wspaniale jest mieć pieniądze” – pomyślał Lucien i zerknął na Adele. Naszyjnik znakomicie pasował do jej czarnej sukienki i pięknych, złotych włosów.

Pochlebiało mu, że inni mężczyźni w La Chat Roux rzucają na Adele ukradkowe spojrzenia. Miał świadomość, że za kilka chwil będą kochali się namiętnie w jej mieszkaniu, sącząc drogiego szampana, którego kupił specjalnie na tę okazję.

Adele również zdawała sobie sprawę, że otaczający ich ludzie patrzą na nią z zazdrością i podziwem. Delikatnie pogładziła perły.

– Rozpieszczasz mnie. Naszyjnik, kolacja... Zasłużyłeś na nagrodę – szepnęła kusząco, spoglądając chabrowymi oczami w kierunku drzwi, po czym zaczęła nagle machać ręką niczym podekscytowana nastolatka.

– Och, spójrz, to Suzy – rzuciła do Luciena. – Witaj, kochana! – zawołała przez całą salę. – Musisz koniecznie przyjść w tym tygodniu do mojego salonu. Nigdy ci nie wybaczę, jeśli znowu odwołasz wizytę.

Lucien obejrzał się i dostrzegł aktorkę Suzy Solidor, siedzącą przy stoliku

z kilkoma osobami. Uniosła kieliszek w stronę Adele i uśmiechnęła się. Architekt widywał już w restauracji inne sławne osobistości. Ci, którzy nie uciekli z kraju w 1940 roku, zostali w Paryżu i kontynuowali swoją karierę. Kojarzył tych bardziej znanych, jak Maurice Chevalier czy Sacha Guitry, jak również nowe, obiecujące gwiazdy, jak Edith Piaf i Yves Montand. Wielu miało im za złe, że żyli tak, jak gdyby wojny wcale nie było. Adele była bardzo dumna ze swoich znajomości z aktorami i potrafiła trajkotać o nich bez przerwy. To, że wielu znakomitych artystów zostało w mieście, sprawiało jej autentyczną radość. Jediną celebrytką, której z całego serca nienawidziła i której chętnie by się pozbyła, była Coco Chanel. Doprowadzało ją do szału, że niektórzy twierdzili, iż Chanel ma więcej talentu i klasy od niej.

– Suzy chce obejrzeć moje szkice i możliwe, że przyprowadzi Simone Signoret. Czy to nie cudowne? – westchnęła z zachwytem Adele. – I obie powiedziały, że z pewnością przyjdą na mój pokaz.

Sięgnęła po kieliszek i spojrzała wolno dookoła, chłonąc widok zamożnej klienteli i eleganckiego wnętrza restauracji, jak ktoś, kto stara się zapamiętać piękny górski krajobraz.

– Obiecałam ci, że w moim mieszkaniu czeka nagroda. Czas się zbierać – powiedziała wreszcie, dopijając ostatnie krople wina.

Wychodząc, minęli stolik, przy którym siedziało sześciu niemieckich oficerów, pochłaniających z zapałem kilka omletów, pieczonego kurczaka oraz kotlety jagnięce i popijających wszystko obficie szampanem. Lucien odetchnął z ulgą, gdy stwierdził, że nie było wśród nich pułkownika i majora, których poznał w fabryce Maneta. Mogliby zacząć się zastanawiać, skąd kiepsko opłacany architekt ma pieniądze na taką restaurację, i nabrać jakichś podejrzeń.

Lucien i Adele szli, nie spiesząc się, wzdłuż rue Monsigny. Była piękna czerwcową noc. Przed wojną mieszkańcy Paryża lubili spędzać czas, spacerując po prostu ulicami miasta i oglądając wystawy sklepów. Teraz nie było już co oglądać: witryny świeciły pustkami. Sklepy winiarskie wciąż wystawiały w oknach butelki, ale wszystkie były już dawno puste. Jak zwykle ulice były praktycznie wyludnione, minęli raptem kilka osób spieszących się, by zdążyć do metra przed godziną policyjną. Lucien pomyślał, że Niemcy sprytnie to wymyślili. Godzina policyjna była nie tylko środkiem bezpieczeństwa, lecz także formą psychologicznej kontroli nad mieszkańcami miasta, znacznie potężniejszą niż brutalna siła. Ludzie zwyczajnie bali się być na ulicy po północy. Lucien widział niepokój na twarzach osób, które ich mijały. Nie jeździły żadne samochody. Napotkali tylko samotną riksę, w której

siedziały dwie kobiety. Był to ostatnio najpopularniejszy środek transportu w Paryżu – nie potrzebował ani paliwa, ani konia.

– Moja przyjaciółka Jeanne dostała niedawno wspaniałe futro, które należało kiedyś do Żydówki – powiedziała Adele, dotykając naszyjnika. – Takie do kolan, z prawdziwych norek.

– Żydzi stracili wszystko. Słyszałem, że wielu się ukrywa.

– Ach, mogą się chować do woli, gdzie tylko chcą – odparła – ale szkopy i tak ich znajdują. To tylko kwestia czasu.

– Zaledwie garstka zdołała uciec z kraju przed zawieszeniem broni, więc pozostali pewnie wciąż gdzieś tu są – ciągnął Lucien. – Podobno tylko w zeszłym miesiącu deportowano ich kilka tysięcy.

– Teraz przynajmniej Francuzi mogą wreszcie kontrolować swoją własną gospodarkę. Aż złość mnie bierze, kiedy pomyślę, w jaki sposób Żydzi przejęli cały przemysł odzieżowy i włókienniczy. Parszywe świnię.

Lucien zdziwił się, jak wiele jadu było w głosie Adele. Nie znał jej od tej strony, ale też nigdy wcześniej nie rozmawiali o Żydach. Zdał sobie sprawę, że okupacja nie tylko obudziła we Francuzach nienawiść do Żydów, ale także wyzwoliła w ludziach najgorsze instynkty. Trudne czasy sprawiały, że każdy myślał tylko o sobie. Grupa zwracała się przeciwko grupie, sąsiad przeciw sąsiadowi, nawet przyjaciółom nie można już było ufać. Ludzie sprzedawali innych za kawałek masła.

– W zeszłym tygodniu Isabelle, jedna z moich modelek, dowiedziała się, że jej ojciec został aresztowany, bo ukrywał Żyda na strychu swojego domu na wsi niedaleko Troyes – ciągnęła Adele. – Wyobrażasz sobie, że można tak ryzykować własne życie?

Lucien spuścił wzrok i szedł chwilę w milczeniu.

– I co stało się z jej ojcem? – zapytał wreszcie.

– Biedna Isabelle nie ma pojęcia, gdzie teraz jest ani czy w ogóle jeszcze żyje. Gestapo pewnie zamęczy go na śmierć. Miała szczęście, że jej nie zgarnęli. Taka ładna dziewczyna skończyłaby pewnie w jakimś burdelu w Polsce albo jeszcze gorzej.

– Szkoda, że go złapali.

Adele zatrzymała się raptownie i spojrzała Lucienowi prosto w oczy.

– Szkoda? Głupcy, którzy podejmują takie ryzyko, zasługują na śmierć.

– Ale to zastanawiające, czemu ludzie decydują się na coś takiego.

– Lucien, kochanie, jesteś beznadziejny – zaśmiała się, czochrając mu włosy.

Ruszyli przed siebie. Adele szczebiotała dalej, ale Lucien już jej nie słuchał. Podniecenie, które czuł na myśl o rozkosznej nocy, prysło jak bańka mydlana. Miał nadzieję, że choć na chwilę zapomni o strachu przed Gestapo, ale Adele wszystko popsowała swoim gadaniem.

Znów ogarnęło go przerażenie. Zawsze uwielbiał chodzić po ulicach Paryża, ale teraz nie mógł pozbyć się ciągłego lęku: bez przerwy oglądał się za siebie, żeby upewnić się, czy nie jedzie za nim czarny Citroën albo czy nie śledzą go gestapowcy w cywilnych ubraniach, gotowi w każdej chwili go aresztować.

Wczoraj omal nie zemdlął, gdy ktoś podszedł do niego na rue de Louvre i położył mu rękę na ramieniu. Okazało się, że był to tylko jego przyjaciel, Daniel Joffre. Teraz strach paraliżował go tak bardzo, że szczerze wątpił, czy zdoła coś z siebie wykrzesać w łóżku, nawet gdyby Adele stanęła przed nim w samym naszyjniku i szpilkach. Z zamyślenia wyrwał go wysoki, kobiecy pisk.

– Proszę, proszę. Któż to wyszedł zarabiać na ulicę? – zawołała Adele pod adresem kobiety, która szła w ich kierunku.

– Gdy cię zobaczyłam, pomyślałam sobie dokładnie to samo, kochana – odparła nieznajoma.

Lucien poczuł się trochę dezorientowany tą wymianą zdań. Od razu zauważył, że kobieta, którą spotkali, była niezwykle atrakcyjna. Zdecydowanie za ładna na prostytutkę.

Stanęli we troje naprzeciw siebie.

– Lucien, pozwól, że przedstawię ci Bette Tullard. Wspominałam ci o niej pewnie nieraz. Moja prawa ręka i niezastąpiona pomoc. Choć ciężko mi to przyznać, mój dom mody rozleciałby się w kilka godzin, gdyby odeszła z pracy.

– I to wcale nie jest przesada, monsieur Bernard, proszę mi wierzyć. Miło mi pana poznać.

– Cała przyjemność po mojej stronie, mademoiselle – powiedział Lucien, gapiąc się jak głupi na śliczną twarz Bette.

– Nigdy nie zapominam przystojnego mężczyzny. Jeśli dobrze pamiętam, był pan na naszym wiosennym pokazie.

– Tak... to prawda, byłem – wymamrotał. Pochlebiało mu, że zwrócił uwagę tak pięknej kobiety.

– Podobają mi się zwłaszcza pana kręcone włosy. Nie są przyлизane jak u większości mężczyzn.

– Bardzo dziękuję – odrzekł, nieśmiało przeczesując włosy.

– Tak, to jedna z jego wielu zalet. Lucien pracuje jako architekt, Bette. Zaprojektował moje mieszkanie.

– Ach, a więc i przystojny, i utalentowany. Mieszkanie Adele jest naprawdę wspaniałe, choć rzadko mam szansę posiedzieć tam dłużej. Zazwyczaj Adele wyrzuca mnie za drzwi po pięciu minutach. – Bette spojrzała na szefową z przekąsem.

– Prowadzę interes, kochana.

– Naprawdę? Zdawało mi się, że ja to robię.

Adele wielokrotnie wspominała o Bette, ale nigdy dokładnie jej nie opisała. Teraz Lucien wiedział już dlaczego. Bawiła go relacja obu kobiet. Za każdym razem, gdy Adele próbowała obrazić Bette lub jej dogryźć, ta odpowiadała z równym uporem. Wyglądało to tak, jakby Bette była przekonana, że Adele nie może jej zwolnić.

– Rozumiem, że w związku ze zbliżającym się pokazem będziesz całą noc pracować nad portfolio? – spytała Adele, uśmiechając się słodko.

– Jej, cóż za piękny naszyjnik – odparła Bette, zrećźnie zmieniając temat.

Adele spojrzała wymownie na Luciena, a Bette kiwnęła głową.

– Nie będziemy cię zatrzymywać, moja droga. Masz dzisiaj pewnie jeszcze dużo do zrobienia.

– Owszem – odpowiedziała. – Domyślam się, że wy również będziecie bardzo zajęci.



Do jasnej cholery, mówiłem wam, żeby pod żadnym pozorem nie zapalać świec. W nocy widać światło przez szpary w deskach. Naprawdę nie potraficie tego zrozumieć? Salomon Geiber zerwał się na równe nogi, zgasił świecę i spojrział w górę na obskurny sufit, zrobiony z byle jak pozbijanych desek. W ciemności dostrzegł nad sobą potężną sylwetkę Mauriera.

– Proszę o wybaczenie, monsieur Maurier. To się nigdy nie powtórzy.

– Oczywiście, że się nigdy nie powtórzy. Wynoście się.

– Ale obiecał pan, że będziemy mogli tu zostać.

– Rozmyśliłem się. Chyba zgłupiałem, żeby ukrywać Żydów. Wiecie, co mnie czeka, jeśli was tu znajdą?

– Ale dokąd teraz pójdziemy? – jęknęła Miriam, żona Salomona.

– Gówno mnie to obchodzi. To już wasz problem, nie mój. Jutro nie chcę was tu widzieć – rzucił Maurier, odchodząc.

Geiber usiadł na wyłożonej deskami podłodze i ukrył twarz w dłoniach. Dół, który kiedyś był zapewne używany do przechowywania paszy dla zwierząt, przez ostatnie cztery tygodnie służył Salomonowi i jego żonie za dom. Miał około dwa metry szerokości, trzy metry długości i trzy metry głębokości i choć był zawsze zimny, wilgotny i pachniał stęchłym zbożem, wydawał się im luksusowym apartamentem w porównaniu z miejscem, gdzie mieszkali wcześniej.

Kiedy pewnego popołudnia przyjaciel ostrzegł ich, że Gestapo jest w drodze do ich mieszkania, zdążyli tylko zabrać oszczędności i najpotrzebniejsze rzeczy i uciekli na ulice Paryża. Gdy troje znajomych, o których myśleli, że mogą na nich polegać, odmówiło im schronienia, nie wiedzieli, co mają robić. W akcie desperacji zwrócili się o pomoc do zaprzyjaźnionego aptekarza, mając nadzieję, że pozwoli im ukryć się w piwnicy pod swoim sklepem, ale on grzecznie odmówił i ku ich przerażeniu zaproponował im darmowe fiołki cyjanku na wypadek, gdyby zostali złapani.

W poczuciu całkowitego osamotnienia udali się na obrzeża miasta. Spędzili

koszmarną noc pod wiaduktem kolejowym i ruszyli na wschód, tułając się od jednej wsi do drugiej, żebrząc o jedzenie i dach nad głową. Rolnicy wiedzieli jednak, co grozi za ukrywanie Żydów, więc zamykali starszkom drzwi przed nosem lub rzucali im resztki jedzenia i przeganiali jak bezpańskie psy. Geiber był tak zdesperowany, że nie liczyła się już dla niego własna duma i zdarzało się, że błagał o pomoc na kolanach. Dzień po dniu wędrowali bez żadnego konkretnego celu, żywiąc się tym, co udało im się wyżebrać, i śpiąc w lasach lub stogach siana.

Od czasu do czasu trafiali na dobrych ludzi, którzy pozwalali im zostać u siebie na noc. Dla mieszkańców francuskich wsi stanowili dziwny widok: oboje w podeszłym wieku, on z laską, ubrany w trzyczęściowy, angielski garnitur, ona w modnym kostiumie, szytym na miarę. Nie chcąc zwracać uwagi Niemców, trzymali się z dala od szos i podróżowali bocznymi drogami. Oboje byli już dobrze po sześćdziesiątce i tułaczka szybko dała im się we znaki; nogi Miriam spuchły tak bardzo, że ledwie mogła się poruszać. Bywały chwile, kiedy poważnie myśleli o tym, żeby oddać się w ręce Niemców i skrócić swoje cierpienia.

Tylko jeden raz spotkali się z prawdziwą ludzką dobrocią, gdy pewien rolnik oddał im rowery, które należały kiedyś do jego synów. Obaj znajdowali się teraz w obozie jenieckim w Niemczech. Geiberowie często spędzali wakacje ze swoimi dziećmi, podróżując na rowerach po Francji i Szwajcarii. Choć nie siedzieli na siodelku od ponad dziesięciu lat, z radością przekonali się, że jazdy na rowerze rzeczywiście się nie zapomina. Od tamtej pory łatwiej było im poruszać się po okolicy, ale wciąż nie udało im się znaleźć nikogo, kto byłby gotów przyjąć ich na stałe.

Pewnego wieczoru zobaczyli światło palące się w domu stojącym nieco dalej od drogi. Głodni i zmęczeni podjechali do drzwi i zapukali. Otworzył im krótko ostrzyżony mężczyzna z kilkudniową siwą brodą. Gdy słuchał ich historii z nieporuszoną wyrazem twarzy, dołączyła do niego kilkunastoletnia dziewczyna z grzywą złotych włosów.

– Wiemy, że jesteście Żydami. Nie zrobimy wam krzywdy. Proszę, wejdźcie – powiedziała. Miriam i Salomon nie mogli uwierzyć własnym uszom. Mieli wrażenie, że stoi przed nimi prawdziwy anioł. Ale zanim zdążyli zrobić choćby krok, mężczyzna zagroził im drogą swoją wielką ręką i zatrzasnął przed nimi drzwi. W środku wybuchła awantura. Dziewczyna prosiła mężczyznę, żeby pomógł starszkom, ale on krzyczał na nią, że jest głupia i nie wie, co mówi. Kłótnia przybierała coraz bardziej na sile. Geiberowie, załamani, zaczęli zbierać się do dalszej

drogi, ale drzwi otworzyły się gwałtownie. Mężczyzna i dziewczyna wyszli na zewnątrz.

– Pomogę wam, jeśli mi zapłacicie – odezwał się nieznajomy, uciszając spojrzeniem dziewczynę, która chciała właśnie zaprotestować.

– To żaden problem, monsieur. Z radością wynagrodzę panu pańską życzliwość – odrzekł Geiber. Gdy tylko zaczęła się okupacja, ukrył swoją fortunę w bezpiecznym miejscu, a wiedząc, że gotówka potrafi być bardzo przydatna, trzymał spory plik banknotów w domu na wypadek, gdyby musieli szybko uciekać. Poprosił także Miriam, żeby wszyła do swoich sukni klejnoty i złote monety.

W zamian za pięć tysięcy franków mężczyzna pozwolił im zamieszkać w dole przy oborze, gdzie za nocnik musiało im wystarczać zwykłe wiadro. Wstrętny zapach i wilgoć wciskały się w skórę i kości, a nocą słychać było wszędzie skrobanie szczurów szukających jedzenia. Najgorsze jednak były egipskie ciemności, w których byli zmuszeni żyć. Za dnia ledwo widzieli własne twarze, a mrok rozjaśniały jedynie zabłąkane promienie słońca, którym udało się przedrzeć przez szpary w zasłaniających dół deskach, przykrytych grubą warstwą siana. Nocą nie byli w stanie dostrzec nawet ręki trzymanej tuż przed nosem. Kilka razy zapalali świecę szabatową w piątkowy wieczór, aż wreszcie przyłapał ich na tym Maurier.

Spędzali czas, wspominając najdrobniejsze szczegóły ze swojego życia. Rozmawiali o synach i wnukach, o ulubionych książkach, musicalach, sztuce i filmach, które widzieli. Na swój dziwny sposób piekło, które teraz przeżywali, udowodniło, jak udane małżeństwo zdołali stworzyć przez czterdzieści lat. Mogli rozprawiać godzinami na dowolny temat niczym starzy dobrzy przyjaciele.

Maurier nigdy nie pozwalał im wychodzić na górę, ale nie przejmowali się tym. Lepiej było być żywym pod ziemią niż martwym na zewnątrz. Marie, siostrzenica Mauriera, codziennie przynosiła im jedzenie i sprzątała wiadro. Zabierała też ich ubrania do prania. Rzeczywiście była aniołem. Geiber obiecał sobie, że jeśli przeżyje, wynagrodzi jej wszystko stukrotnie. Teraz jednak znów musieli z żoną szukać dla siebie miejsca i żebrać o pomoc. Roześmiał się w duchu. Jako syn bogatego właściciela wielkiej huty aluminium nigdy w życiu nie musiał się martwić o pieniądze ani o to, co będzie jadł lub gdzie będzie spał. Zastanawiał się, czy Bóg nie chce dać mu w ten sposób pewnej nauki – niemiecki koszmar po długich latach przywilejów i dobrobytu. Całe szczęście, że jego synowie wyemigrowali do Anglii kilkanaście lat wcześniej. To, co uważał za przekleństwo, stało się błogosławieństwem.

Usłyszał nagle zbliżające się kroki i podniósł głowę. Przez cały ten czas miał wrażenie, że lada moment ktoś zerwie przykrywając dół deski i że zobaczy nad sobą żołnierzy w szarzielonych, niemieckich mundurach, śmiejących się tak, jak gdyby znaleźli zakopany w ziemi skarb.

– Monsieur Geiber – szepnęła Marie.

– Tak?

– Pracowałam kiedyś jako pokojówka u pewnego bardzo bogatego człowieka.

Wydaje mi się, że byłby w stanie państwu pomóc.



Zdecydowanie przekombinowane. To całe szkło jest zupełnie niepotrzebne. I po co tu ta wieża? Na litość boską, to ma być fabryka, nie katedra!

Lucien był tak wściekły, że nawet nie zauważył, kiedy wstał. Już miał zamiar powiedzieć coś pułkownikowi Lieberowi w obronie swojego projektu, gdy do rysunków powieszonych na ścianie gabinetu Maneta podszedł wolnym krokiem major Herzog. Architekt usiadł z powrotem, zdając sobie sprawę, że omal nie popełnił strasznego głupstwa. Nie wolno mu było zapominać, że nie ma do czynienia z normalnym klientem i że jego zleceniodawcy w każdej chwili mogą go wysłać do obozu. Zawstydzony, opuścił wzrok. W tym momencie odezwał się Herzog.

– Panie pułkowniku, w wieży będą mieścić się wszystkie urządzenia mechaniczne, których będzie potrzebować fabryka. Ponadto ma się tam znajdować główne wejście, przy którym będą meldować się wszyscy pracownicy. Szkło natomiast zapewni całej hali naturalne oświetlenie. Prawdę mówiąc, cały projekt jest niezwykle funkcjonalny. Wszystko pomyślane jest tak, żeby jak najbardziej zwiększyć efektywność pracy. A czy nie tego właśnie potrzebuje teraz Rzesza? Maksymalnej produktywności w jak najkrótszym czasie?

Pułkownik Lieber nie wydawał się przekonany. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej złotą papierośnicę.

– Cóż, skoro tak pan mówi. Ale według mnie połowa tych rzeczy jest zupełnie niepotrzebna. Lepszy byłby zwykły, betonowy budynek z kilkoma oknami. Taki, który będzie w stanie przetrwać atak Amerykanów.

– Cała konstrukcja będzie wykonana z żelbetu i zostanie specjalnie wzmocniona na wypadek ewentualnych bombardowań – powiedział Herzog takim tonem, jakby tłumaczył coś krunąbrnemu czterolatki. – I musi pan pamiętać, pułkowniku, że ta fabryka będzie służyć Rzeszy również po wojnie. Nie można więc zbudować jej byle jak. Potrzebny nam porządny budynek z dobrym projektem, który pod żadnym względem nie będzie gorszy od reszty niemieckich fabryk.

Lieber machnął ręką, jakby odganiał muchę, dając do zrozumienia, że się zgadza i zatwierdza projekt. Lucien był zdziwiony, że pułkownik ma tak małe pojęcie o budownictwie i zbrojeniach. Sądził, że wśród słynących z niezwyklej solidności Niemców bardziej odpowiedzialne stanowiska powierza się osobom o odpowiednich kwalifikacjach. Wyglądało jednak na to, że Rzesza funkcjonuje podobnie jak francuski rząd i wysokie stołki dostają idioci, którzy nie poradziłiby sobie bez ludzi takich jak Herzog. Lucien wiedział jednak, że nie powinien narzekać. Miał przynajmniej do czynienia z oficerami Wehrmachtu, regularnej armii, a nie z Waffen-SS.

Architekt czuł się jednocześnie zażenowany i mile połączony słowami Herzoga. Cieszył się, że major zdołał obronić jego projekt przed krytyką Liebera, ale miał też poczucie, że sam powinien to zrobić. W przeszłości wielokrotnie musiał zrezygnować z walki o swoje modernistyczne idee. Gdy jego nowoczesne budynki nie podobały się klientom, dawał za wygraną i zmieniał projekt na bardziej klasyczny – inaczej tracił zlecenie i pieniądze. Kochał modernizm, ale jego miłość miała granice. Musiał przecież jeść i płacić czynsz.

Pozostałą część spotkania spędzili, omawiając szczegóły instalacji elektrycznej i szukając najtańszego sposobu na ogrzanie budynku. Lucien wpadł na sprytny pomysł, by poprowadzić przewody parowe wzdłuż poprzecznych szprosów okien, co spotkało się z pochwałą ze strony Herzoga. Major w ogóle wydawał się zachwycony projektem i nie szczędził Lucienowi słów uznania. Aprobata, zauważył Lucien, pozwalała mu jakoś opanować strach związany z przebywaniem w jaskini lwa.

Dokładnie o drugiej Liber odchrząknął i wstał z obitego pluszowym materiałem fotela, który zaproponował mu Manet, dając znak, że spotkanie dobiegło końca. Wszyscy spojrzeli na Herzoga, który również podniósł się z miejsca. Było już zwyczajem, że major dokonywał krótkiego podsumowania każdego spotkania.

– A zatem monsieur Bernard wprowadzi do projektu wszystkie drobne poprawki, o których mówiliśmy. Będziemy potrzebowali gotowych planów w przyszłym tygodniu – powiedział, uśmiechając się szeroko. – Zdaję sobie sprawę, że będzie pan miał bardzo niewiele czasu, ale wierzę, że da pan sobie radę.

– Bardzo dziękuję, majorze Herzog – odparł Manet. – Moi ludzie są już gotowi, więc możemy rozpocząć budowę w każdej chwili. Wspominał pan, że może załatwić spycharkę. Znacznie przyspieszyłaby pracę. Jest bardziej wydajna niż sto osób z szuflami i łopatami.

– Oczywiście. Będę w stanie udostępnić panu nawet trzy maszyny. Berlin nadał

tej fabryce wysoki priorytet. Czy będzie pan miał wystarczająco dużo ludzi? Wie pan, że w razie potrzeby mogą zorganizować dodatkową siłę roboczą – Herzog wypowiedział ostatnie zdanie z czarującym uśmiechem, jak gdyby proponował Manetowi pożyczanie parasolki.

Przedsiębiorca i architekt wiedzieli jednak, że dodatkowa siła robocza, o której mówił major, składałaby się z więźniów politycznych trzymany w Drancy i w innych obozach koncentracyjnych wokół Paryża: przymusowych „ochotników” wyszukiwanych przez Rzeszę.

Kiedy Francja podpisała akt kapitulacji, Lucien bał się, że Niemcy zaczną traktować wszystkich jak niewolników, ale ku jego zdziwieniu okazało się, że okupanci nie mają zamiaru pozbawiać swoich pracowników wynagrodzenia. Francuzi czuli się przez to jeszcze bardziej upokorzeni – większość z nich stała się teraz zależna finansowo od Niemców. Wielu pracowało bezpośrednio dla najeźdźców, zwłaszcza przy różnego rodzaju budowach. Ćwierć miliona Francuzów pracowało dla organizacji Todt, która budowała fortyfikacje wzdłuż wybrzeża Atlantyku, mające chronić kraj przed aliancką ofensywą. Tysiące ludzi, przede wszystkim biedota z klasy robotniczej, zgłosiło się na ochotnika, by pojechać do Niemiec i pracować w tamtejszych fabrykach. Niemcy płacili lepiej niż francuscy pracodawcy, ale praca, którą wykonywali, była iście katorżnicza. Nie wspominając już o tym, że można było stracić życie podczas bombardowań przeprowadzanych przez aliantów. Manet wiedział, że nie jest w stanie zapewnić swoim pracownikom tak wysokich stawek, ale miał przynajmniej świadomość, że jego ludzie będą traktowani przyzwoicie.

– Nie ma takiej potrzeby, panie majorze.

– Budynek ma zostać ukończony w niecałe dwa miesiące, Manet. Robotnicy będą pracowali dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Berlin nie toleruje opóźnień – rzucił Lieber z groźbą w głosie. – Ma pan zdążyć na czas. Za wszelką cenę.

– A zatem, załatwione. – Herzog odwrócił się w stronę Luciena. – Wydaje mi się, że to bardzo obiecujący początek. Czy monsieur Manet wspominał już panu o swoim nowym kontrakcie na zakłady zbrojeniowe dla Luftwaffe?

Lucien spojrział na przemysłowca, który rzucił mu lekki uśmiech. Herzog wziął czapkę i rękawiczki i ruszył za Lieberem w kierunku wyjścia. Manet odprowadził ich wzrokiem do drzwi. Wyraz obrzydzenia, który malował się na twarzy milionera, mocno zszokował Luciena. Jemu samemu wydawało się, że spotkanie poszło całkiem nieźle.

– Lieber to kanalia – stwierdził Manet. – Będą z nim problemy.

– Ale spotkanie było przecież bardzo udane, monsieur. Czym pan się martwi? – Manet spojrzał chłodno na architekta.

– To prawda, przyjęli pański projekt, ale wciąż dają mi na budowę coraz mniej czasu i pieniędzy. Lieber nie chce mnie w ogóle słuchać. Na każdym kroku stara się mi przypomnieć, że Niemcy mają nad Francją pełną władzę. W pewnym momencie będę musiał zgodzić się na tę ich siłę roboczą, żeby zdążyć na czas. A wszystko się aż we mnie trzęsie, gdy pomyślę, że miałbym przyłożyć rękę do cierpienia tych nieszczęśników.

– Kiedy produkcja wreszcie ruszy, może będą bardziej skłonni do ustępstw – odparł Lucien.

– Monsieur Bernard, widać, że nic pan nie wie o Niemcach.

Lucien wbił wzrok w podłogę.

– I owszem, będę produkował uzbrojenie dla Luftwaffe. Niemcy przeznaczyci już pod budowę dużą posiadłość w Tremblay. Coś w sam raz dla pana. Jest jednak pewna sprawa, w której potrzebuję pańskiej rady.

– Oczywiście, z przyjemnością panu pomogę.

– Mój znajomy pozwolił ostatnio zatrzymać się kilku przyjaciółom przez jakiś czas w swojej wiejskiej posiadłości w Le Chesnay. Martwimy się jednak, że mogłyby ich tam spotkać jakieś przykrości ze strony Niemców. Potrzeba więc wprowadzić w domu pewne ulepszenia na wypadek, gdyby Gestapo postanowiło złożyć im wizytę.

Z twarzy Luciena momentalnie znikł uśmiech.

– Zakłady w Tremblay będą prawie dwa razy większe niż fabryka, którą pan właśnie zaprojektował. Ma do nich przylegać małe lotnisko, na którym odbywać się będą testy nowego uzbrojenia dla myśliwców – powiedział Manet – więc miałyby pan okazję zaprojektować również niewielki port lotniczy. Mam nadzieję, że jest pan zainteresowany. Przyślę po pana samochód.

Lucien sięgnął niechętnie do kieszeni marynarki po notatnik, aby zapisać godzinę spotkania. Kiedy pisał, przed oczami miał już projekt małej wieży kontrolnej dla nowego lotniska.



Lucien zerwał się ze snu w środku nocy, jak gdyby ktoś wylał na niego wiadro lodowatej wody.

Usiadł prosto i przetarł mocno twarz rękami, by upewnić się, że nie śpi, po czym potrząsnął za ramię śpiącą obok na brzuchu Celeste.

– Słyszałaś coś?

Celeste mruknęła przez sen.

– Wydawało mi się, jakby...

Przerwał mu głośny łomot dochodzący od drzwi wejściowych. Lucien zaczął ciężko oddychać. Kołatanie powtórzyło się. Drząc gwałtownie na całym ciele, architekt podciągnął kolana do brody, oplótł je ramionami i począł kołysać się w przód i tył. Potrząsnął mocno ramieniem żony. Celeste obróciła się na bok.

– Ktoś jest za drzwiami – wyszeptał Lucien.

– Która jest godzina?

– Prawie trzecia.

– Kto może czegoś chcieć o takiej porze? – wymamrotała Celeste, wciskając głowę w poduszkę.

Lucien znał odpowiedź na to pytanie. O trzeciej w nocy do drzwi mogła pukać tylko francuska policja albo jeszcze gorzej: Gestapo. Słyszał, że zawsze przychodzili po ludzi w środku nocy. Zaspanych i zdezorientowanych zawsze było łatwiej arestować i wywieźć. Nie potrafił zdecydować, co powinien zrobić. Stawić im czoła czy uciec jak tchórz wejściem dla służby z tyłu mieszkania? Czuł się jak idiota, że nie przygotował sobie żadnego planu ucieczki. A co z Celeste? Nie mógł jej przecież tak po prostu zostawić. Spojrzył na żonę, która znów zapadła w sen. Nie obudziłaby się pewnie nawet wtedy, gdyby Niemcy wjechali do środka czołgiem.

Pukanie rozbrzmiało kolejny raz, coraz mocniejsze i bardziej natarchywe. Lucien wziął głęboki oddech i zebrał się w sobie, żeby wstać z łóżka. Niewidzialna dłoń popchnęła go w kierunku drzwi. Gdy przerażony pokonywał sześć metrów, dzielących go od wejścia, w głowie kołatał mu się wciąż ten sam makabryczny obraz:

jego głowa rozłupana ołowianą rurą na pół jak melon.

Kiedy dotarł do drzwi, trząsł się cały ze strachu. Zamknął na chwilę oczy, po czym spokojnie otworzył drzwi i stanął twarzą w twarz z mężczyzną koło czterdziestki, ubranym w ciemny garnitur i w czarny kapelusz. Lucien zdziwił się, że przyszedł po niego agent Gestapo, a nie francuska żandarmeria, którą zwykle wykorzystywano do tego rodzaju aresztowań. Pomyślał, że musi być w niezłych tarapatkach, skoro Gestapo przychodzi po niego osobiście. Próbował zobaczyć, czy na korytarzu jest ktoś jeszcze, ale nie był w stanie nikogo dostrzec.

– Musi pan natychmiast ze mną pójść – powiedział bardzo głośno nieznajomy.

– Czy mogę się ubrać?

– Tak.

Lucien odwrócił się od drzwi i ruszył w stronę sypialni. Nie chciał budzić Celeste i wszystkiego jej tłumaczyć, ale nie miał wyboru. Nigdy więcej pewnie jej już nie zobaczy, więc chciał się z nią przynajmniej pożegnać. Łzy napłynęły mu do oczu.

– I proszę wziąć ze sobą torbę – krzyknął przez próg mężczyzna.

Lucien zatrzymał się i spojrzał na nieznajomego.

– Będę potrzebował torby?

A więc zabierali go od razu do Drancy, nie na rue de Saussaies.

– Tak, proszę wziąć wszystkie narzędzia. Stan żony bardzo się pogorszył. Musi ją pan jak najszybciej obejrzeć.

– Narzędzia?

– Nazywa się pan Auteuil i jest pan lekarzem, prawda? Powiedziano mi, że mieszka pan pod numerem 4C. Proszę, musimy się spieszyć.

Lucien poczuł, że za moment zemdleje, i oparł się o półkę z książkami. Serce mu łomotało. W pierwszej chwili miał ochotę zwymyślać nieznajomego, ale udało mu się opanować. Gdy uspokoił oddech, podszedł znowu do drzwi.

– Doktor Auteuil mieszka pod 3C.

Na twarzy mężczyzny odmalował się wyraz bezgranicznej paniki. Odwrócił się, pognął w dół korytarza i zbiegł po schodach. Lucien wolno zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Spojrzał na czerwono-oliwkowy dywan w przedpokoju, mając w głowie kompletną pustkę. Nagle poczuł wokół ud i krocza wilgotne ciepło i westchnął głęboko. Zmoczył się po raz pierwszy od trzydziestu lat.

Wpółżywy ze zmęczenia i wyczerpany emocjonalnie wszedł do salonu i skierował się prosto do barku, wyciągając z niego szklankę i karafkę koniaku. Popatrzył na

szklanke, po czym rzucił ją na sofę i zaczął pić prosto z karafki.

Gdy udało mu się znów usnąć, śniło mu się, że zaprojektował kryjówkę dla Maneta w skrzyni stojącej na środku pokoju. Gdy wciskał przycisk na jej obudowie, wieko skrzyni otwierało się i ze środka, jak pajac na sprężynie, wyskakiwał ojciec Luciena. Ubrany był w tałas i jarmułkę niczym ortodoksyjny rabin i śmiał się mu szyderczo w twarz.



Świetnie, zatem przyjadę po ciebie koło ósmej. Nie, nic wielkiego, zwyczajne małe przyjęcie ze znajomymi. Tak, tak, twoja szaroniebieska suknia wieczorowa będzie idealna. Będziesz gwiazdą wieczoru, Adele. Wybacz, ale muszę już kończyć. Jest dziś mnóstwo pracy i zostało mi jeszcze sporo do zrobienia. Mam tu gościa i nie wypada, żeby dłużej czekał. Do zobaczenia, kochanie.

Schlegal uśmiechał się, odkładając słuchawkę. Myśl, że Adele będzie mu towarzyszyć na dzisiejszym przyjęciu, sprawiała mu sporą przyjemność. Wszyscy oficerowie ze sztabu generała będą mu zazdrościć, i o to właśnie mu chodziło. Miał ogromne szczęście, że udało mu się związać z kobietą taką jak Adele. Większość Francuzek, z którymi Niemcy mieli kontakty, pochodziła z klasy robotniczej: pracowały jako kelnerki, ekspedientki, pokojówki, kucharki lub praczki. Wiele z nich pracowało w ich domach.

Choć niemieckie dowództwo nie pochwalało intymnych stosunków między żołnierzami i Francuzkami (wyjątkiem były wizyty w oficjalnie zarejestrowanych burdelach), Niemcy i tak brali do łóżka dziewczyny z klasy pracującej. Seks okazał się silniejszy niż bariery językowe. Oczywiście były pewne zasady. Niemieckiemu żołnierzowi nie wolno było pokazywać się z Francuzką publicznie ani przyprowadzać jej do koszar. Rzadko też Niemcy mieli szansę sypiać z kobietami z klasy wyższej. Damy należące do francuskiej burżuazji prędzej by umarły, niż poszłyby do łóżka z okupantem. Dlatego Schlegal wciąż nie mógł uwierzyć, że udało mu się znaleźć Adele.

Niemiec siedział na dużym drewnianym biurku i obrócił się właśnie, by spojrzeć w drugą stronę. Wyciągnął nogi, stuknął obcasami długich, czarnych butów i splótł ręce na piersi. Na drewnianym krześle przed nim siedział starszy mężczyzna ze związanymi na plecach rękami. Miał zwieszoną głowę, a z kącika ust kapiała mu ślina.

– Zaraz, na czym to skończyliśmy? Ach tak. Pytałem, gdzie ukrywa się Mendel Januski, a pan powiedział, że nie ma pojęcia. A potem nazwałem pana kłamliwą świnią i obiecałem, że jeśli nie zacznie pan gadać, to dam panu bardzo bolesną

nauczkę. Ale dzisiaj jest pański szczęśliwy dzień, monsieur Deligny. Spotykam się wieczorem z jedną z najpiękniejszych kobiet w Paryżu, więc jestem w dobrym nastroju. Dam panu zatem jeszcze jedną szansę. Gdzie jest Januski? Zna go pan, prawda? Odświeżę panu pamięć: to bardzo bogaty dżentelmen wyznania mojżeszowego. Możliwe, że najbogatszy człowiek w Paryżu. Do niedawna był właścicielem huty stali Madelin, w której od jedenastu lat jest pan kierownikiem.

Schlegal przysunął więźniowi do twarzy błyszczące czarno-białe zdjęcie przedstawiające imponującego mężczyznę po sześćdziesiątce. Januski, ubrany w garnitur, stał wsparty prawą ręką o książkę leżącą na stole. Na ręce miał duży, ozdobny pierścień.

– Poznaje go pan, monsieur?

Staruszek wydał z siebie bulgotliwy charkot.

– Ten parszywy Żyd jest posiadaczem fortuny liczącej ponad sto milionów franków. Ma również jedną z największych kolekcji dzieł sztuki na świecie, którą chętnie zaopiekowałby się sam marszałek Rzeszy Hermann Göring. Zresztą, monsieur Januski nie będzie miał już czasu na zajmowanie się kulturą wyższą, kiedy go wreszcie dopadniemy. Jest nie tylko bogatym żydowskim złodziejem, ale został również uznany za wroga Rzeszy. Wykorzystywał swoje pieniądze, by pomagać w ucieczce Żydom w całej Europie. Kilku osobom z Węgier załatwił transport aż do Indii. Dokonał tak niezwykłych rzeczy, że bardzo chciałbym się z nim wreszcie spotkać. Więc niech mi pan powie, gdzie mogę go znaleźć.

Deligny milczał.

– Rozumiem, że czas na naucznię.

Schlegal podniósł małą kwadratową skrzynkę, do której przymocowana była niewielka dźwignia. Przyjrzał się dokładnie urządzeniu i powiedział:

– Kiedy byłem mały i mieszkalem w Lipsku, miałem kolejkę elektryczną, którą kierowało się za pomocą bardzo podobnej skrzyneczki. Miałem wtedy bzika na punkcie pociągów, mogłem bawić się nimi godzinami. Jeśli dobrze pamiętam, taka dźwignia służyła do tego, żeby włączyć przepływ prądu, i kiedy przesunęło się ją w prawo...

Powietrze przeszył straszliwy, rozdzierający krzyk, który przez kilka chwil odbijał się echem od białych, tynkowanych ścian gabinetu. Schlegal przesunął wzrokiem po cienkich przewodach, które wychodziły ze skrzynki i ciągnęły się po drewnianej podłodze aż do krocza Francuza. Deligny osunął się skulony na krzesło, jak gdyby ktoś przed chwilą uderzył go w brzuch.

– Heinz – powiedział Schlegal – jesteś pewien, że to ustrojstwo ma wystarczającą moc?

– Absolutnie, panie pułkowniku – odparł niepewnie kapitan Bruckner, siedzący na drewnianym krześle w kącie pokoju obok dwóch innych oficerów, kapitana Wolfa i porucznika Vossa. – Proszę spróbować jeszcze raz. Trzeba popchnąć dźwignię w prawo do samego końca.

Kolejny krzyk trwał znacznie dłużej. Schlegal przez cały czas uporczywie wpatrywał się w skrzynkę, nie szacząc swojego gościa ani jednym spojrzeniem. Torturowany mężczyzna wyprężył się gwałtownie od pasa w górę, odrzucając głowę na drewniane oparcie krzesła, do którego był przywiązany. Kiedy wrzask zaczął już nieznośnie dzwonić w uszach, pułkownik przesunął dźwignię w lewo i nastąpiła zupełna cisza.

– Monsieur Deligny, gdzie ukrywa się Mendel Januski?

Odpowiedziało mu ponure milczenie.

– Przepraszam, nie dosłyszałem. – Schlegal szybkim ruchem pociągnął dźwignię w prawo i z powrotem w lewo, dobywając z ust Francuza krótki, ostry krzyk.

– Wciąż nie słyszę. – Ruch dźwignią i kolejny krótki wrzask.

Gestapowiec przez jakiś czas bawił się dźwignią, starając się wydobyć z więźnia krzyki o różnej długości i wysokości. Próba stworzenia dłuższej melodii została przyjęta przez pozostałych oficerów z ogromną wesołością.

– Brzmiało to choć trochę jak *Lili Marleen*? – spytał Schlegal.

Bruckner, Voss i Wolf ryknęli śmiechem i pokręcili głowami.

– Szkoda. Zapytam jeszcze raz, monsieur Deligny. Gdzie jest Mendel Januski?

Długie, siwe włosy Francuza, całkowicie mokre od potu, spadały mu na oczy. Starzec podniósł odrobinę głowę, by spojrzeć na Niemca, który właśnie podchodził do niego, trzymając rękę na dźwigni.

Schlegal, odkąd objął placówkę przy rue de Saussaies 11, prowadził już niejedno przesłuchanie. Osobiście uważał, że tortury są najlepszym sprawdzianem czyjegoś charakteru i moralności – bez względu na to, czy chodziło o Żyda, Francuza czy Niemca. Przez pierwszy okres pracy sądził, że będzie spotykał ludzi, których nic nie zdoła złamać, ale szybko przekonał się, że tacy zdarzają się niezwykle rzadko. Miał nadzieję, że zmierzy się kiedyś z kimś naprawdę odważnym, ale do tej pory spotykały go same rozczarowania: prędzej czy później wszyscy zaczynali gadać. Wiedział więc, co wydarzy się dalej.

Deligny z trudem wziął głęboki oddech i cichym, ledwo słyszalnym głosem powiedział:

– Rue de Tournon, dom Gattiera, handlarza winem.

– No i co, nie było to takie trudne, prawda? – zapytał Schlegal, rzucając skrzynkę na biurko. Kiwnął głową w kierunku Brucknera, który natychmiast wyszedł z gabinetu.

– Wielkie nieba, jest już tak późno? – westchnął pułkownik, zerkając na zegarek.

– Trzeba by coś zjeść, umieram z głodu. Panowie, co powiecie na obiad w Café Daunou?

Oficerowie wymienili uśmiechy i sięgnęli po swoje czapki i rękawiczki. Wiedzieli, że szef jest w dobrym nastroju i że będzie płacił. Gdy ruszyli w kierunku drzwi, Schlegal zatrzymał się na chwilę, sięgnął po skrzynkę i przesunął dźwignię do oporu w prawo.

– Proszę nam wybaczyć, monsieur Deligny – powiedział z wielką troską w głosie.

– Wrócimy za godzinę lub dwie, żeby dokończyć naszą rozmowę.

Gdy wyszli na ulicę, wciąż słyszeli krzyki dochodzące z trzeciego piętra.



Zrobiłem ci prawdziwej herbaty.

Celeste była zaskoczona, widząc Luciena w kuchni z samego rana. Z dumą wręczył jej filiżankę z talerzykiem. Pamiętała, jak mówił jej kiedyś, że podczas podróży do Anglii dowiedział się, iż filiżanki nie można nigdy podawać samej, zawsze musi stać na talerzyku. Uśmiechnęła się, doceniając jego gest.

– Prawdziwej herbaty? – spytała. – Nie z kocimiętki?

– Spróbuj.

– Dobry Boże. Rzeczywiście prawdziwa – westchnęła, zatrzymując pierwszy łyk w ustach i rozkoszując się smakiem. Wojna nauczyła ją, że trzeba cieszyć się z najdrobniejszych przyjemności. Najlepszy szampan nie smakowałby jej w tej chwili bardziej.

Od pewnego czasu Lucien przynosił do domu rzeczy, które normalnie trudno było zdobyć: ser, masło, kawę. Wiedziała, że kupuje je na czarnym rynku, ale nie chciała o nic pytać. Drugą rzeczą, której nauczyła się podczas okupacji, było to, że ludzie praworzadni powinni przymykać oczy, kiedy ktoś łamie prawo. A poza tym Lucien był taki dumny, przynosząc jej to wszystko.

– Dziękuję, jest pyszna.

– Lecę do pracowni. Mam dziś sporo do zrobienia – powiedział radośnie. Ucałował ją w czoło i chwycił marynarkę, wiszącą na oparciu stalowego krzesła. – Co zamierzasz dziś robić?

– Nic wielkiego. Słyszałam, że do sklepu przy rue Bretagne rzucili papier toaletowy. Może będę miała szczęście. – Zakupy w czasie okupacji wiązały się z tym, że kobiety musiały stać w kilometrowych kolejkach, próbując zdobyć najbardziej podstawowe rzeczy.

– Jeśli ci się nie uda, spróbuję coś załatwić. Do zobaczenia wieczorem.

Celeste piła herbatę, przyglądając się lśniącej, białej porcelanie i kuchennym szafkom ze stali nierdzewnej. Choć wołałaby drewniane meble, musiała przyznać, że te przynajmniej łatwo było utrzymać w czystości. Włożyła filiżankę do zlewu

i zabrała z przedpokoju swój czarny filcowy kapelusz ze spiczastym rondem i białym piórkiem. Cieszyła się, że przynajmniej w kwestii mody mieli z Lucieniem podobny gust.

Był rześki letni poranek. Celeste szła bulwarem de Sebastopol, rozkoszując się lekkim wiatrem, który muskał jej twarz. „Niemcy wyszali z Paryża życie, ale pogody nie są w stanie zmienić” – pomyślała. Znalazła się przy Pont Notre Dame i przeszła Sekwanę. Spojrzała na zegarek, skręciła na wschód i skierowała się do Notre Dame. Przed katedrą było więcej Niemców niż Paryżan i gołębi razem wziętych. Trzej oficerowie Wehrmachtu przestali na chwilę robić zdjęcia i obejrżeli się za nią, gdy przechodziła obok. Widziała, jak wymieniają między sobą uśmiechy i pomruki uznania, ale nie przejęła się tym. Weszła do środka. Wewnątrz kręciło się jeszcze więcej żołnierzy – zadzierali głowy do góry, oglądając imponujące sklepienie i wysokie witraże. Niektórzy modlili się, klęcząc w ławkach, co mocno zdziwiło Celeste. Sądziła, że tacy ludzie nie wierzą w żadnego Boga.

Usiadła w ławce, ale nie miała zamiaru się modlić. Od jakiegoś czasu nie chodziła już do kościoła w niedziele, ale lubiła kontemplacyjny nastrój katedry. Dobrze jej się w tu myślało, stanowiła dla niej małą oazę otuchy w pełnym rozczarowań życiu. Zresztą, jaki sens miała modlitwa o szczęście? Do tej pory niewiele jej pomogła. Straciła dziecko, a potem opuścił ją własny ojciec. Nie była w stanie znieść już więcej bólu. Małżeństwo wymykało jej się z rąk. Kiedyś Celeste naprawdę kochała Luciena, ale z jakichś względów uczucie powoli wyparowywało jak woda z miski. Kilka lat temu naczynie było pełne, teraz na dnie zostało raptem kilka kropel. Celeste miała świadomość, że żadne z nich świadomie nie chciało zniszczyć ich małżeństwa; miłość po prostu sama z czasem znikła.

Celeste wyszła z katedry i przeszła przez Petit Pont na lewy brzeg rzeki. Tuż przed bulwarem Saint-Germain skręciła w reu Dante i weszła do kamienicy. Zadzwoiła do drzwi mieszkania na drugim piętrze.

Otworzył jej wysoki mężczyzna w średnim wieku. Na nosie miał drucziane okulary.

– Madame Bernard, dobrze panią widzieć. Czekaliśmy na panią. Proszę wejść.

– Dziękuję, monsieur Richet.

Przy stole w jadalni siedziała dziesięcioletnia dziewczynka z piegami na twarzy i długimi, złotymi kucykami. Na widok Celeste wstała i dygnęła.

– Dobrze, Sandrine, co robiliście w tym tygodniu z matematyki? Nadal ułamki? – spytała kobieta, zdejmując kapelusz i siadając obok dziewczynki.

– Tak, madame, ale wciąż nie umiem dobrze dodawać ułamków i liczb całkowitych.

– Zobaczysz, kochanie, za godzinę nie będziesz miała z nimi najmniejszych problemów – odparła Celeste, całując dziewczynkę w policzek.

Gdy skończyły lekcję, Richet wrócił do jadalni.

– Nie wiem, jak się pani odwdzięczyć za pomoc w tych ostatnich miesiącach. Poprzedni korepetytor Sandrine po prostu znikł.

– Wiele ludzi zniknęło ostatnio w Paryżu – odpowiedziała.

– Dziękuję za lekcję, madame Bernard. – Sandrine dygnęła wdzięcznie.

– Ćwicz dalej te zadania z ułamkami, a zobaczysz, że świetnie sobie poradzisz na kolejnym sprawdzianie.

Richet stanął za córką, objął ją i pocałował w czubek głowy.

– Sandrine, może pójdziesz na chwilę do parku? – zapytał.



Monsieur, mówiłem panu, że nie chcę mieć z tym więcej nic wspólnego.

Lucien chodził nerwowo tam i z powrotem przed ogromnym kominkiem w pałacu myśliwskim w Le Chesnay. Manet przyglądał mu się z uśmiechem z pluszowej, obitej czerwonym aksamitem sofy.

– Proszę pana tylko o przyjacielską radę.

– Za takie rady mogą mnie zastrzelić. Pana zresztą też.

– Proszę się po prostu rozejrzeć i powiedzieć, co pan sądzi. Założę się, że z pańską kreatywnością wpadnie pan na kolejny wspaniały pomysł.

Architekt miał świadomość, że milioner zwyczajnie mu się przypochlebia, ale słowa uznania zrobiły swoje. Popatrzył dookoła i oczy mu się zaświeciły, gdy zobaczył, że ma tu dużo więcej możliwości niż w mieszkaniu. Był to jeden z wielkich pałaców myśliwskich, jakie budowała arystokracja w siedemnastym wieku, ze stromym łupkowym dachem i narożnymi wieżyczkami. Posiadłość zajmowała obszar mniej więcej jednego kilometra kwadratowego i ukryta była w gęstym lesie – wymarzone miejsce do ukrywania się przed Gestapo. Majątki takie jak ten przekazywano w rodzinie z pokolenia na pokolenie. Dom musiał mieć przynajmniej trzydzieści pokoiów, a kuchnia była większa niż mieszkanie Luciena.

Manet podszedł do architekta i po ojcowsku położył mu rękę na ramieniu.

– Dwie osoby, które tu zamieszkają, będą panu ogromnie wdzięczne. Gotowe są odwdziaczyć się za pomoc piętnastoma tysiącami franków. Ja również byłbym bardzo zobowiązany – powiedział półszepem, jak gdyby w pokoju był ktoś jeszcze.

Lucienowi mocniej zabiło serce. Poprzednie dwanaście tysięcy rozchodziło się bardzo szybko. Na czarnym rynku było po prostu zbyt dużo dobrych rzeczy. Można było dostać ser, jajka, masło, prawdziwe wino, mięso, nawet czekoladę – wszystko oczywiście po astronomicznie wysokich cenach. Większość dóbr, zauważył Lucien, trafiała na czarny rynek z ubogich, wiejskich rejonów północnej Francji. Rolnicy wreszcie śmiali się ostatni; jedli dużo lepiej niż mieszkańcy miast i sprzedawali ludziom produkty pięćdziesiąt razy drożej. Ci, którzy mieli rodziny na wsi, byli

szczęściarzami: krewni mogli im przesyłać paczki z żywnością. Sytuację pogarszało dodatkowo to, że Niemcy rozgrabili wszystko, co wpadło im w oczy. Oficjalny kurs wymiany franka do marki pomyślany był w ten sposób, żeby stać ich było praktycznie na wszystko, rzucili się więc na Paryż niczym szarańcza. W pierwszej kolejności pochłonęli wszystkie towary luksusowe, takie jak perfumy, wino i tytoń. Wyjeżdżając po skończonej służbie, niemieccy oficerowie ładowali do pociągu dziesiątki walizek wypełnionych zdobytym łupem. „Tak, piętnaście tysięcy franków bardzo by się przydało” – pomyślał Lucien.

– Nasi nowi goście opowiadali mi również o swojej działce z widokiem na Cote d’Azur – ciągnął Manet. – Idealne miejsce, aby zbudować po wojnie domek. Najlepiej taki z mnóstwem szklanych powierzchni i balkonem na całą szerokość budynku. Widok podobno jest niesamowity. Morze ma tam odcień błękitu, którego nie da się opisać. Powinien pan to kiedyś zobaczyć.

– Cote d’Azur? – odparł Lucien. – Bardzo chętnie bym się tam wybrał, ale nie mam dokumentów pozwalających na wyjazd na południe.

– Nie ma problemu, mogę je panu załatwić.

– Naprawdę?

Manet wziął Luciena pod rękę i zaczął pokazywać mu dom. Trzydzieści pokojów było nie lada wyzwaniem na jedno popołudnie. Zaczęli od strychu i schodzili stopniowo w dół, przechodząc od pokoju do pokoju. W grę w tym przypadku wchodziła boazeria i listwy przypodłogowe – ściany były tu wystarczająco grube, by pomieścić człowieka. Ale Lucien szukał dalej. Ogromny hol wejściowy kończył się pięknymi, drewnianymi schodami o grubej, rzeźbionej poręczy. Balustrada rozpoczynała się na dole potężnym słupem, obłożonym drewnianymi panelami. Lucienowi przypomniał się postument pod rzeźbą Merkurego przy rue de Galilée. Można by zamontować górną część na zawiasach, a dwie osoby bez problemu byłyby w stanie zamknąć taką kryjówkę, ciągnąc za jakiś rzemień. Problem w tym, że słup byłby za ciasny dla dwojga dorosłych ludzi. Lucien spojrzał na sufit i zobaczył, że podtrzymują go od dołu duże drewniane belki stropowe. Natychmiast pomyślał, że można by wykorzystać strukturę pierwszego piętra.

Na głównych belkach nośnych ułożone były pod odpowiednim kątem kolejne, mniejsze belki, do których przymocowano grube deski tworzące podłogę. Te drugie belki miały około trzydziestu centymetrów grubości, więc byłyby w stanie pomieścić osobę leżącą na plecach. Część podłogi można było zdjąć i zamontować na zawiasach, tworząc podnoszoną klapę. Trzeba by było tylko w jakiś sposób

wzmocnić za pomocą desek gipsowe części stropu pomiędzy głównymi belkami, żeby ktoś wchodzący do kryjówki nie przeleciał przypadkiem przez sufit. Lucien zdał sobie jednak sprawę, że podczas przeszukania domu gestapowcy będą biegali zaledwie kilka centymetrów nad ukrywającymi się osobami, a wiedział, że nawet najbardziej genialny pomysł niewiele pomoże, jeśli goście Maneta spanikują i zaczną płakać lub krzyczeć. Wybór tego miejsca wydawał się zbyt ryzykowny.

Na pierwszym piętrze architekt zwrócił uwagę na siedzisko przy oknie wykuszowym w tylnej części domu, które było wystarczająco szerokie i wysokie, by zmieściło się w nim dwoje ludzi. Gdy chodził po domu, szukając kolejnych możliwości, poczuł, jak ogarnia go znów znajoma ekscytacja. Za wszelką cenę chciał przechytryć Niemców po raz kolejny. Zdał sobie sprawę, że ten rodzaj wyzwania kusi go nawet bardziej niż piętnaście tysięcy franków. Oczami wyobraźni widział już szła Niemców przetrząsających posiadłość w bezskutecznej próbie znalezienia Żydów, którzy będą siedzieli tuż pod ich nosem. Wreszcie jakiś oficer wyda rozkaz zakończenia przeszukania, stwierdzając, że dom jest pusty. Ta myśl podziałała na Luciena niemal jak narkotyk. Architekt przyspieszył kroku tak bardzo, że Manet ledwo za nim nadązał.

– A może z tyłu szafy? – zapytał milioner, gdy weszli do głównej sypialni.

– Tam będą szukać w pierwszej kolejności – powiedział Lucien ze zniecierpliwieniem w głosie.

Zatrzymał się i dopiero wtedy zobaczył, jak bardzo Manet jest zmęczony. Architekt chciał się jeszcze trochę rozejrzeć, nim podejmie ostateczną decyzję.

– Monsieur, proszę, niech pan zejdzie na dół i tam na mnie poczeka. Pomogę panu.

– Nie trzeba. Możemy iść dalej.

Lucien chwycił Maneta pod ramię, aby pomóc mu wspiąć się po kilku stopniach prowadzących z sypialni do małego gabinetu. Sam jednak poślizgnął się na pierwszym stopniu i poleciał do przodu, uderzając kolanem w schody.

– Cholera jasna! – wykrzyknął, łapiąc się za nogę.

Manet pochylił się nad nim, by pomóc mu wstać.

– Niech mnie pan zostawi, nic mi nie jest – odrzekł Lucien.

Milioner usiadł obok niego na schodach, żeby trochę odpocząć.

– Po co w ogóle zbudowali tu te schody? – spytał.

– Żeby podnieść poziom podłogi. Dzięki temu biblioteka pod nami może być

trochę wyższa.

– Rozumiem. Chodzi o to, by oddzielić gabinet od sypialni.

– Właśnie. Raptem cztery stopnie – powiedział Lucien. – Bardzo dobrze pomyślany detal. Sam bym pewnie zrobił tak samo.

Architekt spojrzał na schody, masując kolano.

– Niech pan poczeka, zaraz wrócę – rzucił nagle i pokuśtykał piętro niżej, zostawiając Maneta totalnie zaskoczonego.

Dwie minuty później wrócił niemal w podskokach.

– Da radę! Da radę! – wołał z przejęciem. – Możemy ukryć ich pod tymi schodami.

– Ale jak tam wejść?

– Zwyczajnie. Na szczycie schodów zamontuję zawiasy. Podniosą stopnie do góry, wślizną się do środka i opuszczą je z powrotem. Wewnątrz skrytki będzie rygiel, żeby nikt nie mógł podnieść kłapy od zewnątrz. Zostawię na schodach chodnik i w ten sposób zakryję szczelinę na dole – po obu stronach schodów znajdowały się ściany, nie trzeba było więc martwić się o boczne krawędzie skrytki, schody praktycznie zlewały się z wnętrzem sypialni. Niemcy nigdy nie zwrócą na nie uwagi. Po tym, co Lucien widział na rue Galilée, wiedział, że ludzie Maneta potrafią założyć zawiasy tak, iż nic nie będzie widać. Stopnie trzeba będzie ostrożnie rozmontować, a potem złożyć ponownie na drewnianej ramie, do której od góry przymocuje się zawiasy. Lucien miał już w głowie cały projekt. Był z siebie tak dumny, jak gdyby wygrał przed chwilą Prix de Rome. Pełen podziwu dla własnej pomysłowości poczuł to samo radosne podniecenie, które towarzyszyło mu w mieszkaniu Maneta.

– Genialne, mój chłopcze. Ale na czym będą tam leżeć?

– Włożymy do środka cienki materac. Miejsca jest akurat tyle, że dwie osoby zmieszczą się spokojnie obok siebie.

– Wiedziałem, że się panu uda. – Manet poklepał Luciena po plecach. – Będę jak najszybciej potrzebował rysunku.

– Ma się rozumieć, monsieur. Zaraz się za to wezmę.

– Moi goście bardzo się ucieszą, gdy im o tym powiem. Są...

– Ani słowa więcej. Nic nie chcę wiedzieć.

– Tak, bardzo przepraszam, monsieur Bernard. Dałem się ponieść emocjom.

– I jeszcze jedno.

– Tak, monsieur?

- Robię to ostatni raz.
- Oczywiście – odrzekł Manet.



Adele wcale nie żartowała, gdy powiedziała Lucienowi, że nie wybaczy mu, jeśli nie przyjdzie na jej pokaz mody. Do niczego innego nie przywiązywała takiej wagi, jak do pracy. Była to jedna z rzeczy, które architekt lubił w niej najbardziej: zależało jej na sukcesie i karierze podobnie jak jemu. A podejrzewał, że jej nawet bardziej.

Lucien dotarł na miejsce pokazu, odbywającego się przy rue du Colisée, dwadzieścia minut przed pierwszą i stanął z tyłu. Było to najlepsze miejsce do obserwowania przychodzących gwiazd. Pokazy Adele zawsze przyciągały znane osobistości. Aktorki i artystki nigdy nie odmawiały udziału w takim wydarzeniu; kochały Adele. Lucien lubił także patrzeć na modelki. Tyle pięknych kobiet w jednym miejscu. Ale tego popołudnia architekt rozglądał się szczególnie za jedną, konkretną kobietą – Bette Tullard. Odkąd spotkali się tamtego wieczoru przy La Chat Roux, nie potrafił zapomnieć o jej pięknej twarzy. Zdarzało mu się nawet czasami marzyć o niej, gdy pracował nad rysunkami w swojej pracowni. Wiedział, że na pewno się pojawi, bo bez Bette nie byłoby pokazu.

Wybieg urządzono w wysokim, piętrowym pomieszczeniu o białe otynkowane ścianach i czarnej, marmurowej podłodze. Choć nie był to projekt Luciena, z uznaniem rozglądał się po eleganckim wnętrzu. Sala zaczęła się powoli zapełniać. Większość widowni stanowiły gustownie ubrane kobiety, zaledwie kilku z nich towarzyszyli mężczyźni. Czarne, składane metalowe krzesła stały półkołem wokół pięknych, krętych schodów z czarnymi, marmurowymi stopniami, obramowanych białymi ściankami i długą, chromowaną poręczą. Lucien zauważył, że przyszło nawet kilku oficerów Wehrmachtu. Po dwóch latach okupacji Francuzi spotykali się z Niemcami na imprezach publicznych, takich jak ta, bez żadnego wstydu. Architekt wiedział, że hitlerowcy nie przyszli tu oglądać sukienek, lecz zainteresowani byli tym, co kryło się pod ubraniami.

Rzecz jasna, Suzy Solidor i Simone Signoret zjawiły się tuż przed pierwszą. Na widowni podniósł się szmer. Wszyscy wyciągali szyje, by się im przyjrzeć. Obie kobiety wystrojone były w piękne kreacje Adele: Solidor w elegancki,

ciemnoniebieski kostium i karmazynowy kapelusz, Signoret w czarny komplet i takiż kapelusz. Pomachały zebrany i zatrzymały się na krótko, żeby zamienić kilka zdań z osobami, które znały, po czym zajęły zarezerwowane dla nich miejsca w pierwszym rzędzie. Pozostali stanęli z tyłu sali obok Luciena, gdyż na widowni nie było już gdzie usiąść.

Wojna praktycznie zniszczyła świat mody w Paryżu. Wielu projektantów musiało zamknąć swoje butik i salony. Firma Adele funkcjonowała tylko dzięki jej niezwyklej determinacji. Większość wykwalifikowanych pracowników z branży odzieżowej, których dużą część stanowili Żydzi, uciekła na południe, do Vichy, lub została aresztowana i wywieziona. Niemcy, którzy zdawali sobie sprawę z wyższości Francji w zakresie mody, chcieli początkowo przenieść produkcję ubrań do Berlina, ale po jakimś czasie rozkazy odwołano ze względu na zwykłą niewykonalność przedsięwzięcia. Ktoś zdał sobie sprawę, że w kwestii mody Niemcy nigdy nie dorównają Francuzom talentem.

Tkaniny racjonowano podobnie jak żywność. Nigdzie nie można było kupić wełny ani skóry, nie mówiąc już o kosztownych tekstyliach, takich jak jedwab, koronka czy aksamit. (Ze względu na odgórne ograniczenia w produkcji ubrań – na bluzkę można było na przykład wykorzystać tylko metr materiału – odzież, którą teraz szyto, była dużo lżejsza i prostsza). Wszystkie bardziej wyszukane stroje, które pozostały w Paryżu, zostały rozkradzione na początku okupacji przez niemieckich oficerów, którzy powysyłali je swoim żonom i kochankom. Adele powiedziała jednak kiedyś Lucienowi, że pomimo deficytów i niedostatków okupacji Paryżanki poprzysięgły utrzymać styl i szyk. Dla francuskich kobiet sprawą honoru było dobrze wyglądać – chciały udowodnić okupantom, że piękna nie są w stanie im odebrać.

Mieszkanki Paryża potrafiły być w tej kwestii bardzo kreatywne. Gdy w salonach fryzjerskich zabrakło produktów kosmetycznych i nie można już było robić trwałej, kobiety zaczęły nosić kapelusze i turbany zszywane ze skrawków tkanin. Kwiaty i pióra, nadal wciąż ogólnodostępne, stały się główną dekoracją owych nakryć głowy – często dość przesadną, jak na gust Luciena. Ogromne wrażenie zrobiło jednak na architekcie to, że Francuzki zdołały uczynić z ciężkich drewnianych chodaków rodzaj politycznej deklaracji. Kobiety nie tylko radziły sobie jakoś z okupacyjną rzeczywistością, ale wiele z nich było bardzo aktywnych i na przykład łamało niemiecki zakaz eksponowania kolorów francuskiej flagi, nosząc niebieskie, białe i czerwone guziki czy paski.

Ktoś na piętrze włączył fonograf i ze szczytu schodów spłynęła muzyka jazzowa, dając znak, że za chwilę rozpocznie się pokaz. Ludzie poprawili się na krzesłach i przestali rozmawiać. Po chwili, ku wielkiej radości Luciena, po schodach wolno zeszła Bette. Wyglądała oszaleńczo w czarnych butach na wysokim obcasie, białej sukience z czarnymi klapami i czarnym szalu.

Zatrzymała się na przedostatnim stopniu, uśmiechając się do widowni.

– Panie i panowie, witajcie w domu mody Bonneau. Zaprezentujemy dziś kilka bardzo eleganckich projektów, które z pewnością podbiją państwa serca. Nasze kreacje są dowodem na to, że pomimo trudnych czasów francuskie piękno i szyk pozostają niewyciężone i wciąż mają się dobrze.

Bette podniosła rękę, wskazując na górę schodów, gdzie pojawiła się pierwsza modelka. Dziewczyna – ładna blondynka z włosami do ramion – miała na sobie długą czarną spódnicę, białą bluzkę i czarny kapelusz z szerokim rondem. Widownia zatrzęsła się od braw. Modelka zeszła na dół, obeszła półkole pierwszego rzędu, zatrzymując się na chwilę przed Solidor i Signoret, i zniknęła w drzwiach za schodami. Bette stanęła pod ścianą po prawej stronie, obserwując pochód modelek. Na schodach ukazywały się kolejne kobiety. Większość z nich ubrana była w spódnicę i bluzki oraz żakiety z kwadratowymi ramionami i duże kapelusze z opadającym rondem. Kilka prezentowało suknie wieczorowe bez ramiączek z jasnymi szarfami wokół talii i długimi rękawiczkami. Pozostałe sukienki były najczęściej do kolan i miały krótki rękaw. Wśród dodatków dominowały szale i płócienne torebki. Lucienowi podobał się szczególnie jeden kapelusz, który bardzo odzwierciedlał kreatywność Adele – wykonany był w całości z papierowej plecionki.

Wszystkie modelki były szczupłe i atrakcyjne, ale Lucien nie mógł oderwać oczu od Bette. Gdy popatrzyła wreszcie w jego stronę i rozpoznała go w tłumie, skinęła głową i posłała mu promienny uśmiech. Architekt nie posiadał się z dumy, gdy kilku niemieckich oficerów spojrzało na niego z nieukrywaną zazdrością.

Lucien zauważył, że materiały wyglądały na prawdziwe jedwabie, skóry i koronki. Wydawało mu się, że Adele mówiła mu kiedyś, że wszystko wywieziono do Niemiec. Zapamiętał szczegóły stroju jednej z modelek, żeby móc potem pochwalić jakąś konkretną kreację. Po jednym z pokazów powiedział Adele, że bardzo podobały mu się jej projekty, ale gdy zapytała, który szczególnie zwrócił jego uwagę, a on nie mógł sobie żadnego przypomnieć, strasznie się na niego wściekła.

Gdy pokaz dobiegł końca, Adele powoli i dostojnie zeszła po schodach wśród owacji i okrzyków. Lucien wiedział, jak kochała uznanie. Pomachała widowni,

posłała w powietrze kilka całusów i od razu podeszła do Solidor i Signoret, aby je uściskać. Wszyscy zaczęli się tłoczyć wokół kobiet, aby pogratulować Adele i przyjrzeć się z bliska gwiazdom filmowym. Otwarto szampana i goście z zapalem zabrali się do opróżniania kieliszków; Adele potrafiła załatwić prawdziwy alkohol.

Lucien przecisnął się przez tłum i zdołał wreszcie podejść do Bette.

– Monsieur Bernard, cieszę się, że pan przyszedł.

– Miło mi, że pani mnie pamięta.

– Nigdy nie zapomniiałabym tak przystojnego... i utalentowanego... mężczyzny – powiedziała, ściskając mu rękę.

– Gratuluje pokazu, był zachwycający. Wspaniałe projekty.

– W tych dniach cholernie trudno jest zrobić coś tak dobrego, niech mi pan wierzy.

– Lucien, Lucien – zawołał z daleka wysoki głos.

– Ach, zdaje się, że szefowa pana wzywa. Miło było pana znów zobaczyć.

Bette zniknęła między ludźmi, a Lucien podszedł do otoczonej wielbicielami Adele.

– A teraz, mój genialny architekcie, powiedz mi, który z moich projektów podobał ci się najbardziej.

– Zdecydowanie ten granatowy komplet ze wspaniałym papierowym kapeluszem.



Kto tam?

– Aubier. Przyniosłem jedzenie.

Cambon, któremu od dwóch dni burczało w brzuchu, miał już zamiar otworzyć drzwi, gdy zdał sobie sprawę, że jest czwartek. Aubier zawsze przychodził w piątki. Przez ostatnie pół roku, kiedy Cambon ukrywał się w mieszkaniu przy rue Blomet, zawsze przychodził w piątek o dwudziestej.

– Dziś nie jest piątek. Co ty tu robisz, do cholery?

– Jutro nie dam rady. Niech mi pan otworzy – wyszeptał Aubier przez grube, drewniane drzwi. – Chce pan jeść czy nie?

Cambon zamarł na chwilę w bezruchu. Pomyślał, że ta zmiana dotychczasowej rutyny jest dość nietypowa. Ale żołądek przekonał go, żeby jednak otworzyć. Może Aubier będzie miał puszkę sardynek lub kawałek salami? Przez cały czas przebywania tu w samotności Cambon myślał prawie wyłącznie o jedzeniu. Kiedyś był jednym z największych producentów ubrań we Francji; miał wspaniałe posiadłości w mieście i na wsi i mógł pozwolić sobie na każdą potrawę, jakiej tylko zapragnął – stek z Ameryki, oliwki z Grecji, a nawet mięso z morsa, gdy naszła go taka ochota. Teraz musiał przymierać głodem, a kilka kęsów spleśniałego chleba traktował jak ucztę.

– Poczekaj chwilę – powiedział szeptem. Gdy otwierał drzwi, planował już w głowie wieczorny posiłek. Butelka wina byłaby wspaniała. Ostatni raz pił wino przed czterema miesiącami. Uchylił lekko drzwi i ujrzał przez szparę opaloną, zniszczoną twarz Aubiera, który był kiedyś służącym w jego domu przy rue Copernic. Mężczyzna wyszczerzył w uśmiechu żółte zęby i wyciągnął z papierowej torby apetyczne jabłko. Oczy Cambona zaświeciły się na ten widok – na ulicach Paryża łatwiej było ostatnio znaleźć złoto niż owoce. Otworzył drzwi trochę szerzej, żeby Aubier mógł przejść, ale w tym momencie staruszek zwałił mu się pod nogi, wepchnięty do przedpokoju przez trzech gestapowców w cywilnych ubraniach i brązowych, skórzanych płaszczach. Cambon zastawił im drogę ozdobnym

stolikiem konsolowym i pobiegł do tylnej sypialni, rzucając się do łóżka z baldachimem. Wyciągnął spod materaca rewolwer i usiadł na łóżku. Gdy pierwszy oficer Gestapo wszedł do środka, Cambon starannie wymierzył i strzelił, trafiając Niemca w lewe udo. Oficer upadł ciężko na podłogę. Ten, który był za nim, cofnął się i uskoczył, chowając się za drzwi sypialni. Wyjął rewolwer, wysunął się za próg i posłał w stronę Cambona cztery kule. Mężczyzna nawet nie próbował się bronić. Upadł na łóżko, sprawiając wrażenie, jak gdyby po prostu zapadł w drzemkę.

Kilka minut później do pokoju wszedł kapitan Bruckner. Splótł ręce za plecami i w milczeniu ocenił sytuację.

– Co za pierdolony Żyd! – Trafiony oficer związał się na podłodze z bólu. – Widzieliście, jak mnie urządził? Zastrzeliliście skurwysyna?

Bruckner podszedł do łóżka i dotknął szyi Cambona, by zbadać puls.

– Jednego Żyda mniej. Widzieliście? Nie chciał dać się wziąć żywcem.

– Słyszając, co dzieje się z tymi, których wywożą na wschód, wcale się mu nie dziwię – powiedział trzeci Niemiec i pochylił się nad rannym towarzyszem. – Ale to chyba pierwszy Żyd, który podjął jakąś walkę. Zginął z bronią w ręku. Szanuję skurczybyka.

– A ja mam go w dupie – odparł postrzelony gestapowiec. Pozostali dwaj roześmiali się. Pomogli mu wstać i podeszli do drzwi wejściowych, przy których wciąż stał Aubier.

Ranny hitlerowiec obrzucił Francuza nienawistnym spojrzeniem. Służący wlepił wzrok w ziemię.

– Zrobiłeś swoje. Możesz już iść – powiedział Bruckner.

Aubier przycisnął do piersi torbę z jedzeniem, wyminął Niemców i szybkim krokiem wyszedł z mieszkania. Bruckner był wciąż zadziwiony, z jaką łatwością Francuzi wydawali swoich pobratymców. Większość robiła to, podobnie jak w tym przypadku, w zamian za jedzenie lub przysługę, ale wielu zdradzało swoich znajomych i sąsiadów z czystej nienawiści lub chęci rewanżu. Gestapo dostawało kilkadziesiąt listów dziennie zaczynających się od słów w stylu: „Chciałbym uprzejmie zwrócić Państwu uwagę na osobę mieszkającą przy...”. Nadawca (zwykle anonimowy) wskazywał najczęściej bogatego Żyda: „Ma mieszkanie pełne dzieł sztuki”. Wielu prosiło Niemców, żeby obronili chrześcijańskie rodziny „przed intrygami podstępnych Żydów” lub żeby pomogli wyrwać męża „z siideł przebiegłej

Żydówki”.

Wydawano jednak nie tylko Żydów. Francuzi, którzy chodzili ciągle głodni ze względu na racjonowaną żywność, patrzyli z zawiścią na rodaków, którym powodziło się lepiej, i często oskarżali ich o działalność konspiracyjną przeciw Rzeszy. Była to jakaś wada narodowa czy co? Oczywiście, Gestapo chętnie korzystało z donosów i samo zachęcało do ich pisania, ale ci ludzie nie mieli za grosz godności i honoru. We francuskim upowszechniła się nawet fraza na donosicielstwo: „Pójdę i powiem o tym Niemcom”. Bruckner był zdumiony takim postępowaniem. Czuł tym większą odrazę, że miał ogromny szacunek dla francuskiej historii i kultury. Zastanawiał się, czy jego własny naród zachowywałby się pod okupacją w ten sam sposób. Francuzi nie rozumieli, że całe to szpiclostwo wzmagало tylko niemiecką pogardę do nich i zachęcało hitlerowców do używania coraz bardziej brutalnych środków.

– Duisberg, weź żandarmerię i każ im aresztować wszystkich ludzi z tego piętra – odezwał się Bruckner. – Jeśli kogoś nie będzie, zgarnijcie kilka osób z piętra niżej i przyprowadźcie wszystkich do mnie na dół. Dzieci nie będziemy potrzebować. Becker niech zajmie się Blömem.

Duisberg krzyknął w dół klątki schodowej i po schodach wbiegło czterech policjantów. Zaczęli walić po kolei do wszystkich drzwi na piętrze, wrzeszcząc:

– Policja, wychodzić! Wszyscy na dół, z wyjątkiem dzieci!

Z mieszkań, jak myszy wypłoszone z kryjówek, powoli zaczęli wynurzać się wystraszeni ludzie. Małżeństwo w średnim wieku, szesnastolatek, wiekowy starzec, wyglądający na co najmniej osiemdziesiąt pięć lat, kobieta koło sześćdziesiątki – wszyscy zgromadzili się na korytarzu obok windy.

– Ruszać się, ale już!

Cała grupa, ze staruszką włącznie, zaczęła zbiegać po schodach. Duisberg poszedł za nimi, wrzeszcząc i poganiając ich w dół przez cztery kolejne piętra. Nikt nie zaprotestował ani nie próbował uciec. Bruckner zdawał sobie sprawę, że wszyscy pozostali lokatorzy kamienicy stali teraz pod drzwiami, nasłuchując i modląc się ze wszystkich sił, żeby nie zapukano także do ich mieszkań. Duisberg przegonił towarzystwo przez elegancki, wyłożony boazerią hol wejściowy i kazał wszystkim wyjść na ulicę. Bruckner, który cały czas siedział za nimi, stanął obok swojego samochodu i zapalił papierosa. Kiedy ludzie stanęli w rzędzie, wyrzucił niedopałek i zaczął przechadzać się wzdłuż szeregu.

– Myślę o pewnej liczbie w przedziale między jeden a dwadzieścia. Chcę, aby każdy z was spróbował zgadnąć, co to za liczba – zawołał jowialnym głosem. Ruszył

na koniec rzędu i stanął naprzeciwko sześćdziesięcioletniej kobiety.

– Jak pani uważa?

Kobieta oniemiała ze strachu i nie potrafiła nic z siebie wykrztusić, co rozdrażniło Brucknera.

– Podaj liczbę, kobieto.

– Jedenaście.

– Pudło – podeszedł do szesnastoletniego chłopaka, który stał kolejny w szeregu.

– Jeden.

– Nie. A ty, co powiesz, ślicznotko? – spytał atrakcyjną kobietą w średnim wieku.

– Siedem.

– Zgadłaś! – wykrzyknął radośnie niczym prezenter radiowy ogłaszający zwycięstwo w jakimś konkursie. Błyskawicznym ruchem wyciągnął z kabury swojego lugera i strzelił kobiecie prosto w czoło. Upadła na szary chodnik jak kamień. Bruckner schował pistolet, wyszedł na środek ulicy i spojrzał do góry na otaczające go kamienice.

– Ta kobieta mieszkała na piętrze, na którym ukrywał się Żyd – krzyknął głośno, tak by było go słychać z okien po obu stronach ulicy. – Pewnie nawet nie wiedziała, że mieszkał obok. Ale to nie ma znaczenia, drodzy przyjaciele. Jeśli w jakimś budynku znajdziemy Żyda, wszyscy mieszkańcy zostaną rozstrzelani. Jeśli Żyda znajdziemy na piątym piętrze, a wy mieszkacie na drugim, czeka was śmierć. To bardzo proste.

Niemiec skrzyżował ręce na piersi i przeszedł kilka metrów ulicą, przyglądając się fasadom eleganckich kamienic. Wszystkie okna były puste, ale wiedział, że ludzie stoją metr lub dwa od szyb i nasłuchują. Domyślał się, jak czują się teraz mieszkańcy okolicznych domów. Wszyscy odwrócą wzrok; nie będą chcieli patrzeć, co stanie się z tymi, którzy stoją na ulicy. Tak właśnie Francuzi zachowywali się podczas okupacji – nie chcieli widzieć. Liczyło się dla nich tylko to, żeby samemu uniknąć aresztowania.

Becker i Blöm wyszli z budynku i Duisberg pomógł im wsiąść do czarnego Citroëna stojącego przy kamienicy. Bruckner popatrzył na nich beznamiętnie, po czym wrócił do czekających na ulicy lokatorów. Żaden z nich nawet nie spojrzał na zastrzeloną kobietę, wszyscy patrzyli tępo przed siebie. Niemiec zaczął znów chodzić tam i z powrotem przed stojącymi w szeregu ludźmi, zatrzymując się na chwilę przy każdym, by spojrzeć mu w oczy. Jednym z najbardziej fascynujących doświadczeń podczas jego trzyletniej służby w Gestapo była obserwacja tego, w jaki sposób

zachowują się ludzie, którzy mają zostać rozstrzelani. Ku jego zdumieniu, zaledwie kilku zaczynało płakać, panikować lub błagać o życie; większość przyjmowała ten fakt ze spokojną rezygnacją i bez gwałtownych emocji. Mieszkańcy z rue Blomet należeli do tej drugiej grupy. Jak większość mieszkańców Paryża zdawali się mieć świadomość, że śmierć jest nieunikniona i że mogą zginąć w każdej chwili. Dziwne, że Francuzi potrafią umierać tak honorowo, a żyją jak szczury, sprzedając siebie nawzajem.

Gestapowiec zastanawiał się, o czym teraz myśli. Gdyby sam był na ich miejscu i miał za chwilę zginąć, pewnie próbowałby przypomnieć sobie najlepsze momenty swojego życia. Tamte pamiętne wakacje w Bawarii, kiedy stracił dziewictwo z ciotką Clausa Hankela. Pierwszy raz, gdy zobaczył cycki Trudy Breker. Albo kiedy przyznano mu na studiach nagrodę za osiągnięcia w skoku w dal.

Zatrzymał się przed ubranym w pomięty szary garnitur mężczyzną w średnim wieku, który patrzył przed siebie, w pustkę. Może był już w swoim własnym świecie, wspominając jakieś przyjemne rzeczy. Albo miał nadzieję, że Bruckner zadowolony się zastrzeleniem tylko jednej osoby?

Oficer spacerował jeszcze przez chwilę, po czym podszedł znów do samochodu, oparł się o maskę i zapalił kolejnego papierosa.

– No dobrze, panie i panowie, robi się późno i nie chciałbym państwa dłużej zatrzymywać. Dziękuję za poświęcony czas. Życzę wszystkim dobrej nocy.



Ach, monsieur Bernard, cieszę się, że pana widzę. Proszę, proszę, niech pan wejdzie.

Major Herzog wyglądał dziwnie w cywilnym ubraniu. Miał na sobie elegancką ciemnozieloną bonżurkę, a mankiety jego grafitowych spodni kończyły się idealnie nad wypolerowanymi, kasztanowymi butami. Lucien, który starał się, by nikt nie widział, jak wślizguje się do kamienicy przy rue Pergolèse, wszedł szybko do mieszkania, zatraskując za sobą drzwi.

Zauważył, że Herzog przygląda mu się z rozbawieniem. Obaj wiedzieli, że lepiej było dla Francuza nie pokazywać się publicznie w towarzystwie Niemca. Dlatego też major zaprosił architekta na kolację do swojego domu. Kiedy Herzog złożył mu tę propozycję przez telefon, Lucien przez pół minuty nie był w stanie powiedzieć ani słowa. Zastanawiał się, co powinien zrobić. Celeste również została zaproszona, ale właściwie tylko pro forma; po kilku miesiącach służby w Paryżu Herzog zdążył się już z pewnością nauczyć, że Francuzi uważają, iż nie należy łączyć żony z przyjemnościami, podobnie jak nie miesza się oliwy i wody. Lucien ostatecznie zgodził się przyjść, gdyż uznał, że wojna czy nie, zawsze opłaca się choć trochę poznać swojego klienta. A niech tam, pomyślał, spotka się z Herzogiem ten jeden, jedyny raz.

Niemieccy oficerowie zostali zakwaterowani w zachodniej, bogatej części Paryża, do której nie mógł wchodzić nikt z wyjątkiem mieszkańców. Herzog zorganizował więc dla Luciena specjalną przepustkę.

Architekt był trochę zaskoczony wystrojem mieszkania Niemca. Spodziewał się zasłan ze swastykami, popiersia Hitlera lub przynajmniej jakiegoś portretu Führera w rycerskiej zbroi i heroicznej pozie. Lokal był jednak urządzone z dużym smakiem: na ścianach wisiały modernistyczne obrazy, w kilku miejscach stały rzeźby, a meble były funkcjonalne i nowoczesne w kształcie. Na podłogach leżały dywany o dynamicznych, abstrakcyjnych wzorach i odważnych barwach: oliwkowej, brązowoczerwonej, rudej i czarnej. Lucien od razu zauważył też niezwykle rzeźbę z lśniącej, nierdzewnej stali – miała idealnie gładką fakturę i oryginalny, opływowy

kształt. Podszedł do niej zafascynowany.

– Coś wspaniałego, panie majorze – powiedział, nie chcąc dotykać rzeźby, by nie zostawić na niej śladów rąk.

– Ciekawe, że zwrócił pan uwagę właśnie na to. To mój własny Brancusi, moja największa duma i chluba. Wiele jego prac ma niemal falliczny wygląd. Amerykańska poczta nie wpuściła kiedyś do kraju jednej z jego rzeźb, bo myśleli, że to jakiś obiekt seksualny.

– Purytanie – skwitował Lucien, przenosząc wzrok na geometryczny obraz w podstawowych kolorach. – Czy to Mondrian?

– Tak, choć niestety bardzo niewielki.

Lucien cofnął się kilka kroków, starając się objąć mieszkanie Niemca jednym spojrzeniem. Apartament, zbudowany za Haussmanna, był bardzo elegancki. Miał piękną boazerię z orzechowego drewna i biały sufit, zdobiony kunsztowną sztukaterią. Ale tym, co czyniło to miejsce tak niezwykłym, było właśnie zestawienie dziewiętnastowiecznych detali architektonicznych z nowoczesną sztuką i umeblowaniem w stylu moderne. Lucien poczuł jednocześnie podziw i zazdrość. Zdał sobie sprawę, że Herzog ma lepszy gust od niego.

– Ma pan wspaniałe mieszkanie. Myślałem, że niemieccy oficerowie mieszkają raczej...

– W betonowych koszarach, gdzie jest tylko łóżko, krzesło, stół i portret Hitlera na ścianie? – dokończył major, uśmiechając się. – Nie, wolno nam urządzać nasze kwatery według własnego uznania. Ten lokal należał kiedyś do pewnego Żyda, który nie bardzo chciał współpracować z Rzeszą. Przekonaliśmy go, by zrzekł się własności.

– A gdzie teraz mieszka? – spytał architekt. Ułamek sekundy później uświadomił sobie, jak naiwne było to pytanie.

– W odrobinę mniej komfortowych warunkach – odparł Herzog, nalewając gościowi koniaku.

– Och – wymamrotał Lucien. Major podał mu kieliszek i nalał kolejny dla siebie.

– Wydaje się pan zaskoczony moim gustem w dziedzinie sztuki – powiedział z uśmiechem Niemiec. – Zbyt awangardowy jak na żołnierza Rzeszy?

– Cóż, ja... – Lucien właśnie tak pomyślał.

– Staram się mieć otwarty umysł. Proszę za mną, pokażę panu coś, z czego jestem szczególnie dumny. – Herzog poprowadził architekta w stronę ciemnego korytarza.

Major włączył światło i wskazał na dwa małe obrazy wiszące na ścianie. Jeden przedstawiał rzekę otoczoną soczystą zielenią, drugi – zażywnego mężczyznę w czarnym stroju i kapeluszu.

– To mój Corot. – Niemiec skinął głową na pejzaż. – A to mój Franz Hals. Widzi pan, monsieur Bernard, nie wszystko musi być nowoczesne i dekadentkie.

– Są przepiękne. Cóż za niezwykła faktura drzew. – Lucien nie mógł oderwać wzroku od subtelnych pociągnięć pędzla.

– Dwaj wybitni mistrzowie. Nikt nie potrafi tak oddać wyrazu twarzy, jak Hals.

– Z pewnością kosztowały fortunę.

– Ależ skąd. Pewien dżentelmen, który musiał udać się w daleką podróż, po prostu już ich nie potrzebował – odparł Herzog. – Oddał mi je praktycznie za bezcen.

Lucien domyślał się, jakiego rodzaju była to podróż.

– Ma pan godną podziwu kolekcję.

Oficer roześmiał się.

– To tylko skromny początek. Mam nadzieję, że uda mi się upolować w Paryżu jeszcze jakąś okazję. Pewien Żyd, którego stara się teraz dopaść Gestapo, Mendel Januski, ma tu bardzo imponujący zbiór dzieł sztuki. Są w nim podobno dwa portrety Franza Halsy, które bardzo chciałbym mieć u siebie. Choć i tak pewnie pierwszy dobierze się do nich marszałek Göring. W każdym razie lada dzień spodziewam się jeszcze kilku wspaniałych drzeworytów Dürera.

Lucien milczał, wpatrując się w swój koniak. Wiedział, że kolekcja Herzoga wzbogaci się kosztem kolejnej osoby, która będzie musiała „udać się w podróż”.

Niemiec uniósł kieliszek do toastu.

– Za wybitną architekturę i jej twórców – powiedział.

Lucien podniósł swój kieliszek. Pomyślał, że to dobry moment, żeby podliczać się klientowi. W końcu tak naprawdę pracował dla Niemców, nie dla Maneta.

– Za wybitną architekturę i tych, którzy ją finansują.

Herzog, wyraźnie rozbawiony toastem Luciena, wziął łyk koniaku.

– Niech pan usiądzie – odezwał się, wskazując architektowi krzesło barcelońskie, które zaprojektował inny Niemiec, Mies van der Rohe.

Fotel okazał się bardzo wygodny. Lucien rozsiadł się i założył nogę na nogę, popijając trunek z kieliszka. Zdążył się już trochę odprężyć i zaczynał czuć się coraz swobodniej.

– Wszystkie meble znalazł pan w Paryżu? – zapytał, poklepując ręką siedzisko.

– Nie, francuskich jest tylko kilka. Większość sprowadziłem z Hamburga, gdzie mieszkałem przed wojną – odrzekł Herzog. – Ponieważ spędzę tu trochę czasu, chciałem się czuć jak u siebie w domu.

Zdawał się uważać, że Lucien i inni Francuzi traktują ten fakt jako coś zupełnie oczywistego i naturalnego. Niemcy mieli zamiar tu zostać. Herzog położył się na szezlongu i sięgnął po butelkę z koniakiem, aby ponownie napełnić kieliszek.

– Piękna leżanka Le Corbusiera. Miałem okazję spotkać go kiedyś w latach trzydziestych. Nieśamowity talent – powiedział Lucien. Postanowił przemilczeć fakt, że zawsze uważał Le Corbusiera za aroganckiego dupka.

– To prawda. Jakiś czas temu pojechałem obejrzeć willę Savoye. Zawsze chciałem ją zobaczyć. Wspaniały budynek – odparł Niemiec z entuzjazmem. – Swoją drogą, gdzie jest teraz Le Corbusier? W Szwajcarii?

– Wydaje mi się, że przedostał się przez Pireneje do Hiszpanii.

– Ci, którzy uciekli, mają szansę jeszcze coś w życiu zaprojektować, czyż nie?

– Ma pan niebывały zmysł estetyczny, panie majorze. – Architekt zmienił temat.

– Dieter. Proszę mówić mi Dieter.

– Pod warunkiem, że pan również będzie się do mnie zwracał po imieniu.

– Dobrze, Lucien. Mój ojciec zrobił ze mnie inżyniera, ale nie zdołał odebrać mi miłości do architektury i sztuki.

Lucienowi nie mieściło się w głowie, że Niemiec może doceniać piękno dzieł sztuki – to tak jakby małpa zachwycała się sznurem rzadkich pereł lub starożytną grecką wazą. Hitlerowcy byli przecież potworami bez cienia przyzwoitości. A to, że potrafili cenić te same rzeczy co Francuzi, wydawało mu się jakoś nie w porządku.

– Kilka sprzętów mam jeszcze z czasów Bauhausu, ale większość kupiłem później. Też nie były drogie. Wielu Niemców uważa, że rzeczy tego typu to czysty dekadentyzm. Mało kto chce mieć coś takiego w domu.

– Wolą kiczowate, romantyczne pejzażyki lub podróbki krzesel w stylu Ludwika XIV – westchnął Lucien z rezygnacją.

– Otóż to. Zwyczajne śmieci.

– Za śmieci – powiedział Lucien, wychylając kieliszek. Gdy alkohol spływał mu po gardle, zauważył na stoliku ze stali i szkła fotografię kobiety z dzieckiem. Zastanawiał się, czy Herzog ma rodzinę.

– Twoja żona i córka? – zagadnął architekt, wskazując na zdjęcie.

Herzog wstał, podszedł do stolika i podał fotografię Lucienowi.

– Tak, moja żona Trude i moja córka Greta; niedawno skończyła dziewięć lat.

– Pięknie. Czy twoja żona też jest zwolenniczką modernizmu? – spytał Lucien. Ciekawiło go to, bo Celeste nie cierpiała tego, co jemu się podobało.

– O tak, sama jest bardzo utalentowaną graficzką. Ostatnio, co prawda, projektuje tylko materiały propagandowe dla Rzeszy, ale mamy nadzieję, że po wojnie będzie mogła wrócić do prawdziwej pracy.

– Musisz za nimi tęsknić.

– Nie widziałem ich od dziewięciu miesięcy, ale za kilka tygodni dostanę przepustkę. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę córkę – odrzekł Niemiec, uśmiechając się smutno. – Mam dla nich mnóstwo prezentów.

Herzog odłożył zdjęcie. Większość rodziców zaczęłaby w tym momencie zanudzać słuchaczy opowieściami o wszystkich szkolnych osiągnięciach dziecka w ciągu ostatnich pięciu lat, ale Herzog nic więcej nie powiedział.

Wyciągnął butelkę w stronę Luciena, by nalać mu kolejny kieliszek.

– Byłem pod dużym wrażeniem twojego projektu fabryki. Sposób, w jaki połączyłeś te horyzontalne szklane płaszczyzny i betonowe filary, był naprawdę niezwykły.

Lucien opróżnił kieliszek i Herzog natychmiast nalał mu nowy. Architekt z każdą chwilą czuł coraz większe ciepło, rozchodzące się po całym ciele.

– Dziękuję... Dieter.

– A te wspaniałe łuki wyglądają w środku tak lekko. I będzie można zainstalować na nich wszystkie potrzebne dźwigi i wyciągarki. Genialna robota.

Pochwały i pochlebstwa były dla Luciena – jak zresztą dla każdego architekta – miodem na serce. Bez względu na to, czy padały z ust Francuza czy nazisty, dawały zawsze niebywałą satysfakcję.

– Myślę, że spodoba ci się mój następny budynek – wymamrotał architekt.

– Niesamowite jest to, że twoja architektura oddaje swoją formą funkcję danego budynku.

– Mam nadzieję, że pułkownik Lieber myśli podobnie.

– Lieberem się nie przejmuj. Jego interesuje tylko to, żeby fabryka powstała na czas. A tym już ja się zajmę.

Na drugim końcu salonu otworzyły się przesuwne drewniane drzwi. Stanął w nich na baczność młody kapral.

– Panie majorze, kolacja jest gotowa.

– Dziękuję, Hausen. Możesz wracać do koszar. Chodźmy, Lucien, czeka na nas comber jagnięcy.

Pomimo niewielkich trudności, spowodowanych ilością wypitego koniaku, Lucien zdołał podnieść się z fotela i ruszył za swoim nowym przyjacielem do jadalni.



Sal, chyba widziałam jakieś światło przy bramie.

Geiber wiedział, że jego żona nie ma skłonności do hysterii. Zawsze bardzo imponowała mu swoim spokojem i opanowaniem. Dlatego gdy tylko skończyła mówić, odłożył książkę i zaczął działać. Kiedy Miriam zobaczyła, jak poderwał się ze skórzanego fotela, natychmiast pobiegła po rzeczy. Mieli tylko kilka minut. Gdyby ktoś z nich się zawahało, oboje czekała pewna śmierć.

Geiber zbiegł na dół do kuchni, mieszczącej się na tyłach wielkiego pałacu myśliwskiego. Otworzył szeroko tylne drzwi i wyrzucił na kamienną ścieżkę, prowadzącą do ogrodu, stary filcowy kapelusz. Zostawiwszy drzwi otwarte, wspiął się kuchennymi schodami na pierwsze piętro tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to jego sześćdziesięcioośmioletnie nogi. Pod główną sypialnią spotkał się z Miriam, która ścisnęła w rękach małą, skórzaną torbę z ich podrobionymi dokumentami, pieniędzmi i zmianą odzieży dla każdego z nich. Spojrzał głęboko w jej ciemnobrązowe oczy i dotknął jej zaróżowionego policzka.

– Jesteś gotowa, kochanie?

– Boże, mam nadzieję, że to się uda – odparła Miriam. Strasznie trzęsły się jej ręce i bała się, że kolana za chwilę odmówią jej posłuszeństwa.

– Chodź za mną – wyszeptał Geiber.

Przeszli szybkim krokiem przez sypialnię i uklękli przy czterech schodkach, prowadzących do gabinetu, jak gdyby mieli zamiar się przed nimi pomodlić. Geiber wsunął ręce pod krawędź pierwszego stopnia i powoli uniósł do góry całą konstrukcję przymocowaną zawiasami do podłogi wyższej kondygnacji. Musiał użyć całej swojej siły do podniesienia kłapy na tyle, żeby Miriam razem z torbą zdołała się pod nią wśliznąć. Kobieta z trudem wczołgała się do samego końca i położyła się równolegle do schodów.

– Jesteś w środku? – wysapał Geiber, walcząc z ciężarem.

– Na Boga, Sal, pośpiesz się.

Geiber wsunął się pod schody, pozwalając im opaść z głuchym tąpnięciem.

Podczołgał się do żony i zasunął dwa rygle blokujące klapę. Oddychał tak ciężko, że miał wrażenie, iż zaraz zemdleje. Plecami oparty był o pierś Miriam i czuł, jak wali jej serce. Podciągnął torbę pod brodę, położył ją obok siebie i otworzył. Miriam objęła go jedną ręką. Wtuliła twarz w jego włosy i mocno chwyciła jego dłoń, sprawiając, że Salomon na chwilę zapomniał o zagrażającym im niebezpieczeństwie.

Jej dotyk napełnił go czułością i spokojem. Przypominał mu chwile, które spędzili we własnym dużym łóżku, tuląc się pod kołdrą z gęsiego puchu. Ciasna przestrzeń pod schodami była duszna i pogrążona w zupełnych ciemnościach, ale materac był całkiem wygodny, a schody miały prawie dwa metry szerokości, więc Geiberowie byli w stanie całkowicie rozprostować nogi. Stopnie zaczynały się zaledwie kilka centymetrów nad twarzą Salomona – tak blisko, że czuł zapach drewna. Mogli teraz tylko czekać, minuty wydawały się godzinami.

– Nasz los jest w rękach Boga – szepnął Geiber. – Za chwilę tu wejdą i nie możemy pisnąć ani słowa. Ale jest coś, czego ci nigdy wcześniej nie mówiłem. I muszę to zrobić teraz.

– Teraz, Sal?

– Zobaczyłem cię po raz pierwszy w L’Opera Garnier. Miałaś na sobie jasoniebieską suknię; nie mogłem oderwać od ciebie oczu. Po przedstawieniu śledziłem twój powóz, żeby zobaczyć, gdzie mieszkasz. Potem przekupiłem lokaja, żeby zdradził mi twoje imię i następnego dnia wysłałem ci bukiet róż bez żadnej karteczki.

– To byłeś ty! Mój ojciec prawie dostał zawału.

– Tak, to moja sprawa.

– Kocham cię, głuptasie.

Od drzwi wejściowych dobiegł nagle głośny trzask łamanego drewna, a po chwili w domu rozbrzmiały krzyki. Geiberowie zadygotali gwałtownie ze strachu. Żołnierze rozbiegli się po budynku, wrzeszcząc i przeklinając, ich buty dudniły po drewnianych deskach pałacyku. Słychać było łoskot przewracanych mebli i trzask rozbijanych stołów. Wywracano regały z książkami, wybebeszano szafki. A potem główne schody zatrzęsły się, jak gdyby wbiegło na nie stado koni. Ciężkie kroki załomotały na korytarzu i rozpieczęły się po pokojach. Miriam była tak przerażona, że nie była w stanie zebrać myśli. Zaciśnęła oczy i zaczęła cicho płakać.

Niemcy wbiegli do głównej sypialni, otworzyli kopniakami drzwi szafy, przekopali szuflady komody i bieliźniarki i wyrócili ogromne łóżko. Po kilku minutach wypadli znów na korytarz.

– Nikogo nie ma, pułkowniku – krzyknął jakiś głos.

– Niemożliwe – odpowiedział mu baryton. – Szukać dalej. Na pewno gdzieś tu są. Messier nigdy się jeszcze nie pomylił. Sprawdźcie tylne ściany szaf, znaleźliśmy już kilka skrytek w takich miejscach – hałas, który ucichł na chwilę, gdy mówił pułkownik, rozległ się teraz ze zdwojoną mocą.

Ktoś nagle wbiegł z powrotem do sypialni i przemknął po schodkach tuż nad głowami Miriam i Salomona. Stopnie ugięły się pod ciężarem mężczyzny, dotykając niemal nosa Geibera. Staruszków ogarnęła fala paniki. Miriam zdołała nadludzkim wysiłkiem powstrzymać krzyk cisnący się jej na usta, ściskając rękę męża tak mocno, że aż zbieła. Salomon zaczął raptownie dygotać, jak gdyby dostał ataku padaczki. Żołnierz wyrzucał na podłogę książki z regałów ciągnących się przez całą długość małego gabinetu; niektóre z tomów lądowały aż na schodach. Geiberowie kurczyli się ze strachu przy każdym uderzeniu w klapę kryjówki. Skończywszy z książkami, Niemiec wziął się za wrywanie drewnianych półek. Wreszcie zbiegł na dół po schodkach i zatrzymał się, napotyając innego żołnierza.

– Sprawdziłeś za regałami? Czasami chowają się tam z tyłu.

– A jak ci się, kurwa, wydaje, co właśnie robiłem? – wrzasnął hitlerowiec.

– Gdzie są te jebane Żydy? Myślałem, że to będzie krótka, prosta robota. Marianne czeka na mnie w mieście.

– Która to Marianne? Nigdy o niej nie wspomniałeś.

– Ta cycata, która ukradła dla mnie wtedy tę skrzynkę wina. Pamiętasz?

– Jakiego wina? Miałeś wino i nic mi nie powiedziałeś?

Jeden z żołnierzy usiadł ciężko na schodach. Geiberowie poczuli, jak drewniana rama skrzypnęła i ugięła się tuż nad nimi. Fakt, że Niemiec siedział zaledwie dziesięć centymetrów od nich, budził w nich śmiertelne przerażenie. Miriam była bliska omdlenia ze strachu; modliła się, by stracić przytomność i nie znosić tej całej męki. Oboje ze wszystkich sił zaciskali zęby. Najmniejszy dźwięk mógłby ich zdradzić.

– Chryste, mam dość biegania po tych cholernych schodach. Te domy są, kurwa, jak jakieś muzea. Muszę chwilę odpocząć.

– Uważaj, żeby Schlegal nie widział, że się opieprzasz.

– Mam w dupie jego i całe to cholerne Gestapo.

– Lepiej rusz tyłek, bo wyślą cię do Rosji.

– Złapię tylko oddech. Schlegal i tak jest na dole.

– Pośpiesz się. Idę na korytarz, sprawdzę jeszcze raz pokoje.

Niemiec nie ruszył się ze schodów. Staruszkowie usłyszeli trzask zapalanej zapałki i poczuli dym papierosowy. Minuty ciągnęły się w nieskończoność i nerwy zaczynały powoli odmawiać Żydom posłuszeństwa. Geiber poczuł ze zgrozą, że narobił w spodnie. Po kilku chwilach kryjówkę wypełnił ciężki, przykry zapach. Na szczęście żołnierz przydeptał wreszcie papierosa butem i podniósł się ze schodów z lekkim skrzypnięciem.

– Jezu Chryste, ciągle tam jesteś? Schlegal zaraz tu będzie – powiedział ktoś z korytarza.

– Czujesz coś? Śmierdzi gównem.

– W gównie to ty zaraz będziesz siedział po uszy, jak Schlegal cię zobaczy.

– Nie, czekaj, naprawdę...

– Stauffen, kurwa. – Ktoś wrzasnął niskim, męskim głosem. – Bierz się do roboty i szukaj Żydów. Sprawdzales na poddaszu?

– Nie, panie pułkowniku, ja tylko...

– Kretyn. Trzeba było tam iść w pierwszej kolejności. Rusz dupę i włącz na górę.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Geiberowie usłyszeli rumor dochodzący z korytarza i ze strychu. Po piętnastu minutach grupa żołnierzy zgromadziła się przed główną sypialnią.

– Tylne drzwi były otwarte – przerwał milczenie głos pułkownika. – Musieli uciec przez ogród i wsiąść do samochodu ukrytego gdzieś na tyłach posiadłości. Ale daleko nie zajadą. Chcę was widzieć zaraz wszystkich w ogrodzie, przeczesujących teren. Znajdźcie szambo i sprawdźcie, czy przypadkiem się tam nie schowali. I nie strzelać, słyszycie? Chcę mieć ich żywych.

Niemcy rzucili się po głównych schodach do tylnego wyjścia. Zapadła zupełna cisza, ale Miriam i Salomon nie ruszali się z miejsca. Mieli odczekać dwie godziny, nim wyjdą z kryjówki. Czuli się, jak gdyby powoli budzili się z jakiegoś okropnego koszmaru, choć mieli świadomość, że nie był to sen, lecz przerażająco realna rzeczywistość. Byli kompletnie wycieńczeni i wyczerpani emocjonalnie. Gdy udało im się wreszcie uspokoić oddech, poczuli, że są całkiem mokrzy od potu. Nawet materac był przemoczony. Nie mieli miejsca, by zmienić pozycję i ciała zaczynały im powoli drętwieć. Geiber leżał we własnych ekskrementach, ale nie czuł z tego powodu wstydu; ważne było tylko to, że przeżyli. Wyjął rękę z torby, czując ulgę, że nie musiał używać rewolweru. Z perspektywy czasu żałował, że nie przyjął wtedy od aptekarza fiołek z cyjankiem.



Masz świetną kreskę. Moje prace nie były nawet w połowie tak dobre, jak twoje, kiedy kończyłem szkołę.

Alain Girardet opuścił wzrok i próbował powstrzymać uśmiech. Lucien spojrzął na chłopaka rozbawionym spojrzeniem – wiedział, że Alain doskonale zdaje sobie sprawę z wysokiego poziomu swoich rysunków i tylko udaje skromnego. Sam zachowałby się tak samo. Dostać w Paryżu pracę w branży architektonicznej graniczyło teraz z cudem, więc Lucien był świadomy, że dzieciak jest gotów zrobić wszystko, aby zdobyć posadę. Siedzieli naprzeciw siebie przy stole, stojącym w rogu małej, jednopokojowej pracowni, którą Lucien dostał od Maneta w ramach premii do umowy, z zapewnieniem, że nie musi płacić czynszu. Bardziej profesjonalnie było spotykać się z Niemcami we własnym biurze niż w mieszkaniu. Nie mówiąc już o tym, że Celeste chyba dostałaby zawału, gdyby hitlerowcy postawili nogę w jej domu.

– Dziękuję, monsieur. Jest pan nadzwyczaj uprzejmy. Staralem się w szkole dawać z siebie wszystko, a najciężej pracowałem właśnie nad rysunkiem. Bo to przecież on jest duszą architektury, nieprawdaż? – odparł Alain.

„Dzieciak potrafi kadzić” – pomyślał Lucien, ale to właśnie go przekonało.

– Masz rację – powiedział, dochodząc do wniosku, że ma wreszcie przed sobą człowieka, którego szukał. Znużenie, które odczuwał podczas rozmów z kilkoma poprzednimi kandydatami, nagle gdzieś przysło. Zdecydował się zadać pytanie, na które czekali wszyscy młodzi ludzie starający się o pracę.

– Od kiedy mógłby pan zacząć pracę?

– Od jutra – odrzekł chłopak, trochę zbyt skwapliwie. Lucien powiedziałby, że pojutrze, żeby nie wydać się aż tak zdesperowanym. Dzieciak musiał być mocno splukany.

Lucien przejrzał jeszcze raz jego portfolio, aby upewnić się, że podejmuje właściwą decyzję. W przeszłości zdarzało mu się zatrudniać kreślarzy nazbyt pochopnie i bardzo tego później żałował. Do dziś pamiętał Michela, architekta

w średnim wieku, który wracał z każdej przerwy obiadowej zalany w trupa. Jego linie, tak piękne, kiedy był trzeźwy, po południu zmieniały się w bazgroły czterolatka. O ile nie zasnął nad deską kreślarską. Jego innym kompletnie nietrafionym wyborem był Charles, który okazał się najbardziej leniwym dupkiem w całej Francji. Miesiąc zajmowało mu narysowanie kwadratu.

Mając przed sobą perspektywę tak dużego zlecenia dla Luftwaffe, Lucien potrzebował pomocy kreślarza, który mógłby zająć się wykańczaniem rysunków. Sam nie zdążyłby ze wszystkim na czas, więc nakłonił Herzoga, żeby podniósł mu honorarium na tyle, żeby mógł kogoś zatrudnić. Architekt nie miał wątpliwości, że znajdzie się ktoś, kto będzie chciał pracować nawet za tak marne pieniądze. Tym bardziej że dzieciaki w wieku Alaina miały też inne powody, dla których zależało im, żeby znaleźć jakąś robotę. Od chwili rozpoczęcia okupacji tysiące młodych Francuzów, których normalnie powołano by do służby wojskowej, gdyby istniała armia francuska, miało obowiązek odbycia dwóch lat pracy na rzecz Francji. Jeśli ktoś nie był nigdzie zatrudniony, zgłaszano go „na ochotnika” do pracy w zakładach zbrojeniowych w Niemczech.

Lucien spojrzął na Alaina, próbując wyczytać z jego twarzy jakieś wady charakteru. Wszystko jednak wydawało się w porządku: chłopak wyglądał przyzwoicie, miał dwadzieścia kilka lat, blond włosy i jasnobrązowe oczy. Był przeciętnego wzrostu, ubierał się bardzo modnie i nosił eleganckie buty ze skórzanymi podeszwami. Lucien nie musiałby się za niego wstydić przed Niemcami. Został jeszcze tylko jeden szczegół, który trzeba było omówić.

– Z pańskimi papierami wszystko jest w porządku?

– Tak, monsieur.

– Czy mogę je zobaczyć?

Francuzi musieli zawsze nosić przy sobie dokumenty identyfikacyjne, podobne do paszportu, w których znajdowały się wszystkie dane osobowe potrzebne urzędowi i Niemcom: data urodzenia, wygląd, znaki szczególne i adres. Pomiędzy papiery wciśnięty był certyfikat świadczący o zwolnieniu ze służby wojskowej. Lucien zdziwił się nieco – dzieciak nie musiał się więc obawiać robót przymusowych. Mogło to oznaczać tylko jedno: chłopak ma wysoko postawionych znajomych.

Oddał kartę identyfikacyjną Alainowi i uśmiechnął się.

– Mogę zaproponować panu na początek dwieście franków tygodniowo.

– Jest pan bardzo hojny, monsieur Bernard. Wiem, że ma pan ogromny talent. Cieszę się, że będę mógł się uczyć od jednego z najbardziej obiecujących

modernistów w Paryżu – odparł chłopak.

– Świetnie – uciął Lucien. Uważał, że wazelinierstwo powinno mieć swoje granice. – Będzie pan pracował nad rysunkami konstrukcyjnymi fabryki wytwarzającej broń dla Luftwaffe. – Wskazał ręką na projekty wiszące na ścianie za sobą. – Jak pan widzi, będziemy mieli w pracowni pełne ręce roboty. A możliwe, że niedługo czeka nas jeszcze więcej pracy. Jeśli się pan dobrze spisze, zostanie pan moją prawą ręką.

Lucien zawsze serwował swoim nowym pracownikom podobną gadkę. Gdy kogoś zatrudniał, nie potrafił oprzeć się wielkim planom i nadziejom, ale przed wojną niewiele mu z tego przyszło. Tym razem jednak przyjmował dzieciaka zaraz po studiach, którego mógł ukształtować jako idealnego pracownika. Alain miał wszystkie potrzebne umiejętności i, co więcej, naprawdę rozumiał, o co chodzi w budownictwie. Lucien widział to w jego rysunkach detali konstrukcyjnych – były niezwykle staranne i dokładne jak u architekta z dużym doświadczeniem. Większość ludzi tuż po studiach gównie wiedziała o konstrukcji. Nie mieli bladego pojęcia o strukturze budynku.

– Nie mogę się doczekać, żeby zacząć, monsieur. Czy mogę przyjść już jutro?

– Oczywiście.

– Będę o siódmej.

– Ja będę tu o dziewiątej. Pod koniec tygodnia dostanie pan własne klucze do pracowni, więc będzie pan mógł przychodzić o dowolnej porze. – Lucien zawsze czekał tydzień, zanim dał komuś klucze, aby upewnić się, że nowy pracownik jest uczciwy. Nauczył się tego przy Hippolicie, który zniknął drugiego dnia razem ze wszystkimi materiałami kreślarskimi.

Alain zebrał ze stołu swoje rysunki i włożył je do brązowej kartonowej teczki.

– Zerknąłem na pański adres w karcie identyfikacyjnej. Mieszka pan tu w okolicy? – spytał Lucien, chcąc zagaić mniej formalną rozmowę.

– Tak, monsieur.

– Wciąż z rodzicami?

– Tak, monsieur.

Architekt zorientował się, że chłopak nie ma ochoty mówić o sobie, więc nie naciskał. Wiedział, że Alain jest bardzo zdolny, i nic poza tym go nie obchodziło. Położył mu rękę na ramieniu i odprowadził go do drzwi.

– A zatem, do widzenia, monsieur Girardet. Widzimy się jutro – powiedział, ściskając chłopakowi rękę.

– Jeszcze raz bardzo dziękuję, monsieur. Cieszę się, że będę mógł z panem pracować.

Alain nie czekał na windę. Zbiegł po schodach i wyszedł na ulicę. Gdy dotarł do rogu rue de Chateaudun, zatrąbił na niego czarny Citroën. Samochód zatrzymał się obok chłopaka i z tylnych drzwi skinął na niego oficer Gestapo w czarnym mundurze, dając znak, by wsiadł do środka. Alain zatrzymał się, spojrzął na samochód, po czym wsunął się na tylne siedzenie, siadając obok oficera, który palił właśnie papierosa.

– I jak poszło? – spytał gestapowiec, podsuwając chłopakowi papierośnicę.

– Był zachwycony moimi szkicami. Jutro zaczynam – odparł Alain. Był z siebie bardzo dumny, chociaż od początku był pewien, że Bernardowi bardzo spodoba się jego portfolio. Wiedział, że potrafi rysować naprawdę dobrze.

– To świetne wieści. Twoja matka bardzo się ucieszy.

– Nie udałoby mi się, gdyby nie twoja pomoc, wuju Hermannie – powiedział chłopak, zapalając papierosa.

– Nonsens. Dostałeś pracę, bo masz talent. Ja tylko wspomniałem ci o tym architekcie. Mój szef posuwa jego kochankę i stąd kojarzę faceta – powiedział Niemiec, poklepując ramię siostrzeńca ręką w czarnej rękawiczce. – Będzie teraz pracował nad dużym zleceniem dla Rzeszy, więc pomyślałem, że przyda mu się pomoc.

– Czy twój szef wie, że ta kobieta jest kochanką Bernarda? – zapytał Alain, bardziej w tej chwili podekscytowany romansami, o których napomknął wuj, niż swoją nową pracą.

– Pewnie tak, ale założę się, że lada moment nie będzie już chciała bzykać architekta.

– Dziękuję ci za wszystko, wujku. Jeśli mogę się w jakiś sposób odwdziżyć...

– Nie ma takiej potrzeby, mój chłopcze. Choć, skoro o tym wspomniałeś... Nie wydaje ci się, że ten mężczyzna, który mieszka na piątym piętrze w twojej kamienicy, ma jakieś takie żydowskie rysy?

– Monsieur Valery? Hmm... Może trochę. Jeśli chcesz, wujku, mogę się czegoś o nim dowiedzieć.



Naprawdę... jest mój?

– Naprawdę, monsieur Lucien – odparł Manet, wręczając architektowi nowy, błyszczący komplet kluczyków.

Lucien patrzył osłupiały na lśniącego, ciemnoniebieskiego Citroëna roadstera, zaparkowanego na krawężniku. Przesunął czule ręką po masce i składanym, pochyłym dachu, jak gdyby pieścił ciało nagiej kobiety. Nie miał pojęcia, dlaczego Manet chciał się z nim spotkać na rue du Renard 29. Milioner powiedział, że to niespodzianka. I nie kłamał.

Mieszkańcy Paryża poruszali się teraz po mieście rowerami. Mało kto mógł sobie pozwolić na jazdę samochodem i automobile praktycznie znikły z ulic stolicy. Ktoś, kto stanąłby w południe na dwadzieścia minut na rue Saint-Honoré, naliczyłby raptem kilka aut. Ustał również ciągły ruch, który otaczał wstęgą Place de la Concorde. O tym, kto mógł mieć samochód, decydowały teraz władze i zezwolenia wydawano przedstawicielom tylko niektórych zawodów: lekarzom, położnym i strażakom. W innych przypadkach trzeba było mieć niemałe chody u szkopów, żeby dostać pozwolenie na auto. Manet zapewne mógłby wykorzystać swoje znajomości i pieniądze, ale nawet, gdyby milioner zdobył dla Luciena odpowiednie papiery, samochód i tak musiałby stać nieużywany ze względu na deficyty paliwa – łatwiej było ostatnio dostać markowego szampana.

– A tu są pańskie kartki na przydział paliwa. Będzie pan potrzebował samochodu, żeby doglądać budowy. Nie można dostać się do Tremblay metrem. – Manet roześmiał się tubalnie.

– Jest pan bardzo hojny, monsieur Manet. Nie wiem, co powiedzieć. Nigdy nawet nie marzyłem, że dostanę samochód w prezencie. I to jeszcze taki piękny.

– Citroën to moja ulubiona marka. Wiedziałem, że się panu spodoba. Oko architekta potrafi docenić eleganckie linie, to od razu widać.

Lucien w milczeniu zgodził się z milionerem. Obszedł samochód i usiadł za kierownicą. Skórzana tapicerka była tak wygodna i miękka w dotyku, że można by na

niej usnąć, a deska rozdzielcza przypominała kokpit samolotu. Silnik zapalił bez problemu i zamruczał leniwie jak kot. Adele oszaleje z zachwytu, gdy zobaczy auto. Zadzwoni do niej i powie jej, żeby wyglądała przez okno, a potem pojedzie pod jej dom i zaprosi ją do środka. Gdy wsiądzie, obsypie go pocałunkami. Znał pewną przytulną gospodę w Poissy, do której mogliby pojechać na długi weekend.

Lucien nie mógł doczekać się pierwszej jazdy citroënem. Już miał zamiar ruszyć z piskiem, ale przypomniał sobie, że Manet wciąż stoi na chodniku.

– Czy mogę pana dokąds podwieźć, monsieur? Może zjemy obiad przy avenue de l’Opera? Dojazd zajmie nam pięć minut – powiedział Lucien, uśmiechając się szeroko.

– Obiad brzmi wspaniale. Ale czy mógłbym jeszcze poprosić pana o radę w pewnej kwestii? To zajmie tylko chwilę, chciałbym pokazać panu coś w tym budynku.

– Oczywiście – odparł Lucien, wyłączając silnik.

Weszli do kamienicy i skierowali kroki w stronę windy. Kiedy metalowa klatka uniosła się w górę, zachwyty citroënem nagle znikł; Lucien przeczuł, co stanie się za chwilę. Miał wrażenie, że ścigało go fatum. Uśmiechnął się blade do Maneta i wbił wzrok w biało-niebieskie płytki na podłodze kabiny. Ponownie mignęły mu przed oczami obrazy okrutnych tortur i straszliwej śmierci. A potem wyobraził sobie siebie i Adele mknących citroënem po polnych drogach, i ten obraz oddalił złe myśli. Znów zaczął się uśmiechać. Winda zatrzymała się na czwartym piętrze i Manet poprowadził Luciena do podwójnych drzwi mieszkania pod numerem ósmym. Gdy weszli do środka, milioner położył architektowi rękę na ramieniu znajomym ojcowskim ruchem.

– Głowią się i głowią, ale nie jestem w stanie wymyślić żadnego miejsca na kryjówkę. Brakuje mi pańskiego sprytu. Gdzie pan by ją umieścił?

Lucien milczał przez kilka chwil. Podeszedł do wąskiego, wysokiego okna z szybkami oprawionymi w ołów i spojrział na ostre, sierpniowe słońce połyskujące na dachu zaparkowanego przed budynkiem samochodu.

– Muszę się rozejrzeć. Na pewno coś wymyślę, ale niech pan wie, monsieur, że robię to ostatni raz.

– Oczywiście, jak pan sobie życzy.

Był to sześciopokojowy, modnie umeblowany apartament z wysokimi sufitami i ozdobną boazerią. Piękny parkiet w miodowym odcieniu zasłany był wspaniałymi dywanami, na których stały pluszowe sofy i fotele z haftowanymi poduszkami.

Centralne pokoje oświetlały dwa ogromne kryształowe żyrandole. Ale najbardziej charakterystycznym elementem mieszkania był gigantyczny kamienny kominek, znajdujący się w salonie – miał ponad dwa metry wysokości i niemal trzy metry szerokości. Tylna ściana paleniska była wyjątkowo gruba i łączyła się z zewnętrzną ścianą, która wychodziła na główny dziedziniec przylegający do budynku. Lucien obszedł wszystkie pokoje, po czym wrócił do salonu, pochylił się przed kominkiem i przez kilka minut intensywnie mu się przyglądał.

– Czy to jest działający kominek?

– Tak, ale stoi nieużywany – odrzekł Manet.

– I chodzi o tymczasową kryjówkę?

– Na wypadek, gdyby Gestapo postanowiło przeszukać mieszkanie. Zabierzemy ich stąd, gdy tylko będzie bezpiecznie.

– Ile osób?

– Dwie.

Lucien uśmiechnął się.

– Mogą się schować za paleniskiem. Zamontujemy z tyłu ruchomą ścianę, którą będzie się dawało wyjąć i którą będą mogli zamknąć za sobą, gdy wejdą do środka. Do ściany przymocujemy ruszt kominkowy, żeby nikt niczego nie zauważył. Możemy nawet położyć na nim drewno. – Lucienowi pomysł bardzo się spodobał. – Palenisko jest dość wysokie, więc będą mogli łatwo dostać się do skrytki i zmieścić się w niej na stojąco. Pańscy goście nie są tak wysocy jak pan, prawda?

– Nie. Ale ściana za kominkiem jest przecież z litej cegły.

– To prawda, jest jednak solidna i ma pół metra grubości. Wyjmiemy część cegieł, żeby zrobić odpowiednie wgłębienie. Dwie osoby mieszczą się bez problemu.

Lucien widział, że Manet nie jest przekonany. Architekt rozejrzył się po mieszkaniu. Dostrzegł jeszcze łatwiejszy sposób: ściany między pokojami były na tyle grube, że dwoje ludzi byłoby w stanie ukryć się w wydrążeniu za boazerią. Ale Lucien miał poczucie, że wykorzystanie kominka jest o wiele sprytniejszym rozwiązaniem. Zależało mu na tym, by kryjówka była pomysłowa, nawet jeśli wymagało to większego nakładu pracy. Im bardziej oryginalne rozwiązanie, tym mocniejszy dreszcz emocji. Niemcy może i sprawdzą komin, ale nigdy nie wpadną na to, by szukać za paleniskiem. Lucien zaczynał powoli myśleć o sobie jak o magiku, który potrafi sprawić, że ludzie rozplývają się w powietrzu.

– Tak, tak będzie najlepiej – powiedział w końcu. – Ruchomą ścianę zamontujemy na metalowej ramie i obłożymy z zewnątrz płytkami ceglanyimi. Dzięki

temu będzie dość lekka i będzie można ją wyjmować i wkładać w całości.

Aby uspokoić Maneta, dodał:

– Proszę się nie martwić, monsieur. Zaprojektuję to tak, by byli całkowicie bezpieczni.

– Skoro tak pan mówi. Tylko wydaje się to bardzo skomplikowane. Ale jeśli uważa pan, że to najlepsza opcja, niech tak będzie. Ufam pańskiemu osądowi.

– Dostarczę panu rysunek pojutrze. Umawiamy się tak, jak zawsze.

– Oczywiście, monsieur Lucien. Nikt się o niczym nie dowie. Ludzie są panu niezwykle wdzięczni, nawet jeśli nie mają pojęcia o pańskim istnieniu. Uratował pan życie już dwóm osobom.

Lucien już pograżał się w marzeniach o citroënie i Adele, ale ostatnie zdanie Maneta przywróciło go do rzeczywistości.

– Uratowałem komuś życie?

– W rzeczy samej. Pamięta pan schody w pałacu myśliwskim w Le Chesnay? Te podnoszone?

– Ktoś naprawdę się tam ukrywał? – Jak dotąd cała praca nad kryjówkami wydawała się Lucienowi nie do końca realna. Miał wrażenie, że projektowanie skrytek było rodzajem gry i rzadko myślał o tym, że ktoś rzeczywiście będzie ich używał.

– Gestapo przewróciło dom do góry nogami, ale nie udało im się nikogo znaleźć. Chodzili po schodach, ktoś nawet na nich usiadł, ale opuścili posiadłość z niczym.

– A co stało się z...

– Proszę się nie martwić, oboje są już bezpieczni. Skontaktowali się ze mną, żeby powiedzieć, że kryjówka pod schodami była genialnym pomysłem i że uratowała im życie. Szkoda, że nie mogłem im powiedzieć, komu ją zawdzięczają.

– Cieszę się... że wszystko dobrze się skończyło.

Lucien podszedł do półki nad kominkiem i podniósł z niej mały, nefrytowy posążek w kształcie kota. Obejrzał go starannie, wyobrażając sobie dwoje Żydów schowanych pod schodami. Musieli umierać ze strachu, słysząc, jak Niemcy chodzą nad nimi i szukają ich po całym domu. Uśmiechnął się, gdy uświadomił sobie, że naprawdę udało mu się przechytryć Gestapo za pomocą swojej wiedzy architektonicznej i pomysłowości. Kryjówka spełniła swój cel. Znajdowali się kilka centymetrów od Żydów i nikogo nie znaleźli. Architekt był z siebie bardzo dumny. Kiedyś, w przypływie egoizmu, miał nadzieję, że ktoś zdradzi Niemcom albo adres,

albo numer mieszkania Maneta lub pałacu w Le Chesnay, bo chciał przekonać się, czy jego rozwiązania są wystarczająco sprytne. Nie rozczarował się. Zaczął właśnie projektować w głowie szczegóły sztucznej ściany za kominkiem, ale z zamyślenia wyrwał go Manet.

– Monsieur Lucien, czeka na pana pański Citroën.

Kiedy odjeżdżał, był na siebie zły, że nie potrafi cieszyć się pierwszą jazdą swoim nowym, pięknym samochodem. Nie był w stanie się cieszyć, bo zaczął myśleć o tych dwóch osobach, którym uratował życie. Nie tak to miało wyglądać. Do tej pory chodziło mu tylko o to, żeby zmieścić obiekt o określonych wymiarach w konkretnej, zamkniętej przestrzeni przy zachowaniu odpowiednich odstępów – trochę, jakby próbował włożyć coś do skrzynki, którą zamierzał wysłać. Za to miał dostać dwadzieścia siedem tysięcy franków i możliwość zaprojektowania dużej fabryki, aby pokazać światu, że stać go na naprawdę wybitny projekt. Ponadto ten wspomniały samochód. I nieoczekiwana przyjemność płynąca z tego, że może przechytrzyć Niemców.

Żałował, że Manet w ogóle wspomniał o realnych ludziach, którzy byli w to wszystko uwikłani. Nie miał najmniejszej ochoty o nich myśleć.



Na początku Pierre sądził, że Jean-Claude znowu coś zrzucił z kuchennego stołu. Zawsze biegał po domu jak szalony i na nic nie zwracał uwagi. Ale łoskot powtórzył się kilka razy, a potem usłyszał dziecięce krzyki. Na dole wrzeszczały jakieś męskie głosy, z którymi kłóciła się madame Charpointier.

Słyszał ciężkie kroki dudniące na schodach kamienicy. Hałas dochodził najpierw z pierwszego piętra, potem z drugiego i trzeciego. Mężczyźni cały czas krzyczeli, wbiegali do kolejnych pomieszczeń, przewracali meble, otwierali szafy. Pierre wbił wzrok w drzwi prowadzące na poddasze, spodziewając się, że lada moment otworzą się z hukiem, ale kroki zaczęły się oddalać, jakby ktoś schodził na dół. Do jego uszu dotarł nagle wyraźny płacz Jean-Claude'a, Isabelle i Philippe'a. Już chciał zbiec ze strychu, żeby im pomóc, gdy przypomniał sobie, co mówiła madame Charpointier, i zatrzymał się wpół ruchu. Serce waliło mu jak szalone. Położył się na brzuchu i przyłożył ucho do kłapy w podłodze, żeby dosłyszeć, o czym mówią dorośli.

Madame powtarzała, że dzieci są katolikami, że zostały ochrzczone w Orleanie i że znają wszystkie modlitwy. Poleciała jego rodzeństwu powiedzieć pacierz i cała trójka zaczęła recytować *Zdrowaś Maryjo*, ale Niemiec kazał im przestać. Philippe, najmłodszy brat Pierre'a, rozplakał się głośno i Niemiec wrzasnął na niego, żeby się zamknął. Chłopiec szlochał jednak coraz bardziej, ale nagle pisnął i zamilkł. Madame zaczęła krzyczeć na Niemca, że nie bije się czteroletnich dzieci. Pierre usłyszał odgłos kolejnego policzka, tym razem wymierzonego zapewne kobiecie, ale madame Charpointier nie tak łatwo było uciszyć. Jej oburzony głos niósł się po całym domu. Pierre usłyszał nagle, jak otwierają się na dole drzwi frontowe. Zamieszanie przeniosło się przed budynek, wstał więc i podszedł do okna na strychu, które wychodziło na rue Dupleix. Dwóch żandarmów ciągnęło jego braci i siostrę na tylne siedzenie policyjnego auta, które stało przed kamienicą.

Dwaj Niemcy szarpali się z madame Charpointier, która wciąż wrzeszczała na całą ulicę. Podszedł do nich oficer w czarno-zielonym mundurze. Żołnierze puścili kobietę, a oficer uniósł dłoń na wysokość jej czoła. Pierre usłyszał głośny huk

i madame upadła bezwładnie na ziemię.

– Ciociu Clare! Ciociu Clare! – załkały dzieci, które patrzyły na wszystko z samochodu.

Oficer schował pistolet i wszedł razem z żołnierzami do innego auta, które ruszyło spod budynku z piskiem opon. Madame leżała na plecach z szeroko otwartymi oczami, jakby oglądała przesuające się po niebie chmury.

Przeżaszony Pierre odsunął się od okna, potknął się i upadł na podłogę. Podciągnął nogi do brody, objął je ze wszystkich sił i z rozpaczyc zaczął kołysać się w przód i w tył. Przez cały czas milczał i miał mocno zaciśnięte oczy. Czuł ogromny ból w klatce piersiowej, z którym nie mógł sobie poradzić. Zwijał się na podłodze jakiś czas, aż wreszcie uderzył w dużą skrzynię, na której piętrzyły się stare, zakurzone czasopisma. Gazety osunęły się na niego z łoskotem. Pierre leżał na plecach, próbując złapać oddech, i w końcu zdołał otworzyć oczy.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, był stary prochowiec wiszący na gwoździu w krokwi pod grubą warstwą pajęczyn. Gdy się w niego wpatrywał, zaczął przypominać sobie wszystkie miłe rzeczy, które madame Charpointier dla niego zrobiła. Nowa piłka nożna. Piękny, ciemnoniebieski sweter, który dostał na urodziny. Pieniądze, które mu dała, żeby mógł zabrać braci i siostrę do kina. Wszystkie wieczory, gdy pomagała mu w matematyce. Podniósł rękę do oczu, żeby wytrzeć łzy, i zdziwił się, że wcale nie płacze. Może to dlatego, że odbył bar micwę i był już mężczyzną. Zamiast łez musiał zmagać się z tym strasznym bólem w piersi. Pierre bardzo chciał się rozpłakać, ale nie był w stanie. Pomyślał, że płacz łatwiej byłoby mu znieść niż to klucie w sercu.

Chłopiec usiadł i spojrzał w stronę okna. Zauważył, że z podłogi unosi się do góry wąska wstążka szarobiałego dymu i zdał sobie sprawę, że był to jego papieros, który upuścił podczas tego całego zamieszania. Od jakiegoś czasu przychodził na poddasze późnym popołudniem, żeby potajemnie zapalić. Strych był świetnym miejscem, w którym mógł schować się i cieszyć w spokoju gauloisami. Pierre lubił siadać przy oknie i patrzeć na dachy okolicznych budynków i na niebo nad Paryżem. Sprawiało mu to ogromną przyjemność. Madame zawsze wściekała się na niego za papierosy. Mówiła, że dwunastolatek nie powinien palić, że od tego w ogóle nie urośnie i że zżółkną mu zęby. Pierre znalazł więc sobie kryjówkę na poddaszu. Wiedział, że madame zdawała sobie sprawę, że wymyka się na górę palić, ale nigdy nic mu na ten temat nie powiedziała.

Usłyszał, jak przed domem zatrzymuje się ciężarówka, więc podczołgał się do okna i uniósł się odrobinę, żeby wyjrzeć na ulicę. Żałował, że to zrobił. Z ciężarówki

wysiadło dwóch Francuzów, którzy podeszli do madame i cisnęli jej ciało na ciężarówkę. Pierre był szokowany, że zrobili to z taką bez troską. Mogłoby się wydawać, że podnieśli po prostu jakiś ciężki worek z mąką. Chłopiec oparł się o ścianę pod oknem i zgasił papierosa. Zamknął oczy, myśląc o swoich braciach i siostrze wpychanych siłą do samochodu. Na zawsze już ich takich zapamięta: krzyczących i przerażonych. Pierre nieraz kłócił się z Jean-Claudem, Isabelle i Philippem, często był na nich zły, a czasami nawet miał ich dosyć, ale kochał ich z całego serca. Byli jedyną rodziną, jaka mu została, i wiedział, że już nigdy ich nie zobaczy. Został sam na świecie. I nie rozumiał dlaczego.

Okropne obrazy tego, co się przed chwilą stało, wciąż wracały mu do głowy. Złapał się rękami za skronie, jak gdyby chciał wycisnąć wspomnienia z własnej głowy. Potem uświadomił sobie, że wszystko potoczyło się tak, jak przewidział jego ojciec. Kiedy mówił chłopcu, że chce, żeby zostali u madame Charpointier i udawali chrześcijan, wytłumaczył mu, co może się kiedyś stać. Że pewnego dnia przyjdą po nich bez żadnego ostrzeżenia. Że Niemcy zabiorą jego i jego rodzeństwo i aresztują madame. Wszystko, co powiedział, spełniło się, z tą jedyną różnicą, że madame nie zabrano na tortury do Gestapo, ale zastrzelono na miejscu. Pierre wiedział, że ludzi, którzy ukrywali Żydów, Niemcy karali ze szczególnym okrucieństwem. Ojciec powiedział mu, że Francuzi nienawidzą Żydów, nawet tych, którzy mieszkali w kraju od setek lat. „Nic się dla nich nie liczy. Wydają swoich sąsiadów bez mrugnięcia okiem. Goje mogą się uśmiechać i być dla ciebie mili, ale kiedyś wbiją ci nóż w plecy. Nigdy o tym nie zapomnij” – Pierre pamiętał dobrze jego słowa.

Chłopiec zaczął się zastanawiać, kto mógł zdradzić madame. Czy był to monsieur Charles, w którym kłóciła się zawsze o jego psa? A może był to po prostu ktoś, kto mieszkał naprzeciwko i domyślił się, dlaczego przed rokiem pojawiła się u niej nagle czwórka dzieci. Historyjka madame, że byli dziećmi jej siostrzenicy, nawet Pierre’owi wydawała się mało przekonująca.

Chłopiec poczekał, aż zapadła noc, po czym zszedł na dół do swojego pokoju i spakował trochę swoich rzeczy do dużego plecaka. Wiedział, że dużą część będzie musiał zostawić i zrobiło mu się jeszcze bardziej smutno. Spojrzał z żalem na swoją piłkę i model samolotu oraz na książki o Cesarstwie Rzymskim. Nim wspiął się z powrotem na strych po drabinie, poszedł do pokoju każdego z rodzeństwa i wziął po jednym drobiazgu: ulubioną małą ciężarówkę Jean-Claude’a, pluszowego kotka Isabelle i plażową łopatkę Philippe’a. Sam dotyk tych przedmiotów przypomniał mu, co stało się z jego braćmi i siostrą, i znów mocniej zakłuło go w piersi. „Może to

właśnie mieli na myśli dorośli, gdy mówili, że mają złamane serce”. Pierre uważał zawsze, że to idiotyczne wyrażenie.

Gdy wychodził z pokoju Philippe’a, natknął się na Misha, szylkretowego kota madame. Choć madame Charpointier była dla nich zawsze bardzo miła, to właśnie Misha dodawał jemu i jego rodzeństwu najwięcej otuchy w tych pierwszych dniach po rozstaniu z rodzicami. Kot zamruczał i potarł głową o jego nogę. Pierre schylił się i pogłaskał zwierzątko pod brodą. Następnie spojrzął na swój plecak i postanowił, że zabierze Misha ze sobą. Kot nie protestował. Gdy chłopiec włożył go do środka, położył się na swetrze i od razu zwinął się w kłębek. Pierre delikatnie zamknął plecak.

Wszedł jeszcze do pokoju madame i sięgnął do torebki, która leżała na łóżku. Wyjął z niej pieniądze, po czym zajrzał do komody, gdzie kobieta trzymała swoje oszczędności i wyciągnął z szuflady z pończochami mały woreczek. Ojciec powiedział mu też, że w takich czasach, jak te, pieniądze potrafią uratować życie i warto mieć ich przy sobie jak najwięcej. Pierre nosił wciąż w kieszeni gruby zwój banknotów, który dał mu ojciec, kiedy się z nim żegnał. Chłopiec nie miał już nadziei, że zobaczy jeszcze kiedyś swoich rodziców, ale przy swoich braciach i siostrze udawał, że wszystko jest w porządku. Choć nie dostali od ojca i matki żadnej wiadomości przez ostatnie pół roku, on i madame wciąż ciągnęli maskaradę i ze względu na młodsze dzieci mówili, że tata pojechał w podróż i wkrótce wróci.

Pierre rozejrzał się ostatni raz po mieszkaniu, wdrapał się z powrotem na strych i wyszedł na zewnątrz przez okno. Gdy przemierzał dachy sąsiednich budynków, zastanawiał się, ile czasu minie, nim dopadną go szkopy.



Serrault wiedział, że mężczyzna jest architektem Maneta.

Słońce właśnie zachodziło i tylna część apartamentu była w cieniu, więc Serrault mógł obserwować nieznajomego, pozostając niewidocznym. Żyd przechodził właśnie przez mieszkanie, gdy usłyszał, że ktoś otwiera drzwi wejściowe, więc szybko się ukrył. Był zdziwiony, że mężczyzna jest tak wysoki i elegancki; architekci, z którymi miał do czynienia, byli raczej niewielkiego wzrostu i ubierali się bardzo kiepsko. Nieznajomy ukląkł przy kominku. Zaczął mierzyć wewnątrz ogromnego paleniska, starannie zapisując wymiary w notatniku. Serrault poczuł ulgę; wyglądało na to, że mężczyźnie bardzo zależało na dokładności. Wreszcie jakaś bezpieczna kryjówka. Serrault miał już dosyć tych partackich skrytek, w których on i jego żona, Sophie, musieli spędzić ostatni rok. Wzdrygnął się, gdy pomyślał o dusznym strychu nad śmierdzącym chlewem w małym folwarku na południe od Paryża. Albo o byle jak skleconej wnęce na tyłach szafy, którą Gestapo bez trudu znalazło tydzień po ich przeniesieniu się w inne miejsce.

Serrault i jego żona nie czekali jak większość Żydów, aż rozpoczną się deportacje. O tym, że należy zniknąć, wiedzieli znacznie wcześniej. Ale zanim sami wyjechali, musieli najpierw uratować troje swoich dzieci i czworo wnuków. Ukrywali się więc w kolejnych domach, podążając stopniowo na południe Francji. Gdy dotarli wreszcie do Marsylii, Serrault zdołał załatwić swoim bliskim miejsca na dwóch hiszpańskich frachtowcach płynących do Palestyny. Zajęło mu to siedem miesięcy i kosztowało małą fortunę, ale byli wreszcie bezpieczni. Serrault, człowiek niezwykle bogaty, oddałby ostatni grosz, a nawet własne życie, jeśli miałoby to pomóc tym, których kochał. Rodzina była dla niego całym życiem; bez niej nic nie miało dla niego sensu.

Wszystko, co w życiu robił, robił z myślą o rodzinie. Żył w ten sposób już od pięćdziesięciu trzech lat, od kiedy przybył do Paryża z Nimes z tysiącem franków, aby rozkręcić własny biznes. Największym bogactwem, które ze sobą przywiózł, była jednak wiedza inżynierska, którą kiedyś przekazał mu ojciec. Wierząc, że ma dar do

konstruowania budynków, Serrault szybko założył własną firmę i odnosił sukces za sukcesem – zwłaszcza od momentu, gdy wyspecjalizował się w konstrukcjach betonowych, które całkowicie zmodernizowały budownictwo.

Był dumny, że pomógł Francji stać się liderem w tej dziedzinie, konstruując jedno z pierwszych budynków betonowych na całym świecie. Ale każdą betonową ścianę stawiał z myślą o swojej żonie i dzieciach. Cieszył się z każdego ubrania i każdego kęsa pożywienia, które mógł im zapewnić, z każdego prezentu i każdego wakacji. Szczerze wierzył, że sensem jego życia jest zapewnić własnej rodzinie to co najlepsze. I tak do tej pory było – wielka rezydencja w Paryżu, ogromna posiadłość na wsi, dom nad Morzem Śródziemnym i najlepsza edukacja dla dzieci. Ale wszystko to przepadło. Teraz musieli się oboje z żoną ukrywać jak myszy, przenosząc się od jednej nory do drugiej.

Serrault poznał Auguste'a Maneta podczas weekendowej wizyty w jego posiadłości wiejskiej na początku lat trzydziestych. Choć pochodził z bogatej, arystokratycznej rodziny, nie miał nic przeciwko spotykaniu się z Żydami. Zaimponował Serraultowi tym, że nie bał się złamać kardynalnej zasady wyznawanej przez ludzi z jego klasy społecznej i postanowił otworzyć własne przedsiębiorstwo. Większość arystokratów stała na stanowisku, że praca jest poniżej ich godności. Serrault zawsze uważał, że Manet miał prawdziwy talent do interesów i podziwiał ogromny sukces, jaki udało mu się osiągnąć. Przez kolejne lata kilka razy zjedli razem obiad, a raz nawet Manet zaprosił go do swojej rezydencji w Paryżu. Przez większość czasu Serrault obracał się w kręgach towarzyskich składających się głównie z Żydów i Manet był jednym z niewielu chrześcijan, z którymi w ogóle się spotykał. Nie widzieli się jednak już od kilku lat, więc inżynier był mocno zdziwiony, kiedy Manet skontaktował się z nim w kwestii kryjówki.

Gdy Serrault i jego żona opuścili skrytkę na tyłach szafy, przenieśli się na poddasze do dzielnicy Saint-Germain, ale mężczyzna, który ich przyjął, został aresztowany przez Gestapo i od kilku tygodni siedział w więzieniu. Jego żona była pewna, że Niemcy przyjdą lada moment przeszukać mieszkanie i jeśli znajdą Żydów, aresztują ją i dzieci. Serraultowie musieli odejść. Nie chcieli narażać ludzi, którzy przygarnęli ich z dobrego serca, nie żądając w zamian żadnych pieniędzy. Zawsze byli dla nich niezwykle mili, dzielili się z nimi nawet ciepłymi posiłkami. Wtedy na poddaszu pojawił się Manet. Powiedział, że może ukryć ich w bezpiecznym miejscu i zorganizować dla nich transport do Szwajcarii. Poinformował ich też, że Gestapo chce odebrać im ich majątek i że nie spocznie, dopóki ich nie znajdzie. Serrault nie

miał bladego pojęcia, w jaki sposób milioner dowiedział się o ich losie.

Architekt nadal obmierał kominek. Sam będąc inżynierem, Sarrault był pod wrażeniem pomysłu, aby urządzić kryjówkę w takim miejscu. Niemcy mogą przeszukiwać mieszkanie godzinami, a i tak nigdy ich nie znajdą. Żyd był również wdzięczny, że on i Sophie będą mieli dla siebie całe w pełni umeblowane mieszkanie, otrzymując w ten sposób choćby namiastkę życia, do którego byli przyzwyczajeni, nim zaczęło się to piekło. Koszmar, przez który teraz przechodzili, uświadomił im, jak bardzo nie doceniali tego, co mieli wcześniej. Żyli jednak nadzieję, że ich udręka nie potrwa już długo.

W mieszkaniu było zupełnie ciemno, ale architekt pracował dalej. Odsunął się od kominka na jakieś trzy metry, prawdopodobnie wyobrażając sobie, jak powinna wyglądać fałszywa ściana. Sarrault uśmiechnął się na ten widok, podobała mu się staranność mężczyzny. Po wojnie zadba o to, by ten człowiek miał mnóstwo zleceń. Teraz mógł mu oddać jedynie swojego nowego Citroëna. Cieszył się, że Manet nie zdradził mu nazwiska architekta – miał już siedemdziesiąt osiem lat i wiedział, że Gestapo wyciągnęłoby z niego tę informację na torturach. Mężczyzna włożył notatnik do kieszeni marynarki i skierował się ku drzwiom. Serrault, któremu nogi zdrętwiały od stania tak długo w jednym miejscu, przesunął się w prawo. Podłoga skrzypnęła. W mieszkaniu było tak cicho, że nagły dźwięk natychmiast zwrócił uwagę architekta. Początkowo był tak przerażony, że bał się odwrócić, ale powoli spojrział w ciemność, w której pogrążony był tył mieszkania.

– Kto tu jest? – krzyknął. Głos mu drżał.

Serrault stwierdził, że najlepiej będzie się ujawnić.

– Niech się pan nie boi, monsieur – powiedział, wychodząc spokojnie z cienia.

Rozbawił go widok niezwyklej ulgi, malującej się na twarzy architekta. Prawdopodobnie zamiast uśmiechniętego, elegancko ubranego starca z porządnie ostrzyżoną brodą spodziewał się ujrzeć jakiegoś gestapowca, celującego do niego z pistoletu.

– Co pan tu robi, do cholery?

Serrault zrobił krok w stronę architekta, ale mężczyzna podniósł rękę, dając mu znak, by się nie zbliżał.

– Wszystko w porządku. Wiem, co pan tu robi, monsieur.

– Gówno pan wie. A teraz niech się pan stąd wynosi.

Serrault nie przejął się tonem architekta. Na jego sędziwej, przyjaznej twarzy wciąż rysował się uśmiech.

– Wiem, co pan dla nas robi.

– Nas?

Serrault odchylił połę swojego grafitowego płaszczu, pokazując mężczyźnie żółtą gwiazdę Dawida, przypiętą do czarnej marynarki garnituru. Pod architektem ugięły się nogi; musiał przytrzymać się półki nad kominkiem, aby nie upaść. Inżynier rozumiał reakcję mężczyzny – pewnie po raz pierwszy spotkał jedną z osób, dla których projektował kryjówki. Spotkanie twarzą w twarz ustanawiało między nimi bardzo realną i niebezpieczną więź. Serrault zagrażał jego życiu przez sam fakt, że znajdował się z nim w jednym pokoju.

– Sprawiedliwy z pana człowiek.

– Ja? Sprawiedliwy? Chyba pan żartuje.

– Nie, monsieur, mówię poważnie.

– Jest pan starym głupcem. Dlaczego, u diabła, nie uciekł pan z kraju, kiedy jeszcze miał pan taką szansę?

Pytanie zaskoczyło Serraulta. Było jednak uczciwe i uznał, że zasługuje na odpowiedź.

– Ma pan rację. Gdybym lepiej ocenił sytuację, pewnie jadłbym teraz kolację w Szwajcarii.

– Wszyscy jesteście idiotami. Naród wybrany. Co za żart.

– Zapytał mnie pan, dlaczego zostałem, i mam zamiar panu odpowiedzieć. Zasługuje pan na wyjaśnienie; naraża pan swoje życie, żeby nam pomóc. Moja rodzina mieszka w tym kraju od czasów rewolucji. Wszyscy moi przodkowie walczyli za Francję. Mój ojciec brał udział w wojnie pruskiej, ja sam walczyłem podczas Wielkiej Wojny. To prawda, jestem Żydem. Ale jestem Żydem o francuskich korzeniach i jestem dumny z tego, że jestem Francuzem. Zawsze wierzyłem i zawsze będę wierzył w świetność Francji. Po kapitulacji zostałem w Paryżu, bo chciałem być lojalny wobec mojego kraju i byłem przekonany, że Francja mnie potrzebuje.

– To się chyba pan przeliczył.

– To prawda. Nikt z nas nie miał pojęcia, jak będzie wyglądać życie podczas niemieckiej okupacji. Ale od tego maja, kiedy kazali nam nosić te piękne naszywki, wiedziałem, że nie oszczędzą żadnego Żyda, nawet jeśli ma francuskie nazwisko. Miałem nadzieję, że Vichy będzie w stanie obronić mnie i moją rodzinę, ale jak sam pan powiedział, przeliczyłem się. Nigdy nie uwierzyłbym, że francuski rząd przyłoży rękę do takiej zbrodni.

- Francuski Żyd, polski Żyd... Gestapo nie robi to żadnej różnicy.
- Przepraszam, że przeszkodziłem panu w pracy. Pójdę już – powiedział Serrault.
- Będę zobowiązany.

Starzec ruszył w stronę drzwi, ale po chwili się zatrzymał.

- Słyszał pan kiedyś o Nicholasie Owenie?

– Nie.

– W szesnastym wieku za rządów Elżbiety I miały miejsce w Anglii prześladowania katolików. Zakazano celebrowania mszy, a wszystkich księży uznano za winnych zdrady stanu. Katolicy zaczęli sprawować nabożeństwa potajemnie, a księża musieli się ukrywać, bo inaczej czekały ich tortury i śmierć. Owen projektował i budował we dworach w całym kraju tajne kryjówki dla angielskich jezuitów. Były tak sprytne, że żołnierze mogli przetrząsać dom przez tydzień, a i tak nic nie znajdowali. Ocalił wielu kapłanów.

- A co stało się z nim?

– Złapali go i zakatowali na śmierć w londyńskiej Tower.

- Świetna historia – odparł architekt. – Wiedziałem, że kończy się szczęśliwie.

– Ale był człowiekiem sprawiedliwym. Tak jak pan, monsieur – rzekł Serrault, otwierając drzwi.



Musimy podwyższyć dach. Berlin zdecydował się zamontować w środku dźwig na stałe. Fabryka będzie działać o wiele sprawniej, jeśli na miejscu na stałe ustawimy podnośnik – powiedział Herzog, wypuszczając przez usta dym z papierosa. Odkąd przyszedł przed dwiema godzinami do pracowni Luciena, żeby omówić konieczne zmiany w projekcie zakładów w Tremblay, zdążył wypalić już całą paczkę.

Alain wstał od swojego stołu kreślarskiego i podszedł do planów fabryki.

– Można by podnieść kąt nachylenia dachu w tym miejscu. Powstanie wtedy wrażenie, że łączy się z główną częścią, a bryła wciąż będzie wyglądała zgrabnie – zasugerował, wskazując na przednią elewację budynku. – Warto też zostawić w dachu otwór, żeby jakiś inny żuraw był w stanie wyciągnąć wewnętrzny dźwig w jednym kawałku. Unikniemy wtedy niepotrzebnego rozmontowywania.

– Znakomity pomysł, młodzieńcze. – Herzog poczęstował Alaina papierosem. – Lucien, zatrudniłeś bardzo mądrego dzieciaka.

Architekt spojrział na chłopaka spode łba. Sam miał zamiar powiedzieć to samo w kwestii linii dachu. Nie cierpiał, kiedy ktoś – a już zwłaszcza jakiś dzieciak prosto po studiach, który sądzi, że pozjadał wszystkie rozumy – mówił mu, jak powinien projektować budynek. Ale widział, że Alain zaimponował Niemcowi, przez co Lucien wypadł korzystnie jako jego pracodawca. Postanowił więc nie robić z tego wielkiej sprawy. Alain nie po raz pierwszy wtykał nos w jego projekty. Uważał, że główne wejście do fabryki w Chaville powinno być niższe, żeby zmniejszyć skalę frontowej elewacji, i że okna powinny być pionowe, a nie poziome. Lucien miał ochotę powiedzieć mu, by szedł do diabła, ale trzymał język za zębami.

Wiedział, że nie powinien narzekać. Alain był najlepszym pracownikiem, jakiego kiedykolwiek miał. Rysował nienagannie, był niezwykle inteligentny i – co najważniejsze – znał się na konstrukcji budynków jak mało kto. Ale irytował Luciena swoją przemądrzałością. Wszystkie dzieciaki po architekturze były strasznie nadęte i pewne siebie – myślały, że zaraz po szkole potrafią zaprojektować Bóg wie co. Alain może i był wzorem pracownika, ale nie traktował Luciena jak swojego

mentora i nie słuchał jego rad. Uważał, że ich nie potrzebuje.

– Drzwi frontowe wyglądają trochę mizernie. Będą musiały pomieścić codziennie mnóstwo pracowników, i to na trzech zmianach – zauważył chłopak.

Luciena zaczął ogarniać gniew.

– Można by poszerzyć wszystkie wejścia z przodu o jakieś pół metra – odparł Herzog, dotykając drzwi na planie zadbanymi palcami. – Co o tym sądzisz, Lucien?

Lucien posłał Alainowi nienawistne spojrzenie. Chłopak odpowiedział mu uśmiechem.

– Żaden problem. Mamy mnóstwo miejsca, możemy je poszerzyć – odrzekł architekt.

– Świetnie. Alain, czy możesz od razu nanieść zmiany na plan?

– Oczywiście, panie majorze. Jutro będą gotowe.

Co za wstrętny wazeliniarz, pomyślał Lucien, uśmiechając się nieszczerze.

– Panie majorze, czy tylne drzwi też poszerzyć? – spytał Alain.

– Tak, to dobry pomysł.

Ołówek, który Lucien trzymał w ręce, pękł na pół.

– Alain, czy mogę prosić pana na chwilę do magazynku?

Gdy tylko Lucien zamknął drzwi za Alainem, chwycił go za kłapy marynarki.

– Słuchaj, gówniarzu, jeśli jeszcze raz odezwiesz się, by coś zasugerować, urwę ci jaja i wepchnę ci je do nosa.

Alain patrzył architektowi prosto w oczy, ale nie powiedział ani słowa. Lucien opanował się po chwili i puścił chłopaka. Natychmiast pożałował tego, co zrobił, ale nie zamierzał przeproszać. Obaj wrócili do pracowni.

– Stanowimy we trzech doskonały zespół, nieprawdaż? – odezwał się Herzog. – Czas na obiad. Co powiecie na Café Hiver? Ja stawiam, panowie.

Lucien wiedział, że Café Hiver jest lokalem zarezerwowanym wyłącznie dla Niemców i że żaden Francuz go tam nie zobaczy, z chęcią więc przyjął zaproszenie.

– To miło z twojej strony, Dieter, ale zanim pójdziemy, chciałbym jeszcze pokazać ci kilka szkiców do nowej fabryki. To zajmie tylko minutę. Alain zaraz je przyniesie, są na moim biurku.

Lucien wiedział, że Alain nie cierpiał być traktowany jak chłopiec na posyłki i nie był zdziwiony, gdy chłopak spojrzał na niego gniewnie, zanim podszedł do biurka. Nie przejmując się wcale, czy bierze właściwe rysunki, Alain zgarnął z blatu kilka arkuszy kalki technicznej i pomaszerował z powrotem do architekta.

Lucien omawiał z Herzogiem szkic po szkicu, aż wreszcie na stole pozostała tylko jedna kartka. Nim architekt zdążył coś zrobić, Niemiec podniósł rysunek i przez chwilę się mu przyglądał.

– Hmm... Nie poznaję tego detalu. Co to jest? Coś do maszynowni?

Po plecach Luciena przebiegł lodowaty dreszcz, a jego oczy rozszerzyły się nieznacznie ze strachu. Delikatnym ruchem wyjął Herzogowi szkic z ręki. Alain, który cały czas mu się przyglądał, zauważył jego reakcję.

– Wygląda jak metalowa rama na jakimś murze. Nic mi pan o tym nie wspominał. Czy mam to dodać do głównego projektu? – spytał chłopak.

– To fragment innego zlecenia. Nie ma nic wspólnego z tym, co robimy dla majora Herzoga – odparł Lucien. – Musiałem niechcący położyć go z innymi rysunkami na biurku.

– Jakiego zlecenia? – dopytywał Alain.

– To... nic takiego – powiedział Lucien. – No, skoro skończyliśmy, chodźmy coś zjeść.

Architekt odniósł stos arkuszy na swoje miejsce, ale zatrzymał się, by złożyć jeden z rysunków, po czym schował go do środkowej szuflady biurka. Następnie zamknął szufladę na klucz.



Alain kłęczał w środku nocy przy biurku Luciena, manipulując szczyrzykiem przy zamkniętej szufladzie, i przypominał sobie dziwne wydarzenia z poprzedniego dnia. Zauważył, że Lucien był mocno wstrząśnięty, prawie nie tknął obiadu i niemal w ogóle się nie odzywał. Kiedy Herzog znalazł tamten szkic, architekt zachowywał się tak, jakby zobaczył ducha. Alain zorientował się, że coś jest naprawdę na rzeczy, gdy Lucien powiedział mu, że nie zamierza wracać po obiedzie do pracowni i że on też na resztę dnia może wziąć sobie wolne. Kiedy zaprotestował, że musi nanieść na plan poprawki, które obiecał majorowi, architekt wrzasnął na niego, że powinien zacząć cieszyć się życiem, a nie spędzać cały dzień w pracy.

Alain wciąż był wściekły na myśl o tym, co zdarzyło się w magazynku. Jak ten parszywy dyletant śmiał go tknąć i grozić mu w ten sposób? Przez krótką chwilę Alain miał ochotę dzielić go w brzuch, ale się powstrzymał. Popsułoby mu to relacje z Niemcami, znowu zostałyby bez pracy, a wuj Hermann pewnie nie miałby już jak mu pomóc w znalezieniu czegoś nowego. Z każdym kolejnym dniem odczuwał do architekta coraz większą niechęć. Lucien cały czas go upokarzał i traktował jak jakieś popychadło. Jakby mu się wydawało, że o architekturze wie wszystko. Nic nie można mu było powiedzieć. Herzog doceniał każdy pomysł Alaina – dlaczego jego szef nie był w stanie tego dostrzec? To, co zrobił wczoraj, było kroplą, która przepełniła czarę. Alain jeszcze mu pokaże.

Gdy wrócił po południu do domu, próbował wymyślić, co mogło aż tak przstraszyć Luciena. Dlaczego rysunek jakiegoś muru tak go zdenerwował? Alain nie mógł zasnąć; pytanie cały czas nie dawało mu spokoju. Postanowił, że musi zobaczyć ten szkic jeszcze raz. Czytał do drugiej w nocy, potem podniósł się, ubrał i poszedł do pracowni. Po tygodniu pracy Lucien dał albo mu, albo Alainowi oddzielny klucz, żeby mógł wychodzić później, jeśli chciał dokończyć jakiś rysunek. Alain wiedział, że dużo ryzykuje, wychodząc na ulicę po godzinie policyjnej. Niemcy mogli go zgarnąć w każdej chwili. Ale nie bał się aresztowania. Gdyby rzeczywiście ktoś go zatrzymał, wystarczyło zadzwonić do wuja, żeby

wyjaśnił nieporozumienie.

Alain cierpliwie poruszał ostrzem szczyryka we wszystkie strony, aż coś wreszcie kliknęło. Otworzył szufladę i znalazł wśród papierów złożony szkic. Zanim go wyciągnął, zapamiętał dokładnie, w którym miejscu leżał. W pracowni panowała absolutna ciemność, więc Alain zdjął lampę z biurka, postawił ją na podłodze i przyjrzał się rysunkowi w świetle żarówki. Był to ten sam szkic, który widział rano – metalowa rama wielkości jednego metra kwadratowego z cegłami w środku. Obrócił kartkę i znalazł tę samą ramę narysowaną z innej perspektywy. Tym razem do cegieł przymocowane było coś, co wyglądało jak żeliwny ruszt do kominka. Alain obejrzał szkic ze wszystkich stron, ale nie potrafił nic zrozumieć. Lucien nigdy nie wspominał, że pracuje nad jakimś wnętrzem, a to był tylko jakiś dziwny detal, nawet nie żaden porządny projekt.

Na kartce było również kilka notatek zrobionych ołówkiem. Większość dotyczyła rozmiarów ramy; jedna mówiła, że nowa zaprawa powinna komponować się ze starą. Alain usiadł na drewnianej podłodze i potarł oczy. Zaczynał robić się senny i nie mogąc rozwikłać zagadki, postanowił wrócić do domu. Kiedy odkładał szkic na miejsce, usłyszał dźwięk ruszającej do góry windy. Szybko zamknął szufladę i odstawił na biurko lampę, po czym stanął przy drzwiach i nasłuchiwał. Gdy winda zatrzymała się na wysokości pracowni, wiedział już, kto zaraz wyjdzie na korytarz. Przeszedł na palcach przez pokój i ukrył się w magazynku. Gdy przymykał drzwi, usłyszał zgrzyt klucza w zamku i pstryknięcie przełącznika, zapalającego światło.

Przez szparę uchylonych drzwi Alain widział, jak Lucien szybkim krokiem podchodzi do biurka i otwiera szufladę. Architekt ostrożnie wyciągnął z niej szkic, rozłożył kartkę i przyglądał się jej przez chwilę z poważnym wyrazem twarzy, jak gdyby widział ją pierwszy raz w życiu. Potem popatrzył przed siebie, przez minutę zastygł w bezruchu, a kiedy wreszcie się ocknął, złożył rysunek z powrotem i schował go do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wreszcie usiadł na krześle, sięgnął po telefon i wykręcił numer.

– Wiem, że jest późno, ale muszę z panem porozmawiać – powiedział. – To ważne. Musimy wstrzymać na chwilę pracę nad kominkiem... Nie, nic się nie stało. Myślę po prostu, że powinniśmy jeszcze poczekać... Potrzebuję trochę więcej czasu... Wiem, ile ludzi jest w to zaangażowanych... Sam siedzę w tym po uszy... Dobrze, niech będzie, dostanie pan rysunek jutro... Nie, obiecuję. Dostarczę go tam, gdzie zawsze... Ma pan moje słowo, monsieur Manet... Mówię przecież, że wszystko

w porządku... Nerwy mi puszcza... Nie, nie wiem, dlaczego – uciął i odłożył słuchawkę.

Przysunął się do biurka i zaczął coś rysować na kolejnym arkuszu białego papieru. Po jakichś dwudziestu minutach wstał i zapalił zapałkę. Wyciągnął z kieszeni pierwszy rysunek, przytrzymał go nad ogniem i patrzył, jak płonąca kartka czarnieje i zamienia się w popiół. Następnie wziął z biurka nowy szkic, złożył go i wsunął do marynarki. Poprawił jeszcze rzeczy na biurku i wyszedł z pracowni.

Alain obserwował to wszystko coraz bardziej podekscytowany. Zawsze uwielbiał kryminały i filmy detektywistyczne. Miał teraz przed sobą prawdziwą zagadkę, którą trzeba było rozwikłać. Nadal nie rozumiał, o co chodzi z tym detalem, ale był pewien, że wyjaśnienie tajemnicy jest tylko kwestią czasu. To, że Manet również był zamieszany w całą sprawę, czyniło ją jeszcze bardziej fascynującą. Alain podszedł do drzwi i gdy upewnił się, że winda zjechała na parter, usiadł na chwilę, aby się zastanowić. Musi chodzić o coś bardzo niebezpiecznego, skoro intryga jest aż tak skomplikowana. Tylko po co tyle szumu wokół zwykłego kominka?



Za chwilę zdejmę ci chustkę. Gotowa?

Adele uwielbiała tę grę. Zawsze bardzo ją podniecała. Gdy zjedli obiad w małej knajpce w Sevan i wrócili do auta, Schlegal zawiązał jej oczy i powiedział, że ma dla niej wspaniałą niespodziankę. Podczas jazdy samochodem Adele czuła się niesamowicie: nic nie widziała, ale jej słuch i węch stały się bardzo wrażliwe. Odczuwała każdą wibrację auta, a zapach ściętego żyta, który dobiegał z mijanych pól, był wręcz obezwładniający. Wkrótce samochód się zatrzymał, Niemiec pomógł jej wysiąść i poprowadził ją delikatnie przez kamienną ścieżkę.

– Zaraz zwariuję z ciekawości, ty niedobry człowieku.

– Jeszcze tylko kilka kroków – powiedział gestapowiec, ściągając jej z oczu białą chustkę.

– Mój Boże, jest wspaniały! – westchnęła Adele.

– Jest cały twój, kochana. Wszystkie trzydzieści pokoi. Dopóki Rzesza nie postanowi, jak inaczej go wykorzystać.

Stali przed ogromnym, siedemnastowiecznym pałacem myśliwskim z narożnymi wieżyczkami zwieńczonymi stożkowatym dachem. Budynek otoczony był przez wiekowy, gęsty las, którego wysokie drzewa niemal zasłaniały słońce.

– Wygląda prawie jak Chateau de Chambord. Zaproszono mnie tam kiedyś na kolację, wspominałam ci o tym?

– Owszem, setki razy, najdroższa – odparł Schlegal. – Teraz masz swój własny pałac i możesz zrobić z nim, co zechcesz.

– Nie mogę się doczekać, kiedy pokażę go Bette. Pęknie z zazdrości – zachichotała. Obcasy zastukały na kamiennej ścieżce, gdy pomknęła do ogromnych drzwi frontowych. Otworzyła je na oścież i wpadła do środka. Kiedy Schlegal wszedł do holu, biegała już po całym parterze.

– Jest w pełni umeblowany – krzyknęła.

– Aż do najdrobniejszego sprzętu w kuchni, która notabene jest wielkości sali balowej.

– Będę mogła wydawać przyjęcia na dwieście osób. Co najmniej.

– Co najmniej – przytaknął Niemiec.

Adele widziała, że jej kochanek jest bardzo z siebie zadowolony – miał świadomość, że tym „skromnym” prezentem zdołał podbić jej serce.

– Skąd masz taką posiadłość?

– Należała do pewnego francuskiego arystokraty. Ukrywał tu Żydów, ale zdołali się nam wymknąć.

– Musiałeś być mocno niepokieszony, kochanie – odrzekła Adele z lekką drwiną w głosie.

– To prawda, dlatego Rzesza postanowiła zająć majątek.

– A co się stało z właścicielem?

– Jest w Szwajcarii i już nigdy nie postawi nogi w domu przodków.

– Co za idiota. Stracić coś takiego, żeby ocalić kilku Żydów – parsknęła.

– Zdziwiłabyś się, skarbie, gdybyś wiedziała, ilu Francuzów jest w stanie ryzykować dla nich własne życie. I mówię o ludziach, którzy pochodzą z rodzin o wielowiekowych tradycjach.

Adele, kompletnie niezainteresowana, odwróciła się w stronę wielkich schodów.

– Obejrzyjmy resztę pałacu. Założę się, że będę pierwsza na górze – zaśmiała się, zrzucając buty.

Schlegal ruszył za nią, wspinając się po drewnianych, rzeźbionych stopniach. Kobieta pobięła przodem; zaglądała do kolejnych pomieszczeń i okrzykami zachwytu witała każdy nowy skarb, jaki udało jej się dojrzeć.

Zniknęła w drzwiach na końcu korytarza i po chwili wyłoniła się z nich znowu, opierając się zalotnie o futrynę.

– Melduję, że znalazłam główną sypialnię, panie pułkowniku – powiedziała, rozpinając powoli guziki białej, jedwabnej bluzki i odsłaniając czarny stanik, który Schlegal tak uwielbiał.

– Hmm... Pozwól, że zweryfikuję twoje odkrycie – odparł.

Schlegal otarł się o ciało Adele, mijając ją i wchodząc do środka. Rzucił czapkę na łóżko i zdjął czarną kurtkę. Gdy się odwrócił, Adele stała przed nim już zupełnie naga. Była z siebie bardzo dumna, gdy powiedział jej kiedyś, że żadna inna kobieta, którą zna, nie potrafi się rozebrać tak szybko. Zdjął mundur, przyciągnął ją do siebie i złożył na jej ustach długi, niespieszny pocałunek. Adele zarzuciła mu ręce na szyję i objęła go nogami w pasie. Złapał ją za pośladki i zaczął krążyć po sypialni, cały

czas namiętnie ją całując.

Podszedł do niewielkich schodów prowadzących do małego gabinetu, położył Adele na stopniach i wszedł w nią. Zawsze lubiła kochać się w nietypowych miejscach – na łódce na Sekwanie lub na szczycie Notre Dame – więc seks na schodach bardzo ją podniecił. Schlegal również nie mógł opanować pożądania i napierał na Adele coraz bardziej wściekłymi ruchami. Stał mocno obiema nogami na podłodze, żeby zapewnić sobie lepsze podparcie. Przez cały czas miał jednak wrażenie, że coś jest nie tak, choć nie potrafił skonkretyzować co. Ku ogromnemu rozczarowaniu Adele zatrzymał się nagle w pół ruchu i spojrzał na stopnie, na których leżała.

– Nie masz wrażenia, że schody się ruszają? – spytał. – Zdawało mi się, że podnoszą się i opadają razem z nami.

– Nie, kochanie; myślami byłam gdzie indziej. I bardzo chciałabym nadal tam być.

Schlegal naparł na nią gwałtownie.

– Naprawdę się ruszają – stwierdził, po czym wstał, zostawiając Adele leżącą na stopniach.

– I co z tego? Wracaj tu, na miłość boską! – wrzasnęła.

– Złaż ze schodów – warknął. Kobieta podniosła się i stanęła obok niego.

Niemiec nachylił się, chwycił krawędź dolnego stopnia i pociągnął w górę. Udało mu się z trudem podnieść całe schody, odsłaniając leżący pod spodem materac.

– Co to do cholery jest? – zawołała Adele. – Na co komu materac pod schodami?

Schlegal poruszył klapą kilka razy w górę i w dół.

– Na górze są zawiasy, a w środku zamontowany jest rygiel blokujący pierwszy stopień – mruknął.

Uśmiechnął się nagle i z łoskotem opuścił schody, a po chwili wybuchnął dzikim śmiechem.

– Bardzo sprytne – powiedział wreszcie. – Więc to tu ukryli się ci Żydzi, których szukaliśmy. Nic dziwnego, że nie mogliśmy ich znaleźć. Siedzieli tu cały czas. A my sądziliśmy, że uciekli tylnym wejściem.

– I czemu aż tak cię to cieszy? – spytała Adele, która zaczynała już drzeć.

– Podziwiam czyjąś kreatywność. Założę się, że w czasie przeszukania moi ludzie przechodzili tędy parę razy – odparł Schlegal, siadając na schodach.

– Wymyślił to ten Francuz, który uciekł do Szwajcarii?

– Arystokraci są zbyt głupi, żeby wpaść na coś takiego. To musiał być ktoś inteligentny i pomysłowy.

– Mój przyjaciel, Lucien, jest architektem. Mógłby popytać i trochę powęszyć. Zna mnóstwo ludzi zajmujących się budownictwem.

– Twój kochanek modernista?

– Były kochanek. Ten, który projektuje dla Rzeszy kilka ważnych fabryk.

Adele usiadła obok Niemca, objęła go ramionami i zaczęła skubać go w ucho, ale Schlegal ją odepchnął.

– Pytanie tylko... czy to odosobniony przypadek... czy może jest więcej takich kryjówek? Czy we wszystkich tych budynkach i mieszkaniach, które przeszukiwaliśmy, Żydzi ukrywali się tak blisko?

Adele westchnęła. Podeszła do łóżka, ściągnęła z niego narzutę i owinęła się w nią. Sięgnęła do leżącego na podłodze munduru, wyjęła z kieszeni papierosa i zapaliła.

– Żydzi mają mnóstwo pieniędzy i są w stanie przekupić każdego. A że we wszystkich da się kupić, nawet jeśli w grę wchodzi ryzykowanie życiem, to pewnie takich skrytek jest w Paryżu dużo więcej. Uniemożliwiliście Żydom wyjazd z Francji, więc muszą się teraz chować. Założę się, że siedzieli tuż pod waszym nosem, kiedy wywracaliście tu wszystko do góry nogami – powiedziała Adele ze śmiechem.

Leżała na łóżku przykryta narzutą. Zauważyła, że jej ostatnie zdanie mocno ubodło gestapowca. Przyglądała się z zainteresowaniem, jak wściekły i zawstydzony zakłada koszulę. Został wystrychnięty na dudka przez Żydów, których uważał za podludzi, i jego aryjska duma bardzo z tego powodu cierpiała. Dobrze przynajmniej, że nikt więcej nie wiedział o jego upokorzeniu. Zaczął właśnie zapinać guziki swojej białej koszuli, gdy Adele odrzuciła narzutę i rozchyliła nogi.

– Panie pułkowniku, wydaje mi się, że Rzesza ma tu jakieś niedokończone sprawy – odezwała się słodkim, dziecięcym głosem.

Schlegal odwrócił się, spojrzał na nią i roześmiał się. Ściągnął koszulę i wskoczył na łóżko. Kochali się przez kilka godzin, ale Adele wiedziała, że przez cały ten czas myśli pułkownika były gdzie indziej.



Lucien zawsze nienawidził Liebera za krytykowanie jego projektów, ale teraz, gdy prowadził pijanego bydlaka po ciemnych, pustych ulicach, szkop budził w nim nie tylko nienawiść, ale również obrzydzenie i wstręt. Niemiec pił nieprzerwanie od dziewiątej wieczorem i był już porządnie wstawiony. Ponieważ kawiarnię zamykano przed północą ze względu na godzinę policyjną, Lucien, Herzog i Manet byli zmuszeni poszukać innego miejsca, w którym pułkownik mógłby chlać dalej. Wokół nie było żywej duszy. Wszyscy Francuzi musieli być w domach, a żołnierze w barakach, więc ulice należały do niemieckich oficerów, których nie obowiązywała godzina policyjna. Każdej nocy między północą a szóstą rano w Paryżu panowała zupełna cisza, przerywana tylko stukiem podkutych butów pięciosobowych niemieckich patroli, pojedynczym strzałem lub dochodzącą gdzieś z oddali serią z karabinu maszynowego. Przejeżdżający samochód oznaczał, że Gestapo zgarnęło jakiegoś nieszczęśnika.

Zwykle Lucien starał się unikać Liebera jak ognia, ale tego wieczoru do spotkania przymusił go Herzog, tłumacząc, że sam przyjdzie wbrew własnej woli i w związku z tym architekt też idzie z nimi. Towarzyszyły im trzy bardzo pijane francuskie prostytutki, z których każda trzymała w rękach butelkę znakomitego wina. Dziewczęta pracowały w specjalnym burdelu, obsługującym wyłącznie Niemców – jednym z siedemnastu takich w Paryżu. Rzesza niemal obsesyjnie starała się nadzorować seks między swoimi żołnierzami i Francuzkami, bojąc się epidemii chorób wenerycznych, więc na świadczenie usług seksualnych pozwalano jedynie tym dziwkom, które przechodziły regularne kontrole lekarskie.

Lucien podejrzewał, że trzy panny przyjechały do miasta ze wsi, próbując – tak jak wiele innych – uciec przed biedą spowodowaną śmiercią mężów czy kochanków. Céline, Jeanne i Suzy (jeśli takie miały rzeczywiście imiona) odznaczały się prostą, naturalną urodą i różniły się bardzo od typowych, tandetnie wymalowanych paryskich prostytutek. Urzekły Luciena tym, że miały profesjonalnie przygotowane karty z wyszczególnionymi usługami i cenami – i to zarówno po francusku, jak

i niemiecku. Nawet wizytówki miały lepsze niż on. Kobięce wrzaski i śmiechy sprawiły, że w kilku oknach zapaliły się światła i ludzie zaczęli wyglądać na ulicę, chowając się za zasłonami. Zazwyczaj Niemcy byli zmotoryzowani, ale tej nocy z jakiegoś powodu nie mieli auta, więc cały pochód skręcił w rue de Rivoli. Noc była wyjątkowo zimna i wilgotna jak na wrzesień i zaczynało nawet trochę mżyć.

– Do diabła, Bernard, musimy się gdzieś schować. Dziewczynom zaraz odmarzną cycki, a tego byśmy nie chcieli. Znajdź mi jakiś lokal. W tej chwili – zakomenderował Lieber. Dziewczęta zawtórowały mu radosnym piskiem, a jedna z nich pocałowała pułkownika w policzek.

Lucien widział, że Herzog, który ewidentnie chciał już wrócić do domu i położyć się spać, był zdesperowany.

– Jaka to ulica, Lucien? – zapytał major z lekką irytacją w głosie.

– Rue de Rivoli – wysapał architekt, podtrzymując przy pomocy Maneta pijanego Liebera.

– Manet, nie ma pan przypadkiem mieszkania przy rue du Renard? – spytał Herzog. – To następna ulica w lewo, prawda?

Manet puścił nagle ramię Liebera i Niemiec osunął się na chodnik; Lucien nie był w stanie sam utrzymać jego ciężaru. Milioner stanął jak wryty i rozejrzał się dookoła, jak gdyby dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje. Wszyscy zamilkli, czekając na jego odpowiedź.

– Skąd pan to wie, panie majorze? Szpieguje mnie pan? – zapytał Manet, uśmiechając się.

– Wehrmacht zawsze bardzo dokładnie sprawdza wszystkich swoich wykonawców – ryknął Lieber. – Musimy mieć pewność, czy nie robimy przypadkiem interesów z Żydem albo komunistą. Nie jest pan Żydem, prawda?

Dziewczyny zareagowały na pytanie piskliwym śmiechem. Suzy podeszła do Maneta i cmoknęła go w policzek.

– Mnie on na Żyda nie wygląda, Maksiu – powiedziała, muskając milionera palcem po nosie.

– No to ma pan to mieszkanie przy rue du Renard czy nie? – dopytywał Lieber.

– Chwileczkę... Niech pomyślę. Tak, to jest rue de Rivoli i...

– Do licha, człowieku, nie wiesz nawet, gdzie jest twoja własność? Biedaczek, musi mieć tytyl mieszkań, że nie może się już ich doliczyć.

Prostytutki uznały komentarz Liebera za szalenie zabawny.

Manet rzucił Lucienowi rozpaczliwe spojrzenie. Architekta również zaczęła ogarniać panika.

– No, niech pan nam powie – poprosił Lieber. – Która to kamienica?

– Numer... 29 – wyszeptał Manet.

– Powiedział pan 29, monsieur Manet? – zapytał Herzog.

– Tak, zaprowadzę panów – odparł Manet. Lucien miał ochotę wziąć nogi za pas, ale zebrał się w sobie, chwycił Liebera i ruszył ulicą, zgięty pod jego ciężarem.

– Noc jest wciąż młoda – wrzasnęła pułkownik w niebo zasnuwane chmurami. – Drogie panie, dobrze pilnujcie tego cennego nektaru, będziemy potrzebować dziś każdej kropli.

Dziewczyny przycisnęły butelki mocniej i roześmiały się.

Gdy dotarli na rue du Renard 29, Manet powiedział, że musi obudzić konsjerżkę i poprosił, by poczekali na niego na korytarzu przy wejściu. Musiał walić w drzwi przez niemal pół minuty, nim zaspana i wściekła staruszka wreszcie mu otworzyła. Kobieta miała już zamiar zacząć litanie przekleństw i wyzwisk, gdy dotarło do niej, że stoi przed nią właściciel. Manet wepchnął ją do mieszkania i zamknął za sobą drzwi. Mijały minuty i Lieber zaczął się denerwować.

– Do ciężkiej cholery, czemu to tyle trwa? Przecież miał tylko zabrać klucz.

Lucien wiedział doskonale, dlaczego Manet potrzebuje tyle czasu. Musiał zadzwonić do Żydów, którzy ukrywali się w mieszkaniu, aby ich ostrzec. Nie mógł pójść na górę sam, nie wzbudzając podejrzeń Niemców. Milioner wyszedł wreszcie na korytarz, ściskając w ręku klucz.

– Przepraszam, że musieli panowie tyle czekać. Madame Fournier zapodziała gdzieś klucz.

– Powinien pan zwolnić tę tępą sukę – powiedział Lieber. – Ja bym tak zrobił.

Herzog przewrócił oczami i poprowadził pułkownika w stronę windy. Kabina była na szczęście na trzecim piętrze, więc musieli poczekać, aż zjedzie na dół. Lucien modlił się, by Lieber stracił przytomność, ale wydawało się, że kanalii jak na złość wróciły siły.

Winda jęknęła, gdy wladowali się wszyscy do środka, ale zdołała dowieźć ich na piąte piętro. Manet otworzył drzwi, a Lucien wstrzymał oddech. Mieszkanie było jednak pogrążone w całkowitym mroku i wydawało się puste. Może nikt jeszcze z niego nie korzystał. Ściągając płaszcz, architekt rzucił w stronę kominka dyskretne spojrzenie, ale nie był w stanie stwierdzić, czy ktoś przesunął ruchomą ścianę.

Wyglądała zupełnie normalnie. Lucien uśmiechnął się do siebie – kryjówka za paleniskiem zdecydowanie biła na głowę schody w pałacu myśliwskim.

– A zatem niech rozpocznie się libacja – zaryczał Lieber. – Manet, w tak wspaniałym mieszkaniu jak to muszą być jakieś szklanki. Niech nam pan coś przyniesie.

Apartament w ogóle nie wyglądał na zamieszkały. Nie było żadnych śladów wskazujących na czyjąś obecność. Ale kiedy Manet wrócił z kuchni, niosąc na tacy komplet niskich szklanek, Lucien dostrzegł w jego oczach wyraźny strach. Żydzi musieli tu być.

Towarzystwo rozsiadło się na stylowych meblach. Lieber rozłożył się na sofie, kładąc nogi na kolanach Céline, która gładziła jego wysokie buty i nie mogła nachwalić się znakomitej jakości skóry, z której były zrobione. Herzog usiadł w tapicerowanym fotelu na drugim końcu pokoju i patrzył na Liebera z nieskrywanym obrzydzeniem. Kiedy Jeanne podeszła do niego i usiadła na poręczy fotela, machnęła na nią ręką, by sobie poszła. Dziewczyna przysiadła się do Luciena.

– Manet, włącz jakąś muzykę – zażądał Lieber.

– Zobaczę, co leci w radiu, pułkowniku – odparł milioner, podchodząc do eleganckiego odbiornika stojącego pod ścianą. Gdy przekręcił włącznik, mieszkanie wypełniło się przyjemną, taneczną muzyką. Francuskie radio, które nadawało głównie niemiecką propagandę, działało tylko w ciągu dnia, ale zawsze można było znaleźć jakąś muzykę ze Szwajcarii lub Anglii – choć słuchanie zagranicznych radiostacji było oficjalnie zabronione.

– Manet, pańska firma robi dla Rzeszy kawał dobrej roboty. Razem stworzymy taką maszynę wojenną, że naszym wojskom broni starczy na lata. Pańskie zdrowie, monsieur – wrzasnął Lieber, wznosząc toast w kierunku milionera. Manet uniósł szklankę.

– Pańskie również, Herzog. Z takimi zasługami wobec ojczyzny za rok będzie pan pułkownikiem.

Major podniósł nieznacznie szklankę w odpowiedzi i wrócił do przeglądania książki, którą wyciągnął ze stojącego obok wysokiego regału. Jeanne, która przysiadła obok Luciena na brzegu skórzanego fotela, położyła długie, smukłe nogi na kolanach architekta i dołała sobie wina.

– Jak ci się podobają, kochasiu? – spytała, poklepując zgrabne uda.

– Naprawdę śliczne. Mało kto w Paryżu nosi wciąż jedwabne pończochy – odrzekł Lucien.

– Trzeba być wyjątkową dziewczyną... i znać odpowiednich ludzi – powiedziała, zerkając w stronę Liebera.

– O, założę się, że w twojej pracy łatwo takich poznać.

Zaśmiała się tak głośno, że architektka rozboleła uszy.

– W Maison de Chat obsługujemy wyłącznie oficerów, nie jakichś tam podrzędnych żołnierzyków. A oni wiedzą, jak traktować kobietę – odparła, przykładając swoją szklankę do ust Luciena. Wino było naprawdę dobre, więc opróżnił szklankę jednym haustem. Spojrzał na jej ładną, ujmującą twarz w kształcie serca i uśmiechnął się. Nie potępiał jej za to, że sypiała ze szwabami. Dziewczyny takie jak ona, które w czasie pokoju odsądzano od czci i wiary, miały teraz szansę odegrać się, nawiązując kontakty z okupantami, którzy rządzą krajem. Wreszcie mogły patrzeć z góry na tych, którzy pogardzali nimi przed wojną.

– Oooh, ktoś tu jest bardzo spragniony. Chcesz jeszcze trochę?

– Może za chwilę, skarbie.

– To czym się zajmujesz, przystojniaku? – spytała, bawiąc się jego kręconymi włosami. Wiedział, że za moment będzie próbowała zaciągnąć go do sypialni, za co przyjdzie mu później słono zapłacić.

– Jestem architektem.

– A co to znaczy? – Jej pytanie sprawiło, że Herzog spojrział z zażenowaniem w ich kierunku.

– Projektuję budynki.

– Jak inżynier?

– Niezupełnie.

– Coś jak dekorator wnętrz?

– Nieważne. Należ mi wina. „Czego można się spodziewać” – pomyślał Lucien. „Skoro normalni, przyzwoici ludzie nie mają pojęcia, czym zajmuje się architekt, to skąd ma to wiedzieć dziwka?” Suzy, siedząca w fotelu naprzeciwko Liebera, zaczęła energicznie rozcierać dłonie i posłała pułkownikowi grymaśne spojrzenie.

– Zimno ci, kochanie – domyślił się Lieber. – Manet, cholera, straszny tu ziąb. Wy, Francuzi, gównie wiecie o centralnym ogrzewaniu. W niemieckich domach jest zawsze ciepło i przytulnie. Jaja można sobie tu odmrozić.

– Wcale nie jest tak zimno. Jest dopiero koniec września – zaprotestował Lucien.

– Nie włączyliśmy pieca centralnego – odezwał się Manet. – Kaloryfery jeszcze nie działają.

– Bzdura. W kominku jest jakieś drewno – odparł Lieber. – Niech pan rozpali ogień, żeby dziewczyny mogły się trochę ogrzać.



Manet, który podnosił właśnie szklankę do ust, zastygł w pół ruchu. Po jego twarzy przemknął cień przerażenia. Spojrzał na Luciena, ale ten oparł głowę o ramię Jeanne i zamknął oczy. Lieber, choć pijany, wyczuł, że w pokoju zapanowało dziwne napięcie. Odłożył szklankę i utkwiał wzrok w Manecie. Jak każdy oficer wyższej rangi, nie lubił być ignorowany.

– Monsieur Manet, czy pan mnie słyszał? – zapytał zadziwiająco uprzejmym tonem. – Prosiłem, żeby rozpalił pan w kominku.

Manet odstawił szklankę i podszedł wolno do kominka. Przez kilka sekund wpatrywał się w drewno ułożone na ruszcie.

– Tak, Maksiu, ogień wnosi taki romantyczny nastrój – powiedziała Céline, puszczając oko do Herzoga.

– Ale, panie pułkowniku, naprawdę nie jest tu aż tak zimno – odezwał się cicho Manet. – Jeśli wypije pan jeszcze trochę wina, na pewno się pan rozgrzeje.

– Gówno prawda. To działający kominek, prawda? – odparł Lieber. – Więc w czym problem, do cholery?

– Wydaje mi się, że był tu jakiś kłopot z przewodem kominowym. Kominarz miał go kiedyś przeczyścić, ale chyba coś mu wtedy wypadło i tego nie zrobił – tłumaczył Manet.

Lucien zerknął na Herzoga, który odłożył właśnie książkę i przysłuchiwał się rozmowie z dużym zainteresowaniem. Architekt wiedział, że major polubił przemysłowca i miał dla niego spory szacunek, więc musiało go denerwować, że Lieber traktuje Maneta w taki sposób. Herzog podniósł się gwałtownie i podszedł do kominka.

– Proszę pozwolić, monsieur Manet. Sam rozpalę ogień. Sprawdzę tylko najpierw komin. – Niemiec przekręcił żeliwną rączkę w prawo, przykucnął i spojrział w otwór nad paleniskiem. – Widać gwiazdy, więc raczej jest czysty – stwierdził.

Z widoczną wprawą podpalił za pomocą gazety kilka drewnianych szczapek i po paru sekundach ogień już huczał na palenisku. Dziewczęta podeszły do kominka

i zaczęły rozcierać ręce i nogi. Céline podniosła nawet do góry swoją spódnicę, co wywołało okrzyki radości u jej koleżanek. Manet podszedł do fotela stojącego w rogu pokoju i osunął się na niego kompletnie załamany. Przez cały czas wpatrywał się w podłogę. Lucien zagłębił się we własnym fotelu i nie miał odwagi spojrzeć na kominek.

– Od razu lepiej – powiedział Lieber, wychylając kolejną szklanę wina. – Dziewczyny wreszcie się trochę rozgrzeją. Mają przecież dziś coś jeszcze do zrobienia.

Prostytutki wybuchnęły dzikim śmiechem i zaczęły szeptać między sobą, namawiając się, która kogo bierze. „Każda pewnie chce przespać się z Herzogiem. Jest z nas wszystkich najbardziej przystojny” – pomyślał Lucien.

Serrault wiedział, że Manet nie zdoła odwieść Niemca od pomysłu rozpalenia w kominku. Kiedy usłyszał odgłos zapalanej zapalki, objął żonę w pasie i mocno przyciągnął ją do siebie. Sophie położyła mu głowę na piersi i zamknęła oczy.

– Dlaczego, Albercie, dlaczego? – załkała.

– Kochanie – odparł miękko, przytulając żonę.

Teraz wszystko zależało od czasu – jak długo Niemcy zostaną w mieszkaniu i jak długo ogień będzie się palić. Serrault i Sophie spali w najlepsze, gdy Manet ostrzegł ich sześcioma dzwonekami telefonu i nie zdążyli nawet się przebrać. Kryjówka okazała się całkiem przestronna; mogli w niej stać zupełnie wyprostowani i mieli jeszcze sporo miejsca wokół siebie. Nigdy nie sądzili, że będą naprawdę musieli skorzystać ze skrytki. Za trzy dni mieli już być w Szwajcarii. Serrault nie umiał sobie nawet wyobrazić, co dzieje się teraz w głowie Maneta, gdy patrzył, jak drewno zajmuje się ogniem. Gdyby zaprotestował i wyjawiał Niemcom, że za kominkiem ukrywa się dwoje ludzi, wtedy wszyscy, włącznie z architektem, którego głos Serrault zdołał rozpoznać, zostaliby aresztowani.

W kryjówce panowała absolutna ciemność. Serrault nie był w stanie dostrzec twarzy żony, czuł tylko ciepło jej ciała i mocno bijące serce. Słychać było dość wyraźnie muzykę z radia. Serrault wyciągnął rękę i dotknął fałszywej ściany przed sobą.

– Albercie, tak się boję. Co teraz zrobimy?

– Pamiętasz tę zimę, kiedy byliśmy w Maroku, w Rabacie? Kiedy to było? – zapytał szeptem Serrault.

– W 1908... Nie, w 1909.

– Mieliśmy domek z widokiem na plażę i pierwszego wieczoru nie wyszliśmy na zewnątrz. Zostaliśmy w środku i patrzyliśmy, jak słońce chowa się za horyzont. Pamiętasz, jaki niezwykle kolor miało wtedy morze?

– Było tak intensywnie czerwone, prawie pomarańczowe. Tak, masz rację; to był przepiękny widok. Nigdy wcześniej nie widziałam takiego odcienia.

– Zabawne, jak niektóre rzeczy zostają w pamięci. Wydaje mi się, jakby to zdarzyło się wczoraj. Niesamowicie wyraźne wspomnienie.

– Maroko było chyba najpiękniejszym miejscem, w którym byliśmy, nie sądzisz?

– Nawet pustynia, z tą całą pustką, miała w sobie tyle majestatycznego piękna. Aż zapierało dech w piersiach.

– I to morze gwiazd nocą. Jakby były tuż nad nami.

– Wystarczyłoby wyciągnąć rękę, żeby skraść jakąś z nieba – szepnęła Serrault.

– A potem schować ją do kieszeni i zabrać do domu – odrzekła Sophie, śmiejąc się cicho.

Dym zaczął wciskać się do kryjówki przez szczeliny wokół ramy, na której zamontowana była ruchoma ściana, napełniając powietrze ledwo zauważalnym zapachem jesionu. Serrault zdołał rozpoznać gatunek drewna, bo sami kiedyś używali takiego do kominka. Po paru minutach ciemność zrobiła się ciężka od dymu i pyłu, jak gdyby ktoś wytrzepał tuż obok mocno zakurzony dywan.

– Tak, ze wszystkich miejsc, które widzieliśmy, Maroko chyba było najpiękniejsze – zgodził się Serrault, czując, jak Sophie zaczyna dyszeć. Oddychała coraz ciężiej, jej pierś unosiła się z wyraźnym trudem. Gardło mu się ścisnęło.

– Uwielbiałam te spacerować... po bazarach, wszystkie te cudowne widoki i... niezwykle dźwięki, jakby rodem z... baśni tysiąca i jednej nocy – powiedziała Sophie z dużą trudnością, łapiąc powietrze gwałtownymi wdechami.

– Wciąż mam ten portfel z marokańskiej skóry, uwierzysz?

– Oczywiście, jest taki... piękny. Czerwona skóra... i złote tłoczenia.

Prawie zupełnie brakowało już powietrza. Kryjówkę wypełniał gęsty, ciężki dym, który gryzł w oczy. Sophie zaczęła się krztusić i kaszleć. Próbowwała zdusić kaszel, zakrywając usta ręką, ale nie była w stanie go opanować. Serrault również zaniósł się kaszlem. Znalazł w mroku jej twarz i pochylił się, żeby ją pocałować. Trwali tak dłuższą chwilę.

– Nie mógłbym wymarzyć sobie lepszej żony.

– A Bóg nie mógłby obdarzyć mnie lepszym mężem.

Serrault wyjął chusteczkę z kieszeni jej szlafroka i włożył ją Sophie do ust, a ona oparła głowę na jego piersi. Potem sam włożył sobie do ust swoją własną chustkę.

Drewno w palenisku żarzyło się pomarańczową czerwienią i dogasało, tłąc się niemrawo. Impreza trwała jeszcze jakieś piętnaście minut, dopóki Lieber nie zwymiotował na piękny, rdzawoczerwony perski dywan i nie zwałił się wreszcie nieprzytomny na ziemię. Herzog natychmiast zadzwonił do biura po służbowy samochód i przy pomocy Maneta i Luciena załadował pułkownika do windy, wypychając do środka również trzy dziewczyny. Lucien podziękował majorowi za propozycję odwiezienia do domu i został na korytarzu, dopóki winda nie zjechała na dół. Manet rzucił się do kuchni, napełnił wodą garnek i ugasił ogień na palenisku, po czym z pomocą architekta wyciągnął sztuczną ścianę.

– Nic im nie będzie, monsieur. Zobacz pan, nie ma czym się martwić – powiedział z przekonaniem Lucien, wlekąc ramę.

W wydrążonej niszy klęczały koło siebie nieruchomo dwie osoby w piżamach, szlafrokach i kapciach.

– Monsieur, madame, już jesteśmy – krzyknął Manet.

– Jeszcze sekunda. Za chwilę państwa wyciągniemy – dodał Lucien.

Ciągnąc za nogi dwa bezwładne ciała, Lucien i Manet zdołali z trudem wydostać z kryjówki bardzo drobną kobietę koło siedemdziesiątki i starszego mężczyznę, w którym Lucien rozpoznał Żyda spotkanego niedawno w mieszkaniu. Oboje byli martwi. Ku swojemu przerażeniu architekt odkrył, że staruszkowie mieli usta zatkane chustkami. Manet stanął nad nimi nieruchomo, a Lucien zupełnie osłupiał.

– Chryste, to niemożliwe – upierał się architekt. – Niech pan spojrzy, ta rura na dole powinna była wyciągnąć cały dym bezpośrednio na zewnątrz.

W dolnej części tylnej ściany kryjówki umieszczony był blaszany kanał wentylacyjny o średnicy sześciu centymetrów.

– Naprawdę, naturalna siła ciągu powinna była wyssać dym na zewnątrz. Ciepłe powietrze zawsze porusza się w kierunku zimnego. Proszę spojrzeć. – Lucien wepchnął rękę do kanału, ale napotkał coś twardego i szorstkiego.

– Co u licha? – Architekt raz po raz walił pięścią w zwartą masę. Manet przytrzymał rękę Luciena, wyciągnął zapalniczkę i zajrzał do otworu.

– Ptasie gniazdo. Zupełnie zatkało wylot – powiedział.

Lucien spojrział do środka i ku swojemu zdziwieniu zobaczył na końcu kanału ciasną kulę ulepioną z błota, gałęzi i skrawków materiału. Przypominała szarą masę z papier maché.

– Cholerne gniazdo – jęknął architekt. – Nie przyszło mi to w ogóle do głowy. Wystarczyło tylko umieścić na końcu siatkę z drutu... Chryste, jestem takim idiotą. Zabiłem ich. Wszystko przez jakieś pierdolone gniazdo.

Lucien odszedł od skrytki, chwiejąc się na nogach, i wyciągnął ręce, żeby oprzeć się o półkę nad kominkiem.

– Powinienem być o tym pomyśleć. Cholera jasna, powinienem być o tym pomyśleć.

Odwrocił głowę i spojrział na leżące na podłodze małżeństwo. Osunął się nagle na kolana obok kobiety i zaczął bezwiednie gładzić jej miękkie, siwe włosy. Choć młodość miała już dawno za sobą, wciąż była wyjątkowo piękna. Wyciągnął chustkę z jej ust i zaczął gładzić staruszkę po policzku. Klęczał tak niemal dwie minuty, nim wreszcie Manet położył mu dłoń na ramieniu, ale architekt zdawał się niczego nie zauważać. Przemysłowiec potrząsnął nim gwałtownie i dopiero wtedy Lucien cofnęła rękę.

– Muszę zadzwonić, żeby się tym zająć – powiedział Manet.

Lucien zatrzęsł się od nagłego płaczu.

– Chryste, co ja najlepszego zrobiłem?

– To Lieber ich zabił, Lucien.

– Nieprawda – wycodził architekt, podnosząc wzrok na milionera. – To moja wina.

– Proszę nie myśleć w ten sposób. To był nieszczęśliwy wypadek. Widocznie taka była wola Boga.

– Do dupy z takim Bogiem – wrzasnął Lucien. Wyciągnął chustkę z ust mężczyzny i ścisnął ją w obu dłoniach.

– Lucien, powinien pan stąd pójść – odrzekł Manet. – Ja się tym zajmę. Proszę iść do domu.

– Jak się nazywali?

– Nie wiem, czy to najlepszy...

– Do jasnej cholery, jak się nazywali?

– Albert i Sophie Serraultowie.

– Kim byli? Czy to pańscy przyjaciele? – krzyczał architekt. – Niech mi pan powie, do diabła.

– Tak, znałem ich. Albert pochodził z Nimes. Przyjechał do Paryża jako dzieciak,

żeby założyć własną firmę budowlaną.

– I?

– Historia jakich wiele wśród Żydów. Harował jak wół i odniósł sukces. Na przełomie tysiąclecia był na tyle bystry, by zorientować się, że konstrukcje żelbetonowe to przyszłościowa inwestycja. Wyspecjalizował się w nich i zbił fortunę.

– Francja była światowym liderem w dziedzinie budownictwa żelazobetonowego, wiedział pan o tym? – spytał architekt z dumą w głosie.

– Słyszałem, że był bohaterem wojennym. Nie musiał brać udziału w wielkiej wojnie, ale postanowił zaciągnąć się do armii i wiele razy był odznaczany za męstwo na polu walki. Foch i Clemenceau sami przypinali mu medale.

– Mówił mi, że walczył w wojnie.

Manet spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Spotkał go pan? Kiedy?

– Kiedy przyszedłem zmierzyć kominek. Był w mieszkaniu. Powiedział mi, że dawno powinien był wyjechać z Francji. Nie wierzył, że spotka go coś takiego.

– Z większością starszych małżeństw jest podobnie. Pomagają wydostać się swoim dzieciom, ale sami jednak zostają. Tak jakby już mieli dość uciekania. Poniekąd ma to sens; ci ludzie uciekają od dwóch tysięcy lat.

– Niech pan popatrzy, jaka ona jest wciąż śliczna. Widać, że była kiedyś bardzo piękna. – Lucien zaczął znów szlochać i pochylił się, żeby pocałować kobietę w policzek. Manet nie próbował go powstrzymać. – Założę się, że byli małżeństwem od wielu lat. I że byli ze sobą szczęśliwi.

– Czas iść, Lucien – powiedział Manet, chwytając architekta delikatnie pod prawą rękę i pomagając mu wstać.

– Uratowali nam życie, wie pan o tym? Gdyby Lieber ich odkrył, obaj bylibyśmy już w drodze do Drancy. O ile nie rozstrzelaliby nas na miejscu. – Lucien spojrział Manetowi prosto w oczy.

– Owszem, wiem o tym aż za dobrze.

– Serrault powiedział mi coś dziwnego, gdy się spotkaliśmy. Że jestem człowiekiem sprawiedliwym i że postępuję słusznie. Odparłem, że to bzdura.

Milioner spojrział na ciało Serraulta i uśmiechnął się.

– Znał się na ludziach jak mało kto.

Kiedy Manet wypchnął Luciena za drzwi, był on jak w transie. Gdy wyszedł na

świeże, chłodne powietrze, nie mógł sobie przypomnieć, czy zjeżdżał windą. Było już dobrze po godzinie policyjnej i ulice zupełnie opustoszały. Lucien oparł się o ścianę budynku i rozejrzał się wokół, wypatrując niemieckich patroli. Nie słysząc żadnych kroków w oddali, ruszył półprzytomny wzdłuż rue du Renard, aż dotarł do quai de Gesvres i niemal runął ze schodów do Sekwany. Dookoła nie było żywej duszy. Architekt uklęknął nad rzeką i zwymiotował, potem usiadł, opierając się o ścianę pogrążonego w ciemnościach nadbrzeża, i zapatrzył się w przestrzeń. Z każdą chwilą przytłaczające poczucie winy ustępowało coraz dzikszej wściekłości wobec Niemców. Nawet jeśli Żydzi byli naprawdę tacy, jak ludzie o nich mówili, byli przecież istotami ludzkimi i nie powinni umierać w ten sposób. Nikt nie powinien umierać w ten sposób. Pięć metrów od Luciena, nie zauważając go, przeszedł pięciosobowy patrol Niemców z przerzuconymi przez ramię karabinami maszynowymi. Architekt przesiedział pod ścianą do rana. W rękę wciąż ścisnął chustkę, którą wyjął z ust Serraulta. Zamiast wrzucić ją do Sekwany, wsunął ją do bocznej kieszeni marynarki i poszedł do domu.

Przez cały kolejny tydzień Lucien wciąż miał przed oczami martwe twarze Serraultów z ustami zatkanyymi chustkami. Nic, co robił, nie było w stanie wymazać tego obrazu z jego pamięci. Nie było godziny, żeby o nich nie myślał. Nieustannie męczyły go wyrzuty sumienia. Staruszkowie nawiedzali go nawet w snach – każdej nocy w jego głowie powstawał jakby surrealistyczny film, w którym Serraultowie splatali się w dziwaczny sposób z innymi wydarzeniami z jego życia. W jednym z takich snów był znowu w swojej sypialni z czasów dzieciństwa. Podszedł do kufra, który zawsze stał przy łóżku, i gdy otworzył wieko, ujrzał w środku malutkie postacie Alberta i Sophie. Jedli właśnie obiad przy stole rodem z domku dla lalek, a wokół nich latały setki małych ptaszków. Próbował do nich krzyczeć, ale w ogóle nie zwracali na niego uwagi. Innym razem śniło mu się, że jedzie gdzieś w czymś samochodzie. Był na tylnym siedzeniu razem ze swoim ojcem i Celeste, która trzymała w rękach martwego królika. Z przodu siedzieli Serraultowie, a krajobraz wokół przypominał mu Afrykę Północną. Przez cały czas ojciec krzyczał mu coś do ucha.

Lucien kręcił się i rzucał przez sen, budził się w środku nocy, oblany zimnym potem, i zaczynał chodzić po mieszkaniu, paląc papierosa za papierosem. Nawet architektura, która do tej pory była dla niego całym światem, wydawała mu się całkiem nieistotna i nie miał ochoty zbliżyć się do deski kreślarskiej. Całą pracę

zepchnął na Alaina i rzadko w ogóle pojawiał się w pracowni. W domu też nie mógł wytrzymać, więc spędzał dni, włóczęąc się po ulicach lub siedząc nad Sekwaną. Próbował chodzić do kina, ale nie był w stanie skupić się na żadnym filmie. Od tamtej strasznej nocy bał się również spotkać z Manetem. Ciągle nosił przy sobie chustkę Serraulta i dotykał jej za każdym razem, gdy przypominał mu się widok leżących na podłodze zwłok, rozdrapując wciąż na nowo ranę w sercu, jak gdyby chciał ukarać się za własną pychę.



Stara kamienna chata stojąca obok rozpadającej się obory wydała się Lucienowi znajoma. Pamiętał też małą gospodę po prawej stronie. Architekt jechał citroënem po krętej polnej drodze i był pewien, że kiedyś już tu był, ale nie mógł sobie przypomnieć kiedy. Ciężko było zebrać myśli, gdy Adele ciągle trajkotała mu nad uchem. Nie zamknęła ust, odkąd ruszyli z Paryża. Tak jak się spodziewał, była zachwycona, gdy zobaczyła samochód pod swoim oknem. Błyskawicznie zbiegła na dół i wskoczyła na fotel pasażera, mówiąc mu, dokąd ma jechać. Lucien planował romantyczne popołudnie w Saint-Denis, ale Adele nalegała, by pojechali w przeciwnym kierunku, na południowy zachód od Paryża. Zdradziła tylko, że chce mu pokazać nowe miejsce na weekendowe wypady, ale nic więcej nie chciała powiedzieć. Z podziwu godną łatwością prowadziła go po meandrujących wiejskich drogach.

– Skręć teraz w prawo, skarbie – zakomenderowała. – Będziemy na miejscu za jakieś pięć minut. Będziesz pod dużym wrażeniem, kiedy zobaczysz nowy dom swojej małej Adele.

Lucien nie zwrócił uwagi na ostatnie zdanie, bo przyglądał się intensywnie zrujnowanej szopie, którą mijali z lewej, i zastanawiał się, gdzie ją wcześniej widział.

– Jest w pełni umeblowany i ma wszystko co trzeba. Jest nawet pościel, uwierzysz? Zorganizowałam tam już jedno przyjęcie, było niesamowite – paplała Adele.

– I nie zaprosiłaś mnie? – spytał Lucien, autentycznie rozcieszony.

Adele błyskawicznie zdała sobie sprawę z popełnionej gafy i próbowała się z niej jakoś wyplątać.

– Wiesz, byli sami ludzie ze świata mody. Zanudziłbyś się na śmierć, kochanie. Poza tym i tak będziesz tu przecież częstym gościem. Zrobimy sobie dwuosobowe przyjęcie – powiedziała, przesuwając ręką po wewnętrznej stronie jego uda.

Jej gest mocno go podniecił. Cieszył się, że udało mu się jakoś pokonać depresję i że zdecydował się zrobić niespodziankę Adele, przyjeżdżając po nią swoim nowym

autem. Wypad za miasto i igraszki w łóżku dobrze mu zrobią. Jego dobry nastrój zniknął natychmiast, gdy spojrzął przed siebie i zobaczył wielką, kutą żelazną bramę z kamiennymi filarami. Ogarnęła go nagła panika; miał wrażenie, jakby ktoś chwycił go za gardło.

– Jesteśmy! – zawołała Adele. – Czyż nie jest wspaniały? Założę się, że sądziłeś, że to będzie jakaś mała, żałosna chata. Przyznaj się, myślałeś tak?

Lucien zatrzymał samochód zaraz za bramą i patrzył na budynek, nie wierząc własnym oczom. Stał przed pałacem myśliwskim w Le Chesnay, w którym była jego skrytka pod schodami. Wszystko nagle stało się jasne. Nic dziwnego, że tyle rzeczy wyglądało znajomo. Rzeczywiście był tu wcześniej – co prawda, jechał tędy dwa razy w środku nocy, ale udało mu się zapamiętać kilka charakterystycznych obiektów po drodze. W pierwszej chwili miał ochotę zawrócić samochód i odjechać jak najszybciej. Głos w jego głowie powtarzał: „Tylko nie panikuj, tylko nie panikuj”. Inny wrzeszczał: „Zjeżdżaj, póki możesz”.

Zmusił usta do uśmiechu i odwrócił się do Adele.

– Coś niesamowitego, kochanie.

Choć w jego słowach brzmiało pewne niedowierzenie, Adele przyjęła je jako wyraz najwyższego zachwytu. Zaczęła podskakiwać na fotelu, nie posiadając się z dumy i radości i mocno uściśnęła Luciena.

– Chodźmy, chcę ci pokazać, co jest w środku.

– Naturalnie... – odparł słabo architekt. Adele złapała go za rękaw marynarki, wyciągając z samochodu niemal siłą, po czym poprowadziła do budynku i wepchnęła do środka. Lucien zauważył, że drzwi frotowe nie były zamknięte na klucz.

– I jak ci się podoba?

– Jest po prostu... fantastyczny – odrzekł Lucien, zastanawiając się, czy coś gorszego może go dziś jeszcze spotkać.

Adele wzięła go za rękę i oprowadziła najpierw po parterze, a potem po pierwszym piętrze, pokazując mu wszystkie pokoje, które widział wcześniej. Główną sypialnię zostawiła na deser.

– A tutaj, mój drogi, zatrzymamy się trochę dłużej – powiedziała, spoglądając wymownie na ogromne łóżko. – Ale nim zajmiemy się przyjemnościami, chcę pokazać ci jeszcze coś dziwnego, co odkryłam zupełnie przypadkiem.

Lucien starał się ze wszystkich sił nie patrzeć w stronę schodów prowadzących do małego gabinetu. Prerażony zorientował się jednak, że Adele ciągnie go właśnie

w tamtym kierunku. Opierał się jak małe dziecko, które ktoś prowadzi za karę do łazienki, żeby wymyć mu buzię mydłem.

– Podnieś pierwszy stopień i zobacz, co się stanie – uśmiechnęła się tajemniczo.

Architekt gapił się przez chwilę na schody, nie rozumiejąc, czemu życie karze go w ten sposób. Najpierw katastrofa z kominkiem, która tak go zdruzgotała przed paroma tygodniami, a teraz to. Pochylił się i z dużym trudem podniósł schody do góry, odsłaniając ukryty materac.

– Co o tym sądzisz? – spytała Adele. – Pomyślałam sobie, że może znasz kogoś, kto byłby w stanie zbudować coś takiego.

Lucien puścił schody. Opadły z nagłym hukiem, od którego Adele aż podskoczyła.

– Czemu... tak cię to ciekawi? – zapytał.

Adele milczała przez chwilę.

– Byłam po prostu pod dużym wrażeniem, to bardzo sprytna kryjówka.

– To prawda, jest... całkiem pomysłowa, ale nie znam nikogo, kto byłby w stanie zrobić coś takiego. Może była tu od początku albo zbudowano ją podczas rewolucji.

– Raczej nie. Zawiasy i rygle wyglądają na nowe, sam zobacz.

– A jak udało ci się ją znaleźć? – zaciekawił się architekt.

– Służąca czyściła dywan i zauważyła, że coś jest nie tak.

– Rozumiem. – Lucien odszedł od schodów i usiadł na łóżku. – W jaki sposób weszłaś w posiadanie tego „skromnego” majątku? Wydaje się trochę poza twoimi możliwościami finansowymi.

Adele rozpięła guziki swojej czarnej spódnicy, pozwoliła jej opaść na podłogę i zdjęła przez głowę beżowy sweter.

– Głuptasie, jeden z moich klientów kupił niedawno ten dom i pozwolił mi korzystać z niego za darmo do końca roku. Czyż to nie miło z jego strony?

– To chyba jakiś bardzo specjalny klient, skoro jest tak hojny. Znam go?

– Och nie, skądże. To jeden z tych starych głupców z branży odzieżowej.

Znając trochę historię majątku w Le Chesnay, Lucien podejrzewał, że nowy właściciel domu nosi na co dzień szarozielony mundur. Już wcześniej domyślał się, że Adele ma innych kochanków poza nim. Wiedział, że potrafiła być chciwą oportunistką i była w stanie wykorzystać każdego, żeby zrealizować swoje plany. Ta bezwzględność bardzo go w Adele pociągała. Ale jeśli rzeczywiście sypiała z wrogiem, była nie tylko kolaborantką, ale również stanowiła dla niego

bezpośrednie zagrożenie.

Adele zdjęła stanik i pchnęła Luciena na łóżko. Gdy się kochali, architekt nie potrafił się powstrzymać, żeby nie zerkać co chwilę w stronę schodów. „Na swój sposób – pomyślał – dobrze się stało”. Ten fatalny zbieg okoliczności pozwolił mu przynajmniej oderwać myśli od śmierci Serraultów. Jeden horror zastąpił teraz kolejny. Wreszcie nie będzie już miał czasu, aby roztrząsać to, co się stało. Zamiast tego będzie musiał zmierzyć się ze swoim największym koszmarem: „Czy ktoś jest w stanie powiązać z nim kryjówkę pod schodami? I kto jeszcze wie o skrytce?”.



Piękny budynek. Możesz być z siebie dumny.

Lucien był dumny. Tak bardzo dumny, że w tej chwili wyobrażał sobie właśnie, iż dostaje najwyższą nagrodę francuskiej Akademii Architektury za właśnie ukończoną fabrykę silników w Chaville. Stał obok majora Herzoga i upajał się każdym szczegółem: silnymi, horyzontalnymi liniami okien, mocnym pionowym akcentem głównego wejścia, elewacją z cegieł i wspaniałymi krzywiznami łukowego, betonowego dachu, który był dostatecznie mocny, żeby przetrwać alianckie bombardowania. Lucien i Celeste nie mieli dzieci, ale architekt zawsze wyobrażał sobie, że ukończenie dobrego projektu będzie w jakimś sensie przypominać narodziny.

– Wiedziałem, że jestem w stanie stworzyć coś wyjątkowego, jeśli tylko dostanę szansę – powiedział Lucien, nie zwracając się do nikogo konkretnie.

– To pierwszy z wielu. – Herzog poklepał go po plecach ręką w eleganckiej rękawiczce. – Twój projekt fabryki w Tremblay jest jeszcze lepszy.

Architekt uśmiechnął się szeroko do Niemca. Po trzech miesiącach znajomości zaczął myśleć o majorze jak o dobrym przyjacielu, bratniej duszy. Nie czuł się już niezręcznie z powodu sympatii, jaką darzył Herzoga. Irytowało go jednak, że Celeste wciąż uważa go za kolaboranta. Sam myślał o sobie, że jest po prostu architektem, który szuka pracy. A że wszystkie zlecenia pochodziły akurat od Niemców... Herzog potrzebował fabryk i Lucien je dla niego projektował. Teoretycznie pracował dla Maneta, który współpracował z okupantami, żeby uratować swoje zakłady przed zawłaszczeniem. To było po prostu najrozsądniejsze wyjście. Manet nie był przecież jakimś bogaczem bez serca, który próbuje zbić fortunę za wszelką cenę. A Lucien wcale nie zarabiał jakichś niesamowitych pieniędzy, projektując zakłady zbrojeniowe dla Rzeszy.

– Naprawdę uważasz, że fabryka w Tremblay będzie lepsza? – zapytał architekt, zdając sobie sprawę, jak bardzo zależy mu na aprobachie Herzoga.

– Dużo lepsza. Konstrukcja betonowa jest jeszcze bardziej dynamiczna niż ta

tutaj. Przepiękny funkcjonalizm.

Ego Luciena poszybowało w stratosferę. Wreszcie udowodnił, że potrafił projektować. Potrzebował tylko tego, żeby ktoś dał mu szansę. W tej chwili czuł, że nie było takiego wyzwania architektonicznego, z którym by sobie nie poradził. Nie mógł doczekać się kolejnych zleceń.

Lucien i Herzog wolno obeszlili budynek dookoła, podziwiając każdy detal. Ciężarówki dowoziły na miejsce kolejne maszyny do zamontowania na linii produkcyjnej, która miała ruszyć w przyszłym tygodniu. Choć Manetowi udało się tak zmotywować swoich ludzi, że budynek został ukończony przed czasem, architekt wiedział, że robotnicy stosowali się drobiazgowo do jego rysunków i że wykonali swoją pracę bardzo sumiennie. Wszystko zrobiono dokładnie według wskazań Luciena. Coś takiego nigdy nie zdarzyło się architektowi w czasie pokoju. Klienci zawsze usuwali jakieś detale, które wydawały im się zbędne, a które on kochał całym sercem.

– Zdradzę ci tajemnicę – odezwał się Herzog. – Rzesza planuje nową fabrykę amunicji na południe stąd, w Fresnes. Kiedy byłem w zeszłym tygodniu na przepustce w Berlinie, mówił o tym sam minister Speer. Pomysł jest na razie w bardzo wczesnej fazie, ale zapewniam cię, że go zrealizują. A wzięwszy pod uwagę twoje dotychczasowe sukcesy, będziesz pierwszą osobą, której zaproponują zlecenie.

– Jak duża miałyby być – spytał Lucien, prawie się śliniąc.

– Ponad pięćdziesiąt hektarów. Ogromny kompleks, niemalże miasto.

Wyobraźnia Luciena zaczęła pracować. Zapomniał zupełnie o budynku, przed którym stał, i w ciągu dziesięciu sekund miał już w głowie cały plan. Budynki łączyłyby się ze sobą w jedną wielką kompozycję. Architekt był tak pogrążony w myślach, że nie zauważył nadchodzącego Liebera. Dopiero chrząknięcie i salut Herzoga przywołały go do rzeczywistości.

– Całkiem przyzwoity budynek, Herzog – stwierdził pułkownik. – Trochę niepotrzebnych ozdobników, ale całkiem przyzwoity. Gratuluję panu, majorze. Berlin jest bardzo zadowolony z mojej... naszej pracy.

– Dziękuję, panie pułkowniku, ale całą zasługę trzeba przypisać monsieur Bernardowi. To dzięki jego wspaniałemu projektowi mamy tak wydajny zakład produkcyjny – odparł Herzog, wskazując głową na architekta.

Lieber ledwo zwrócił na niego uwagę.

– Tak, bardzo interesujący budynek, monsieur.

Kiedy klient mówił, że budynek jest interesujący, znaczyło to, że mu się nie

podobał, ale nie chciał powiedzieć tego wprost. Lucien uśmiechnął się do pułkownika i skłonił delikatnie głowę. Od tamtej nocy przy rue du Renard jego nienawiść do Niemca rosła z każdym dniem. Ale jak nieustannie powtarzał mu Manet, nic nie można było zrobić. Lieber nigdzie się nie wybierał.

– Ale minister Speer to jest dopiero architekt – zawołał nagle pułkownik. – Jest osobistym architektem Führera. Zaprojektował kilka niezwykłych budynków. Jego wielka kopia w Berlinie będzie w stanie pomieścić dwieście tysięcy ludzi, a nowy Reichstag jest naprawdę przepiękną konstrukcją.

Stojący za plecami Liebera Herzog przewrócił oczami, a Lucien spojrzął na własne buty, próbując powstrzymać uśmiech. Speerowskie plany przebudowy Berlina były nadętym, pompatycznym przejawem jakiejś manii wielkości. Hitler, który w czasach swojej młodości dwa razy nie dostał się na Królewską Akademię Sztuk Pięknych w Wiedniu, zawsze nosił w sercu marzenie o architekturze i projektami nowego Berlina interesował się osobiście. Lucien nie winił Speera za to, że swoimi budynkami próbował przypodobać się Führerowi. Może w skrytości ducha Niemiec nie cierpiał neoklasycystycznego stylu, który tak uwielbiał Hitler. Każdy architekt podlizywał się komuś, żeby dostać zlecenie; na tym po części polega ta praca. Lucien widział kiedyś kilka prac Hitlera i naprawdę uważał, że miał on wrodzony talent. Sam by go zatrudnił, żeby namalował któryś z jego budynków. „I pomyśleć tylko, co by było, gdyby Hitler jednak dostał się na Akademię” – zadumał się Lucien.



Jak to nie masz ochoty zobaczyć mojej fabryki?

Celeste stała tyłem do Luciena, zmywając energicznie talerz po obiedzie. Architekt podszedł do niej i zatrzymał usta tuż przy jej prawym uchu. Kiedyś nie mógłby się powstrzymać, by nie pocałować jej w smukłą szyję, ale te czasy dawno minęły.

– Spytałem, dlaczego...

– Powiedziała ci za pierwszym razem – odparła Celeste.

Lucien odwrócił się, usiadł znowu przy kuchennym stole i zaczął bawić się małą, emaliowaną wagą, której używali do odmierzania porcji posiłków. Wszyscy mieszkańcy Paryża mieli podobne – dzięki nim mogli gospodarować jedzeniem, żeby starczyło na jak najdłużej. Gdy przycisnął palcem metalową szalkę, wskazówka pokazała dwieście gramów. W środku aż gotował się ze złości, ale postanowił sobie, że tym razem nie pozwoli ponieść się nerwom.

– W porządku, nie musisz jej oglądać. Ale czy możesz z łaski swojej przynajmniej wytłumaczyć mi, czemu nie chcesz tam ze mną pojechać?

– Nie chcę pokazywać się z kolaborantem.

– Mnie nazywasz kolaborantem?

– Ciebie i tego Maneta, obaj czerpicie zyski z nieszczęścia Francuzów. I pomagacie Niemcom zabijać naszych sprzymierzeńców. A najgorsze, że tobie się to podoba. Wkładasz w te cholerne projekty całe swoje serce. I ciągle podlizujesz się temu niemieckiemu majorowi. Spędzasz z nim tyle czasu, że zastanawiam się, czy przypadkiem nie masz jakichś nienaturalnych skłonności.

– A zauważyłaś może, że jemy trzy posiłki dziennie, mamy przyzwoite ubrania i nie musimy żebrać o najbardziej podstawowe rzeczy? – odciął się Lucien, wciąż próbując kontrolować swoją wściekłość.

– Ale za jaką cenę, Lucien?

– Twierdzisz, że jestem zdrajcą?

Celeste odłożyła ścierkę do naczyń i przez moment się zawahała. Lucien poczuł, jak wzbiera w nim szal. Chciał, żeby od razu powiedziała, że to nieprawda.

– Nie, zdrajca to złe słowo. Jesteś jak Mefistofeles. Sprzedałeś duszę diabłu, żeby móc projektować.

Lucien nie zareagował. Siedział przy stole i słowo „Mefistofeles” odbijało się echem w jego głowie. Nie wiedział, co powiedzieć na swoją obronę.

– Więc nie proś mnie więcej, żebym pojechała obejrzeć twoje budynki. Nie zrobię tego.

– Nie martw się, nie będę zwracał ci głowy. Zresztą przed wojną też nie miałaś ochoty oglądać moich prac, więc jaka to różnica.

– Będziesz miał cholerne szczęście, jeśli Francja nie będzie cię ścigać po wojnie za kolaborację. Taka hańba... Mogą cię nawet powiesić.

– Przestań dramatyzować. Nikt nie będzie mnie wieszał, bo nie pomagam Niemcom. Projektuję budynki, dzięki którym Francja będzie mogła podnieść się po wojnie.

– Ciekawa racjonalizacja... Albo raczej fantazja. Twoje budynki mają swastyki na ścianach, nie zapominaj o tym.

– Nic o mnie nie wiesz, kobieto. Walczę z Niemcami, na swój sposób.

– Ty? Chyba żartujesz.

– Uratowałem życie Francuzom.

– Jedyne życie, na jakim ci zależy, to twoje własne.

– Gówno prawda! Ocaliłem dwoje Żydów – wrzasnął ostro Lucien.

W kuchni zapadła grobowa cisza. Wiedział, że popełnił straszny błąd. Na twarzy Celeste pojawił się wyraz obrzydzenia. Podeszła do stołu, usiadła na krześle naprzeciwko Luciena i głośno przełknęła ślinę.

– Lucien, czyś ty zwariował? Powiedz mi, że nie pomagałeś żadnym Żydom. Wiesz, że podpisałeś przez to wyrok śmierci na nas oboje? Powiedz, że kłamałeś.

– Nie mogę ci nic więcej powiedzieć.

– Na rue Rousselet rozstrzelano całą rodzinę Gaumontów za ukrywanie żydowskiego dziecka. Zabili ich tylko dlatego, że udawali, iż czteroletni brzdąc jest chrześcijaninem i ich krewnym. Matka, ojciec, dziadkowie i wszystkie ich własne dzieci nie żyją, bo kierowali się jakimś głupim, nieprzystającym do rzeczywistości nakazem, który mówi, żeby pomagać bliźniemu.

– Może nie jest taki głupi.

– W czasie wojny trzeba zapomnieć o chrześcijańskich ideałach braterstwa i zając się ratowaniem własnej skóry. Nie jest to ładne ani szlachetne, ale taka jest prawda.

– Nie dlatego to zrobiłem.

Celeste uśmiechnęła się.

– Zastanawiałam się, skąd masz te pieniądze. Wiedziałam, że nie od szwabów, bo oni nie płacą kolaborantom tak dobrze. Taka forsa musiała być ogromną pokusą. Mogłeś kupić, co chciałeś... dla siebie, dla mnie, dla swojej kochanki.

Lucien, który do tej pory chował twarz w dłoniach, podniósł głowę i spojrzął na Celeste.

– Ty idioto – powiedziała. – Żona zawsze wie.

– Możesz wierzyć lub nie, ale zrobiłem to dla nas.

– Nie wierzę. Ale jestem pod wrażeniem, że byłeś w stanie tak grać na dwa fronty. Brać pieniądze od Żydów i projektować te swoje fabryki dla szkopów. Chyba udało ci się dokonać niemożliwego. Ale prędzej czy później jedno lub drugie cię zgubi. Albo Gestapo zabije cię za pomoc Żydom, albo zastrzeli cię kiedyś za kolaborację z Niemcami. Nie wiem dokładnie, w co się wpakowałeś, i nie chcę wiedzieć. Byłam w stanie wytrzymać tę zdziwę, z którą sypiasz na boku, ale na to się nie zgadzam. Nie mam ochoty być torturowana lub deportowana z powodu twojej głupoty.

– I co zamierzasz zrobić?

– Odchodzę.

– Że co? – Lucien poderwał się z krzesła i wlepił w żonę osłupiały wzrok.

– Słyszałeś. Nasze małżeństwo i tak jest już fikcją. Nie pasowaliśmy do siebie od początku. Używając jednej z tych twoich głupich, architektonicznych metafor: zbudowaliśmy nasze wspólne życie na zbyt słabym fundamencie i wszystko właśnie się zawaliło.

– W czasie wojny trzeba podejmować trudne decyzje. Ja tylko...

– Ty dokonałeś błędnych wyborów. Jakby na to nie patrzeć, wpadłeś w niezłe tarapaty. Przestań się oszukiwać, Lucien, nigdy nie byłeś człowiekiem o silnych zasadach moralnych. Już ci mówiłam, jesteś jak Mefistofeles.

Lucien podszedł do wysokiego kuchennego okna, które wychodziło na podwórze. Oprócz chudego, czarnego kota nie było wokół żywej duszy.

– I jest coś jeszcze.

– Co? – spytał zirytowany, stojąc do niej plecami i spodziewając się kolejnych obelg pod swoim adresem.

– Poznałam kogoś – powiedziała cichym, miękkim głosem.

Poczuł się tak, jak gdyby ktoś zdzielił go łopatą w tył głowy. Zatoczył się do

przodu, oparł ręce na ramie po obu stronach okna i zwiesił głowę. Po jakiejś minucie wyszedł z kuchni, podszedł do szafy w przedpokoju i złapał tweedową marynarkę. Zatrzasnął za sobą drzwi i zbiegł po schodach, nie czekając na windę. Był tak wściekły, że dopiero po pięciu minutach zorientował się, że przeszedł już dziesięć przecznic wzdłuż rue Saint-Denis. Gdy wrócił do domu trzy godziny później, Celeste i jej rzeczy już nie było.



Nie okłamuj mnie, Gaspard. Wcale nie zostawiasz mnie dla innej kobiety.

– To jedna z moich studentek. Spotykamy się...

Juliette Trenet podeszła do męża i zajrzała mu w oczy. Natychmiast odwrócił wzrok.

– Chciałabym, żeby to była jedna z twoich studentek – wyszeptała Juliette. – Wtedy łatwiej byłoby mi to znieść.

Gaspard milczał, wpatrując się w leżący w przedpokoju orientalny dywan.

– Profesor Pinard wezwał cię na rozmowę, prawda?

– Nie, to nie...

– I dał ci wybór. Albo ja... albo uniwersytet.

– Juliette, proszę...

– A ty wybrałaś profesurę w zakładzie literatury średniowiecznej.

Gaspard – niski, przystojny mężczyzna o jasnobrązowych włosach – odsunął się od żony.

– Wszystko dlatego, że Vichy i Niemcy orzekli, że skoro moja babka, której nigdy nawet nie poznałam, była Żydówką... to ja również jestem oficjalnie Żydówką.

Juliette podeszła do wieszaka i dotknęła swojej ciemnozielonej, flanelowej marynarki. Na kieszonce na piersi przyszyta była żółta, filcowa gwiazda.

– Mimo że nigdy nie postawiłam nogi w synagodze ani nie znam żadnego słowa po hebrajsku.

– Spóśób, w jaki decydują, kto jest Żydem, jest absurdalny. – Gaspard potrząsnął głową. – Nawet księdza w parafii w Ménilmontant uznali za Żyda.

– Zwolnili mnie z pracy, którą uwielbiałam, bo jestem Żydówką. A teraz jedyny człowiek, którego kiedykolwiek kochałam, porzuca mnie z tego samego powodu.

– To nie...

– Błagam, błagam, Gaspard, powiedz mi, że to się nie dzieje naprawdę – załkała kobieta. – Że to tylko jakiś straszny koszmar senny. Na litość boską, pozwól mi się

wreszcie obudzić.

Juliette chwyciła go za klapę tweedowej marynarki. Gaspard odsuwał się od niej tak długo, aż poczuł za plecami drewniane drzwi.

– Wiesz, zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia. Wtedy, gdy zobaczyłam cię na przyjęciu u Jean – powiedziała. – Byłeś taki przystojny. A kiedy zaczęliśmy rozmawiać, od razu zorientowałam się, jak bardzo jesteś mądry. Pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam. Ty też skradłaś mi wtedy serce. Nie myślałam, że tak śliczna kobieta może mieć doktorat z bakteriologii, pracować na uniwersytecie i prowadzić tak ważne badania – odparł Gaspard. – Byłem taki szczęśliwy, że cię spotkałem.

– Wszystkie nasze wspaniałe podróże i wszystkie te radosne chwile, które przeżyliśmy przez te pięć lat... Przyjęcia, które urządziliśmy...

– Och, tak – uśmiechnął się Gaspard.

– Więc zostań ze mną, kochanie. Razem na pewno sobie z tym poradzimy. – Oczy Juliette napełniły się łzami.

Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz bólu.

– Nie mogę, Juliette... Po prostu nie mogę.

– Boisz się, że zostaniemy bez grosza przy duszy? Że stracisz swoją pozycję? – Juliette zrobiła krok w jego stronę, ale się zatrzymała. – Myślisz, że wyślą cię ze mną do Drancy?

Odpowiedziała jej bolesna cisza.

– Błagam, nie rób tego – prosiła, chowając twarz w dłoniach. Chciała podbiec do niego, objąć go w pasie i wtulić głowę w jego szeroką pierś, tak jak robiła to kiedyś, gdy była smutna lub zdenerwowana.

Jasna twarz Gasparda zarumieniła się ze wstydu. Odwrócił się i położył dłoń na klamce. Juliette chwyciła go bez słowa za rękaw, ale on tylko potrząsnął ręką, próbując się od niej uwolnić, i otworzył drzwi. Kiedy szarpnął gwałtownie, puściła wreszcie marynarkę, a on zatrzasnął przed nią drzwi.

– Wróć – krzyknęła za nim. – Proszę cię!

Stała, wpatrując się w drzwi, a po jej twarzy płynęły łzy. Weszła do salonu i zaczęła głośno, rozpaczliwie szlochać, nie przejmując się, czy ktoś ją słyszy.

„Boże, wyszłam za skończonego tchórza – pomyślała – Ale to nieważne i tak go kocham”.

Juliette usiadła w fotelu i próbowała się uspokoić. Delikatnie pogładziła brzuch. Została teraz z dzieckiem zupełnie sama.

Juliette wciąż miała przed oczami wspomnienie tamtego okropnego dnia, gdy sześć tygodni później siedziała w pustym pawilonie dla lwów. Za każdym razem, gdy myślała o szokującej zdradzie Gasparda, miała ochotę się rozpłakać. Czas w żadnym stopniu nie złagodził bólu. Tak bardzo kochała męża... A potem ten inteligentny, przystojny mężczyzna zamienił się w złężnionego chłopca i uciekł ze strachu.

Wszystko zwaliło się na nich tak nagle. Najpierw Juliette straciła stanowisko na uczelni, gdzie oboje pracowali, potem przyszła nieoczekiwana ciąża. Gaspard nie był szczęśliwy, kiedy przekazała mu dobre wieści, choć ze względu na nią próbował udawać, że się cieszy. Zaraz na początku okupacji widzieli na ulicy parę z wózkiem i pamiętała, że powiedział wtedy, iż żadne dziecko nie powinno przychodzić na świat w tym piekle. Juliette wiedziała, że wojna to kiepski czas na dziecko, ale i tak nie posiadała się z radości; macierzyństwo zawsze było dla niej ważniejsze niż kariera, bez względu na sukcesy, jakie mogłaby osiągnąć.

Gaspard uwielbiał profesurę na uniwersytecie. Uczelnia nie była dla niego tylko miejscem pracy, ale dawała mu poczucie tożsamości. Juliette zdawała sobie sprawę, że gdyby go zwolniono, byłby bardziej załamany utratą prestiżu i swojego miejsca w kręgach naukowych niż utratą pensji. Został profesorem zwyczajnym, mając zaledwie trzydzieści dwa lata, napisał znakomitą książkę o dwunastowiecznej poezji epickiej i był podziwiany i szanowany nie tylko przez kolegów z wydziału, ale przez wszystkich pracowników uniwersytetu. Stał się wschodzącą gwiazdą świata akademickiego. Juliette nigdy nie zdawała sobie do końca sprawy, jak wiele to wszystko znaczyło dla Gasparda. Więcej niż własna żona... i dziecko.

Ponieważ nigdy nie uważała się za Żydówkę, znajdowała niewielką pociechę w tym, że z uniwersytetów w całej Francji wyrzucano tysiące Żydów albo że setki mężów w Paryżu również porzucało swoje żony z podobnych przyczyn co Gaspard. Nie potrafili zmierzyć się z biedą, trudnościami i życiem w ciągłym niebezpieczeństwie spowodowanymi faktem, że ich żony uznano nagle za Żydówki.

Uciążliwy zapach lwiego moczu w połączeniu z jej porannymi nudnościami sprawiał, że jeszcze bardziej zbierało jej się na mdłości. Nie chciała jednak narzekać. Miała ogromne szczęście, że udało jej się w ogóle znaleźć tę kryjówkę. Tydzień po tym, jak zostawił ją Gaspard, do drzwi mieszkania zapukał monsieur Ducreux,

właściciel kamienicy, i kazał jej się wynosić. Człowiek, który przez poprzednie pięć lat był wobec niej zawsze życzliwy i uprzejmy, teraz traktował ją jak kompletnie obcą osobę. Wymachiwał jej przed nosem jakimś urzędowym pismem i twierdził, że ma prawo ją eksmitować. Juliette nie chciała się z nim kłócić, poprosiła go tylko, by dał jej godzinę na spakowanie rzeczy i spokojnie zamknęła drzwi. Znalazła schronienie u swojego dawnego asystenta laboratoryjnego. Henri Leroy i jego rodzina pozwolili jej zatrzymać się u siebie w ich malutkim mieszkaniu. Po kilku dniach zapukał do nich jednak ktoś z sąsiadów i zaczął zadawać pytania. Juliette wiedziała wtedy, że musi sobie pójść. Znała Henriego od siedmiu lat. Ceniła go za jego lojalność i nie chciała, żeby jego rodzina musiała cierpieć z jej powodu. Kiedy przyznała mu się, że nie ma dokąd pójść, obiecał, że nie zostawi jej bez pomocy. W akcie desperacji zapytał swojego kuzyna, Michela Dauphina, czy by jej nie przyjął, ale on odmówił. Powiedział, że jego żona nigdy nie zaryzykowałaby własnego życia, aby pomóc komukolwiek, a co dopiero Żydówce. Dauphin był jednak człowiekiem o dobrym sercu i zaproponował tymczasowe rozwiązanie.

Pracował jako opiekun zwierząt w zoo i wpadł na pomysł, że profesor Trenet mogłaby ukryć się na jakiś czas w jednej z nieużywanych klatek w zamkniętej części ogrodu. Pomimo braków żywności Niemcy postanowili utrzymywać zoo, aby zapewnić rozrywkę swoim żołnierzom. Zwierzęta jadały w czasie okupacji lepiej niż większość mieszkańców Paryża. Juliette zamieszkała więc w betonowym legowisku pod pustą lwiarnią. Było to miejsce, do którego zwierzęta przychodziły jeść i spać, kiedy znudziło się im chodzenie po klatce na oczach ludzi. Okazuje się, że nawet lwy potrzebują czasem trochę prywatności. Juliette dała Dauphinowi pięć tysięcy franków ze swoich oszczędności, mimo że wcale jej o to nie prosił. Nalegała jednak, by przyjął pieniądze, bo wiedziała, że jeśli ją tu znajdą, on również zostanie aresztowany.

Dauphin – niski, tęgi mężczyzna koło sześćdziesiątki – okazał się człowiekiem, na którym można było polegać; każdej nocy przynosił jej jedzenie i picie. Juliette wiedziała, że pieniądze, które mu dała, wykorzystuje, aby się o nią troszczyć. Dowiedziała się, że sam ma trzy dorosłe córki, potrafił więc rozpoznać kobietę w ciąży i miał świadomość, że Juliette musi jeść z myślą o dwojgu. Widziała, że w przygotowanie jej posiłków wkładał wiele trudu i serca. Przynosił jej mięso, kurczaka, ziemniaki, marchewki i buraki – wszystko dokładnie ugotowane i podane na metalowym półmisku z pokrywką. Zawsze dostawała też od niego duży kubek mleka, a któregoś razu zostawił jej nawet duży, gruby materac i pościel.

Jako bakteriolog Juliette wiedziała, że musi bardzo dbać o higienę, żeby chronić Marie lub Pierre'a przed zarazkami (zdecydowała, że dziecko nazwie na cześć swojej bohaterki, madame Curie, lub jej męża i że wychowa malucha na naukowca). Dauphin zobowiązał się, że będzie jej przynosił dużo wody i mydła, żeby mogła się regularnie kąpać. A jako człowiek przyzwyczajony do sprzątanego po lwach i słoniach z uśmiechem opróżniał codziennie jej wiadro z nieczystościami. Jedyne problem stanowiło to, że legowisko było zbyt niskie, aby człowiek mógł w nim stać wyprostowany. Juliette była więc zmuszona cały dzień siedzieć i mogła rozprostować kości tylko w nocy, spacerując po pustej klatce.

Pewnego wieczoru, kiedy Dauphin przyniósł jej jedzenie i czyste ubrania, zapytała go, czemu naraża się dla niej na takie niebezpieczeństwo. Jego odpowiedź mocno ją poruszyła.

– Och, madame, nawet pani nie wie, jak dobrze się ze sobą czuję, gdy mogę w tych czasach pełnych zła pomóc drugiemu człowiekowi.

Juliette zdała sobie sprawę, że ten prosty pracownik zoo, który pewnie spędził w szkole raptem kilka lat, ma o wiele bardziej wrażliwe sumienie niż wielu z tych świetnie wykształconych naukowców, z którymi zdarzało jej się pracować.

Siedząc całymi dniami w pustej klatce, Juliette czasem nie mogła już wytrzymać w samotności. Często kładła rękę na brzuchu i opowiadała Marie lub Pierre'owi o swoim radosnym dzieciństwie w Lyonie, a od czasu do czasu śpiewała dziecku swoje ulubione piosenki. Podczas dnia zasłaniała czasem wejście do legowiska grubym płótnem i zapalała świece, przy których mogła czytać i pisać. Próbowwała udawać, że jest na urlopie naukowym i starała się skupić na pracy teoretycznej, żeby zająć czymś myśli. Zapisywała pomysły i formuły w zeszytach, które przynosił jej Dauphin, a potem patrzyła nieobecny wzrokiem w przestrzeń, rozmyślając. Udało jej się stworzyć pewien szkielec badań i miała nadzieję, że kiedyś wykorzysta go w jakiejś pracy naukowej.

Juliette wyciągnęła się właśnie na materacu, chcąc przeczytać gazetę, którą Dauphin przyniósł jej tego wieczoru, gdy nagle w całym pawilonie zabłyśły światła. Usiadła przestraszona.

– Monsieur Dauphin? – zawołała głośno i od razu umilkła, uświadamiając sobie, że mężczyzna nigdy nie zapalał światła. Zawsze przychodził do niej z latarnią.

Usłyszała jakieś pijackie mamrotanie pod klatką, a po chwili ku jej przerażeniu ktoś ściągnął z wejścia materiał i do środka wczołgał się na czworakach żołnierz Wehrmachtu, stukając o betonową podłogę butelką sznapsa.

Niemiec spojrział łakomie na kobietę i zaryczał jak lew.

– Cóż za śliczna lwica... A może tygrysica z ciebie, co?

Juliette zsunęła się z materaca i próbowała wycofać się w róg pomieszczenia, ale żołnierz rzucił się do przodu i złapał ją za prawą kostkę, przyciągając do siebie. Zaczął szarpać się z guzikami rozporoka i wcisnął Juliette pod siebie, podciągając jej sukienkę. Czuła już na twarzy jego cuchnący oddech, kiedy nagle obwisł i zsunął się z niej na ziemię. Ujrzała nad sobą Dauphina z łopatą w dłoni.

– Włamał się bocznym wejściem.

– Jest ich więcej? – Juliette uniosła się na łokciach.

– Nie, dzięki Bogu był sam. Wrzucę go do rowu po drugiej stronie zoo i kiedy koledzy go jutro znajdą, będzie po prostu strasznie bolała go głowa.

– Ale czy on...?

– Nie, madame, nic nie będzie pamiętał.

Juliette trzęsła się ze strachu i Dauphin uklęknął, żeby ją przytulić. Objęła go rękami za szyję.

– Czym innym powinniśmy się teraz martwić, madame – powiedział, gładząc jej brązowe włosy i głaszcząc ją po plecach. – Wczoraj dostałem oficjalne pismo, że Niemcy przenoszą tu kilka zwierząt z Berlina. Będą potrzebowali tych klatek. Nie będzie pani tu już bezpieczna.

Ta nowina przeraziła Juliette bardziej niż atak pijanego żołnierza. „Zupełnie nie mam już gdzie się podziać”.

– Boże, co ja teraz zrobię? – spytała, czując, jak ogarnia ją panika.

– Mój kuzyn mówi, że zna człowieka, który zna człowieka będącego w stanie pani pomóc – odrzekł Dauphin.



Wiedziałem, że pan przyjedzie.

Lucien usiadł na szezlongu, wziął od Maneta kieliszek koniaku i opróżnił go jednym haustem. Do niewielkiego, kamiennego domu przybył koło dziewiątej rano. Budynek był jednopiętrowy, z lukarnami na poddaszu; znajdował się w pewnym oddaleniu od drogi tuż na przedmieściach Paryża, niedaleko Epinay-sur-Seine. Architekt wiedział, że dom nie należy do Maneta – był zbyt mały i skromny jak na człowieka o jego pozycji.

– Ach, to dopiero było pożywne śniadanie – powiedział Lucien. – A teraz niech mi pan powie, skąd pan wiedział, że jednak się tu pojawię?

– Miałem przeczucie – odparł Manet. – Tak po prostu.

– Dlatego, że czuję się winny z powodu śmierci Serraultów?

Manet zmarszczył brwi.

– Monsieur Lucien, niech pan będzie rozsądny. To nie pańska wina, że zginęli tamtego wieczoru. Kto mógł wiedzieć, że Niemcy będą chcieli tam przyjść? A to ptasie gniazdo to był zwyczajny pech. Lieber ich zamordował, nie pan.

– Powinienem być wziąć pod uwagę wszystkie możliwie ewentualności, bez względu na to, jak absurdalne mogłyby się wydawać. To ja wybrałem kominek. Przeze mnie znaleźli się w niebezpieczeństwie.

– Nonsens.

– Mogłem znaleźć jakieś inne miejsce na kryjówkę, ale to było zbyt łatwe. Musiałem być sprytny.

– Zaprosiłem pana tutaj, bo znów potrzebuję pana pomocy, Lucien. Pomoże mi pan?

Lucien spojrział na kieliszek, który trzymał w rękach. Ostatnie tygodnie były dla niego istnym piekłem. Po tym, gdy Adele pokazała mu przed trzema tygodniami schody, wcale nie przestał obwiniać się o śmierć Serraultów. Później zostawiła go Celeste. To wszystko dosłownie rozrywało go od środka; od paru dni sikał krwią. Jeśli nie myślał o Serraultach, zadręczał się schodami. Zaczynał być kłębkim

nerwów.

– Mamy problem – odezwał się architekt. – Ktoś znalazł schody w pałacu myśliwskim w Le Chesnay. Powiedziała mi o tym przyjaciółka, która korzysta teraz z posiadłości.

– Adele Bonneau – odparł Manet.

W pierwszej chwili Lucien przestraszył się, że Manet wie o Adele, ale potem powoli skinął głową.

– Musiała dostać dom od Niemców.

– Od Gestapo – uściślił Manet.

Odpowiedź Maneta wyraźnie wstrząsnęła Lucieniem. Po chwili zrobiło mu się niedobrze, gdy pomyślał, że Adele była w stanie dotknąć takiej kanalii. Sypiać z Niemcem to jedno, ale poniżyć się w ten sposób to wręcz coś niewyobrażalnego. Jak francuska kobieta mogła zrobić coś takiego?

– Może jej przyjdź do głowy, że miał pan coś wspólnego ze schodami.

– Wiem.

– Najlepiej byłoby więc, gdyby unikał pan odtąd mademoiselle Bonneau.

Lucien zgodził się spotkać z Manetem tylko dlatego, żeby mu powiedzieć, że się wycofuje. Że dłużej już tego nie zniesie. Najwyższy czas z tym skończyć. I tak wyszedł na tym wszystkim zadziwiająco dobrze – dostał mnóstwo pieniędzy, samochód i dwa duże zlecenia. Kiedy jechał, ćwiczył w głowie to, co chciał powiedzieć Manetowi. Powtarzał wszystko kilka razy i zastanawiał się, jaka będzie reakcja milionera. Jako dobry chrześcijanin pewnie nie będzie mu niczego utrudniał; powie, że rozumie jego decyzję i że Lucien i tak zrobił już wystarczająco dużo. Kiedy jednak architekt stanął z Manetem twarzą w twarz i miał już zacząć swoją przemowę, słowa uwięzły mu w gardle. Cała odwaga nagle go opuściła. Miał milion powodów, żeby odejść. Ale żaden argument nie mógł mu przejść przez gardło. Czuł się tak, jakby jechał w jakimś śnie w rozpędzonym pociągu i nie był w stanie wyskoczyć z wagonu. Wiedział, że pociąg uderzy na końcu torów w ceglany mur i że musi się z niego jakoś wydostać, ale nie potrafił.

Śmierć Serraultów sprawiła, że Lucien zaczął widzieć wszystko w innym świetle. Widok martwych staruszków z chustkami w ustach ogromnie nim wstrząsnął. Umarli, ratując mu życie, podczas gdy to on powinien był uratować ich. Jak większości Francuzów Luciena nie obchodziło specjalnie to, co dzieje się z Żydami; liczyło się tylko, żeby ocalić własną skórę. Ale zdał sobie ostatnio sprawę, że nie jest w stanie być już dłużej obojętnym na całą tę nienawiść i bezduszość, których doświadczali

Żydzi. Sposób, w jaki Rzesza karała ludzi za żydowskie pochodzenie, był barbarzyństwem. Ścigano Żydów jak dzikie zwierzęta. A najbardziej obrzydliwe było to, że nie robili tego wcale jacyś nierozgarnięci, półnaczy troglodyci, ale obywatele cywilizowanego narodu, cenionego z powodu kultury i inteligencji, do którego należeli tacy ludzie, jak Goethe czy Beethoven.

Lucien był ateistą i nie miał zamiaru usprawiedliwiać zmiany swojego nastawienia jakimiś religijnymi bredniami. Nie uważał wcale, że chrześcijanin ma obowiązek bronić „narodu wybranego przez Boga”. Nie doznał żadnego objawienia i nie zdecydował się zostać Żydem. Nie wierzył też, że wszechświatem rządzą jakieś prawa moralne albo że jest jakiś zbiór zasad określających dobro i zło (a już na pewno nie miał ochoty stosować się do bzdurnych, według niego, dziesięciu przykazań). Nie, nie mógł po prostu stać dłużej obojętnie, bo widział, jak niemal każdy Francuz odwraca się do tych ludzi plecami, i to tchórzostwo zaczęło napełniać go wstrętem.

Lucien wiedział, że nie może pozostać tylko biernym obserwatorem; postanowił kontynuować to, co zaczął. Kiedy pytał sam siebie, dlaczego ma zamiar narażać własne życie, uświadomił sobie, że nie robi tego dla pieniędzy ani dla fabryk, ani nawet dla dreszczu emocji. Ryzykował życie, bo tak należało postąpić. Miał już dość myślenia tylko o sobie i chciał pomóc tym ludziom. Jego ojciec prawdopodobnie przyglądał mu się teraz z piekła (bo na pewno nie z nieba), śmiejąc się i przeklinając go, ale miał to w nosie.

Przełknął wreszcie głośno ślinę i powiedział:

– Czego pan potrzebuje, monsieur?

– Awaryjnej kryjówki – odparł Manet. – Mój gość nie będzie tu mieszkał bardzo długo.

– Proszę dać mi chwilę, żebym mógł się rozejrzeć – rzekł architekt. – Postaram się coś wymyślić.

– Osoba, dla której będzie pan projektował schronienie, chciałaby zapłacić za pańskie usługi dwadzieścia tysięcy franków – odezwał się Manet, spacerując po parterze razem z Lucieniem.

– Nie zgadzam się.

– Jakiej kwoty więc by pan oczekiwał?

– Żadnej. Nie chcę już żadnych pieniędzy.

Manet zatrzymał się i spojrzał architektowi prosto w oczy.

– Został pan patriotą, monsieur?

– Nie do końca – roześmiał się Lucien – ale nie przyjmę pieniędzy.

Manet położył mu po ojcowsku dłoń na ramieniu gestem, który tak dobrze znał.

– To niezwykle szlachetna postawa, monsieur Lucien, ale także bardzo głupia. Dwadzieścia tysięcy franków to niewielka cena za uratowanie życia. Proszę pamiętać, ile pan ryzykuje. Proszę, przyjacielu, niech pan weźmie pieniądze.

Lucien był zdziwiony, że Manet potrafi być tak chłodny i praktyczny. Nie był jednak takim chrześcijaninem o sercu ze złota, za jakiego go uważał.

– Nie, monsieur, nie mogę.

– Przechowam je wobec tego u siebie i w każdej chwili będzie je pan mógł odebrać. Co pan na to?

– Obejrzyjmy dom.

Obeszli pierwsze piętro, zajrzeli na strych i wrócili na parter bocznymi schodami.

– Czy te schody prowadzą dalej do piwnicy? – spytał Lucien.

– Tak mi się wydaje. Na dole jest kuchnia.

Zeszli po schodach i znaleźli się w przestronnej kuchni. Pod ścianą stał ogromny piec, a na środku pomieszczenia znajdował się wielki drewniany stół rzeźnicki. Z metalowej ramy pod sufitem zwisały garnki i patelnie, a drzwi z tyłu wychodziły na ogród. Lucien obejrzał dokładnie wszystkie szafki i schowki, po czym włożył ręce do kieszeni i zaczął chodzić w kółko po kamiennej podłodze.

– Moglibyśmy wykorzystać przestrzeń pod wanną. Zamontowalibyśmy zdejmowany panel i ktoś bez problemu mógłby się tam wcisnąć – powiedział architekt, choć nie był przekonany, że to najlepsze rozwiązanie. Krążył dalej po kuchni, wpatrując się w podłogę i próbując wymyślić lepszy schowek. Gdy coś przychodziło mu do głowy, zastanawiał się bez końca, w jaki sposób kryjówka mogłaby zostać wykryta. Bał się, że znowu coś schrzeni i że ktoś przez niego zginie.

Obchodząc któryś już raz pomieszczenie, zatrzymał się nad odpływem w podłodze kuchni; kwadratowy otwór był szeroki na jakieś sześćdziesiąt centymetrów. Uklęknął, aby mu się przyjrzeć, po czym wyciągnął kratkę i zajrzał do środka. Kanał odpływowy był wyłożony blachą ołowianą i miał około półtora metra głębokości. Na samym dnie była rura, która odprowadzała wodę.

– Tutaj – zdecydował Lucien, wskazując odpływ. – Manet nachylił się, żeby lepiej zobaczyć.

– Schowamy go tutaj. Kanał odpływowy jest wystarczająco duży, żeby pomieścić człowieka. Wyciągnie kratkę, wejdzie do środka i zasunie właz z powrotem. Pod

kratką zamontujemy metalową kufkę i napełnimy ją wodą, żeby wszystko wyglądało naturalnie.

Lucien zdziwił się, że znów ogarnia go znana mu ekscytacja. Sądził, że po śmierci Serraultów nie będzie już zdolny do odczuwania takiej euforii. Jednak pomysłowość rozwiązania sprawiła go w uniesienie. Znowu poczuł się ze sobą dobrze i uśmiechał się od ucha do ucha.

– Genialne. Ale co zrobimy z tą rurą na dole?

– Odłączymy ją. Odpływ zbudowano na wypadek, gdyby kuchnia została w jakiś sposób zalana. Nie będziemy go potrzebować. – Lucien zauważył, że zaczął myśleć o osobach korzystających ze skrytek jak o autentycznych, żywych ludziach, więc zależało mu na ich komforcie. Jeszcze nie tak dawno temu byli dla niego tylko ładunkiem o określonych rozmiarach. Zamiast więc wyobrażać sobie, w jaki sposób ktoś zmieściłby się w danej przestrzeni, architekt sam wskoczył do środka, żeby ocenić, czy kryjówka będzie wygodna. Kanał odpływowy był dostatecznie szeroki dla dorosłej osoby, ale był też odrobinę za niski, więc trzeba było cały czas się garbić lub siedzieć na podłodze.

– Niech pan powie swoim ludziom, żeby jeszcze trochę pogłębili kanał. I niech położą na podłodze jakieś deski i poduszkę, żeby było na czym siedzieć.

– A może wykopać jeszcze tunel do ogrodu? Na wszelki wypadek? – spytał Manet.

– Podkop będzie wymagał dużo pracy. Trzeba by zabezpieczyć boki i górę, żeby ziemia się nie osunęła. Korytarz musiałby też wychodzić na tyłach ogrodu, żeby nasz gość mógł uciec niezauważony. – Lucien wiedział, że po niefortunnym wypadku z kominkiem milionerowi zależało na planie awaryjnym. Był to dobry pomysł.

– Moi ludzie zdążą na czas.

Lucien wyszedł na zewnątrz i spojrzął jeszcze raz na odpływ. Próbował wyobrazić sobie wszystko, co mogłoby pójść nie tak. Po kilku minutach uśmiechnął się szeroko do Maneta.

– Dobrze. Bierzmy się do roboty.

Manet poklepał go po plecach.

– Cieszę się, że jest pan wciąż po naszej stronie. Z takimi ludźmi na pewno odniesiemy zwycięstwo.

– Zwycięstwo? Nie wiem, czy jeszcze w nie wierzę.

– Niemcy wydają się niezwyciężeni, ale szczęście się od nich odwróciło –

odpowiedział Manet, uśmiechając się. – Brytyjczycy zatrzymali ich w lipcu pod El Alamein, a alianci prawdopodobnie uderzą wkrótce na Afrykę Północną. Rommel i jego wojska będą musiały się wycofać, bo czołgom kończy się benzyna. Mogą być najlepszymi żołnierzami na świecie, ale bez paliwa długo nie pociągną.

– Z twoich ust do uszu Boga. Tak chyba mówią Żydzi, prawda?

Kiedy obaj mężczyźni wyszli na zewnątrz, Alain jeszcze bardziej schował się za żywopłotem obramowanym kamiennym murkiem, który wyznaczał granice działki. Udało mu się podkraść do okien na parterze, ale nie był w stanie podsłuchać rozmowy. Widział jednak, że zeszli do piwnicy i przebywali tam przez jakiś czas. Alain uznał, że stanie pod oknami było zbyt ryzykowne, więc cofnął się do żywopłotu i czekał, aż Lucien i Manet wyjdą z budynku. Mężczyźni uścisnęli sobie ręce i wsiedli do swoich samochodów. Gdy tylko odjechali, Alain wyskoczył zza murku i popędził na tył domu, gdzie piwnica wychodziła na ogród. Zajrzał przez okna i dokładnie zlustrował kuchnię, ale nic dziwnego nie rzuciło mu się w oczy. Zważywszy jednak na ilość czasu, jaki w niej spędzili, domyślał się, że musiała być dla nich z jakiegoś powodu bardzo ważna.

Alain wciąż nie rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi – najpierw tajemniczy detal w kominku, teraz ta wycieczka do domu pod Paryżem. Był zły na siebie, że nie potrafił poskładać tego w całość. Potrzebował czegoś więcej, żeby rozwikłać tę zagadkę. Wrócił do ciemnozielonego peugeota, którego pożyczył mu kuzyn, usiadł na masce i zapalił papierosa, zastanawiając się nad każdym szczegółem, jaki udało mu się zobaczyć.



Przynajmniej nie wygląda na Żyda – mruknął Lucien.

– Tak, to prawda. – Ojciec Jacques zachichotał i podniósł się z krzesła. – Dzięki temu mamy trochę łatwiejsze zadanie, ale i tak trzeba bardzo uważać. Każdego dnia w ręce Gestapo wydawane są kolejne dzieci.

Lucien nie mógł przestać wpatrywać się w chłopca siedzącego przy stole w jego pracowni. Tuż obok dziecka leżał na podłodze duży, zielony plecak, z którego wystawiał głowę ciekawski kot.

– Wydaje się bardzo ułożonym dzieckiem. Mówił ojciec, że ile on ma lat?

– Dwanaście. Pierre to bardzo dobry chłopak. Pochodzi z inteligentckiej rodziny. Jego ojciec był profesorem chemii na Uniwersytecie Paryskim, ale stracił pracę, gdy Niemcy kazali zwolnić wszystkich nauczycieli akademickich pochodzenia żydowskiego. Jego matka też zajmowała się nauką. Zostali aresztowani i wysłani do Drancy. Od tamtej pory słuch po nich zaginął. Prawdopodobnie wysłano ich na Wschód do obozów pracy. Z większością Żydów jest podobnie: są deportowani i znikają jak kamień w wodę.

– Jest sam?

– W zeszłym miesiącu ktoś ich zdradził. Jego siostrę i braci zabrało Gestapo, a siedemdziesięcioletnią kobietę, która ich ukrywała, rozstrzelano na miejscu.

Lucien obrócił się i spojrział na starego księdza. Ojciec Jacques przygryzł usta; uświadomił sobie, że ten ostatni szczegół powinien być zostawić dla siebie.

– A dlaczego ojciec uważa, że zgodziłbym się przyjmąc do siebie Żyda?

– Monsieur Manet za pana ręczył.

– Ach tak.

– Wiem, że to poważna decyzja. Ale zdziwiłby się pan, monsieur Lucien, ilu ludzi w Paryżu ukrywa te dzieci. Większość Francuzów ma w nosie to, że dorosłych Żydów deportują z kraju, ale uważają, że aresztowania dzieci to coś odrażającego.

– Naprawdę?

– Chodzi tylko o tymczasowe schronienie, dopóki nie załatwię mu transportu

przez Pireneje do Hiszpanii.

– Jak bardzo tymczasowe, ojcze?

– Najwyżej miesiąc.

– Chryste, myślałem, że chodzi tylko o kilka tygodni. I założę się, że kot jest w zestawie?

– W rzeczy samej, monsieur. Chłopak kocha to zwierzę.

– Kto wie, że go ojciec tutaj przyprowadził?

– Tylko monsieur Manet.

– Naprawdę nazywa się Pierre Gau czy to fałszywe nazwisko? – spytał Lucien z pewną irytacją.

– To jego nowa tożsamość. Na to nazwisko ma wszystkie papiery: podrobioną kartę identyfikacyjną i fałszywy akt chrztu.

– Czemu nie może go ojciec trzymać w tym swoim domu dla młodzieży w Montparnasse?

– Francuska policja zaczyna się robić podejrzliwa. Dwa tygodnie temu zrobili nam nalot, ale nic nie znaleźli. Mieli jeszcze na tyle szacunku, że nie splądrowali domu. Gestapowcy nie będą tak taktowni. Rozerwą wszystko na strzępy.

– Jak ja, u diabła, wytłumaczę jego obecność? Mam pracownika, a od czasu do czasu do pracowni przychodzą też Niemcy.

– Inne rodziny wymyślają jakąś historyjkę. Może być synem przyjaciela, który zginął w czasie wojny, albo krewnym z południa, który stracił całą rodzinę.

– Kto uwierzy w takie gówno? – odparł Lucien, nie przejmując się, że tak się wyraża przy księdzu.

– Może pan mówić, że to sierota, nad którą Kościół powierzył panu tymczasową opiekę. W pewnym sensie będzie to prawda. Bardzo mi przykro, że do pana z tym przychodzę, ale jest pan moją jedyną nadzieją. Jestem zdesperowany, monsieur.

Lucien był zły, że Manet postawił go w takiej sytuacji. Może kiedy odmówił ostatnio przyjęcia pieniędzy, milioner pomyślał, że Luciena można już traktować jak porządnego chrześcijanina, który nie będzie miał problemów z podjęciem takiego ryzyka. A ryzyko było naprawdę duże. Projektowanie anonimowych kryjówek, żeby pomóc Żydom, było zupełnie czymś innym. Tam miał pewien bufor bezpieczeństwa. Teraz narażałby nie tylko siebie. Jeśli w jakiejś kamienicy znaleziono Żyda, wszystkich mieszkańców karano aresztowaniem i deportacją. Nikt nawet nie zadawał pytań. W zeszłym miesiącu w pewnym bloku jakaś kobieta odkryła, że w sąsiednim

mieszkańcu ukrywa się Żyd i zaczęła drzeć się na cały dom, żeby ostrzec pozostałych lokatorów. Wyważyli drzwi i odprowadzili Żyda na Gestapo. Nie chcieli umierać.

Lucien podszedł do chłopca, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Był całkiem przystojnym dzieciakiem, miał gęste, ciemnobrązowe włosy i brwi i był tak wychudły jak reszta podrostków w Paryżu. Dla wszystkich, którzy mieli dzieci, najbardziej bolesne podczas okupacji było chyba to, że musieli patrzeć na swoje głodujące pociechy. Matki spędzały całe dni, stojąc w kolejkach i żebrząc o jedzenie. Pierre był właśnie zajęty przeglądaniem starych pism architektonicznych Luciena. Przerzucał kartki, zatrzymując się przy niektórych zdjęciach i przypatrując się im uważniej. Lucien przez kilka chwil obserwował, jak chłopiec przygląda się fotografii sporego domu towarowego.

– Jak się pan ma, monsieur Pierre? Mam na imię Lucien.

Chłopak wstał z krzesła i mocno uściśnął mu dłoń.

– Pierre Gau, monsieur.

„Dobrze wychowany – pomyślał Lucien. Widać, że ma dobre maniery. Trzeba to Żydom przyznać. Nikt chyba nigdy nie słyszał, żeby banda żydowskich wyrostków zrobiła w Paryżu jakąś awanturę”.

– Widzę, że interesujesz się architekturą.

– Jak udało im się zrobić takie wygięcie w rogu tego budynku, monsieur? – zapytał Pierre, pokazując na zdjęcie dworca kolejowego w czasopiśmie.

– Jest zrobione z betonu. Robi się takie wygięte formy z drewna, a potem wlewa do środka beton. Można w ten sposób uzyskać dowolny kształt.

– Tak samo zrobili dach tego hangaru? – spytał chłopiec, pokazując kolejne zdjęcie.

– Tak, beton świetnie się nadaje do budowy hangarów – odparł architekt. – Jak ma na imię twój kot?

– Misha.

Lucien pogłaskał zwierzątko po głowie, a kot zaczął intensywnie mrużyć, jak gdyby miał w gardle jakiś mały silnik. Lucien uwielbiał koty, kiedy był dzieckiem. W jego rodzinnym domu zawsze był jeden albo dwa. Lubił budzić się rano i znajdować śpiące zwierzaki wtulone w jego pościel. Ale kiedy ożenił się z Celeste, okazało się, że była uczulona na koty, więc nie mogli trzymać żadnego w mieszkaniu. Cieszył się, widząc kota w pracowni, dzięki niemu wewnątrz zrobiło się jakby bardziej przytulne.

– A jak wsadzili tu tę wielką szybę? – zapytał Pierre, wskazując na przednią fasadę biurowca, który miał przeszklony parter.

– Zrobili nad nią betonową belkę i włożyli tafle szkła od dołu. – Chłopiec wrócił do przeglądania pism, nie zadając więcej żadnych pytań. Lucienowi dzieciak zaczynał się podobać.

Przyglądał mu się jeszcze przez jakiś czas. Jak na kogoś, kto stracił na zawsze wszystkich, którzy byli mu bliscy – matkę, ojca, braci i siostrę – chłopak wydawał się bardzo spokojny i dojrzały jak na swój wiek. Musiał bardzo szybko stać się dorosłym. Lucien zastanawiał się, jak sam zareagowałby na taką tragedię, mając tyle lat co Pierre. Czy byłby tak samo dzielny, czy raczej przedstawiałby sobą obraz nędzy i rozpaczki? Ponieważ bardziej prawdopodobne wydawało mu się to drugie, miał dla chłopca spory podziw. Dzieciak potrzebował kogoś, kto by się nim zajął.

Lucien czuł się jak postać z jednego z tych durnych amerykańskich filmów, które zdarzało mu się oglądać. Kiedy bohater był w rozterce, na jego jednym ramieniu pojawiał się mały anioł ze skrzydłami i aureolą, a na drugim – diabełek z widłami. Pierwszy mówił mu, żeby postąpił słusznie, drugi próbował go od tego odwieść. Czasem anioł i diabeł zaczynali się ze sobą kłócić, ale ze względu na amerykański kodeks moralny anioł zawsze wygrywał, mimo że diabeł bez problemu mógłby załatwić go widłami. Pierre wciąż kartkował czasopisma, a Lucien podszedł wolno do ojca Jacques'a.

Kapłan położył mu rękę na ramieniu.

– Monsieur Manet wiedział, że nie mam do kogo się zwrócić, i powiedział, że jest pan dobrym chrześcijaninem.

– Chrześcijaninem? Nie chcę nawet ojcu mówić, kiedy ostatni raz byłem na mszy. Słabo by się ojcu zrobiło. – Lucien nigdy nie przyznałby się przed księdzem, że jest ateistą. W katolickiej Francji było to gorsze, niż ogłosić wszem i wobec, że jest się gwałcicielem.

Z twarzy ojca Jacques'a zniknął uśmiech, a jego ręka zacisnęła się na ramieniu Luciena niczym imadło.

– Posłuchaj mnie, dupku. To jak będzie? Przyjmiesz chłopca czy nie? Nie mam całego dnia.

Lucien był zaskoczony, słysząc podobne słowa z ust księdza. Po chwili jednak się uśmiechnął. Podobało mu się, że ojciec Jacques ma jaja. Ojciec Luciena twierdził zawsze, że księża są tchórzliwymi eunuchami.

Lucien spojrzał znów na chłopca, a potem wbił wzrok w podłogę. Diabełek na

jego ramieniu – ludzko podobny do jego własnego ojca – tym razem nie wygra. Do licha z nim.

– Miesiąc, tak?

Ojciec Jacques znów uśmiechnął się dobrotliwie i uściśnął Lucienowi rękę.

– Z tyłu pracowni jest magazynek, nic specjalnego. Powiem, że zamierzam go przyuczać do zawodu. Może coś zostanie mu w głowie, skoro jest takim mądrym Żydem.

– Niech pan mówi, że jest sierotą i że znał pan jego rodzinę – poradził ojciec Jacques.

– A co z jedzeniem? Nie wiem, czy będę miał czym go karmić.

– Niech pan się nie martwi. Jego kartki żywnościowe wciąż są ważne – odparł ksiądz. – To skandal, że te maluchy muszą tak głodować. W zeszłym tygodniu dzieciaki miały napisać w szkole wypracowanie o tym, co chciałyby dostać, gdyby dobra wróżka mogła spełnić jedno ich życzenie. Pewna siedmiolatka, Danielle, napisała po prostu: „Chciałabym już nigdy nie być głodna”.

– Nic nie wiem o dzieciach, ale wygląda na to, że będę musiał uczyć się na bieżąco. Zdaje sobie ojciec sprawę, że kiedyś wezmą nas za to na tortury i zabiją? – powiedział Lucien z uśmiechem. – Będziemy się wtedy zastanawiać, czemu byliśmy tak głupi.

– Pamiętam list pasterski, jaki napisał monsignor Theas, arcybiskup Montauban, kiedy w 1942 roku zaczęła się deportacja Żydów. Twierdził, że to, co robią Niemcy i Vichy, uwłacza ludzkiej godności i jest pogwałceniem najświętszych praw człowieka i rodziny. Nie robimy nic głupiego, monsieur.

– Czy jeśli się zgodzę, Bóg spojrzy przez palce na wszystkie te msze, na które nie chodziłem przez trzynaście lat?

– Nie przeciągaj struny, synu.



Porucznikowi Voss, czy mógłby pan odświeżyć pamięć monsieur Trioleta?

Voss przyjął słowa Schlegala ze sporym entuzjazmem. Pułkownik był już mocno zirytowany – tłukł Trioleta od ponad godziny, ale cholerny żabojad wciąż nie chciał współpracować. Voss, który czuł, że i tak zmarnował już dość czasu na tę podróż do pałacu myśliwskiego w Le Chesnay, chciał mieć to wreszcie za sobą i wracać do Paryża.

Schlegal wskazał głową schody do małego gabinetu i Voss natychmiast zorientował się w czym rzecz. Złapał Trioleta za kołnierz, ściągnął go z krzesła i powłókł w stronę skrytki. Stojący obok porucznik Wolf również domyślił się, co należy zrobić. Podniósł ciężkie, zawieszane na zawiasach schody, a Voss rozciągnął rękę Francuza prostopadle do dolnej krawędzi kryjówki. Następnie Wolf opuścił klapę.

Trzask miażdżonej kości przypominał Schlegalowi dźwięk, z jakim łamał udka kurczaka podczas niedzielnych obiadów, kiedy był dzieckiem. Jego bracia zaśmiewali się z tego do rozpuku, ale ojciec zawsze wtedy na niego wrzeszczał.

Gdy echo krzyków Trioleta wreszcie ucichło, Schlegal podszedł do leżącego Francuza i lekko kopnął go w żebra.

– Monsieur Triolet, za godzinę jestem umówiony na obiad z pewną bardzo piękną kobietą. Czy nie moglibyśmy już skończyć? Chyba nie chce pan, żeby dama musiała czekać? Raczej nie byłoby to w dobrym tonie, prawda?

Triolet tylko jęknął. Przez chwilę oficerowie Gestapo sądzili, że właśnie umiera, ale byli przecież zawodowcami i wiedzieli z doświadczenia, jak daleko mogą się posunąć, żeby nie zabić swojego „gościa”. Wszyscy trzej spojrzeli po sobie ze zniecierpliwieniem. Voss złapał Trioleta za kostki i obrócił go tak, żeby Wolf mógł opuścić schody na nogi Francuza. Z ust niewysokiego mężczyzny o eleganckich, woskowanych wąsach wyrwał się tym razem przenikliwy, świdrujący uszy wrzask. Voss uśmiechnął się szeroko, mając nadzieję, że przesłuchanie tego upartego żabojada przyniesie wreszcie jakieś efekty.

Schlegal ponownie kopnął Trioleta, tym razem już mniej delikatnie.

– Bardzo nie chciałbym się spóźnić na spotkanie – powiedział. – Ta młoda dama jest dla mnie wyjątkowo ważna. Byłaby ogromnie rozczarowana. Wy, Francuzi, znacie się przecież na miłości jak nikt inny. Wie pan, że nie wypada, żeby kobieta musiała czekać.

Triolet uniósł się nagle na łokciach z niezwykłą energią, ale po chwili zachwiał się i upadł, uderzając mocno bokiem głowy w podłogę.

– Może tym razem spróbujemy z szyć, poruczniku Voss – zakomenderował Schlegal.

Wolf podniósł schody, a Voss chwycił Francuza za nogi, wywołując kolejny wrzask bólu. Głowa mężczyzny leżała teraz w miejscu, gdzie powinny znajdować się pierwsze stopnie; Wolf zastygł w bezruchu, czekając na rozkaz, by opuścić klapę.

– Na trzy – odezwał się Schlegal tonem pełnym obojętności. – Raz... dwa...

– W porządku – jęknął Triolet.

– Pytanie brzmiało... kto według pana potrafiłby zbudować takie schody? Niech mi pan pomoże, monsieur, zajmuje się pan budownictwem od czterdziestu lat. Zna pan wszystkie osoby z branży w całym Paryżu. Proszę podać mi nazwisko.

Triolet wymruczał coś, czego pułkownik nie był w stanie zrozumieć.

– Nie słyszę, monsieur Triolet.

– Jest jeden stolarz meblowy w okręgu jedenastym... który byłby w stanie zrobić coś takiego.

– Nazwisko, monsieur.

Na kilka chwil zapadła cisza. Schlegal znał ten etap przesłuchania. Moment sumienia. Jego gość zastanawiał się właśnie, czy lepiej jest się poddać, żeby straszliwy ból wreszcie się skończył, czy jednak wybrać bardziej wzniosłą drogę i nic nie mówić. Schlegal wiedział z własnego doświadczenia, że kiedy walka toczyła się między perspektywą uniknięcia bólu a zasadami moralnymi, ostatecznie strach przed bólem zawsze wygrywał. U niektórych milczenie trwało dłużej, ale większość i tak zaczynała sypać, jeśli tylko coś wiedziała. Monsieur Triolet gotów był mówić.

– Nazywa się Louis Ledoyen.

– Dziękuję. Nie było to takie trudne, prawda? – spytał pułkownik. – Miał pan zaszczyt pomóc Rzeszy. To żaden wstyd.

Triolet wymamrotał coś pod nosem i zemdlął w końcu z bólu. Voss podszedł, żeby go kopnąć, ale mężczyzna leżał nieruchomo.

– Weźcie go do miasta i trzymajcie w areszcie, dopóki nie znajdziemy tego stolarza. Jeśli okaże się, że sprzedał nam fałszywe nazwisko, wykończcie go – powiedział Schlegal, patrząc na Francuza. – Prędzej czy później dowiemy się, kto za tym wszystkim stoi. A kiedy się dowiemy, na pewno znajdziemy jeszcze wiele takich sprytnych kryjówek.

Voss wyszedł na korytarz i wydał rozkazy dwóm żołnierzom, którzy czekali za drzwiami. Weszli do środka i wynieśli Trioleta z sypialni.

– Wytrzyjcie tę krew z podłogi – polecił pułkownik. – W tym domu ktoś mieszka. Nie chcę zostawiać tu bałaganu.

Voss i Wolf odprowadzili zwierzchnika po wielkich schodach do czarnego samochodu służbowego, zaparkowanego na okrągłym podjeździe. Od chwili odkrycia schodów Schlegal był kompletnie pochłonięty tą sprawą. Kazał swoim ludziom aresztować wszystkich, którzy mieli jakiś związek z paryskim przemysłem budowlanym, ale nic nie udało im się znaleźć. Informatorzy nie potrafili im nic powiedzieć i nawet najbardziej brutalne tortury nie przynosiły żadnych rezultatów. Wyglądało na to, że była to jakaś tajna operacja, w której uczestniczyła tylko garstka wtajemniczonych. Schlegal był przekonany, że nie była to inicjatywa ruchu oporu – żaden z jego wywiadowców wewnątrz organizacji nic o tym nie wiedział. Gestapo znajdowało wielu Żydów ukrywających się w Paryżu, ale nigdy dotąd nie natrafiło na tak przemyślną kryjówkę. Wciąż nie dawało mu spokoju, że Żydzi byli w stanie wywieść go w pole. A najbardziej denerwowało go to, że jacyś Francuzi musieli im pomagać. Kiedy wreszcie dostanie ich w swoje ręce, droga za to zapłacą.

Nieco dalej na podjeździe zaparkowany był ciemnoniebieski renault, o którego opierał się niski, tęgi mężczyzna koło sześćdziesiątki trzymający w ręku papierosa. Schlegal skinął głową w jego stronę, dając mu znak, że może podejść.

– Jakież wieści, Messier?

– Na razie nic, pułkowniku, ale na pewno czegoś się dowiem.

Messier był kryminalistą, któremu Gestapo płaciło za ściganie Żydów. Razem ze swoim dwudziestoosobowym gangiem miał niesamowitego nosa do wyszukiwania Żydów i członków ruchu oporu ukrywających się w Paryżu i na obrzeżach miasta – był jak świnia szukająca trufli. Schlegal nie cierpiał korzystać z usług takiej szumowiny, ale musiał przyznać, że banda Messiera była bardzo efektywna, zwłaszcza gdy chodziło o zdobywanie informacji. Dzięki ich pomocy Niemcom udało się aresztować wiele osób. W zamian chcieli tylko pieniędzy i zgody na rabowanie mieszkań i wiejskich posiadłości, które należały do Żydów i innych

wrogów Rzeszy.

Niemcy bardzo liczyli na to, że żydowskie skarby wzbogacą ich skarbiec wojenny, ale od czasu do czasu pozwalali ludziom takim jak Messier uszczknąć coś z tego bogactwa. Messier podobno złupił kiedyś dom w szóstym okręgu, kradnąc z niego klejnoty o wartości dwóch milionów franków. Schlegal był mocno zdziwiony, gdy dowiedział się, że gangster był kiedyś policjantem, którego przed wojną zwolniono z pracy za wymuszenie. Ale to właśnie jego doświadczenie policyjne sprawiało, że radził sobie tak dobrze. Ponadto zatrudnił do pomocy innych żandarmów o wątpliwej moralności i wykorzystywał swoje doświadczenie zawodowe, aby dorobić sobie również w inny sposób – banda Messiera często przebierała się za niemieckich policjantów, żeby okradać ludzi lub wymuszać łapówki od osób handlujących na czarnym rynku. Podziemna ekonomia sprawiała, że coraz łatwiej było kogoś szantażować, a co za tym idzie – zacierała się granica między uczciwymi i nieuczciwymi mieszkańcami Paryża. Schlegal słyszał, że Messier wymusił kiedyś nawet pieniądze od jakiegoś księdza, który nielegalnie sprzedawał masło. Gestapo nigdy się w te sprawy nie wtrącało, chyba że nabierało podejrzeń, iż Messier przywłaszczył sobie cały łup.

– Rozglądaj się dalej. Ktoś buduje te kryjówki po całym Paryżu. Prędzej czy później poślizgnie się – odrzekł Schlegal. – A co z naszym przyjacielem Januskim? Jego aresztowanie jest dla nas absolutnym priorytetem. Nie chodzi tylko o jego fortunę czy o tę kolekcję sztuki, którą wszyscy tak się zachwycają; jest również jednym z naszych wrogów politycznych.

– Szczwany z niego Żyd, trzeba mu to oddać. Był przez kilka tygodni w mieszkaniu przy rue Saint-Hubert, ale zdążył już zwinąć manatki.

– Skąd wiesz, czy nie informuje go ktoś z twoich ludzi? Te łajzy z twojej bandy sprzedałyby nawet własną matkę, a ten Żyd to cholerny krezus.

Messier wybuchnął śmiechem.

– Ma pan rację, pułkowniku. W tych czasach każdy sprzedaje każdego.

– Uważaj tylko, żebyś ty mnie nie sprzedał.



Ato będzie twój pokój. Tam w rogu masz szafę, a tu jest twoje własne biurko.

Pierre usiadł na łóżku i pogładził ręką haftowaną narzutę.

– Miałem kiedyś niebieską narzutę.

Lucien cieszył się, że chłopcu podoba się nowy pokój. Architekt wysprzątał pokój gościnny od góry do dołu i kupił na bazarze dywan, żeby położyć cokolwiek na drewnianej podłodze. Teraz, kiedy wiedział już na pewno, że Celeste nie wróci (nie miał pojęcia, dokąd poszła), nie było żadnych powodów, dla których Pierre nie mógłby wprowadzić się do jego mieszkania. Minęły już dwa tygodnie, odkąd ojciec Jacques przyprowadził chłopca do pracowni, i to, że dwunastolatek musiał ciągle spać na podłodze w magazynku wydawało się Lucienowi czymś okrutnym – taki dobry dzieciak zasługiwał na coś więcej.

Architekt chciał, żeby ten dzień był dla chłopca wyjątkowy, więc po drodze do nowego domu wstąpili do kina. Przygnębiająca niemiecka kronika filmowa wychwalała pod niebiosa zwycięstwa ojczyzny i pokazywała ujęcia obywateli podbitych narodów – wszyscy uśmiechali się i cieszyli, szczęśliwi jak nigdy w życiu, że mogą być niewolnikami nazistów. Była to tak śmiechu warta propaganda, że gdyby Lucien był sam, od razu wyszedłby z sali. Ale po kronice filmowej była kreskówka. Teraz, gdy Amerykanie przyłączyli się do wojny, bajki z Myszka Miki i Królikiem Bugsem były we francuskich kinach zakazane, więc zamiast tego puszczano niemieckie filmy rysunkowe. Ten, który oglądali z Pierre'em, opowiadał o kaczkę próbującej przechrzyć myśliwego i – choć zrobiony przez Niemców – był całkiem śmieszny, co trochę zdziwiło Luciena. Niemcy, z którymi miał do czynienia, wydawali się mieć raczej kiepskie poczucie humoru. Przy każdym akcie kreskówkowej przemocy widownia zwijała się ze śmiechu. Kiedy Lucien odwrócił się w prawo, żeby spojrzeć na Pierre'a, zobaczył w promieniach światła odbitego od ekranu, że chłopiec śmieje się do łez. Ucieszony tym widokiem, wpatrywał się w chłopca dalej, zapominając kompletnie o niemieckiej animacji. Również podczas filmu fabularnego – jakiejś podrzędnej francuskiej produkcji o napadzie na bank –

Lucien cały czas obserwował zachwyconego Pierre'a. Chłopiec ani razu nie oderwał oczu od ekranu.

Kiedy wyszli z kina, wzięli rikszę do La Chat Roux, gdzie mogli zjeść wszystko, na co tylko mieli ochotę – oczywiście za odpowiednią cenę. Lucienowi widok Pierre'a pochłaniającego ziemniaki, królika, świeży chleb i eklerkę sprawiał niesamowitą radość.

Choć architekt był świadom, że Pierre nie zostanie u niego długo, wiedział, że chłopak w jego wieku potrzebuje własnego pokoju. Pamiętał, jak ważny był dla niego jego własny pokój w mieszkaniu przy rue de Passy, gdy dorastał. Lucien miał ogromną potrzebę prywatności, a własny pokój stał się jego sanktuarium – był miejscem, które należało tylko do niego i w którym zawsze mógł się schować. Zamykał się w nim, żeby uciec przed ojcem i przed bezlitosnymi docinkami braci. Godzinami czytał i rysował albo słuchał muzyki czy wspaniałych audycji radiowych, opychając się słodyczami, które kupował w kioskach i kawiarniach.

Otwierał wysokie okna i obserwował życie w Paryżu – patrzył na setki ludzi krążących po kamiennych chodnikach, na samochody, których modele znał na pamięć, i na wyładowane wozy, ciągnięte przez stare konie. Uwielbiał gapić się w okna kamienicy naprzeciwko, mając nadzieję, że uda mu się kiedyś zobaczyć coś wstrząsającego: morderstwo, kradzież albo rozbierającą się kobietę. Niestety, nigdy nic takiego nie widział. W swoim pokoju zasmakował też wielu ważnych życiowych doznań. Nauczył się w nim palić i w nim przeżył swój pierwszy raz. Gdy miał szesnaście lat, jego rodzina pojechała na weekend do Poissy, a on przyprowadził do domu Anne Laffront, by zakosztować z nią pierwszej miłosnej przygody. Wciąż pamiętał wszystkie szczegóły i to, jaką frajdę mieli tamtego lata, dopóki go nie rzuciła. Mieszkał w swoim pokoju przez cały okres studiów, uczył się w nim i rysował projekty. Chciał, żeby Pierre miał możliwość tak jak on przywiązać się do swojego pokoju.

Lucien wiedział, że nigdy nie będzie w stanie zastąpić Pierre'owi ojca, którego ten stracił, ale mógł przynajmniej stworzyć chłopcu namiastkę prawdziwego domu. Poza tym architekt cieszył się, że będzie miał towarzystwo, mimo że Pierre wydawał się raczej typem samotnika i rzadko się odzywał.

– Porozmawiajmy teraz o jedzeniu – powiedział Lucien, siadając obok chłopca. Nie znał go jeszcze na tyle dobrze, by odważyć się położyć mu rękę na ramieniu. – Cholernie kiepski ze mnie kucharz.

Nie kłamał. Teraz, gdy Celeste odeszła, musiał sam sobie gotować i nie

wychodziło mu to dobrze. Zdał sobie również sprawę, że musiał też sam kupować jedzenie, co oznaczało stanie w długich kolejkach razem z kobietami. Do tej pory robiła to Celeste. Kolejki formowały się w Paryżu już od trzeciej rano, ciągnęły się czasem wzdłuż całych ulic i poruszały się do przodu w żółwym tempie. Bywało, że kiedy wreszcie doszło się do lady, półki były już puste. Lucien tak bardzo wstydził się stać w kolejkach, że płacił cztery franki za godzinę kobiecie, która mieszkała przy tej samej ulicy, żeby robiła dla niego zakupy.

– Nie szkodzi, monsieur Bernard, mogę gotować dla nas jakieś proste jedzenie. Albo mogę przynosić do domu coś z tej kawiarni na rogu, żebyśmy nie musieli używać kuchenki.

– Tak chyba byłoby najlepiej. Nie wiem nawet, jak ją włączyć. Jest na gaz, więc gdybym spróbował, pewnie wysadziłbym wszystkich w powietrze.

Pierre wybuchnął śmiechem. Zazwyczaj śmiał się bardzo rzadko i Lucien cieszył się, że udało mu się rozbawić chłopca. Do tej pory Pierre sprawiał wrażenie, jak gdyby po tym wszystkim, co przeżył, postanowił, że już nigdy nie będzie radosny. Lucien przyrzekł sobie, że będzie starał się robić wszystko, żeby chłopiec śmiał się jak najczęściej.

– Dostaniesz ode mnie własny klucz, żebyś mógł wychodzić i wracać, kiedy będziesz chciał, ale pamiętaj, żeby nie łązić po ulicy po godzinie policyjnej. Jeśli cię złapią, obaj będziemy w niezłych tarapatkach. Rozumiesz to, prawda? I mów do mnie Lucien, nie monsieur Bernard.

– Oczywiście, monsieur... Lucien, zawsze bardzo na to uważam. Nigdy nie wychodzę w nocy – odparł Pierre.

Misha od razu polubił nowy pokój. Wskoczył na łóżko i zwinął się w kulkę na poduszce.

– Widzisz, Mishy od razu się tu spodobało – zauważył architekt. Pierre uśmiechnął się na te słowa, wyciągnął rękę i podrapał kota pod brodą. Lucienowi zaczynała podobać się rola ojca. Choć miał świadomość, że Pierre jest Żydem i że z jego powodu on sam i wszyscy pozostali mieszkańcy kamienicy mogą być torturowani i rozstrzelani, chłopak był takim dzieckiem, jakie Lucien zawsze chciał mieć – inteligentnym, uprzejmym i życzliwym.

– A tobie podoba się nowy pokój, Pierre?

– Tak, przypomina mi trochę pokój w moim starym domu przy rue Oudinot.

Lucien starał się nie pytać Pierre'a o jego przeszłość, zwłaszcza w pracowni, gdzie ciągle kręcił się przy nich Alain. Ponadto naprawdę nie miał ochoty nic wiedzieć. Ale

kiedy siedzieli tak razem w zaciszu domu, poczuł, że chciałby poznać chłopca bliżej. Przynajmniej trochę.

– Więc... kiedy ostatni raz widziałeś swoich rodziców?

– Tuż przed obławą w maju – odrzekł chłopiec ledwo słyszalnym głosem.

Lucien musiał się pochylić, żeby usłyszeć, co mówi.

– Słyszałem, że miałeś braci i siostrę? – spytał architekt, wiedząc, że wchodzi na bardzo delikatny grunt. Brnął jednak dalej.

– Zabrali ich. Nie wiem gdzie, ale pewnie też już nie żyją. To było wtedy, gdy Niemcy zastrzelili madame Charpointier.

– Opiekowała się wami po aresztowaniu waszych rodziców?

– Tak, wtedy wymyśliliśmy tę historyjkę o tym, że jesteśmy chrześcijanami. Mój ojciec zorganizował wszystko, jeszcze zanim go zabrali. Musieliśmy nauczyć się na pamięć *Zdrowaś, Maryjo, Ojciec nasz* i innych modlitw. Chodziliśmy nawet na mszę, żeby zrozumieć, na czym polega. Ojciec kazał nam bardzo dużo ćwiczyć, bo chciał, żebyśmy byli bezpieczni. Wszystko na nic.

– W jaki sposób Niemcy się dowiedzieli?

– Nie wiem. Myślę, że ktoś nas zdradził.

– A jak udało ci się uciec?

Pierre nie odpowiedział. Lucien poczuł się idiotycznie, że zmusza dwunastolatka do przypomnienia sobie takich strasznych rzeczy. Miał już zamiar zmienić temat, kiedy chłopiec zaczął mówić.

– Nie znaleźli mnie. Byłem na strychu i po prostu tam nie weszli. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobili. To stamtąd widziałem, jak zastrzelili madame.

– Widziałeś, jak ją zabili? – zawołał Lucien.

– Wyjrzałem przez okno na poddaszu i widziałem, jak przystawili jej pistolet do głowy. Kłóciła się z Niemcami, kiedy pakowali Jean-Claude’a, Philippe’a i Isabelle do samochodu. Ja przeżyłem, bo paliłem papierosy.

– Papierosy?

– Wymknąłem się na strych, żeby zapalić. Dlatego byłem na górze, kiedy przyszli po nas i wszystko słyszałem...

Ku zaskoczeniu Luciena Pierre nagle się rozpłakał. Po kilku sekundach wahania, architekt objął chłopca jedną ręką i delikatnie go przytulił.

– Nie powinienem był tam wchodzić – załkał Pierre. – Nie powinienem był tam wchodzić.

Lucien pogłodził go po włosach i łagodnie poklepał po plecach. Kiedy Pierre wreszcie się od niego odsunął, widać było, że wstydzi się tego płacz. Architekt pomyślał, że po tym wszystkim dzieciak nie potrzebuje jeszcze dodatkowego wstydu. Poszedł do jadalni po paczkę, która leżała na stole i wręczył ją chłopcu.

– Chciałem dać ci coś w prezencie powitalnym, Pierre.

Chłopak wytarł oczy rękawem swetra i zabrał się do rozpakowywania paczki. Gdy zobaczył w środku figurki rzymskich legionistów, które oglądał przez szybę w sklepie przy rue du Roi de Sicile, uśmiechnął się szeroko.



Adokąd jedziemy o tak cholernie wczesnej porze? – spytał poirytowany Lucien, zły, że Herzog wyciągnął go z łóżka o siódmej rano.

– Do hotelu Majestic – roześmiał się Niemiec. – I obiecuję, że gdy tylko tam dotrzemy, dostaniesz wielką filiżankę *café au lait*.

Architekt zmartwiał ze strachu. Hotel Majestic był paryską siedzibą niemieckiego dowództwa. Lucien słyszał o ludziach, którzy weszli do budynku i nigdy więcej stamtąd nie wyszli. Architekt rzucił nerwowe spojrzenie na klamkę w drzwiach niemieckiego samochodu służbowego, czując nagle przemożną chęć, aby otworzyć drzwi i wyskoczyć z pędzącego mercedesa, ale pozostał na miejscu. Herzog, który siedział obok niego i palił papierosa, wydawał się w świetnym nastroju. Patrzył z uśmiechem na skąpane w słońcu ulice i pokazywał Lucienowi budynki, które szczególnie mu się podobały. Lucien wiedział, że Niemiec uwielbia Paryż i że mógłby przechadzać się po mieście godzinami, podziwiając nawet najbardziej zwyczajne widoki. Potrafił zafascynować się nawet człowiekiem zamiatającym ulicę czy starszą kobietą handlującą sznurowadłami na targowisku.

– Czy wszyscy Niemcy są tak radosni o siódmej rano?

– Hausen, jesteś radosny z rana? – Herzog rzucił pytanie w stronę swojego kierowcy z promiennym uśmiechem.

– Jeszcze czego, panie majorze – odburknął, dociskając pedał gazu i wjeżdżając z dużą prędkością w aleję.

– Hausen ma kaca. Siedział wczoraj do późna, zabawiając jedną ze swoich licznych, nie do końca przyzwoitych przyjaciółek. Nieprawdaż, kapralu?

– Wezmę każdą dziwkę, jaka by nie była, byleby mi dobrze zrobić potrafiła – zafalszował kierowca. – To moje motto, panie majorze.

– Założę się, że wciąż nie widziałeś Notre Dame, co, Hausen?

– Jeszcze nie, ale kiedyś się tam wybiorę, obiecuję.

– Od jakiegoś czasu staram się trochę edukować naszego kaprala, ale coś kiepsko mi idzie. Zdążył natomiast odwiedzić już każdy burdel w mieście. – Herzog trącił

Luciena łokciem.

– To powiesz mi, czemu jesteś tak cholernie szczęśliwy z samego rana? Zdobyłeś kolejny drzeworyt Dürera?

– Też byś się cieszył, gdyby mieli cię awansować za wybitne zasługi na rzecz Rzeszy.

– Naprawdę? Gratuluję.

Lucien autentycznie cieszył się z sukcesu Herzoga. Jeszcze przed kilkoma miesiącami wstydziłby się, że życzy szczęścia Niemcowi, ale ostatnio przestał się tym w ogóle przejmować. Prawdą było, że z każdym dniem darzył inżyniera coraz większą przyjaźnią i podziwem. Miał wrażenie, że Herzog różni się od innych Paryżan tylko tym, że nosi szarzielony mundur Wehrmachtu, ale ubierał się tak tylko wtedy, gdy był na służbie. Po służbie chodził ubrany jak typowy Francuz cieszący się dniem wolnym od pracy. Tak przynajmniej widywał go Lucien, gdy odwiedzał Niemca w mieszkaniu.

Rozumieli się świetnie. Rozmawiali ze sobą o sztuce, architekturze, kobietach, o tym, co dzieje się w Paryżu. Jediną kwestią, której obaj unikali, były działania wojenne. Lucien podejrzewał, że Herzog nie chce dyskutować o przebiegu wojny, żeby go nie urazić; sam zresztą również nie miał ochoty zaczynać tego tematu. Lucien nigdy nie dbał szczególnie o swoje przyjaźnie – przed wojną miał raptem kilku znajomych, z którymi łączyły go sprawy zawodowe, ale po kapitulacji Francji nawet ta garstka gdzieś się rozproszyła. Ale też nigdy w swoim życiu nie spotkał nikogo, kogo mógłby nazwać naprawdę bliskim przyjacielem. Dlatego tak bardzo cenił sobie spotkania z Herzogiem. Niemiec zapraszał go do siebie dość często – architekt przypuszczał, że major nie spodziewa się zaproszeń z jego strony, bo podejrzewa, że Celeste nie zniosłaby widoku Niemca w domu. Kiedy odeszła, Lucien nie powiedział o tym Herzogowi, częściowo dlatego, że się wstydził, ale przede wszystkim dlatego, że od niedawna mieszkał u niego Pierre.

– Tylko że to jakaś strasznie wczesna pora na awans. Wiem, że Niemcy mają bzika na punkcie efektywności, ale aż tak zależy wam na tym, żeby wykorzystać każdą chwilę?

– Mnie tam nie zależy, ale Herr Albert Speer bardzo ceni swój czas. A kiedy wzywa cię osobisty architekt Führera, przychodzisz o tej godzinie, o której każe.

– Speer jest w Paryżu?

– Minister Rzeszy do spraw uzbrojenia i produkcji wojennej we własnej osobie.

– Zapomniałem, że jest ministrem uzbrojenia.

– Kiedy pierwszy minister, Fritz Todt, zginął w tej katastrofie lotniczej w lutym, Führer mianował Speera jego następcą. To był zresztą bardzo mądry wybór. Jedną z niewielu udanych decyzji personalnych Hitlera. Speer jest niesamowicie błyskotliwym człowiekiem.

– Ale uważasz, że jego projekty są obskuranckie – powiedział Lucien, uśmiechając się chytrze.

Herzog wyszczerzył zęby i podrapał się po głowie. Widać było, że miał ochotę wymigać się od odpowiedzi, ale nie miał jak.

– Pamiętam, jakie wrażenie zrobił na mnie w trzydziestym czwartym roku teren zjazdów NSDAP w Norymberdze. Wszystkie budynki wyglądały jak jakieś kiepskie podróbki greckich świątyń, ale Speer wykorzystał reflektory przeciwlotnicze, żeby stworzyć coś w rodzaju katedry światła. Było ich tam ze sto pięćdziesiąt, wszystkie skierowane prosto w nocne niebo. Widok zapierał dech w piersiach. Dwieście tysięcy ludzi na placu i dookoła nich te wieże ze świateł...

– Byłeś tam?

– Widziałem w kinie. Leni Riefenstahl, ta reżyserka, nagrała wszystko i pokazała w swoim *Tryumfie woli* cały kompleks.

– Czy Speer nie zaprojektował też przypadkiem stadionu w Berlinie, na którym odbywała się olimpiada w trzydziestym szóstym?

– Nie, stadion stworzył Werner March. Speer zrobił na polecenie Hitlera nową Kancelarię Rzeszy. Znajduje się w niej galeria, która jest dwa razy dłuższa od Sali Lustrzanej w Wersalu. Widziałem na własne oczy.

– Wynająłeś taksówkę, żeby przejechać z jednego końca sali na drugi?

– Trzeba było. Czułem się, jakbym podróżował po Rosji. No i należy też pamiętać o *Welthauptstadt Germania*, jego wielkim projekcie nowej stolicy. W centrum miasta miał powstać ogromny budynek z kopułą, która miała być siedemnaście razy większa od tej z Bazyliki św. Piotra.

Lucien zaryczał ze śmiechu.

– Chcieli też zbudować jakiś cholernie wielki łuk, pod którym mógłby się podobno bez problemu zmieścić Łuk Tryumfalny. Całe szczęście, że przyszła wojna i nie udało im się tego zrealizować. Speer i Führer mają małą skłonność do przesady.

– Nie taką małą – mruknął Lucien.

– Ale Führer po prostu uwielbia architekturę klasycystyczną. Wszystko chciał budować w granicach, żeby za tysiąc lat można było podziwiać Berlin jak drugi

Akropol. Żeby ludzie pamiętali Rzeszę tak, jak pamiętają starożytny Rzym.

– Trzeba przyznać Speerowi, że trafił mu się wyjątkowy klient.

– Znalazł się po prostu we właściwym miejscu we właściwym czasie. Goebbels zatrudnił go do przebudowy swojego Ministerstwa Propagandy, a później polecił go Führerowi. Podobno od razu przypadli sobie do gustu i dogadywali się doskonale. Hitler dał Speerowi praktycznie wolną rękę. Wiesz, że Führer sam chciał być kiedyś architektem?

– Tak, słyszałem.

– Może czuł, że nie ma wystarczających umiejętności, żeby zostać malarzem i pomyślał o architekturze, bo do tego nie trzeba aż takiego talentu – rzucił Herzog, uśmiechając się szeroko.

– Jasne, chciałbym zobaczyć, jak malarz robi to wszystko, co potrafi architekt! – odparł Lucien z przekąsem. – Niech sobie siedzą w tych żalonych mansardach i robią swoje.

Herzog nie potrafił ukryć rozbawienia.

– Kiedy spotkasz ministra Speera, będziesz mógł mu osobiście powiedzieć, że malarze to idioci. Na pewno się z tobą zgodzi.

– Chcesz mnie wziąć ze sobą? – spytał wystraszony architekt.

– Oczywiście. Nie wspominałem ci, że minister uzbrojenia słyszał o twoim talencie i o budynkach, które zaprojektowałeś? Chce cię poznać.

Hausen pędził pustymi ulicami. Skręcił w wąską uliczkę, na której po lewej stronie zaparkowany był czarny mercedes. Z pobliskiego budynku wyszli dwaj mężczyźni w charakterystycznych czarnych kapeluszach i długich płaszczach – ewidentnie oficerowie Gestapo po cywilnemu. Prowadzili do samochodu kobietę i mężczyznę, którzy mieli przyćepione na piersi żółte filcowe gwiazdy. Kobieta próbowała kołysać w ramionach płaczące dziecko.

– Zwolnij, Hausen.

Herzog opuścił szybę, wystawił głowę przez okno i przyglądał się całemu zajściu, gdy mijali samochód. Potem odwrócił się i patrzył na gestapowców przez tylne okno auta tak długo, dopóki nie znikli mu z oczu.

Wreszcie opuścił wzrok i w roztargnieniu zaczął bawić się szarymi, wyjściowymi rękawiczkami, które trzymał w ręku.

– Uwierzysz, że armię Bismarcka wykorzystuje się teraz do czegoś takiego? – wymamrotał. – Czasami wstyd mi, że noszę mundur.

Radosny nastrój Niemca prysł i reszta drogi minęła już w milczeniu.

Gdy zatrzymali się przed hotelem Majestic, Herzog wziął Luciena pod ramię i pociągnął go w stronę głównego wejścia. W holu Niemiec warknął kilka słów do jakiegoś porucznika, który natychmiast zaprowadził ich do windy pilnowanej przez dwóch dobrze uzbrojonych żołnierzy.

Na szóstym piętrze zostali odeskortowani pod masywne, podwójne drzwi. Oficer, który był z nimi, otworzył je bez pukania, zapowiedział gości i zostawił ich samych. Z pokoju wynurzył się wysoki, potężny mężczyzna o ciężkich, ciemnych brwiach. Na widok gości wyciągnął rękę.

– Pułkownik Herzog, cieszę się, że pana znów widzę.

Herzog skłonił głowę, strzelił obcasami i uściśnął mężczyźnie dłoń.

– Panie ministrze Speer, to dla mnie zaszczyt. Czy mogę przedstawić Luciena Bernarda, architekta, który projektuje dla Rzeszy nowe zakłady zbrojeniowe?

– I z tego, co widzę, robi to bardzo efektywnie. Byłem wczoraj w pańskiej fabryce w Chaville. Bardzo ciekawa i solidna konstrukcja.

– Dziękuję za miłe słowa, panie ministrze.

– Wyjątkowo funkcjonalny budynek. Taka powinna być każda architektura użytkowa. A te betonowe łuki są naprawdę całkiem zgrabne.

Lucien uśmiechnął się i skinął głową w milczącym podziękowaniu.

Speer zaprosił ich do przestronnego, kilkupokojowego apartamentu. Lucien, który widział wnętrza hotelu Majestic po raz pierwszy w życiu, był zafascynowany ich przepychem. Na stołach i sofach porozrzucane były rysunki i rulony map.

– Siadajcie, panowie. Czeka na was kawa i croissanty. – Speer pstryknął palcami. Nie wiadomo skąd w pokoju zjawił się nagle się usługujący żołnierz.

Lucien uważnie przyglądał się Speerowi pijącemu kawę i omawiającemu z Herzogiem szczegóły oraz koszty budowy kolejnych fabryk. Wcale nie wyglądał na zbrodniarza. Wydawał się godnym szacunku, kompetentnym architektem. Lucien wiedział jednak, że ten człowiek o niezwykłej inteligencji i uroku odpowiedzialny był za produkcję sprzętu wojskowego, który przez ostatnie pół roku przyczynił się do śmierci dziesiątek tysięcy ludzi. Mordował z zimną krwią, choć osobiście nie trzymał w ręku noża czy pistoletu. Zamiast tego kazał innym używać broni, której produkcję sam planował i nadzorował. I po co to wszystko? Żeby Niemcy mogli bez skrupułów zapanować nad innymi narodami tylko dlatego, że uważają je za gorsze?

Lucien zastanawiał się, czemu tak wybitny człowiek jak Speer służy takiemu

szaleńcowi jak Hitler. I czy inni są tacy jak on? Równie zdolni i inteligentni? Jeśli tak, Niemcy z pewnością wygrają wojnę. Lucienowi zrobiło się niedobrze i miał ochotę uciec.

– Monsieur Bernard jest niezwykle kreatywną osobą. Traktuje architekturę bardzo poważnie – oznajmił Herzog, wykonując gest w kierunku Luciena.

– Jak my wszyscy, pułkowniku – odparł Speer. – To najbardziej wymagająca dziedzina spośród wszystkich sztuk pięknych.

– Sądzę, że jest dużo trudniejsza niż malarstwo – rzucił Herzog.

– O, zdecydowanie – zawołał Speer. – W ogóle nie ma porównania.

Herzog bardzo starał się powstrzymać uśmiech.

– Panie pułkowniku, chciałbym pogratulować panu wspaniałych dokonań we Francji. Ogromna część produkcji wojskowej Rzeszy dokonuje się w zakładach, które pan zbudował. Planujemy już kolejne fabryki i jestem pewien, że będzie pan dalej tak świetnie wykorzystywał swoje talenty i umiejętności organizacyjne. Führer na pana liczy.

– To zaszczyt mu służyć, panie ministrze.

– Czy rozmawiał pan już z monsieur Bernardem o fabryce we Fresnes?

– Nie, panie ministrze, czekałem na oficjalne potwierdzenie tych planów.

– A zatem potwierdzam. Ten kompleks jest teraz dla Rzeszy najważniejszy – stwierdził Speer. – Będzie produkował torpedy dla naszych U-Bootów. Musi być szczególnie wytrzymały, żeby przetrwać ataki aliantów. Będą robili wszystko, co w ich mocy, żeby go zniszczyć. Wzmocnienie floty podwodnej jest dla nas w tej chwili absolutnie kluczowe – nasze okręty muszą powstrzymać amerykańskie statki. Stany Zjednoczone wytwarzają broń na taką skalę, jakiej Niemcy nigdy nie będą w stanie osiągnąć. Amerykanie pracują dzień i noc, bez chwili wytchnienia.

Lucien wbił wzrok w dywan.

– Wszyscy Niemcy doceniają pański ogromny trud, panie ministrze – odezwał się Herzog tonem, który Lucienowi wydawał się całkiem szczery.

– Politycy, partia, gauleiterzy... Mogłoby się wydawać, że wszyscy powinni ze sobą współpracować, żeby Niemcy mogły odnieść całkowite zwycięstwo. Tymczasem każdy tylko walczy o swoje. Skaczą sobie do oczu, kłócą się ze mną. Nawet Führer nie jest w stanie mi pomóc – westchnął Speer zmęczonym głosem. – Produkcję utrudniają najmniejsze głupstwa. Chociażby sprawa zatrudniania kobiet. We wszystkich innych krajach kobiety pracują w fabrykach, wytwarzając broń

i amunicję, ale w Niemczech to nie do pomyślenia. Większości pań nie pozwala się pracować; uważa się, że to afront dla kobiecości – rzucił z pogardą. – Opracowaliśmy nowe karabiny automatyczne, ale nie jesteśmy w stanie wyprodukować ich w wystarczających ilościach, więc żołnierze wciąż muszą używać broni powtarzalnej jak podczas pierwszej wojny.

– Dziękuję panu za spotkanie, panie ministrze. Zapewniam pana, że podwoję moje wysiłki – rzekł Herzog, ściskając dłoń Speera.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Życzę panu powodzenia.

Lucien wyciągnął rękę.

– Monsieur Bernard, nawet pan nie wie, jak panu zazdroszczę, że może pan wciąż projektować. Ja ostatnio zajmuję się tylko biurokracją.

– Cieszę się, że mogłem pana spotkać, panie ministrze.

– Ma pan ogromne szczęście, że mieszka pan w tak pięknym mieście, monsieur. Wie pan, Führer powiedział kiedyś: „Leningrad i Moskwę mógłbym zrównać z ziemią bez mrugnięcia okiem, ale byłbym ogromnie niepokieszony, gdybym musiał zniszczyć Paryż”.

Speer odprowadził ich do drzwi apartamentu.

– Führer nigdy nie interesował się żadnym podbitym miastem tak, jak Paryżem. Byłem tu razem z nim i jego ulubionym rzeźbiarzem, Arno Brekerem, gdy przyjechał na kilka godzin w czerwcu 1940 roku. Zwiedziliśmy wieżę Eiffla i grób Napoleona – powiedział z uśmiechem. – Twierdził, że Wiedeń jest piękniejszy, ale ja się z nim nie zgadzam.

Otworzył im drzwi i położył rękę na ramieniu Luciena.

– Wie pan, planowałem kiedyś przebudować Berlin wokół centralnej osi wytyczonej przez szeroką, pięciokilometrową aleję. Miała być trochę podobna do waszych Pól Elizejskich.



Adele była już o krok od orgazmu, gdy od drzwi jej mieszkania dobiegło nagle głośne pukanie.

– Kto to jest, do diabła? – wrzasnął Schlegal. Adele, która siedziała na nim okrakiem, również zdążyła go już mocno podniecić.

– Nie zwracaj uwagi. No dalej, nie przerywaj, do cholery – jęczała kobieta. Pukanie było jednak coraz szybsze i głośniejsze. Adele poczuła, jak ze Schlegala zeszło powietrze.

– Niech to szlag, mówiłem ci, że mam tylko pół godziny i muszę wracać. – Niemiec chwycił kobietę za rękę i zrzucił ją z siebie jak szmacianą lalkę.

Gdyby nie zdążyła chwycić się koca, spadłaby na podłogę. Adele spojrzała na gestapowca wzrokiem pełnym gniewu. Nie była przyzwyczajona, żeby kochanek traktował ją w taki sposób.

– Otwórz te cholerne drzwi – warknął Schlegal, przyciskając do twarzy poduszkę.

Adele zarzuciła na siebie czarny, jedwabny szlafrok i ruszyła do przedpokoju.

– Tak, tak, już idę – zawołała. – Gdyby nie to walenie, to dawno bym już doszła – dodała pod nosem.

Otworzyła szeroko drzwi i stanęła twarzą w twarz z Bette, która weszła do środka z łobuzerskim uśmiechem, świadoma, że przerwała coś poważnego.

– A czego ty chcesz, na miłość boską?! – spytała Adele.

– Zawsze wypełniam instrukcje szefowej co do joty, a kazałaś mi przyjść punktualnie o dwunastej trzydzieści, żeby zabrać szkice i zanieść je do André. „Tylko nie waż się spóźnić. André potrzebuje tych szkiców już teraz”. Brzmi znajomo?

– Nie bądź taka przemądrzała. W ostatniej chwili wypadło mi coś, czym musiałam się pilnie zająć, i straciłam poczucie czasu.

Bette weszła do salonu, usiadła na czarnej, skórzanej kanapie i położyła nogi na stoliku kawowym ze stali nierdzewnej.

– Zabieraj buty z mojego stołu. Przy okazji, czy ktoś kiedyś mówił ci, że masz

strasznie wielkie stopy? Wyglądają jak kajaki.

– Za sekundę sobie pójdę. Na pewno zdąży mu jeszcze stanąć, więc nie ma co rozpaczać, kochana – odparła Bette.

Adele wróciła z gabinetu, ściskając pod pachą czarną teczkę. Bette wstała z sofy i wzięła od szefowej rysunki.

– Może się napijemy? No wiesz, na pociechę?

Adele zerknęła na otwarte drzwi sypialni i kiwnęła głową. Bette podeszła do czarnego, stalowego barku i nalała sobie szczerze koniaku.

– Zostaw trochę dla mnie, co? – powiedziała Adele, zawiązując mocniej pasek od szlafroka.

Bette uśmiechnęła się, cmoknęła wargami i położyła szklanke na ladzie barku.

– Jeszcze raz przepraszam za *coitus interruptus*, ale tak jak mówisz, biznes jest biznes.

– Następnym razem najpierw zadzwoń.

– Będę pamiętać. Albo wyślę ci śpiewany telegram.

– Do zobaczenia – odrzekła Adele słodkim głosem, wypychając Bette za drzwi.

– Pamiętasz o przymiarkach dziś po południu, koło czwartej? Skończysz już z nim do tego czasu?

Bette wyszła na korytarz, zatraskując za sobą grube drewniane drzwi. Po chwili przyłożyła do nich ucho; z tyłu mieszkania dobiegały jakieś wrzaski. Uśmiechnęła się i ruszyła w stronę windy. Gdy Adele zostawiła ją na chwilę w salonie, udało jej się zajrzeć przez drzwi do sypialni i zobaczyła charakterystyczny czarny mundur przewieszony przez oparcie łóżka. Widziała, że Adele lubi ubierać się na czarno, ale ten element garderoby z pewnością należał do kogoś innego – podobnie zresztą jak wisząca obok czapka Gestapo.

Nie minęło nawet trzydzieści sekund odkąd opuściła kamienicę, w której mieszkała Adele, a trzech kolejnych spotkanych mężczyzn uchyliło przed nią kapelusza, uśmiechając się szeroko. Nie było to nic dziwnego. W lutym skończyła, co prawda, trzydzieści jeden lat, ale miała świadomość, że jest teraz o wiele ładniejsza niż wtedy, gdy miała dziewiętnaście i zaczynała swoją karierę jako modelka. Gdyby Bette wierzyła w Boga, pewnie codziennie dziękowałaby mu za to, że jej uroda trwa tak długo. Wiedziała, że gdy stuknie jej pięćdziesiątka, nadal

będzie wyglądać świetnie. Bette wierzyła w szczęście, bo tylko tym potrafiła wytłumaczyć fakt, że sama wyrosła na piękność, podczas gdy jej siostra, Simone, zawsze była brzydka jak noc. Uważała, że był to jakiś dziwaczny kaprys natury i drżała na samą myśl, że mogłoby być na odwrót. Gdy wyobrażała sobie, że to Simone jest piękna, a ona wygląda jak buldog, ciarki chodziły jej po plecach.

Już jako nastolatka Bette musiała opętać się od mężczyzn kijem. Jak tylko sięgała pamięcią, chcieli się z nią umawiać każdego dnia: i w tygodniu, i od święta. Była zdania, że cudownie jest być piękną kobietą. Oprócz tego, że interesowali się nią mężczyźni, nigdy nie musiała stać w kolejce do sklepu albo czekać na stolik w drogiej restauracji – płacić za posiłek w takiej restauracji oczywiście też nie musiała – a pod jej drzwiami wielokrotnie pojawiały się nieoczekiwane prezenty. Biedna Simone faceta znajdzie chyba tylko wtedy, jeśli rodzice zapłacą komuś, żeby się z nią ożenił, albo jeśli pozna jakiegoś niewidomego. Była cudowną, przemiłą dziewczyną o sercu ze złota, która zostałaby wspaniałą żoną i matką, ale prawdopodobnie czeka ją nieszczęśliwe, ponure życie starej panny.

Był czas, kiedy Bette nie zgadzała się na randkę z chłopcem, dopóki nie znalazł on kogoś, kto umówiłby się z Simone. Chwilę po tym, jak delikwent zobaczył jej siostrę, zniknął i nigdy więcej się nie pojawiał. Mimo to Simone nigdy nie zazdrościła swojej uroczej młodszej siostrze. Była gotowa zrobić dla niej wszystko. Rodzice Bette pogodzili się ze smutnym faktem, że Simone prawdopodobnie nigdy nie wyjdzie za mąż i że to druga córka da im kiedyś upragnione wnuki. Tak się jednak nigdy nie stało. Trzy lata temu Bette dowiedziała się od swojego lekarza, że ze względu na nieprawidłowości w budowie macicy nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Podwiązał jej jajowody i na tym się skończyło. Tragiczne wieści zrekompensowało jednak to, że mogła bzykać się teraz, ile dusza zapagnie, i nie musiała martwić się, czy zajdzie w ciążę. Prawdę mówiąc, w ten sposób spadł jej z serca ogromny ciężar. Wiele jej znajomych decydowało się na groźne i bolesne aborcje w jakichś podejrzanych lokalach, żeby móc kontynuować swoje kariery modelek. Nie chciały rezygnować z wygodnego życia i żadna z nich nie miała ochoty zostać samotną matką – wiązało się to bowiem z niewyobrażalnym wstydem. Ich rodziny i tak już uważały je za bezwstydnice. Gdyby pokazały się w domu z dzieckiem, kazano by im się wynosić i więcej nie wracać.

Bette skrzyła w prawo, w rue Saint-Martine, gdzie André, ich kroczy, miał swoją pracownię krawiecką. Zostawiła mu teczkę z rysunkami, przekazała dokładne instrukcje i ruszyła w kierunku swojego mieszkania przy rue Payenne. Zatrzymała

się przy sklepie z czekoladą Denisa Borge'a, znajdującym się przecnicę przed jej kamienicą, i zapukała do drzwi. Okna sklepu były zasłonięte, ale ktoś wyjrzał właśnie zza jednej z rolet i po chwili otworzył się drzwi.

– Witaj, Denis – powiedziała Bette.

– Mademoiselle Bette, cieszę się, że panią widzę – rozpromienił się cukiernik. Wszyscy sklepikarze zawsze się do niej łasili.

– Przyszłam po czekoladki. Są gotowe?

– Oczywiście, czekają od wczoraj. Nigdy nie zapomniabym o pani zamówieniu. Są wszystkie specjały, o które pani prosiła. – Denis wręczył jej małą torebkę z brązowego papieru. Bette wsunęła rękę do środka, porządkując pojedynczo zapakowane słodkości.

– Jesteś aniołem, Denis. Czekoladki trudniej teraz dostać niż diamenty.

– Z radością zrealizuję dla pani każde zamówienie. Jest pani moją najlepszą klientką, mademoiselle Bette. Od roku odwiedza mnie pani regularnie co dwa tygodnie. Zazdroszczę pani. Jak pani to robi, że je tyle czekolady i w ogóle nie tyje?

Bette opuściła wzrok i uśmiechnęła się nieśmiało.

– Mam dobrą przemianę materii. Mogę zjeść naprawdę dużo. Potrafię za jednym razem pochłonąć całą bagietkę grubo posmarowaną masłem.

– Ja za coś takiego muszę zawsze zapłacić, jeśli wie pani, co mam na myśli – odparł Denis, poklepując swój ogromny brzuch. Bette trąciła go żartobliwie, wywołując tym serdeczny śmiech cukiernika. Ze względu na racjonowanie żywności sklepikarze i rzeźnicy zyskiwali podczas okupacji konkretną władzę i dość często dawali to odczuć swoim klientom. Bette jednak nikt jeszcze nie potraktował nieuczciwie – była to kolejna zaleta bycia ładną.

– Do widzenia, przyjacielu. Przyjdę czternastego.

Bette wdrapała się na najwyższe piętro kamienicy, w której mieszkała, podeszła do drzwi swojego mieszkania i zapukała trzy razy. Odczekała chwilę, zapukała kolejne trzy razy i dopiero wtedy weszła do środka. Gdy była w przedpokoju, zawołała łagodnie:

– Wróciłam, maluchy.

Niczym zwierzątka wyglądające z nory zza drzwi do salonu wychyliły się główki dwojga dzieci – sześciolatniego chłopca i czteroletniej dziewczynki.

– Mam dla was czekoladki. Chodźcie i weźcie sobie – zaszczębiotała Bette, wyciągając w ich stronę papierową torebkę.

Dzieci wzięły od niej słodycze, a ich twarze pomału rozjaśniały się w uśmiechu.

– Pamiętajcie, co wam mówiłam.

– Pół na pół – wyrecytowały chórem.

Bette patrzyła z zadowoleniem, jak maluchy dzielą między siebie łąkocie. Gdy skończyły, podeszły do niej i jak zwykle poczęstowały ją czekoladką. Podziękowała im i wsunęła pralinę do ust.

Zawsze zastanawiała się, czy gdyby miała własne dzieci, byłyby tak miłe i grzeczne, jak pociechy Kamińskich. Bette nie zwracała szczególnej uwagi na maluchy, które mieszkały na pierwszym piętrze jej kamienicy. Lubiła Kamińskich, ale nigdy nie powiedziała do nich nic więcej poza „Dzień dobry” lub „Co słychać?”. Wszystko zmieniło się rok temu, kiedy pani Kamińska z jeszcze jedną kobietą zapukała do niej kiedyś późnym wieczorem. Powiedziała, że właśnie dostała telefon, że za chwilę przyjedzie żandarmeria, żeby aresztować jej rodzinę. Chciała za wszelką cenę znaleźć kogoś, kto mógłby ukryć jej dzieci. Bette nie miała nic przeciwko Żydom, ale wiedziała, że pomoc Kamińskim może kosztować ją życie. Próbowwała je zbyć, mówiąc, że nie zna się wcale na wychowywaniu dzieci, ale kobieta zaczęła nagle płakać i zaklinać ją na wszystkie świętości. Elegancka, szykowna dama, którą Bette zawsze podziwiała, błagała ją teraz rozpaczliwie, nie dbając o własną godność. Kamińska upadła przed nią na kolana, zawodząc głośno i próbując wcisnąć jej gruby plik banknotów. Nie mogąc patrzeć dłużej na histerię kobiety, Bette powiedziała jej, żeby przyprowadziła dzieci i przyniosła ich ubrania.

Parę minut później na środku jej salonu stało w piżamach dwoje przerażonych dzieci. Tuliły się do siebie, nie wiedząc, co się dzieje. Bette podeszła do okna od strony ulicy i zobaczyła, jak przed domem zatrzymuje się policyjny samochód. Wsiadło z niego trzech żandarmów, którzy ruszyli biegiem w stronę budynku. Bette sądziła, że za chwilę na klatce schodowej rozlegną się krzyki i płacze, ale w całym budynku panowała dziwna cisza. Dziesięć minut później policjanci zapakowali Kamińskich do auta i odjechali. Nigdy więcej ich już nie zobaczyła. Bette odwróciła się od okna i spojrzała na dzieci, które wciąż stały przytulone. Uśmiechnęła się do nich, wyciągając rękę.

– Chodźcie, dam wam czekolady.

Nauczona przez świat, że musi być zawsze twarda i zawzięta, Bette sądziła w tamtej chwili, że dwoje żydowskich dzieci w domu to najgorsze, co mogło się jej przydarzyć.

Bardzo szybko uświadomiła sobie jednak, że była to najlepsza rzecz, jaka ją

w życiu spotkała.



Ale to przecież Żydzi zabili Chrystusa. Czyż nie tak, ojczcze?

– To rzecz sporna, mój synu. Ale nawet jeśli, to i tak robiłbym wszystko, żeby im pomóc.

Śmiałość ojca Jacques'a podobała się Schlegalowi. Zawsze nienawidził duchowieństwa, zarówno protestanckiego, jak i katolickiego. Zarozumiali głupcy, przekonani o własnej nieomyślności. Gestapo odkryło, że stary ksiądz ukrywał w Montparnasse żydowskie dzieci i pomagał im przedostać się przez Pireneje do Hiszpanii. Udało im się też złapać w Carcassonne drugiego kapłana, który przeprowadzał dzieciaki przez góry. Schlegal krążył wolno dookoła krzesła, na którym ojciec Jacques siedział od drugiej rano. Klecha nie zdradzał najmniejszych oznak zmęczenia. W szarym świetle poranka, sączącym się przez okno w pokoju przesłuchań, wydawał się nawet dość radosny.

– Myślałem, że starszyzna żydowska zmusiła Piłata, żeby skazał Chrystusa na śmierć – powiedział Schlegal. – Że chcieli się go pozbyć.

– Hmm... Niektórzy teologowie sądzą podobnie. Możliwe, że to prawda.

– Więc czemu ryzykuje ojciec życie, by pomóc ludziom, którzy zamordowali Chrystusa?

– Panie pułkowniku, nie rozumie pan, że na tej ziemi wszyscy jesteśmy braćmi.

– Braćmi. – Niemiec parsknął głośnym śmiechem. – Co za żałosne bzdury.

Schlegal żywił dla przesłuchiwanego księdza i wszystkich, którzy ukrywali Żydów, najwyższą pogardę. Wciąż jednak nie mógł się nadziwić, że tyle osób było gotowych narażać własne życie, żeby pomóc tym podludziom. Kto normalny chciałby umrzeć, ratując robactwo? Francuzi, którzy przed wojną nie mieli z Żydami nic wspólnego, nagle ukrywają ich po strychach i stodołach, wiedząc, co ich czeka, jeśli zostaną złapani. Ryzykować życie dla tych złodziei i oszustów, którzy sprowadzili na świat tylko nędzę i cierpienie? Nie mieściło mu się to w głowie. Na przykład to, co stało się w zeszłym tygodniu – podczas obławy na rue Saint-Honoré jeden z żandarmów oddał jakiemuś Żydowi swoją pelerynę i czapkę, żeby umożliwić

mu ucieczkę. Oba złapano i zastrzelono na miejscu. A najdziwniejsze było to, że zastrzelony policjant nigdy wcześniej nawet nie widział tamtego człowieka. Tak, świat będzie o wiele lepszym miejscem, kiedy znikną z niego wszyscy Żydzi. On sam i Gestapo postarają się, żeby zniknęli przynajmniej z Paryża.

– Ilu dzieciom pomógł ojciec uciec do Hiszpanii?

– Mogę z dumą powiedzieć, że jak dotąd były ich setki. – Ojciec Jacques uśmiechnął się od ucha do ucha.

Wyraz zadowolenia na twarzy kapłana rozwścieczył Vossa, który obserwował przesłuchanie, stojąc w cieniu. Zrobił krok w kierunku ojca Jacques'a i uderzył go w bok głowy tak mocno, że starzec upadł ciężko na podłogę.

– Poruczniku Voss – odezwał się Schlegal – to nie było konieczne. Ojciec Jacques zdołał przechytryć Rzeszę i nic dziwnego, że jest z tego dumny. Pozwólmy mu nacieszyć się tą chwilą chwały.

Voss prychnął, złapał księdza za kołnierz i wciągnął go znów na krzesło. Stał potem za Schlegalem i skrzyżował ręce na piersi.

– Proszę o wybaczenie, ojcie. Porucznik Voss jest trochę drażliwy, bo nie jadł jeszcze śniadania. Jeśli wyzna mi ojciec swoje grzechy, będzie mógł wreszcie pójść coś zjeść.

Kapłan rozmasował miejsce, w które uderzył go Niemiec, po czym spojrzał bezczelnie prosto w oczy Schlegala.

– Wobec tego obawiam się, że porucznik Voss raczej nie doczeka się śniadania.

Schlegal był pod wrażeniem. Gardził starcem za to, że pomagał Żydom, ale czuł dla niego również spory szacunek. Zastanawiał się, czy młodszy ksiądz byłby tak samo buńczuczny jak ten człowiek, któremu nie zostało już wiele życia. Czy gdyby miał przed sobą jeszcze całe życie, zachowywałby się inaczej?

– Zgaduję więc, że gdybym puścił ojca wolno, raczej nie zaprzestałby ojciec swojej działalności? – spytał Schlegal, uśmiechając się szeroko.

Ojciec Jacques ryknął śmiechem i przez kilka sekund nie był w stanie się opanować. Schlegal śmiał się razem z nim.

– Panie pułkowniku, jest pan niezwykle zabawnym człowiekiem. Pewnie nawet bym pana polubił, gdyby nie był pan taką gestapowską świnią.

Schlegal roześmiał się ponownie. Voss przyglądał mu się z dezaprobatą.

– Ach, ojcie Jacques – wykrztusił wreszcie Schlegal, ocierając łzy – kiedy ojca słucham, to niemal żałuję, że nie jestem katolikiem.

– Ależ ma pan przecież swój własny kościół, panie pułkowniku. Kieruje nim sam szatan, Herr Hitler we własnej osobie.

Schlegal podszedł do kapłana, oparł jedną rękę na jego kolanie i nachylił się, żeby zajrzeć starcowi w twarz.

– Ukrywanie tych żydowskich bachorów musiało kosztować ojca mnóstwo pracy i na pewno jest ojciec bardzo zmęczony. Dlatego mam zamiar zrobić dla ojca coś wyjątkowego.

– Chce pan się obrzezać?

Voss już miał się rzucić na księdza, ale Schlegal powstrzymał go machnięciem ręki.

– Powinien ojciec udać się w podróż. Potrzebuje ojciec odpoczynku. Zamierzam więc zorganizować ojcu wakacje.

– To miło z pana strony.

– Był ojciec kiedyś w południowo-zachodniej Polsce? Bardzo piękny kraj. Na pewno się ojcu spodoba. Świeże powietrze. Drzewa. Przyroda. Niech ojciec pomyśli o tym jak o swojego rodzaju rekolekcjach. Takich, w których uczestniczy mnóstwo Żydów. Ale skoro tak ojciec za nimi przepada, to będzie się tam ojciec czuł jak w domu.

– Brzmi wspaniale. I mam wrażenie, że będę musiał niedługo wyjechać.

– W rzeczy samej. Za dwie minuty już ojciec będzie w drodze. Ale chciałbym ojca jeszcze o coś zapytać. Nie mógłby mi ojciec powiedzieć, czy ktoś jeszcze oprócz ojca Philippe'a pomagał Żydom w Carcassonne?

Ojciec Jacques tylko się uśmiechnął.

– Nie mogę powiedzieć, że było miło pana spotkać, panie pułkowniku, ale muszę przyznać, że dobrze mi się z panem rozmawiało. Mam nawet nadzieję, że kiedy pan już zdechnie i pójdzie smażyć się w piekle, nie będzie pan musiał jakoś strasznie cierpieć. Zamierzam się nawet modlić za pańską duszę.

– Będę zobowiązany. Cieszę się, że mogłem ojca poznać. Nieczęsto zdarza mi się spotkać człowieka odważnego. Voss ojca odprowadzi. Obawiam się, że nasze pociągi bywają ostatnio dość zatłoczone i podróż może być trochę niewygodna.

– Tak, słyszałem, że niemiecka kolej mocno odstaje od francuskich standardów. Podobno potrafiacie wcisnąć dwieście osób do jednego wagonu.

– Cóż, wojna wymaga pewnych wyrzeczeń.

Ojciec Jacques wiedział, że czas się zbierać. Wstał z krzesła, skłonił się lekko

Schlegalowi, po czym zwrócił się w stronę Vossa.

– Panie poruczniku, jestem gotów na wycieczkę do Drancy.

– Mam dla ojca dobre wieści – odparł Voss z uśmiechem. – Ominie ojciec Drancy i od razu wsiądzie do pociągu.

– Tak, mamy dla ojca bilet na ekspres – dodał Schlegal. – To długa podróż, ale słyszałem, że na miejscu można wziąć porządny, ciepły prysznic.



Wpadłeś do kibla i się utopiłeś? – wrzasnął Alain.

Pierre spuścił wodę i odsunął zasuwkę w drzwiach. Gdy wychodził z toalety, Alain opierał się o ścianę tuż obok.

– Coś ty tam robił? Brzmiało to tak, jakbyś coś do siebie bełkotał. Co to był w ogóle za język?

Pierre tylko uśmiechnął się do Alaina.

Alain nie lubił go od pierwszej chwili. Początkowo Pierre miał tylko sprzątać w pracowni i robić za chłopaka na posyłki, ale potem Lucien zaczął uczyć go rysować, mówiąc, że dzieciak mógłby trochę odciążyć Alaina przy szkicach. Tak zresztą rzeczywiście się stało. Ku ogromnej irytacji Alaina Lucien stwierdził nawet kiedyś, że Pierre ma chyba powołanie do zawodu architekta. Prawdą było, że dwunastolatek uczył się niesamowicie szybko i że z każdym kolejnym dniem potrafił sobie radzić z coraz bardziej skomplikowanymi zadaniami. Miał całkiem niezłą kreskę i zawsze przywiązywał dużą wagę do szczegółów, co u architekta było bardzo ważną cechą.

Pierre wrócił do swojej deski kreślarskiej i zaczął rysować plan antresoli do fabryki w Tremblay. Alain skorzystał z WC i podszedł do chłopca.

– Linie ścian są za jasne – powiedział, przyglądając się szkicowi.

– Ma pan rację. Powinny być dużo ciemniejsze – odparł wesoło Pierre. Alainowi zawsze działało na nerwy, że chłopak przyjmował wszystkie jego uwagi z autentyczną wdzięcznością. On sam ciągle wyżywał się na dzieciaku, gdy tylko Luciena nie było w pobliżu.

– To co tam mamrotałeś w łazience? Brzmiało jak chiński albo jakieś inne dziwactwo. – Alain oparł się o stół kreślarski Pierre’a.

– Mówiłem tylko *Zdrowaś Maryjo*... po łacinie.

– Nie brzmiało to jak łacina. Znam się na tym, byłem kiedyś ministrantem.

– No cóż, było po łacinie.

– Zawsze modlisz się w kłopotach?

– To jedyne miejsce w pracowni, gdzie można mieć trochę prywatności, nie uważa pan?

Alain wpatrywał się w chłopca. Cała ta sytuacja była jakaś dziwna. Dzieciak pojawił się znikąd. Lucien twierdził, że Pierre jest synem jego przyjaciela, który zginął w walkach w 1940 roku, ale Alainowi wydawało się to jakieś podejrzane. Próbował połączyć obecność chłopca z domem pod Paryżem i tajemniczymi interesami między architektem a Manetem, lecz wciąż nie składało mu się to w całość. Śledził Luciena jeszcze kilka razy, ale bez konkretnych rezultatów. Przynajmniej raz w tygodniu przeglądał też biurko architekta, szukając kolejnych szkiców dziwacznych detali, ale nic nie udało mu się znaleźć. Trudno było mu węszyć, kiedy ten gówniarz cały czas kręcił się w pobliżu.

– Więc jesteś katolikiem?

– A co pan myślał? Że Arabem? – odrzekł Pierre z zaskakującą śmiałością.

– Gdzie chodziłeś do szkoły, zanim przyjechałeś do Paryża?

– Do św. Bernardyna w Tuluzie.

– Skąd twój ojciec znał Luciena?

– Poznali się w Paryżu i służyli razem w 25. Dywizji, kiedy Niemcy napadli na Francję.

– 25. Dywizja? Gdzie stacjonowali?

– Na Linii Maginota.

– Jaki stopień wojskowy miał twój ojciec?

– Był porucznikiem.

– Więc nie masz już żadnej rodziny?

– Nikogo. Ojciec i matka zginęli. Mój brat, Jules, też nie żyje.

– Ciężka sprawa. To co teraz z tobą będzie?

Pierre wzruszył ramionami.

Alain wrócił do swojego biurka. Z chęcią pozbyłby się dzieciaka, ale wiedział, że Pierre raczej zostanie tu przez pewien czas. Nie miał wyboru, musiał się jakoś z nim przemęczyć. Jednocześnie w całej tej sytuacji dostrzegł też plusy. Rodzina Alaina nigdy nie miała służących, więc teraz mógł sobie wreszcie na kimś poużywać.

– Hej, szczyłu. Leć na dół i przynieś mi paczkę papierosów.



Na górze pilastra zamontuję zawiasy, tak żeby dało się podnieść go od dołu. Ma pół metra szerokości, więc bez problemu będzie można urządzić za nim kryjówkę. Mam nadzieję, że pański gość nie jest gruby.

Manet i Lucien stali w salonie ogromnego domu przy rue de Bassano. Pokój był niezwykle wystawny: miał piękną białą-złotą boazerię i lśniący, drewniany parkiet. Ściany zdobiły wielkie, klasycystyczne pilastry – płaskie, udające kolumny filary, grube na piętnaście centymetrów i wysokie na prawie cztery metry, które dzieliły panele ścienne na szerokie segmenty. Kiedy tylko Lucien je zobaczył, od razu wiedział, co powinien zrobić.

– Jest pan pewien, że to będzie działać? – spytał Manet.

Lucien zwrócił uwagę na niepokój w głosie przemysłowca. Od czasu tragedii z kominkiem Manet zaczął trochę wątpić w architekta, choć pewnie sam przed sobą nigdy by się do tego nie przyznał.

Lucien obejrzał dokładnie cały pilaster, oceniając jeszcze raz wszystkie za i przeciw.

– Tak, jestem w stanie zrobić to tak, że nic nie będzie widać. Pilaster trzeba będzie ostrożnie zdjąć i potem złożyć ponownie. Zamontujemy go na zawiasach w taki sposób, żeby można go było odchylić na dole do przodu i żeby dało się wśliznąć do wnęki, którą wydrążymy w ścianie za nim. W środku założymy rygle, żeby nasz gość mógł się zamknąć od środka, podobnie jak w kryjówce w Le Chesnay. Tylko tym razem robota będzie musiała być szczególnie staranna, inaczej zawiasy nie będą działały jak trzeba.

– Wie pan, że o to nie musi się pan martwić. Proszę tylko dać nam rysunek, a my już zajmiemy się resztą.

Z pomocą Maneta Lucien zmierzył pilaster i gzyms nad nim. Gdy skończył, obaj ruszyli w stronę drzwi. Przed wyjściem obejrzelisię jeszcze, by spojrzeć na nową kryjówkę ostatni raz.

– To piękny budynek. Należy do pana? – spytał architekt, gdy wsiadali do jego

citroëna.

– Nie. Jest własnością mojego kolegi, który mieszka w Paryżu. Oczywiście chce pozostać anonimowy.

Lucien uruchomił samochód, ale po chwili zgasił silnik i spojrzał na Maneta.

– Czy mógłby pan powiedzieć ojcu Jacques’owi, że zatrzymam chłopca u siebie? Jestem w stanie go chronić. Szmuglowanie go do Hiszpanii czy Szwajcarii jest zbyt ryzykowne, a u mnie będzie bezpieczny. Przekaze mu pan?

– Ojciec Jacques prawdopodobnie już nie żyje.

Lucien nie był zaskoczony. Domyślał się, że Niemcy kiedyś wreszcie go zgarną. To było tylko kwestią czasu.

– Kiedy go złapali?

– Kilka dni temu. Razem z nim aresztowali sześcioro żydowskich dzieci. Ktoś go zdradził i Gestapo zrobiło nalot na Montparnasse. Dzieci ukrywały się na strychu, ale jedno z nich zaczęło płakać i tak je znaleźli.

– Powiedział im coś?

– Ojca Jacques’a nie da się złamać – roześmiał się Manet. – Prawdopodobnie powiedział im, żeby poszli do diabła.

– Jest pan pewien?

– Niech pan się nie boi, Lucien. Mamy swoich ludzi w siedzibie Gestapo. Zapewniam pana, że nic im nie powiedział.

– „My” to znaczy ruch oporu?

– Lepiej, żeby nie zadawał pan pytań.

– Lubiłem ojca Jacques’a. Jak na księdza miał niezłe jaja.

– Oj, tak – przytaknął milioner, śmiejąc się. – Byłby zdziwiony tym, co postanowił pan w sprawie Pierre’a. Uważał z kolei, że pan w ogóle nie ma jaj.

Lucien poczuł się, jakby ktoś przejechał mu po sercu żyłką. Opuścił głowę i wbił wzrok w podłogę auta.

Manet uświadomił sobie, co właśnie zrobił, i bardzo się zawstydził.

– Podczas wojny często się zdarza, że ludzie, których wszyscy wokół uważali za tchórzy, odkrywają w sobie niespodziewanie niezwykle pokłady odwagi. Ojciec Jacques mógłby być zaskoczony, że sam z siebie postanowił pan ukrywać Pierre’a. Ja nie jestem.

Ułagodzony nieco słowami Maneta, Lucien odpalił silnik.

– Cieszę się, że Pierre jest u mnie. To fantastyczny dzieciak. Mądry, pracowity,

niesamowicie uprzejmy. Żałuję, że sam nie byłem taki w jego wieku. I wie pan, ma prawdziwy talent. Mógłby być świetnym architektem, kiedy dorośnie. Każdego dnia staram się go uczyć czegoś, co przyda mu się potem w pracy.

Manet patrzył w zamyśleniu gdzieś w dal, pykając fajkę.

– Ciekawe, w jaki sposób toczy się życie. Pierre stracił całą swoją rodzinę, potem trafił do pana i nagle otwiera się teraz przed nim zupełnie nowa perspektywa. Niesamowite, jak nasze życie kształtowane jest przez przypadki.

– Jest coraz mniej nieśmiały. Dobrze się nam rozmawia. Lubię zabierać go do kina. Wie pan, uwielbiam patrzeć na niego, i jak się uśmiecha, i jak śmieje się z tego, co dzieje się na ekranie. Daje mi to dużo więcej radości niż oglądanie filmu.

– Cieszę się, że się dogadujecie. A jak przyjęła to wszystko madame Bernard? Musi być zachwycona, że ma w domu dziecko, którym może się zajmować.

Lucien zatrzymał samochód przy skrzyżowaniu z Polami Elizejskimi, czekając, aż mała parada wojskowa odblokuje ulicę. Czy słońce, czy deszcz, każdego dnia o pierwszej po południu Niemcy urządzali wzdłuż głównej alei Paryża regularną defiladę, której towarzyszyła nawet orkiestra marszowa. Chodziło o to, by przypominać Paryżanom, kto rządzi w mieście. Lucien uważał, że demonstracje tego typu, podobnie jak godzina policyjna, były bardzo efektywną bronią psychologiczną.

Aby oszczędzić paliwo, wyłączył silnik i odwrócił się w stronę Maneta.

– Celeste i ja rozstaliśmy się tuż przed tym, jak ojciec Jacques przyprowadził chłopca do pracowni. Zawsze wydawało mi się, że wyrażenie „tak miało być” to jedna wielka ściema. Ale może rzeczywiście tak miało być. Niech pan spojrzy, co mi się dzięki temu przydarzyło.

– Zyskał pan syna, którego nigdy pan nie miał.

– Moja żona i ja nie mieliśmy dzieci; było przez to w naszym małżeństwie dużo żalu i goryczy. Tak, przyznaję, Pierre stał się dla mnie synem, którego zawsze pragnąłem. Cieszę się, że mogę się nim opiekować.

– I uratował mu pan życie.

Parada minęła skrzyżowanie i żandarm pokazał im, że mogą jechać dalej. Lucien uruchomił samochód, a kiedy ułożył rękę na dźwigni zmiany biegów, Manet położył dłoń na jego dłoni.

– Ludzie, których pan uratował, są panu dozgonnie wdzięczni, ale jest jeszcze wielu innych, którzy wciąż znajdują się w niebezpieczeństwie.

– Zrobię co w mojej mocy, żeby im pomóc, monsieur – odparł Lucien, naciskając gaz.



Do jasnej cholery, przecież mówię, że ktoś tu jest.

– Ale... panie pułkowniku, przeszukaliśmy dom od góry do dołu, sprawdziliśmy każdy kąt, zajrzeliśmy pod każdy mebel – tłumaczył się kapitan Bruckner.

– Idiota. Żydzi chowają się w jakiejś kryjówce, która wykorzystuje konstrukcję budynku. Są za ścianą albo pod deskami podłogi – ryczał Schlegal, chodząc nerwowo tam i z powrotem jak zwierzę w klatce. – Użyj wyobraźni, człowieku.

– Proszę się nie martwić, panie pułkowniku. Znajdziemy ich. – Bruckner powiedział to, co Schlegal chciał usłyszeć.

Kapitan wrócił biegiem do domu, wrzeszcząc ile sił w płucach. Schlegal zawsze lubił patrzeć, jak Bruckner i inni jego ludzie rzucają się, by wykonać jego rozkazy. Strach potrafi zmusić człowieka do niesamowitych rzeczy. Schlegal miał świadomość, że jego podkomendni boją się nie tylko jego wybuchów złości – choć wiedział, że uważają go za niezrównoważonego, co było mu często na rękę. Bruckner na przykład starał się mu nie podpaść, bo bał się stracić dwutygodniową przepustkę do Monachium, na którą tak długo czekał. Schlegal postanowił, że potorturuje jeszcze trochę kapitana, grożąc, że cofnie mu zgodę na wyjazd. Bruckner wybiegł znowu z domu, żeby zapewnić pułkownika, że zagonił właśnie swoich ludzi do ponownego przeszukania budynku. Schlegal przestał nagle spacerować i zajrzał Brucknerowi w twarz.

– Kapitanie, proszę posłać po łomy i jakieś duże młoty. Niech pańscy ludzie pójdą do szopy na tyłach domu i wezmą z niej wszystkie narzędzia, jakie uda im się znaleźć. Potem niech im pan każe opukać ściany. Jeśli coś będzie brzmiało głucho, mają rozwalić mur i sprawdzić, czy nie ma tam jakiejś ukrytej wnęki. Rozprujcie też wszystkie schody. No dalej, Bruckner, albo sobie jeszcze trochę poczekasz, nim zobaczysz znowu Plac Mariacki. Bo taki macie w Monachium, dobrze pamiętam?

Bruckner rzucił się w stronę domku, wykrzykując kolejne rozkazy. Schlegal podszedł do swojego samochodu służbowego, oparł się o maskę, zapalił papierosa i obrzucił dom długim spojrzeniem. Kimkolwiek był człowiek, który skonstruował

schody w pałacu Adele, musiał być bardzo sprytny. Pozostałe kryjówki będą prawdopodobnie równie trudne do znalezienia. Ktoś, kto wymyśla te schowki, musi być z siebie pewnie bardzo dumny, że udało mu się przechytrzyć Gestapo. Pomysłowość rozwiązania ze schodami udowodniła Schlegalowi, że ma do czynienia z niebywale inteligentnym przeciwnikiem, który nie będzie popełniał wielu błędów. Sama myśl o wszystkich Żydach, którzy siedzą bezpiecznie w schowkach zaprojektowanych przez tego człowieka, sprawiała, że Schlegalowi podnosiło się ciśnienie. Odkąd odkrył schody, ta wizja ciągle go prześladowała. Ostatnio sprawy wyglądały już tak źle, że nie był w stanie posuwać Adele w tamtej sypialni.

Schlegal splótł ręce za plecami i wkroczył do domu. Żołnierze byli właśnie w trakcie opukiwania ścian. Dwadzieścia osób stukających ze wszystkich stron brzmiało jak stado obłąkanych dzieciaków. Niektórzy, przebiwszy drewniane panele, walili już w gips, napotykając puste przestrzenie. Pył i tynk latały we wszystkich kierunkach. Dwaj żołnierze wybebeszali na parterze ścianę za schodami. Ktoś inny znalazł drabinę i zaczął rozbijać sufit w salonie. Jakiś sierżant ściągnął mahoniową boazerię w niewielkim holu wejściowym. Jeden z poruczników potraktował młotem ścianę w jadalni; gdy znalazł mur z litej cegły, walił w niego dalej tak długo, aż Bruckner przywołał go wreszcie do rzeczywistości, wrzeszcząc, że nikt nie byłby w stanie tam się schować. Schlegal przemierzał pokoje na parterze, przyglądając się pracom dewastacyjnym.

– Wyjdźcie, nie bójcie się, moje małe żydowskie robaczki. Wiem, że tu jesteście – zawołał śpiewnym głosem. – Jeśli wyjdziecie z własnej woli, potraktuję was łagodniej.

Schlegal wcale nie miał zamiaru dotrzymać słowa. Często jednak obiecywał swoim ofiarom ulgowe traktowanie w zamian za współpracę. Oczywiście, nigdy potem nikogo ulgowo nie traktował, ale on zawsze był zaskoczony, że tak wielu ludzi mu wierzyło.

– Wyjdźcie, wyjdźcie, nie bójcie się – wołał dalej, przekrzykując hałas. Coraz bardziej podobała mu się cała ta operacja. Z każdą chwilą czuł coraz większe podekscytowanie, podobne do tego, jakie towarzyszyło mu, gdy bawił się w dzieciństwie w chowanego. Miał wrażenie, że lada moment odkryje schowek w ścianie i znajdzie ukrywających się w nim Żydów. Wyobraził ich sobie chichoczących i piszczących z radości, że udało mu się ich odnaleźć – jego kuzyni, z którymi bawił się w Mannheim, zawsze tak robili. Wspomnienia z dzieciństwa przywołały na jego twarz uśmiech. Uwielbiał wakacje i święta, które spędzał ze

swoimi braćmi ciotecznymi. Kojarzyły mu się z dobrym jedzeniem i ciągłą zabawą.

– No dalej, panowie. Ten, kto ich znajdzie, dostanie skrzynkę szampana. Nie butelkę, ale całą skrzynkę – krzyknął Schlegal z entuzjazmem. Tempo stukania i demolki zwiększyło się dwukrotnie, a pułkownik zgiął się wpół, rycząc ze śmiechu.

– Bruckner, jeśli ty ich znajdziesz, dostaniesz przepustkę na trzy tygodnie. – Na te słowa kapitan chwycił młotek i zaczął rozwalać ścianę za szafą, brudząc sobie białym tynkiem cały mundur. Przed domem zatrzymała się ciężarówka, z której wysiadło kilkunastu żołnierzy z wielkimi młotami i łomami. Gdy weszli do domu i Bruckner powiedział im, co mają robić, w całym budynku zapanował ogłuszający hałas.

– Znajdziemy was, moje małe, żydowskie myszki. Czy może raczej szczury? – wrzeszczał Schlegal.

Trzy godziny później, gdy nie udało im się nikogo znaleźć, dobry nastrój pułkownika zmienił się w dziką wściekłość. Opukali każdy centymetr kwadratowy domu. Wypatroszyli wszystkie ściany. Prawie wszędzie zerwali sufity. Stopień po stopniu rozwalili schody. Zdjęli deski podłogowe, odsłaniając zakurzone, pełne pluskwiew przestrzenie między głównymi drewnianymi belkami. Roztrzaskali wszystkie kuchenne szafki. Dokładnie przeszukali wielki piec. Zburzyli nawet kominy na dachu, sprawdzając, czy nikt nie ukrył się w środku. Bruckner odkładał rozmowę ze zwierzchnikiem tak długo, jak tylko mógł, ale wreszcie zebrał się w sobie, zszedł do kuchni i stanął przed Schlegalem. Na pierwszy rzut oka widać było, że pułkownik jest w kiepskim nastroju.

– Chyba minie jeszcze trochę czasu, nim zobaczy pan Monachium.

– Panie pułkowniku, nie ma ich tu. O ile w jakiś magiczny sposób nie skurczyli się do rozmiaru robaków i nie wypełzli z domu, musieli uciec, jeszcze zanim tu przyszliśmy.

– Gówno prawda – odparł Schlegal. Cisnął przez całą kuchnię fragmentem boazerii, po czym kopnął leżący na podłodze kawał gipsu. Wysoki, czarny but błyskawicznie pokrył się warstwą białego pyłu. Schlegal podszedł do okna i spojrzał na soczyście zielony ogród.

– Mówię panu, że wciąż tu są.

– Bardzo mi przykro, panie pułkowniku. Nie jestem w stanie ich znaleźć.

Schlegal odwrócił się do Brucknera. Poklepał go po ramieniu i uśmiechnął się.

– Wobec tego niech pan spali dom. Wykurzymy ich stąd... albo spłoną razem z tą swoją kryjówką. Znajdziemy ich, gdy będziemy sprzątać zgliszcza. Już

skremowanych.

Kapitan nie miał zamiaru protestować. W ten sposób szybko i łatwo zakończą ten cały bałagan i będą mogli wrócić wreszcie do Paryża, gdzie czekało na niego ciepłe łóżko i francuska prostytutka o imieniu Jane. Trzeba było tak zrobić na samym początku. Żołnierze pobiegli do samochodów po kanistry z benzyną i w ciągu kilku minut oblali cały dom. Schlegal patrzył, jak Bruckner daje znak szeregowcowi stojącemu przy frontowych drzwiach. Chłopak zapalił zapałkę, wrzucił ją do holu i po chwili w budynku rozszalało się piekło. Zapadał zmierzch i strzelające po sam dach płomienie wyglądały niesamowicie na tle ciemniejącego nieba. Żołnierze, wyczerpani daremną pracą, ledwo trzymali się na nogach, więc Bruckner pozwolił im rozsiaść się na trawie i w ciężarówkach i po prostu patrzeć na ogień. Pożar rzucał na ich twarze dziwne, pomarańczowe światło. Schlegal oczekiwał, że lada moment usłyszy dobiegające z domu krzyki agonii, ale słychać było jedynie trzask palącego się drewna. Stwierdziwszy, że ogień zgaśnie zupełnie dopiero rano, pułkownik kazał ludziom wracać do Paryża.

Niemcy zupełnie zaskoczyli Juliette Trenet. Z drzemki wyrwał ją dźwięk zatrzymujących się przed domem samochodów. Była tak zdezorientowana, nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest jej torba, ale znalazła ją pod ogromnym stołem rzeźnickim stojącym na środku kuchni. Zdążyła tylko zasunąć za sobą metalową kratkę, gdy nagle wyważyli z hukiem drzwi wejściowe. Chociaż miała nad głową pojemnik pełen wody, doskonale słyszała, jak żołnierze biegają po domu, rozwalając ściany i sufity, i niszcząc wszystko na swojej drodze. Była zdziwiona, że wkładają tyle wysiłku w to, żeby ją znaleźć. Może szukali kogoś jeszcze? Niemcy wpadli do kuchni i przewrócili wielki stół; gdy uderzył w kamienną podłogę, ziemia zatrzęsła się tak, że Juliette omal nie zemdlała ze strachu. Dźwięk ciężkich butów, przebiegających kilkadziesiąt centymetrów nad nią, był nie do zniesienia. Miała ochotę krzyknąć i musiała zagryźć pięść, żeby się nie odezwać. Kanał pod odpływem był na tyle szeroki, że po obu bokach, które kurczowo ścisnęła łokciami, miała jeszcze parę centymetrów luzu. Kryjówka była jednak trochę za niska, więc Juliette musiała przykucnąć na leżącej na podłodze poduszce. Bała się tak bardzo, że zamknęła oczy i objęła rękami nogi, zwiijając się w kłębek i drząc na całym ciele.

Najbardziej nie mogła otrząsnąć się ze szoku, że wszystko dzieje się tak nagle. Ten mały dom pod Paryżem bardzo się jej podobał. Czowała się prawie, jakby była na

wygodnych, nieustających wakacjach. Było jej tu milion razy lepiej niż w pawilonie dla lwów. Nie mogła uwierzyć we własne szczęście, że będzie mogła mieszkać w takim miejscu. A teraz czeka ją śmierć. Hałas i zamieszanie nie ustawały, a żołnierze cały czas chodzili tuż nad nią. Zaczynała ogarniać ją panika, z oczu popłynęły łzy. Nadludzkiem wysiłkiem zdołała zwalczyć narastającą chęć, żeby podnieść się z poduszki, wypchnąć głowę do góry kratkę odpływu i napędzić Niemcom strachu, wyłaniając się z dziury w podłodze. Chciała wrzasnąć: „Tu jestem, hitlerowskie świnie. Zabijcie mnie w końcu i miejmy to wreszcie z głowy”.

Ale wtedy poczuła nagle w swoim wnętrzu delikatny ruch, a po chwili kolejny. Pogładziła ręką swój nagi brzuch. Jak mogła w ogóle pomyśleć coś podobnego? „Noszę pod sercem naukowca – powiedziała sobie w duchu. – Kogoś, kto będzie potrzebował mojego wsparcia i prowadzenia”. Wyobraziła sobie dzień, w którym da swojemu dziecku pierwszy mikroskop. Moment, kiedy jej mały geniusz ukończy studia z wyróżnieniem. A za jakieś czterdzieści kilka lat może dane jej będzie pojechać do Sztokholmu, żeby zobaczyć, jak Pierre lub Marie dostaje Nagrodę Nobla. Czekają ją jeszcze tyle wspaniałych rzeczy. Uśmiechnęła się i postanowiła, że nigdy w życiu nie odda siebie ani swojego dziecka w ręce Niemców. Nie miała ochoty umierać.

Juliette zdała sobie nagle sprawę, że dookoła zrobiło się jakoś dziwnie cicho. Podniosła głowę i spojrzała do góry, jakby była w stanie przebić wzrokiem metalowe wieko kanału i zajrzeć do kuchni. Nasłuchiwała uważnie przez kolejne piętnaście minut, ale wyglądało na to, że Niemcy chyba wreszcie się poddali. Zamierzała jednak poczekać jeszcze godzinę, zanim wyjdzie z kryjówki, tak jak poradził jej Manet. I wtedy dotarł do niej słaby zapach dymu, który szybko stawał się coraz wyraźniejszy. Nie namyślając się długo, Juliette zgięła się w ciasnej przestrzeni i zanurkowała głową do tunelu, którego wejście znajdowało się na dole skrytki. Korytarz był bardzo wąski, tak że ledwo wcisnęła się z plecakiem do środka. Starając się nie dotykać brzuchem wilgotnej ziemi, Juliette zaczęła czołgać się energicznie przez dwudziestometrowy tunel w kompletnych ciemnościach niczym szalony kret. Pchała ją przez korytarz jakaś niesamowita siła. Ziemia przylepiła się jej do rąk i ubrania. Bała się, że tunel w każdej chwili może się zapaść, grzebiąc ją żywcem; nie chciałaby zginąć teraz, kiedy wyjście było niemal na wyciągnięcie ręki. Po chwili jednak zorientowała się, że korytarz zbudowany jest bardzo porządnie, a boki i strop podtrzymywane są na całej długości przez niewielkie drewniane belki. Uśmiechnęła się, gdy dosłownie ujrzała światło w tunelu, ale z każdym kolejnym centymetrem

czuła coraz większy strach. Zastanawiała się, czy Niemcy czekają na nią na zewnątrz. Czy grad kul zabije ją od razu, czy też będzie musiała umierać długo i w męczarniach?

Dym wciąż jeszcze unosił się z ruin, gdy ludzie Schlegala przeszukiwali rano zgliszcza. Pułkownik pojawił się na miejscu dwie godziny później. Kiedy Bruckner zakomunikował mu, że nikogo nie znaleźli, kazał wszystkim odjechać i postanowił sam obejrzeć pogorzelnisko. Wciąż liczył na to, że uda mu się gdzieś dostrzec zwęglone ciało, ale dom okazał się pusty. Schlegal stanął w miejscu, gdzie kiedyś była kuchnia, i zapalił papierosa. Zdmuchnął zapalniczkę i cisnął ją do czegoś, co było zapewne odpływem podłogowym. Po chwili jednak zorientował się, że z odpływem jest coś nie tak. Pod kratką zamiast normalnego kanału było tylko płaskie, puste metalowe naczynie. Wyrzucił papierosa, uklękł i wyciągnął kratkę razem z przymocowanym od spodu naczyniem. Poniżej znajdowało się spore ciemne wgłębienie. Odrzucił kratkę na bok, ściągnął czapkę i włożył głowę do otworu, oświetlając sobie dół zapalniczką. Gdy zobaczył wejście do tunelu, uśmiechnął się i wyprostował. Naczynie pod kratką musiało być cały czas wypełnione wodą, kiedy przeszukiwali dom. Nikt nie zwrócił na nie uwagi, bo wyglądało jak zwyczajny odpływ w podłodze kuchni. W czasie pożaru cała woda wyparowała, ujawniając oszustwo. Schlegal podejrzewał, że tunel kończył się na samym obrzeżu ogrodu i że wyjście ukryte było gdzieś wśród krzewów i kwiatów. Żyd musiał uciec, kiedy wciąż byli w domu.

Zapalił kolejnego papierosa i wrócił wolno do swojego samochodu.

– Cholernie sprytny drań – powiedział w przestrzeń, uśmiechając się.

Trzy kilometry dalej, stojąc na wysokim wzgórzu, Juliette wciąż była w stanie zobaczyć smugę dymu unoszącą się powoli nad lasem. Nikt nie czekał na nią przy wyjściu z tunelu, więc zdołała uciec pod osłoną zapadającego zmroku do gęstego lasu, który znajdował się w pobliżu. Biegła jak szalona, potykając się i upadając dziesiątki razy. Gdy oglądała się za siebie, widziała wysoki, żółtopomarańczowy słup ognia, który oświetlał las na setki metrów wokół. Oddaliła się od domu na tyle, żeby czuć się bezpiecznie, i wcisnęła się pod pień jakiegoś zwalonego drzewa, aby trochę odpocząć. Była kompletnie wyczerpana. Położyła głowę na chłodnym,

zielonym mchu i natychmiast zasnęła.

Manet omówił z nią plan awaryjny, na wypadek gdyby została odkryta i musiała uciekać. Zamierzała trzymać się go co do joty. Podniosła plecak, spojrzała na swój brzuch, poklepała go łagodnie i ruszyła w drogę. Wcale się nie bała. Wiedziała, że oboje będą żyć.



W ięc kim jest ten wyjątkowy facet? To do ciebie niepodobne, żeby spotykać się z kimś w ciągu dnia.

Adele poruszyła się nerwowo na kawiarnianym, żeliwnym krześle. Bette patrzyła na nią z rozbawieniem. Wiedziała, że jej szefowa była poirytowana pytaniem i że próbuje właśnie wymyślić jakieś odpowiednie kłamstwo. Uwielbiała obserwować ludzi, kiedy kłamią; patrzeć, jak próbują stworzyć na poczekaniu jakąś bajeczkę. Niektórzy byli w tym prawdziwymi mistrzami. Jak Etienne, jej kochanek, z którym spotykała się w zeszłym roku – potrafił wykombinować przekonujące kłamstwo w ułamku sekundy. Zawsze podziwiała ludzi, którzy umieli łąać jak z nut.

Adele pociągnęła łyk wina i otarła usta serwetką. Sprytny sposób, żeby zyskać trochę czasu na dopracowanie historyjki.

– Pracuje dla rządu. I zupełnie stracił dla mnie głowę.

– Kochanek, który ma znajomości, potrafi być pewnie bardzo przydatny.

– To prawda. Pociągnął dla mnie za kilka sznurków.

– Jaki jest? Przystojny? Wysoki? Dobry w łóżku?

– Tak, wszystko to naraz – powiedziała kwaśno Adele. – To jeden z najlepszych kochanków, jakich w życiu miałam. Widziałaś nowe szkice?

Bette nie miała zamiaru pozwolić Adele na tak szybką zmianę tematu.

– Przypuszczam, że żonaty.

– Owszem, panno ciekawska, skoro tak bardzo musisz wiedzieć. Co powiedział André?

– Na pewno skończy na jutro. Obiecał mi. Jak długo go znasz?

– Dość krótko – odparła Adele, biorąc kolejny łyk wina.

– Pracuje dla francuskiego czy niemieckiego rządu?

Adele posłała Bette lodowate spojrzenie.

– Francuskiego.

Bette nie była wielką patriotką, ale w tej chwili czuła do Adele głęboką odrazę.

Kobiety, które sypiały z Niemcami, uważano we Francji za dzidzi. Bette mogła kiedyś zobaczyć na własne oczy, w jaki sposób Francuzi potrafią traktować panienki, które zbyt spoufalają się z hitlerowcami. Widziała w kawiarni dziewczynę, która śmiała się i żartowała z oficerem Wehrmachtu. Kiedy Niemiec wyszedł, do stolika dziewczyny podszedł jakiś zupełnie obcy człowiek i bez słowa uderzył ją w twarz. Uważano, że żadna szanująca się kobieta za nic w świecie nie powinna sypać z Niemcem.

Adele stanowiła pod tym względem wyjątek: była bogatą, wykształconą kobietą, która z własnej woli zgodziła się pójść do łóżka z wrogiem. I nie dość, że sypiała z Niemcem, to na dodatek ten Niemiec był oficerem Gestapo. Gorsze mogło być już chyba tylko bzykanie się z diabłem. Adele nie była na tyle głupia, żeby przyznać się komuś, że ma romans z gestapowcem. To byłoby samobójstwo. Bette uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak jej szefowa wyglądałaby z ogoloną głową. Od czasu do czasu w całej Francji zdarzały się samosądy na kobietach, które zadawały się z Niemcami. Ostatniej jesieni kilku mężczyzn pobiło w jednej z kawiarni niemieckiego oficera i zgoliło włosy dziewczynie, która z nim była. Nikt później nie chciał sprzedać jej peruki, więc wstydziła się wychodzić na ulicę i musiała ukrywać się tak długo, aż odrosły jej włosy. Adele zawsze była wyjątkowo próżna, nawet jak na byłą modelkę, i raczej wołałaby umrzeć, niż pozwolić, żeby ktoś ostrzygł jej piękne, złote loki jak jakiejś owcy. Igrała z ogniem i miała tego świadomość.

Bette zrozumiała wreszcie, w jaki sposób Adele udawało się zdobyć wszystkie te tkaniny, których nigdzie normalnie nie dawało się kupić. Adele sądziła zapewne, że lepiej jest jak najszybciej dogadać się ze zwycięzcami, ale Niemcom wcale nie szło ostatnio tak dobrze. Okazało się, że wcale nie są nadludźmi, za jakich chcieli być uważani. Francuzi zaczęli po cichu mówić o wyzwoleniu.

Bette miała już zamiar przypuścić kolejny atak, kiedy nagle za Adele pojawił się Lucien Bernard. Gdy zaczął gładzić jej blond włosy, Adele odwróciła się na krześle, żeby spojrzeć w jego stronę.

– Lucien, skarbie. Gdzieś ty się podziewał? Nie dzwoniłeś do mnie już całe wieki.

– Próbowałem się do ciebie dodzwonić mnóstwo razy – odrzekł Lucien. Powiedział to jednak takim tonem, że Bette wiedziała, iż nie robił tego jakoś bardzo usilnie.

Adele spojrzała na architekta i chwyciła go za rękę.

– Lucien, pamiętasz Bette? Moją prawą... i lewą rękę?

– Oczywiście. Spotkaliśmy się wtedy wieczorem przed La Chat Roux...

Widzieliśmy się też na pokazie mody – odparł, siadając na krześle obok Adele.

Bette również pamiętała Luciena. Zrobił na niej naprawdę duże wrażenie. Ale należał do jej szefowej, a Bette nie miała w zwyczaju wchodzić na czyjeś terytorium.

– Dobrze pana znów widzieć, monsieur Bernard.

– Lucien, musisz mi koniecznie opowiedzieć, nad czym teraz pracujesz – zaszczębiotała Adele. – Kiedy rozmawialiśmy ostatnio, projektowałeś jakąś fabrykę broni czy coś takiego w Chatou, dobrze pamiętam?

– W Chaville, kochanie. Teraz robię dla monsieur Maneta kolejne zakłady zbrojeniowe.

– Naprawdę? To bardzo ciekawe – kłamała Adele.

Lucien uśmiechnął się do Bette, która zauważyła, że architekt ma duże trudności, żeby skupić się na rozmowie z Adele. Uświadomiła sobie, że nie przyszedł wtedy na pokaz, żeby zachwycić się kapeluszymi, i myśl ta sprawiła jej dużą radość.

– Mój Lucien jest jednym z najzdolniejszych architektów we Francji – ciągnęła Adele. – Ma więcej talentu niż ten stary nudziarz Le Corbusier. Słyszałam, że uciekł jak ostatni tchórz do Hiszpanii... czy może do Szwajcarii? Nie mówiąc już o tym, że straszny z niego brzydal.

– Ale ten brzydal ma ogromny talent, Adele. Kiedy świat myśli o francuskiej architekturze lat dwudziestych i trzydziestych, zachwyca się właśnie jego pracami.

– Może i tak, ale nie zmienia to faktu, że jest brzydki. I jeszcze te ohydne, okrągłe okulary w czarnych oprawkach. Myśli, że dzięki nim będzie wyglądał jak intelektualista, czy co?

– Adele, wybierzmy się po południu na obiad gdzieś za miasto. Znam jedną gospodę, która jest bardzo sympatyczna. Co ty na to, skarbie?

– Lucien, jesteś kochany, ale mam dziś po południu dużo pracy. Pojedziemy innym razem, dobrze?

– Mogę cię zastąpić, kochana. To żaden problem. I tak mieliśmy mierzyć na popołudniowej sesji tylko te dwa czarne kostiumy – rzuciła Bette. – Możecie śmiało wyskoczyć gdzieś we dwoje. Brzmi to bardzo romantycznie.

Przez niemal minutę Adele wpatrywała się w nią wzrokiem, który mógłby zabić. Bette odpowiedziała jej rozbawionym spojrzeniem.

– To bardzo miło z twojej strony, moja droga, ale tymi przymiarkami muszę zająć się osobiście – wycedziła Adele. – Chcę, żeby wyglądały idealnie na pokazie w przyszłym tygodniu. Wiesz przecież, jaką jestem perfekcjonistką.

Bette wiedziała także, że Adele nigdy nie przychodziła na przymiarki, zawsze zrzucając to na nią. Domyśliła się, że jej szefowa będzie pewnie dziś po południu mierzyć swojemu Niemcowi coś innego.

– Tak. I zdaję sobie sprawę, jak bardzo pociągają cię czarne stroje.

Adele puściła tę uwagę mimo uszu, spojrzała na Luciena i poklepała go po dłoni.

– Mam wspaniały pomysł! – zawołała. – A może zamiast mnie zabrałbyś na wycieczkę Bette? Na pewno ucieszy się, gdy będzie mogła pooddychać trochę świeżym powietrzem. Cały czas siedzi tylko w Paryżu. Nieprawdaż, kochana?

A więc Adele pozwalała jej wziąć resztki. Dobrze, niech tak będzie. Lucien wydawał się dość obiecującym mężczyzną. A wyraz jego twarzy świadczył o tym, że on także był zadowolony z takiego rozwoju wypadków.

– O której mam być gotowa? – spytała Bette. – Mieszkam przy rue Payenne 3.

– Powiedzmy... o drugiej?



Lucien patrzył na Bette, która spała obok niego. Była niesamowicie piękną kobietą i czuł się dumny, że mógł się z nią kochać. Spędzili razem wspaniałe popołudnie, ciesząc się wspólnym posiłkiem i swoim towarzystwem. Dla obojga z nich było jasne, że wycieczka na wieś skończy się w łóżku. Lucien był beznadziejnie niedoświadczony, gdy zaczynał sypiać z kobietami w czasie studiów. Niektóre z nich, bardziej okrutne, nie wstydziły się mu tego wytknąć. Z czasem jednak nabrał więcej wprawy. Przeżył kilka krótszych i dłuższych przygód miłosnych, zanim ożenił się z Celeste, potem przez siedem lat kochał się tylko ze swoją żoną, choć był to seks raczej nijaki, aż wreszcie trzy lata temu pozwolił sobie wreszcie na fajerwerki z Adele. Posiadanie kochanki wydawało mu się czymś niezwykle ekscytującym – bardzo dorosłym i światowym. Potajemne schadzki dodały jego nudnemu życiu odrobinę pikanterii.

Ale Bette okazała się o wiele bardziej namiętna niż Adele, o wiele bardziej agresywna. Po raz pierwszy w życiu seks ekscytował go mocniej niż nowe zlecenie.

Lucien oparł poduszkę o zagłówek łóżka, zapalił papierosa i omiótł wzrokiem pokój hotelowy. Jasne, białe ściany, ciemna, orzechowa boazeria i kamienny kominek sprawiały, że wnętrze było całkiem przytulne. Gdy nastrój zaczynał robić się coraz bardziej intymny, Lucien zdał sobie sprawę, że nie może zabrać Bette do swojego mieszkania ze względu na Pierre'a. Nie mógł przecież powiedzieć chłopcu, żeby zniknął na pół dnia. Miał nadzieję, że będą mogli pójść do niej, ale Bette powiedziała mu, że mieszkają u niej teraz jej krewni, którzy przyjechali do miasta. Postanowili więc wynająć pokój w gospodzie, w której jedli obiad. Lucien wyciągnął rękę i pogładził Bette po pięknych, kasztanowych włosach. Poruszyła się, ziewnęła i otworzyła oczy. Gdy go zobaczyła, uśmiechnęła się sennie.

- Mamy za sobą chyba niezły początek – szepnęła, dotykając czule jego policzka.
- W rzeczy samej, mademoiselle.
- Uważam, że masz bardzo duże możliwości.

Lucien roześmiał się, zadowolony z jej doboru słów. Przytulił się do niej,

odurzony zapachem i bliskością jej ciała. Spotkanie z Bette było niczym uśmiech od losu. Może romans pozwoli mu choć na chwilę zapomnieć o wszystkich problemach, które wiszą nad nim jak miecz Damoklesa, gotowe w każdej chwili spaść mu na głowę. Może jeśli będzie kochał się z Bette kilka razy w tygodniu, pozbędzie się choć trochę tego całego stresu.

– Cieszę się, że uważasz mnie za potencjalnego kochanka – powiedział.

– Potencjalnego? Już jesteś moim kochankiem, mój drogi. Co robisz w czwartek wieczorem?

– Mnóstwo ważnych rzeczy, ale ty masz priorytet. U ciebie? – zapytał z nadzieją.

– Nie. A u ciebie?

– Nie mogę – odparł szybko.

– A czemuż to?

Głos uwiązał Lucienowi w gardle. Nie był w stanie wymyślić teraz żadnej sensownej wymówki. Wieczorem Pierre zawsze był w domu. Prawdę mówiąc, Lucien wolał, żeby nawet w ciągu dnia chłopak chodził tylko do pracowni i z powrotem, i nie wólczył się po mieście. Bał się, że mogłoby go gdzieś zgarnąć Gestapo. Martwił się teraz o Pierre'a znacznie bardziej niż o samego siebie. Wiele osób zniknęło z Paryża bez śladu – po prostu rozplywali się w powietrzu i nikt ich później więcej nie widział. Chciał kochać się z Bette jak najczęściej, ale nie miał zamiaru narażać z tego powodu Pierre'a.

– Eee... przyjechali do mnie krewni. To tak jak do ciebie.

– Skąd? – spytała Bette.

– Z Nantes. Mój wuj Emile. Brat mojej matki. Świetny facet.

– Rozumiem. To gdzie się spotkamy?

– Może w Café l'Hiver? Wiesz, gdzie to? – zapytał, przeczesując palcami jej włosy.

– Tak, to urocze miejsce. Ale co później? Oboje będziemy przez całą kolację myśleć tylko o jednym, więc gdzie potem pójdziemy?

– Hmm... Przy avenue Parmentier jest hotel Gagnol. Bardzo wygodny, powinien być w sam raz – zaproponował Lucien.

– Bywałeś tam już wcześniej. Założę się, że z nadzwyczajną Adele.

– Tak, poszliśmy tam raz, kiedy nie mogliśmy się już opanować i nie chcieliśmy czekać, aż dojdziemy do jej mieszkania.

– Ach, to były czasy. Nie jest ci żal, że straciłeś wspaniałą Adele?

– To musiało się tak skończyć. Stałem się pozycją w menu, która w końcu się jej znudziła. A ty co powiesz, kochanie? Masz ochotę na dokładkę?

– Jest już prawie siódma, muszę wracać – odrzekła Bette. – Moi krewni będą się zastanawiać, co się ze mną stało.

Wyskoczyła z łóżka i ruszyła w kierunku sterty ubrań, walających się na podłodze.

Lucien był zafascynowany widokiem jej ciała. Niesamowicie długie, piękne nogi, wąska talia. W przeciwieństwie do wielu płaskich paryskich modelek Bette miała cudowne, pełne piersi. Zauważyła, że patrzy na nią z podziwem.

– Nie tak źle jak na staruszkę, która ma trzydzieści jeden lat, co?

– Rzeczywiście, całkiem niezłe. Jesteś pewna, że nie zostaniesz na deser? – spytał i uniósł kołdrę, żeby pokazać jej, że jest gotów.

– Bardzo kusząca propozycja, ale nie mogę się spóźnić – odparła, zakładając stanik, co podnieciło go jeszcze bardziej.

– Przez ciebie będę musiał wziąć zimny prysznic, zanim stąd wyjdę. Wiesz o tym, prawda?



Co się dzieje z tymi wszystkimi Żydami, kiedy już znajdą się w Drancy, wujku? – spytał Alain, patrząc, jak jego sąsiad, monsieur Valery, wyciągany jest za włosy z kamienicy. Tuż za nim, popychana przez dwóch oficerów Gestapo w cywilnych ubraniach, wyszła jego żona z dwójką dzieci. Wszystkich zapakowano do czarnego Citroëna, który ruszył spod domu z dużą prędkością. Alain odwrócił się do swojego wuja, który palił właśnie papierosa. Obaj obserwowali całą scenę z tylnego siedzenia służbowego samochodu Gestapo.

Wuj Herman spokojnie zaciągnął się dymem i spojrzał z uśmiechem na Alaina.

– Po krótkim pobycie w Drancy wysyłamy ich na wspaniałe wakacje do Polski. Mają tam mnóstwo ruchu i świeżego powietrza.

– Ludzie mówią, że giną bez śladu. Nikt jeszcze nie wrócił do Paryża.

– To dlatego, że tak im się tam podoba. Nie chcą wracać.

– Niemcy chyba nienawidzą Żydów jeszcze bardziej niż Francuzi. Czemu tak jest, wujku?

– Bo wiemy, że są zaraza, która trawi ten świat. Robactwem, które trzeba zniszczyć, zanim ono zniszczy naszą cywilizację.

– Francuzi tak nie myślą?

– Francuskie władze siedzą na dupie, kiedy przychodzi co do czego i trzeba aresztować Żydów, a już zwłaszcza Żydów francuskiego pochodzenia. Kontaktują się z nimi i ostrzegają ich, tak że kiedy po nich przyjeżdżamy, często wszystkich już dawno nie ma. Ale w przypadku monsieur Valery’ego im się nie udało. Był zupełnie zaskoczony, kiedy zapukaliśmy do drzwi. Świetnie się spisales, mój chłopcze. Rzeczywiście był Żydem. Nie da się ukryć tych żydowskich rysów. Valery wydał mnóstwo pieniędzy na fałszywe papiery i akty chrztu dla swoich dzieci, ale ostatecznie i tak na nic się to zdało. Schlegal będzie pod wrażeniem, gdy dowie się o jego aresztowaniu.

– Cieszę się, że mogłem pomóc, wujku. Ale to nic w porównaniu z tym, co ty zrobiłeś dla mnie i mojej rodziny. Jeśli tylko będziesz czegoś potrzebował, jestem

do twojej dyspozycji.

– Na pewno się do ciebie odezwę. Jeśli ktokolwiek wyda ci się podejrzany, daj mi znać.

– Jest kilka osób, które przychodzą mi do głowy – wymamrotał Alain, kładąc rękę na klamce i zbierając się do wyjścia.

– Zanim pójdziesz, mam dla ciebie małą niespodziankę. Monsieur Valery nie będzie potrzebował swojego renaulta podczas wycieczki na wschód. Pojedzie pociągiem, więc pomyślałem, że samochód mógłby ci się przydać. Taki przystojny młody człowiek jak ty może za pomocą pięknego auta oczarować wiele mesdemoiselles – powiedział Hermann. Wyciągnął kluczyki i zadzwonił nimi tuż przed twarzą chłopaka.

Oczy Alaina rozbłysły. Natychmiast porwał kluczyki z odzianej w czarną rękawiczkę ręki wuja. Nigdy więcej nie będzie już musiał błagać kuzyna, żeby pożyczył mu samochód.

– Jesteś niezwykle hojny, wujku. Mało kto w Paryżu ma jeszcze auto.

– Będziesz też potrzebował paliwa, więc tu masz kartki na przydział. Nie szalej za bardzo, benzyny jest coraz mniej.

– Nie martw się, wujku, będę uważał. W którym miejscu stoi?

– To ten ciemnozielony tam za rogiem. Widzisz?

Alain nie był w stanie się powstrzymać i wyskoczył za drzwi.

– Powiedz pułkownikowi Schlegalowi, że może na mnie liczyć – zawołał, będąc już na chodniku.

– Poczekam chwilę, zanim przekażę mu tę informację. Jest ostatnio w kiepskim nastroju i wolałbym nie zbliżać się do niego przez kilka dni.

– A co się stało? – spytał przez uprzejmość Alain, udając zainteresowanie.

– Och, z domu pod Epinay uciekł mu jakiś Żyd.

– Skąd?

– Z Epinay, jakieś dziesięć kilometrów na północ od Paryża. Ukrywał się tam jeden Żyd. Schlegal był przekonany, że chowa się w jakiejś tajnej skrytce w ścianach domu, więc kazał naszym ludziom rozpruć wszystko, co tylko się dało, ale i tak nic nie znaleźli. Potem nawet podpalił cały cholerny budynek, ale po Żydzie nie było śladu. Okazało się, że ukrywał się pod oszukanym odpływem kuchennym w piwnicy. Uciekł stamtąd tunelem, który był wykopany od kuchni aż do ogrodu. Schlegal wściekł się jak diabli.

– Dom był w Epinay?

– Teraz zostały już z niego tylko zgliszcza. No, bierz auto i zacznij wreszcie zaliczać jakieś panienki. Renault ma bardzo wygodne, szerokie tylne siedzenia. Zrób z nich dobry użytek, chłopcze. – Hermann poklepał swojego kierowcę po ramieniu, dając znak, żeby ruszał.

Alain został na chodniku i spojrzał w dół na kluczyki, które trzymał w ręku. Patrzył na nie przez kilka sekund, po czym ruszył w stronę rogu, gdzie zaparkowany był samochód. Podboje miłosne będą musiały trochę poczekać.

Alain obejrzał dokładnie oszukaną kratkę odpływową i wskoczył do wgłębienia, które znajdowało się pod nią. Tunel zbudowany był topornie, ale solidnie – stropy podtrzymywały drewniane belki, żeby zapobiec osunięciom ziemi. Ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby uratować tego Żyda. Ale Alaina interesowali nie ludzie, którzy wykopali tunel, lecz człowiek, który wpadł na tak pomysłowe rozwiązanie. Po krótkich poszukiwaniach chłopak znalazł wyjście z tunelu na samym końcu ogrodu, jakieś dwadzieścia metrów od kuchni. Żyd mógł uciec z tego miejsca zupełnie niezauważony przez żołnierzy Gestapo, którzy zajęci byli demolowaniem domu. Alain domyślił się już, kto zaprojektował atrapę odpływu. Wciąż zastanawiał go jednak rysunek ceglanej ściany i metalowego rusztu, który znalazł kilka miesięcy temu. Postanowił jeszcze obejrzeć spalone ruiny domu. Chodząc po rumowisku, natknął się na kominiek i pion kominowy – jedyne zachowane części budynku. Podeszedł do nich bliżej i uśmiechnął się szeroko, bo nagle wszystko nabrało sensu. Szkic przedstawiał fałszywą tylną ścianę paleniska. Bardzo sprytny pomysł. Teraz pozostała już tylko jedna rzecz, której Alain nie był w stanie zrozumieć: „Czemu Lucien był na tyle głupi, żeby projektować te kryjówki?”.



To moje ulubione wnętrze w całym Paryżu. Żadne inne się do niego nie umywa – powiedział Lucien, stojąc za Pierre'em i opierając obie ręce na jego ramionach. – Czytelnia Bibliothèque Nationale jest znana na całym świecie. To najważniejsza biblioteka we Francji. Spójrz na te kopuły. Widzisz, ile światła wpuszczają? Są niesamowite. Popatrz, w jaki sposób opierają się na tych smukłych żeliwnych kolumnach.

Luciena zawsze trochę ponosiło, gdy pokazywał Pierre'owi swoje ulubione obiekty architektoniczne. Byli już w Notre Dame, kościele de la Madeleine, Operze Paryskiej i na wieży Eiffła. W każdym z tych miejsc Lucien cały czas nawijał jak najęty, ale Pierre zawsze słuchał go z wielką uwagą i nigdy nie wydawał się znudzony. Wręcz przeciwnie, często zadawał pytania i zwracał uwagę na te elementy konstrukcyjne i architektoniczne, które Lucien sam bardzo podziwiał.

– Henri Labrouste, który zaprojektował ten budynek w latach sześćdziesiątych poprzedniego stulecia, był pierwszym architektem używającym odkrytych elementów konstrukcyjnych z żeliwa. Wymagało to wtedy nie lada odwagi. Wszyscy go krytykowali i mówili, że jego budynki są brzydkie. Spójrz na te piękne żelazne łuki, na których opierają się kopuły. Widzisz, jak wyrastają z kolumn? Coś wspaniałego.

– Óóó... – syknął jakiś staruszek, przykładając palec do ust. Lucien zapomniał, że znajdowali się w bibliotece, i skinął przeproszająco głową w stronę mężczyzny.

Przeszli przez pomieszczenie, spacerując między rzędami czytelnianych stolików i oglądając niezwykle, okrągłe okna znajdujące się w środku potężnych kopuł. Lucien zaprowadził Pierre'a pod jedną z kolumn i zastukał w nią palcami, wydobywając czysty, metaliczny dźwięk. Ktoś z sali rzucił w ich stronę kolejne syknięcie.

– Widzisz? To metal, nie kamień. – Pierre również zastukał w kolumnę i uśmiechnął się zadowolony z efektu.

Ludzie siedzieli przy stołach dookoła całkowicie pogrążeni w swoich książkach.

Robili jakieś notatki, zaznaczali strony małymi kawałkami papieru. Lucien patrzył na nich i zastanawiał się, czy po prostu szukają w książkach ucieczki od trudnej, wojennej rzeczywistości, czy może świat nauki od zawsze pochłaniał ich tak bez reszty.

– Budowa tej biblioteki trwała sześć lat. A tam są regały z książkami. Trzymają ją za tą wielką przeszkloną ścianą. Rama dookoła szyby też jest z żelaza.

Lucien i Pierre podeszli w tamtym kierunku, przyglądając się setkom półek pełnych starych, brązowych tomów. Architekt położył chłopcu rękę na ramieniu i oprowadził go dookoła wielkiej sali, pokazując co ciekawsze detale.

– Wszystkie te budynki są skarbem Paryża – westchnął Lucien.

– Ale wszystkie są takie stare – odparł Pierre. – Myślałem, że jesteś modernistą.

Lucien przyłożył dłoń do ust, żeby nie roześmiać się głośno.

– To prawda, jestem. Ale ze starego budynku można dużo się nauczyć – rozbawiło go, że Pierre potrafi mu dociąć.

Przechadzali się dalej po pogrążonej w ciszy czytelni, gdy nagle Lucien usłyszał w oddali jakiś dźwięk. Stukot stawał się coraz głośniejszy, tak że ludzie przy stołach zaczęli podnosić głowy. Architekt zorientował się wreszcie, że jest to odgłos podkutych, niemieckich butów uderzających o marmurową posadzkę.

– Chryste – szepnął, patrząc w pełne strachu oczy Pierre’a.

Ogarnęła go panika, ale opanował się szybko i zaczął działać. Ponieważ był w czytelni już wiele razy, znał układ pomieszczenia na pamięć. Złapał Pierre’a za rękę, zaprowadził go do schowanej za kolumną niszy w ścianie na obrzeżach sali i wepchnął do środka.

– Schowaj się. Wiesz, dokąd potem pójść, prawda?

Ścisnął rękę chłopca i pocałował go w policzek. Pierre kiwnął głową, przykucnął i wsunął się za kolumnę. W tym momencie skrzydła wielkich wejściowych drzwi otworzyły się z hukiem i do pomieszczenia wpadła grupa Niemców, na czele której szedł kapitan SS. Wszyscy mieli karabiny maszynowe. Oficer ruszył wolno wzdłuż głównego przejścia, prowadząc za sobą swoich ludzi i przyglądając się siedzącym przy stolikach. Wszyscy, których mijał, kulili się ze strachu i chowali głowy w książki, udając, że zajmują się czytaniem. Lucien wszedł między rzędy stołów i skierował się prosto w stronę oficera, żeby odciągnąć uwagę od ukrywającego się Pierre’a. Ale kiedy był już zaledwie parę metrów od kapitana, Niemiec podszedł do szpakowatego mężczyzny w drucianych okularach i szarym tweedowym płaszczu.

– Profesor Paul Mortier? Pójdzie pan z nami.

– Ale ja nic nie zrobiłem.

Dwaj żołnierze chwycili mężczyznę pod ręce i wywlekli go z sali.

– Ja nic nie zrobiłem! – wrzeszczał.

Kiedy Niemcy wyszli, w czytelni znów zapadła kompletna cisza. Ludzie przy stołach powoli wracali do swoich książek. Lucien odwrócił się i ruszył w stronę Pierre'a, drżąc na całym ciele. Chłopiec wyłonił się zza kolumny i zaczął iść powoli w kierunku architekta. Gdy byli jakieś trzy metry od siebie, Pierre rzucił się biegiem i wtulił twarz w pierś Luciena.

Architekt objął chłopca i mocno go przytulił. Wiedział, że powinien wydostać go z Francji, ale na samą myśl o tym ogarniał go potworny smutek. Kochał chłopca całym sercem. Potrzebował go i nie wyobrażał sobie, żeby zniknął nagle z jego życia. Nie chciał się z nim rozstawać.



Gut Szabes, monsieur Laval – zawołał radośnie Schlegal, wchodząc do pokoju.

Laval, siedzący na drewnianym krześle z rękami związanymi za oparciem, osunął się do przodu.

– Powiedziałem „Gut Szabes”, Laval. Nie słyszałeś? – Schlegal złapał mężczyznę za brodę i podniósł brutalnie do góry jego opuchniętą, zakrwawioną głowę. – Dzisiaj sobota, więc trwa szabat, prawda? Wasze żydowskie święto?

Laval stęknął. Schlegal puścił jego głowę, odwrócił się do porucznika Vossa i kapitana Brucknera i uniósł ręce w geście udawanego oburzenia.

– Jakimi cennymi informacjami podzielił się z nami monsieur Laval?

– Obawiam się, że monsieur Laval jest bardzo niechętnie nastawiony do współpracy. Nie powiedział nam jeszcze ani słowa na temat swojego wspólnika w interesach Mendla Januskiego – odparł Voss z głębokim żalem w głosie.

– Szkoda – rzekł Schlegal. – Ogromna szkoda, monsieur Laval. Bardzo na pana liczyłem. Wie pan, szukałem pana całe trzy miesiące, a kiedy wreszcie udało mi się pana znaleźć, w ogóle nie chce mi pan pomóc. – Schlegal nachylił się i spojrzał wprost w skrwawione oczy starca.

Pułkownik położył ręce na biodrach i zaczął przechadzać się przed krzesłem, na którym siedział Laval.

– Jako bankier Januskiego musi pan wiedzieć, gdzie znajduje się jego fortuna. Nie jest już pana klientem, więc gdzie zabrał pieniądze?

Laval podniósł głowę i coś wychrypiął.

– Przepraszam, chyba nie dosłyszałem.

– Ukrył... je tak, żeby nikt ich nie znalazł. Ja sam... nie... wiem gdzie. Nic mi nie powiedział.

– Trochę trudno mi w to uwierzyć. Na pewno ma pan jakiś pomysł, gdzie mógłby schować taki majątek. Proszę się ze mną tym pomysłem podzielić.

– Mówię panu, że... nic nie wiem – jęknął Laval.

– Wszystkie te obrazy, rzeźby, złote kielichy i klejnoty. Ciężko byłoby je

przeszmuglować stąd do Szwajcarii. Myśli pan, że ukrył je gdzieś na wsi?

Laval stęknął znowu, a jego głowa potoczyła się z boku na bok.

– Pułkowniku, czy mogę zasugerować nową metodę przesłuchania? – spytał Voss, wyjmując torbę z dużej, skórzanej sakwy leżącej na podłodze.

– Niech zgadnę: to coś elektrycznego, prawda? Moi ludzie kochają elektryczne ustrojstwa – rzucił Schlegal do Laval, uśmiechając się szeroko.

– Lutownica – wyjaśnił Voss, podłączając urządzenie do gniazdka w ścianie. – Za dwie minuty będzie gotowa.

– Jestem pod wrażeniem pańskiej inicjatywy, Voss.

– Odkąd służę w Paryżu, panie pułkowniku, pracowałem nad taką ilością więźniów, że fizycznie nie dawałem już rady. Czasami, gdy wracam wieczorem do domu, wszystko mnie boli – poskarżył się Voss tonem staruszki narzekającej na artretyzm kolan. – Pomyślałem, że musi być jakiś technologicznie wydajniejszy sposób, żeby poradzić sobie z całą tą pracą.

– Podoba mi się twoja inwencja, Voss. To cenna cecha u oficera.

– Obawiam się, że pomysł nie jest jakoś bardzo oryginalny. Widziałem, jak wykorzystują go w Warszawie, gdy byłem tam w zeszłym roku.

– No dobrze, bierzmy się do pracy. – Schlegal odwrócił się do Laval. – Dwa proste pytania. Gdzie jest Januski i gdzie są jego pieniądze? Ma pan ostatnią szansę.

Laval milczał. Voss podszedł do mężczyzny, żeby sprawdzić, czy nie stracił przytomności, ale kiedy uderzył go w twarz, starzec otworzył oczy.

Porucznik chwycił lutownicę i przyłożył ją do czoła Laval. Mężczyzna wrzasnęła przeciągle. Schlegal pokiwał z uznaniem głową; możliwości urządzenia zrobiły na nim spore wrażenie. Voss przykładał lutownicę do kolejnych miejsc: najpierw przez jakiś czas dotykał różnych części twarzy, potem rozpiął koszulę i zaczął przytykać ją do piersi starca. Każdy kolejny krzyk stawał się coraz głośniejszy.

– Wydaje mi się, że jest jeszcze jedno oczywiste miejsce, o którym pan zapomina – zauważył Schlegal, siadając na swoim krześle i zapalając papierosa.

Voss uśmiechnął się do pułkownika. Pochylił się, żeby rozpiąć Lavalowi pasek i spodnie, po czym wyciągnął jego penis.

– Pamiętaj, żeby umyć na koniec ręce, chłopcze. Nie wiemy, gdzie on to trzymał. – Schlegal był śmiertelnie poważny.

– Wygląda jak suszona śliwka – stwierdził Voss. Przyłożył lutownicę do główki penisa i trzymał ją tak przez dłuższy czas. Krzyk mężczyzny zmienił się w jeden

długi wizg.

Kiedy wrzask stał się już nie do zniesienia, Schlegal kazał Vossowi przestać. Podniósł się z krzesła i zajął Lavalowi w twarz.

– Prąd raczej nam się nie skończy, Laval, a na twoim tłustym, wstrętnym ciele jest jeszcze dużo miejsc, które aż się proszą o to, żeby je popieścić. Więc może chcesz nam coś powiedzieć?

Starzec nie odpowiedział. Voss chciał już zrobić z lutownicy ponowny użytek, ale Schlegal nagle go zatrzymał.

– Wydaje mi się, że monsieur Laval spokojnie poradzi sobie bez jednego oka. Jak pan sądzi, Voss?

Nie zastanawiając się długo, porucznik wbił lutownicę w lewe oko Laval.

– Rue d’Assas 86, mieszkanie 5C! – zawył mężczyzna.

Schlegal skinął na Vossa, który wybiegł z pokoju, wykrzykując rozkazy do czekających na korytarzu żołnierzy.

– Kto go ukrywał, ty kundlu? Powiedz mi, a wyjdiesz stąd żywy.

– Wiem tylko, że to jakiś bogaty człowiek. I że nie jest Żydem. To wszystko, przysięgam. Januski nic więcej nie chciał mi powiedzieć.

– Nie jest Żydem, powiadasz?

– Ukrywał go wcześniej już w kilku miejscach.

– Pomaga też innym Żydom, czy tylko Januskiemu? – ryknął Schlegal.

– Oprócz Januskiego byli też inni – jęknął Laval.

Schlegal złapał starca za włosy, odchylając jego głowę do góry.

– Czy ukrywa ich w specjalnie skonstruowanych kryjówkach?

Tym razem Laval zareagował. Oko, które jeszcze mu zostało, rozszerzyło się ze strachu i Schlegal wiedział, że wreszcie udało mu się coś osiągnąć.

– Gadaj, Laval, albo stracisz też drugie oko.

Mężczyzna zaczął płakać i zawodzić.

– Boże, wybac mi – załkał.

Schlegal zapalił papierosa i usiadł na biurku.

– Masz szczęście, że powiedziałaś mi coś wartościowego, staruchu. Inaczej musiałbyś sprawić sobie laskę i czarne okulary i żebrać na ulicach do końca swojego życia.



Może powinienem był podnieść bardziej te łuki w centralnej części budynku? Linia dachu wyglądałaby wtedy dynamiczniej – zastanawiał się Lucien.

– Wiesz, że architekt nie powinien nigdy wprowadzać modyfikacji z czysto estetycznych pobudek. Zawsze powinien przedstawić klientowi racjonalne wytłumaczenie proponowanych zmian.

Lucien wysłuchał rady Herzoga, pokiwał głową i zamyślił się na chwilę.

– Jeśli podniesiemy centralną część dachu, fabryka będzie w stanie pomieścić wyższy dźwig.

– Doskonała sugestia, monsieur Bernard – zawołał Herzog. – Labrune, podejdź tu na chwilę. Chcę, żebyś wprowadził drobną zmianę.

Herzog i Lucien spotykali się na terenie budowy fabryki w Tremblay niemal codziennie, aby omawiać postępy prac. W spotkaniach uczestniczył też Labrune, zręczliwy wykonawca w podeszłym wieku, który zajmował się realizacją całego projektu. Wehrmacht specjalnie ściągnął go w tym celu z emerytury, a on nie zamierzał ukrywać, że to, iż musi pracować dla szkopów, napełnia go najgłębszą odrazą. Jako weteran pierwszej wojny, wciąż nie wybaczył Niemcom, że użyli przeciwko niemu gazu bojowego w 1916 roku. Labrune ruszył wolno w stronę pułkownika Herzoga, klnąc po nosem. Po drodze spojrzął ze wstrętem na Luciena i splunął na ziemię – tak jak zawsze, gdy go widział. Lucien zdawał sobie sprawę, że stary lis serdecznie go nienawidzi, ale jednocześnie wiedział też, że wszyscy wykonawcy nie cierpią architektów za to, że ciągle domagają się wprowadzania jakichś poprawek. Labrune miał za sobą w końcu ponad pięćdziesięcioletnią karierę w branży budowlanej i nienawiść ta zapewne zdążyła już stać się u niego nawykiem.

– Labrune, ruszasz się jak stary dziad. Pośpiesz się, do cholery – krzyknął Herzog. Starzec w ogóle się tym nie przejął.

– Jestem starym dziadem, panie pułkowniku. Czy może pan nie zauważył? Co to za niezwykle ważna zmiana?

– Podniesiesz cztery środkowe łuki o dwa metry. Pójdzie na to niewiele więcej

drewna, a czasu powinno zająć mniej więcej tyle samo. Nie opóźnimy przez to budowy – zakomunikował Herzog.

– To nic wielkiego, Labrune, na pewno sobie poradzisz – dodał Lucien. Wykonawca rzucił mu lodowate spojrzenie, prychnął jak koń i zapatrzył się w ziemię.

– To wcale nie takie proste, monsieur Bernard. Żeby łuki były wyższe, trzeba będzie je wzmocnić i pogrubić. Będę potrzebował szkicu konstrukcyjnego.

– Mangin, nasz inżynier, dostarczy ci rysunek jutro rano. Żaden problem.

Labrune zerknął na Herzoga, czekając na potwierdzenie. Gdy Niemiec kiwnął głową, starzec odszedł z ewidentnym wyrazem niesmaku na twarzy.

– Skurwysyny – mruknął pod nosem.

– Coś ty powiedział, Labrune? – wrzasnął Herzog.

– Mówiłem tylko, że z przyjemnością zajmę się tą poprawką – odparł Labrune. – Zresztą, jaki mam wybór? Albo zrobię to, co pan każe, albo zastrzelicie mnie na miejscu. Czyż nie tak, mein Führer?

– Podoba mi się twój tok myślenia – odrzekł Herzog i odwrócił się do architekta. – To twój najlepszy budynek, Lucien. Te łuki wyrastające z ziemi są po prostu przepiękne.

Lucien nie mógł się nie zgodzić. Formy trzech pierwszych łuków były już postawione i nawet w drewnie wyglądały wspaniale. Uwielbiał przyglądać się, jak powstają jego budynki. Była to chyba najcudowniejsza rzecz w tym zawodzie – patrzeć, jak szkice i rysunki zmieniają się w prawdziwe, trójwymiarowe obiekty, wokół których można chodzić i których można dotknąć. Każdy architekt nie może doczekać się, kiedy jego projekt zostanie wreszcie zrealizowany. Normalnie ukończenie budynku trwa całą wieczność, ale Niemcy byli niesamowicie sprawni. To, co Francuzom zajęłoby miesiące, oni potrafili zrobić w ciągu tygodni. Lucien zawsze słyszał o legendarnej niemieckiej skuteczności, ale do tej pory najczęściej sobie z niej żartował. Teraz widział tę skuteczność na własne oczy i musiał przyznać, że robiła na nim duże wrażenie. Praca na trzy zmiany siedem dni w tygodniu z pewnością bardzo przyspieszyła budowę. Groźby pobicia lub śmierci pod adresem robotników też robiły swoje.

– Fabryka nigdy by nie powstała, gdyby nie twoje wsparcie – powiedział Lucien ostrożnie. Nie chciał, żeby jego słowa zabrzmiały zbyt ckliwie. Kiedy Herzoga awansowano na pułkownika, jego były zwierzchnik, ten idiota Lieber, został przeniesiony z powrotem do Berlina. Herzog sprawował więc teraz całkowitą władzę

nad programem budowy zakładów zbrojeniowych. Ciesząc się pełnym zaufaniem Speera, wznosił i otwierał kolejne fabryki w błyskawicznym tempie, tak że ilością wyprodukowanego sprzętu wojskowego znacznie wyprzedzał harmonogram ustalony przez Berlin. Zaczynało się nawet ostatnio mówić o jego awansie na generała.

Herzog ruszył w stronę dołu pod fundamenty, a Lucien pośpieszył za nim. Szanował Niemca nie tylko za jego wyczucie architektoniczne, ale również za uważne oko w kwestiach konstrukcyjnych. Herzog zawsze potrafił dostrzec, kiedy ktoś szedł na łatwiznę, i nie wahał się mówić podwykonawcom, żeby rozebrali jakiś fragment i zaczęli wszystko od początku. Oczywiście nikt nigdy nie protestował. Gdyby ktoś odważył się odmówić, zostałby szybko wyprowadzony z budowy przez jednego z żołnierzy i nikt by go więcej nie zobaczył. Taka sytuacja zresztą miała już raz miejsce, przypominając Lucienowi, że Herzog jest wciąż niemieckim oficerem, który przysięgał lojalność Führerowi i który życzy swojemu narodowi pełnego zwycięstwa. Lucienowi wydawało się jednak, że Niemiec traktował swoją pracę bardziej jako osobistą misję. Chciał zostawić po sobie we Francji jakiś trwały ślad, z którego Rzesza będzie mogła być dumna. I nawet jeśli pewnego dnia zabraknie go tu, fabryki będą dalej stać, dając świadectwo, że kiedyś tu był. Architekci myśleli bardzo podobnie: uważali, że tworzą dzieła, które ich przetrwają. Biblioteka będzie służyć kolejnym pokoleniom wiele lat po śmierci tego, kto ją zaprojektował. Od kiedy Lieber nie stał mu na drodze, Lucien miał wreszcie nieograniczoną swobodę twórczą. Rzeczywiście prawdą było, że architekt potrzebuje dobrego klienta, żeby stworzyć coś wielkiego. A Herzog był idealnym klientem.

– Linie okien bardzo podkreślą horyzontalny układ budynku. No i wpuszczą do środka mnóstwo naturalnego światła – zauważył Herzog, uśmiechając się.

– Pracownicy będą w stanie lepiej widzieć i więcej wyprodukować – dodał Lucien. Obaj wybuchnęli śmiechem.

– Otóż to. A te linie z czarnej cegły na pewno podniosą wydajność zakładu. Nie wiem, w jaki sposób, ale wprowadzają bardzo korzystne podziały w skali frontowej elewacji. – Herzog puścił do architekta oko.

Zajrzeli do wykopu, żeby obejrzeć stopy fundamentowe.

– Kazałem, żeby były jak najszerze. Dzięki temu przeniosą obciążenia bezpośrednio na grunt – powiedział Niemiec. – Prędzej czy później te budynki staną się celem ataku aliantów i będą musiały wytrzymać bombardowania. Fabryka musi przetrwać i w jak najszybszym czasie wznowić produkcję. To rozkaz Speera.

Herzog nigdy o tym nie mówił, ale Lucien widział, że Niemcy obserwują przebieg wojny z coraz większym niepokojem. Do tej pory wszystko szło po ich myśli, ale siły alianckie przystąpiły ostatnio do ofensywy w Afryce Północnej i powoli zaczynały zdobywać przewagę. We Francji spodziewano się ataku Brytyjczyków. Herzog przejrzał pod tym kątem wszystkie plany budynku, szczególną uwagę poświęcając rysunkom konstrukcji. Kazał jeszcze bardziej wzmocnić zbrojenia kolumn i łuków, zwiększył również grubość betonowych płyt dachowych i stalowych ram okien. Modyfikacje, które wprowadził, uczyniły budynek znacznie bardziej wytrzymałym, a jednocześnie były tak eleganckie pod względem estetycznym, że Lucien nie miał im nic do zarzucenia. Architekt zazdrościł Niemcowi umiejętności i próbował się od niego uczyć. Herzog miał niezwykłą intuicję konstrukcyjną i znał się na projektowaniu jak mało kto, choć nigdy nie ukończył studiów na Bauhausie.

Zadowolony z postępów prac, Lucien pożegnał się z pułkownikiem i ruszył w kierunku swojego samochodu zaparkowanego przy prowizorycznym budynku gospodarczym. Na zapleczu, zajęty nabijaniem fajki, stał Labrune. Architekt pomachał mu z uśmiechem.

– Dobra robota, Labrune. Tak trzymaj.

– Parszywy zdrajca – mruknął strzec na tyle głośno, że było go słychać.

Lucien zaczerwienił się po uszy i poszedł dalej. Cała radość, którą czuł, patrząc jak powstaje jego dzieło, nagle gdzieś wyparowała.



Lucien był z siebie bardzo dumny, że udało mu się zdobyć pieczonego kurczaka na dzisiejszą kolację. Kupił go za ładny grosz – zapłacił dwadzieścia razy więcej niż w czasie pokoju. Ale było warto. Wiedział, że Pierre poczuje smakowity zapach już od drzwi i wyobrażał sobie, jak chłopiec wbiegnie z radością do kuchni. Sam ten widok wart był każdych pieniędzy. Dwadzieścia tysięcy franków, na których przyjęcie znów namówił go Manet, rozchodziło się dużo szybciej, niż myślał. Podczas okupacji inflacja pożerała pieniądze w zastraszającym tempie. Zawsze było drogo, ale teraz ceny były wręcz astronomiczne. Za masło, które oficjalnie kosztowało pięćdziesiąt dziewięć franków i którego nie sposób było dostać w sklepie, na czarnym rynku trzeba było zapłacić ponad dwieście franków. Wśród mieszkańców Paryża bardzo rozpowszechnił się handel wymienny. Dzieciak z kamienicy Luciena kupił sobie godzinę nauki gry na skrzypcach za pół kilo masła.

Architekt siedł po ciemnych ulicach, zastanawiając się, co powinien podać do kurczaka. Ziemniaki i kapustę? A może tylko chleb i wino? Całkowicie pochłonięty tym problemem, nie zwrócił uwagi na dźwięk podążających za nim kroków. Gdy był jakieś sześć przecznic od domu, zrównali się z nim nagle dwaj mężczyźni – jeden siedł z jego prawej, a drugi z lewej strony. Pod Lucieniem ugięły się nogi. Czy byli z Gestapo i mieli zamiar zgarnąć go z chodnika i wpakować do samochodu? Czy też należeli do jakiejś szajki, która podszywała się pod policję i zabierała ludziom towary pochodzące z czarnego rynku? Znajomemu Luciena, Danielowi Joffremowi, w zeszłym miesiącu ukradli cały udziec barani łącznie z walizką, w której go niósł. Lucien musiał się zdecydować, czy powinien skoczyć w prawo, w uliczkę, do której właśnie się zbliżali, i próbować uciec. Rzucił szybkie spojrzenie na obu mężczyzn – wyglądali na dość sprawnych i z pewnością łatwo by go dogonili. Miał świadomość, że sam jest w kiepskiej formie, ale wiedział, że musi postarać się im jakoś zwać. Mężczyźni szli obok niego przez następnych kilka metrów, co wydało mu się dość dziwne. Gestapo nie czekałoby z aresztowaniem tyle czasu. Przemknęło mu przez myśl, że mogą to być jednak fałszywi policjanci, którzy chcą zabrać mu kurczaka,

więc instynktownie przycisnął paczkę mocniej do piersi i przyspieszył kroku. A może to po prostu zwykli, wygłodniali ludzie, których zapach jedzenia doprowadził do szaleństwa? Jeden z mężczyzn podbiegł do przodu i zastąpił mu drogę. Drugi stanął za nim. Lucien postanowił, że nie odda kurczaka bez walki.

– Proszę mnie przepuścić, monsieur. – Choć ton architekta był niezwykle uprzejmy, Lucien w każdej chwili był gotów kopnąć faceta między nogi i rzucić się do ucieczki. Miał jeszcze zamiar powiedzieć, że nie chce żadnych kłopotów, ale mężczyzna, który stał przed nim, odezwał się pierwszy.

– Monsieur Bernard, chcielibyśmy zamienić z panem kilka słów, jeśli nie ma pan nic przeciwko. Obiecuję, że nie zajmie to dużo czasu. – Nieznajomy miał na sobie stylowy kapelusz i charakterystyczny prochowiec, jaki często nosili agenci Gestapo. Ręką wskazał na samochód, który właśnie się przy nich zatrzymał. Lucien zaczął gwałtownie drżeć, a mężczyźni wymienili rozbawione spojrzenia. Ten, który stał za architektem, położył mu rękę na ramieniu i poprowadził go łagodnie w stronę auta. Wszyscy trzej usiedli na tylnym siedzeniu – Lucien i jego kurczak pośrodku. Lucien domyślił się, że muszą być z policji, która współpracuje z Gestapo, i z pewnością nie chodziło im o jedzenie. Nikt nie odezwał się ani słowem. Samochód ruszył, przejechał jakiś kilometr i skręcił do garażu. Lucien obrócił się i zobaczył przez tylną szybę, jak ktoś zamyka za nimi drzwi. Więc to koniec. Tutaj go zastrzelą. Skurczył się na fotelu i jedyną rzeczą, o której był w stanie myśleć, było to, że Pierre będzie przez całą noc sam, nie mając pojęcia, co się z nim stało. Lucien dołączy do grona Paryżan, którzy zniknęli bez śladu. A Pierre nigdy nie zje na kolację kurczaka, którego kupił specjalnie dla niego.

Mężczyzna siedzący z jego prawej strony otworzył drzwi. Wysiedli z auta, przemaszerowali na tył garażu i weszli po schodach do małego gabinetu, w którym czekało dwóch ludzi. Starszy mężczyzna w szarym płaszczu, wyglądający na jakieś sześćdziesiąt lat, wskazał mu drewniane krzesło przy okrągłym stole.

– Monsieur Bernard, zaprojektował pan dla Niemców w Chaville bardzo elegancki budynek. Ten, który powstaje w Tremblay, również wydaje się dość imponujący – powiedział nieznajomy, siadając z drugiej strony stołu.

– Dziękuję.

– Ciekawe, że tak chętnie tworzy pan dla Niemców tak dobre rzeczy. Martwi się pan, że sami nie daliby sobie rady?

– Nie myślę o tym w taki sposób. Staram się po prostu wykonywać swoją pracę najlepiej, jak potrafię.

– Żeby zadowolić Niemców?

– Żeby zadowolić siebie. Projektuję według moich własnych standardów.

– I są to standardy wyższe od niemieckich?

Lucien od razu zorientował się, w którą stronę zmierza to przesłuchanie i kto zadaje pytania.

– Jesteście z ruchu oporu, prawda?

– Owszem, monsieur, właśnie tę organizację reprezentujemy. I mamy kilka pytań na temat pańskiej lojalności wobec kraju.

– Zaraz, zaraz, stary durniu. Chyba wam odbiło, jeśli sądzicie, że jestem zdrajcą. Zawsze byłem lojalny wobec Francji. Walczyłem do samego końca, do momentu podpisania rozejmu. Można to łatwo sprawdzić – krzyknął Lucien.

– Wiemy, jakich heroicznych czynów dokonał pan, siedząc na tyłku za biurkiem.

– Cały pokój wybuchnął śmiechem. – Chcemy porozmawiać o tym, czym zajmuje się pan teraz.

– A siebie pewnie uważacie za bohaterów, co? – odparł Lucien. – To jest dopiero bzdura.

Tak naprawdę Lucien nienawidził ruchu oporu za to, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent jego członków popierało komunizm, którym sam zawsze pogardzał. Uważał, że hasła wzywające do obalenia kapitalizmu są zwyczajnie idiotyczne. A jedynym rezultatem ich rzekomo bohaterskich działań były tylko niekończące się akty odwetu ze strony Niemców. Od 1941 roku, kiedy ruch oporu zaczął mordować niemieckich żołnierzy, Rzesza rewanżowała się Francuzom rozstrzeliwaniem zakładników. Tylko w zeszłym tygodniu, po tym jak członkowie podziemia zabili granatami ośmiu lotników na stadionie Jeana Bouina, Niemcy zamordowali w Paryżu osiemdziesiąt pięć osób. Większość z nich była komunistami i Lucien uważał, że po prostu dostali za swoje, ale część rozstrzelanych stanowili Bogu ducha winni ludzie.

– Zabijacie jednego cholernego Niemca, a oni w odwecie mordują kilkunastu naszych. Prowadzicie jakieś bezsensowne akcje sabotażu, przecinacie druty telefoniczne albo robicie zamieszanie na kolei, a w ramach represji giną kolejni niewinni ludzie. Tak jak tamci nieszczęśnicy przed kilkoma dniami. To, co robicie, monsieur, nie ma żadnego sensu. A już na pewno nie jest warte życia żadnego Francuza.

– Zostawcie mnie z nim na chwilę – zawołał niski mężczyzna z brodą, siedzący w rogu gabinetu. – Jedna kulka w łeb parszywego kolaboranta i możemy iść do domu.

– Emile, proszę, nie przeszkadzaj. Pozwól, że ja się tym zajmę – odrzekł starzec. – Monsieur Bernard, ruch oporu robi, co może, a warunki są niezwykle trudne. Ale nie możemy siedzieć beczynnie, musimy walczyć. „Życ pokonanym znaczy umierać codziennie”.

– Kto tak twierdzi? Słyszałem, jak de Gaulle w BBC mówił, że zabijanie Niemców ułatwia im tylko masakrowanie bezbronnych obywateli. On sam uważa, że robicie więcej szkody niż pożytku. Poza tym to Brytyjczycy i Amerykanie uratują nam tyłki, nie idioci tacy jak wy. I sami świetnie o tym wiecie.

– Tak, ale do tego czasu musimy walczyć po swojemu.

– Chryste, jesteście tylko bandą cholernych komunistów. Ten wasz Stalin nie jest wcale lepszy. Podobno zagłodził na śmierć miliony ludzi na Ukrainie. I nie zapominajmy, że podpisał z Hitlerem pakt o nieagresji. Chyba pan o tym pamięta, co?

Mężczyzna nie odpowiedział. Lucien wiedział, że dla wszystkich komunistów była to drażliwa kwestia.

– Wróćmy do pana. Wydaje się nam, że trochę za bardzo wspiera pan niemiecki przemysł zbrojeniowy. Chcielibyśmy prosić, żeby był pan odrobinę mniej skłonny do współpracy. Niech pan trochę ograniczy swój entuzjazm.

– Do jasnej cholery, nie jestem kolaborantem. Będziemy mogli wykorzystać te fabryki po zakończeniu wojny.

Starzec zapalił papierosa i mocno zaciągnął się dymem, po czym uśmiechnął się do Luciena.

– Znalazł pan bardzo pomysłowy sposób na usprawiedliwienie własnych czynów, monsieur. – Pozostali mężczyźni zamruczeli, przytakując.

Lucien nie cierpiał, kiedy ktoś z niego kpił, a zwłaszcza nie miał ochoty, by żartowały z niego takie łajzy z klasy robotniczej.

– Francja będzie potrzebować fabryk, żeby odbudować kraj.

– Nie będzie żadnego kraju, jeśli takie gnidy jak ty będą pomagać szwabom – wrzasnął brodaty. – A poza tym wszystkie te fabryki są cholernie brzydkie.

– Przekazaliśmy panu ostrzeżenie, monsieur Bernard – rzekł starzec. – Niech pan pamięta, wobec kogo powinien pan być lojalny. Kiedy nadejdzie wreszcie dzień zwycięstwa, wszyscy kolaboranci słono zapłacą za swoje zbrodnie. Zapewniam pana.

– Niektórzy może nawet trochę wcześniej – warknął brodacz, wyciągając rewolwer z kieszeni płaszcza.

– I na pana miejscu nie przyjaźniłbym się też tak bardzo z pułkownikiem Herzogiem. Źle to wygląda – dodał starzec.

Wciąż ściskając swojego kurczaka, Lucien wstał z krzesła i spojrzął po mężczyznach w gabinecie.

– Posłuchajcie uważnie, sukinkoty. Kocham Francję i nie jestem żadnym zdrajcą. Jeśli ktokolwiek z was uważa inaczej, niech idzie do diabła. A teraz chciałbym wrócić do domu.

Starzec skinął ręką w stronę faceta w prochowcu.

– Odwieźcie go. Dobrej nocy, monsieur Bernard. Życzę panu smacznej kolacji.

Pod dom zawieźli go ci sami dwaj mężczyźni, którzy zgarnęli go z ulicy. Gdy zatrzymali się przy kamienicy Luciena, wypchnęli go brutalnie z samochodu, tak że upadł twarzą na chodnik i upuścił kurczaka.

– Może zabierzemy mu kuraka? – zasugerował ten w prochowcu.

– Pierdolić go. Mam nadzieję, że udusisz się kością, kolaborancie – wrzasnął kierowca, odjeżdżając z piskiem opon.



Alain widział mnóstwo amerykańskich filmów, w których detektyw albo szpieg musiał kogoś śledzić, więc miał technikę opracowaną do perfekcji. Najważniejsze było trzymać się na tyle daleko, by nie zostać zauważonym, a jednocześnie na tyle blisko, żeby mieć śledzonego w zasięgu wzroku.

Chłopak szedł więc wzdłuż rue de Cirque, starając się mieć Luciena ciągle na oku. Kiedy jego szef przystawał, aby spojrzeć na jakieś okno wystawowe, Alain zatrzymywał się i wskakiwał w pobliską bramę, a po paru chwilach znowu ruszał w ślad za Lucieniem. Dokądkolwiek by on nie szedł, ewidentnie się nie spieszył. Zdążył kupić książkę i wstąpić na chwilę do Café de la Place. Może chciał się upewnić, że nikt go nie śledzi? Tę metodę Alain również znał z kina – mężczyzna orientował się, że ktoś za nim idzie, zaczynał grać na zwłokę, a następnie usiłował zgubić ogon.

Lucien skręcił w avenue Gabriel, potem w lewo, w rue Boissy d'Anglas, i spacerował spokojnie przez kolejne piętnaście minut. Na mieście było na szczęście trochę ludzi, więc Alain mógł wtopić się w tłum. „Gdyby wszedł w jakąś pustą uliczkę – pomyślał chłopak – „dużo trudniej byłoby go śledzić”. Niemal każdego wieczoru Alain przeglądał teczki i biurko Luciena, szukając szkiców tajnych kryjówek, ale na razie nic nie udało mu się znaleźć. Po wpadce z rysunkiem kominka jego szef zrobił się bardzo ostrożny. Alain chciał pójść do wuja, żeby powiedzieć mu o atrapie odpływu w domu, który spaliło Gestapo, ale zdał sobie sprawę, że nie ma żadnych dowodów na to, że Lucien zaprojektował skrytkę. Musiał go złapać na gorącym uczynku, więc powinien dowiedzieć się, gdzie ukrywa się kolejny Żyd. A skoro architekt dbał o to, żeby nie zostawiać żadnych dowodów na piśmie, znaczyło to, że trzeba go śledzić. Jednak inwigilacja nie przyniosła jak dotąd żadnych rezultatów.

Alain nienawidził Luciena z całego serca. Wciąż nie był w stanie zapomnieć incydentu w magazynku i wszystkich innych upokorzeń ze strony architekta. Marzył o dniu, w którym Lucien zostanie zabrany przez Gestapo i zniknie na zawsze. Wtedy

Alain oczywiście przejmie jego firmę. Niemcy będą chcieli, żeby ktoś zajął się planami fabryk, i wuj Hermann załatwi to tak, żeby przyszli właśnie do niego. Jeśli chodziło o Żydów, Alain osobiście nic do nich nie miał. Dorastał w dzielnicy Saint-Germain, gdzie było wielu Żydów, i zawsze byli dla niego bardzo mili. Monsieur Valery również był bardzo uprzejmym człowiekiem. Alain doniósł na niego tylko dlatego, żeby przypadobać się wujowi.

Lucien zatrzymał się przed witryną kolejnego sklepu, ale tym razem zrobił coś podejrzanego. Udując, że przygląda się garniturowi na wystawie, zerknął szybko na prawo i lewo, żeby zobaczyć, czy nikt go nie śledzi. Z całą pewnością był to gest wynikający z ostrożności. Gdy Lucien przystanął, Alain schował się szybko za kolumnę, która zdobiła wejście do jakiegoś budynku. Wiedział, że powinien odczekać dłuższą chwilę, zanim wróci znowu na chodnik – na wypadek, gdyby architekt postanowił obejrzeć się ponownie. Alain zyskał wreszcie pewność, że Lucien zmierza do kryjówki, i wprost nie posiadał się ze szczęścia. Musiał teraz tylko trzymać się dość blisko, żeby był w stanie wśliznąć się tuż za nim do budynku i zobaczyć, dokąd pójdzie.

Alain ruszył za Lucieniem i deptał mu po piętach przez następne kilkaset metrów. Na rue de Duras architekt usiadł przy stoliku na zewnątrz nijakiej kafejki, zawałał kelnera i coś zamówił. Alain zaczynał gotować się z niecierpliwości. Stał w drzwiach sklepu z kapeluszkami po drugiej stronie ulicy i zapalił papierosa. Dobrze, że sklep był zamknięty i nie musiał się martwić, że ktoś będzie chciał przegonić go z wejścia. Kiedy kelner przyniósł do stolika lampkę wina, Lucien zapytał go o coś i mężczyzna wskazał ręką w stronę wnętrza kawiarni. Architekt podniósł się z krzesła i wszedł do środka. Alain domyślił się, że poszedł do łazienki, ale kiedy nie wracał do stolika przez dziesięć minut, chłopak zaczął się denerwować i niecierpliwić. Minęło kolejne dziesięć minut i Alain zrozumiał, co się właśnie stało. Przebiegł przez ulicę, ale do samej kafejki podszedł już powoli. Nie chciał wpaść na Luciena, gdyby mężczyzna jednak nagle wyszedł.

Alain zajrzał przez drzwi w półmrok lokalu i ostrożnie wszedł do środka. Przystanął tuż za progiem, chowając się za framugą, a kiedy podszedł do niego kelner, spytał, gdzie jest łazienka. Oburzony kelner zwrócił mu uwagę, że powinien najpierw coś zamówić, jeśli chce skorzystać z toalety, ale Alain zignorował go i ruszył zdecydowanym krokiem na tył kawiarni. Otworzył wolno drzwi do męskiej ubikacji, obawiając się trochę, że zastanie w środku Luciena. Pomieszczenie było jednak puste. Alain sprawdził wszystkie kabiny i upewnił się, że okno nad

umywalką jest zamknięte. Gdy wyszedł z łazienki, zauważył drzwi prowadzące na zaplecze, gdzie znajdowało się tylne wyjście. Zaklął pod nosem i wyjrzał na zewnątrz. Tył budynku wychodził na małe podwórko, które wąskim przejściem łączyło się z ulicą. Alain wybiegł na chodnik, rozejrzał się w prawo i lewo, ale po Lucienie nie było już śladu.

Chłopak oparł się o ścianę i zapalił papierosa. Był przekonany, że architekt go nie widział. Lucien postanowił zapewne przejść przez kawiarnię na wszelki wypadek, żeby wymknąć się ewentualnemu ogonowi. Alain na jego miejscu zrobiłby to samo. Chłopak uśmiechnął się do siebie – manewr Luciena był bardzo sprytny. Zaczynała mu się podobać ta gra w kotka i myszkę i nie mógł się już doczekać, kiedy znów będzie miał okazję śledzić architekta. Zaciągnął się kilka razy i po chwili dotarło do niego, że stoi na rue de Saussaies, tuż naprzeciwko siedziby Gestapo, w której pracował jego wuj. Był to wysoki budynek z ozdobną elewacją z wapienia, wysokimi oknami i żelaznymi balkonami. Alain wiedział jednak, że elegancka fasada nijak ma się do tego, co dzieje się w środku. Wuj Hermann napomknął mu kiedyś, w jaki sposób nakłania swoich „gości” do współpracy. Alain wyrzucił niedopałek i zaczął iść w stronę domu. Nigdzie mu się nie spieszyło, więc zatrzymał się, żeby zerknąć na wystawę sklepu z używanymi książkami i zwrócił uwagę na tom o architekturze modernizmu. Postanowił wejść do środka.

Pierre obserwował Alaina z bramy po przeciwnej stronie ulicy. Gdy po dwudziestu minutach wyszedł z księgarni, chłopiec śledził go aż pod sam dom. Kilka tygodni temu Pierre zauważył, że Alain wertuje papiery leżące na biurku Luciena. Na początku nie widział w tym nic nadzwyczajnego; Alain był przecież jego prawą ręką i zajmował się wszystkim, co było związane z budynkami. Sytuacja powtórzyła się kilka razy, ale Pierre zupełnie się nad tym nie zastanawiał.

Ale pewnego razu Alain wysłał go do sklepu papieżniczego po kalkę techniczną i kiedy wyszedł, przypomniało mu się, że nie wziął ze sobą przykładowego kawałka arkusza. Alain zawsze wrzeszczał na niego za każdy, nawet najdrobniejszy błąd, więc Pierre wrócił do biura i wszedł po cichu, tak by nie zwracać na siebie uwagi. Gdy był w przedpokoju, usłyszał dziwny metaliczny chrobot. Alain majstrował szczyrykiem przy zamykanej szufladzie w biurku Luciena. Pierre patrzył, jak otwiera zamek i ostrożnie przegląda papiery, które były w środku. Wydało mu się to dziwne, więc od tamtej pory postanowił mieć Alaina na oku.

Jednego ranka, gdy Lucien nie było w pracowni, Pierre sprzątał w magazynku i usłyszał przez niedomknięte drzwi, jak Alain gdzieś dzwoni i prosi o rozmowę z niemieckim oficerem. Po plecach przebiegł mu dreszcz strachu. Czyżby Alain dowiedział się jakoś o jego fałszywej tożsamości? Był tak podłym człowiekiem, że zdradziłby chłopca i architekta bez mrugnięcia okiem. Pierre wiedział, że Alain nienawidzi swojego szefa – wyklinał na Luciena, gdy tylko znajdował się poza zasięgiem jego słuchu. Wiedział także, że chłopak serdecznie nie cierpi również jego; Alain zresztą sam codziennie mu o tym mówił. Pierre miał świadomość, że to, iż Lucien troszczy się o niego i traktuje go wręcz jak własnego syna, jest zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Teraz to wszystko może zostać mu w jednej chwili odebrane. A zaczynał właśnie znów czuć się bezpiecznie. Ale dlaczego miałyby go spotkać takie szczęście? Dlaczego miałyby dostać nowy dom i nowe życie, skoro cała jego rodzina zginęła? Gdy usłyszał, jak Alain rozmawia przez telefon, pierwszą jego myślą było, żeby uciec, ale nie miał dokąd iść. A nie mógł pójść do Luciena i powiedzieć mu, że Alain coś knuje, jeśli nie dysponował żadnymi dowodami. Uznał więc, że najlepszym rozwiązaniem będzie trzymać nerwy na wodzy i bacznie przyglądać się Alainowi.

Po podsłuchaniu kilku kolejnych rozmów w następnych tygodniach Pierre zdołał zorientować się, że Alain dzwoni do swojego wuja, z którym jest bardzo związany. Odetchnął z ulgą, gdy uświadomił sobie, że telefony nie mają żadnego związku z jego osobą. Domyślał się jednak – choć teraz, gdy mieszkał u architekta, nie miał już jak tego sprawdzić – że Alain wciąż zagląda po pracy do papierów Luciena. Pewnego dnia, gdy Pierre wracał do pracowni, załatwiwszy na mieście jakąś sprawę, w którą go proszono, zobaczył Luciena wychodzącego z budynku. Chwilę później na ulicę wyskoczył Alain i zaczął iść jakieś dwadzieścia metrów za architektem, zachowując się tak, jakby nie chciał, żeby Lucien go zobaczył. Pierre ruszył za nim z ciekawości i zorientował się, że chłopak zwyczajnie śledzi Luciena. Krążyli więc po ulicach Paryża we trzech: Alain szedł za Lucieniem, a Pierre za Alainem. Jeszcze dwa razy, włącznie z dzisiejszą wycieczką, chłopiec wymykał się za Alainem, gdy ten wychodził z pracowni zaraz za architektem. Pierre był pewien, że Lucien ma jakiś sekret, który bardzo chce zachować w tajemnicy. I jeśli Alain tak usilnie stara się dowiedzieć, co on takiego ukrywa, to znaczy, że Lucien jest w niebezpieczeństwie. A skoro Lucien jest w niebezpieczeństwie, to Pierre też.

Pierre nie wrócił od razu do domu – poszedł okrężną drogą, żeby spojrzeć jeszcze na kamienicę, w której mieszkali kiedyś z madame Charpointier. Był tu już wcześniej

dwa razy; chował się zawsze w jakiejś bramie, bo bał się, że ktoś z sąsiadów rozpozna go i wyda Niemcom. Wciąż nie miał pojęcia, kto ich wtedy zdradził. Popatrzył na okno na poddaszu, z którego widział, jak zastrzelono madame, i zrobiło mu się niedobrze. Nigdy nie zapomni tego widoku, gdy upadała bezwładnie na chodnik. Narażała swoje życie, żeby go chronić, a on nie był w stanie jej uratować. Codziennie prześladował go wstyd, że siedział tam na poddaszu i nic nie zrobił. Pierre poprzysiągł sobie, że to nigdy się już nie powtórzy. Musiał teraz zachowywać się jak mężczyzna; tak powiedział mu ojciec w dniu jego bar micwy.



On twierdzi, że gość chowa się pod podłogą, Paulus.

– A może siedzi w tym żyrandolu?

– To możliwe. Albo ukrywa się w poduszce, na której siedzę.

Kapitan Bruckner i porucznik Paulus rozsiedli się wygodnie na pluszowych fotelach w domu przy rue de Bassano, dokąd wysłał ich pułkownik Schlegal. Na szczęście ich zwierzchnik pojechał na wieś ze swoją francuską kochanką i nie patrzył im na ręce, więc mogli zająć się wszystkim według własnego uznania. Jeden z informatorów Schlegala doniósł, że pod tym adresem ukrywa się Żyd. Postanowili zatem, że zaczną poszukiwania od chwili relaksu w luksusowym salonie.

– Nie będziesz mi kazał opukiwać ścian, prawda?

– Oczywiście, że nie. Schlegal ma nierówno pod sufitem – odparł Bruckner. – Nie zamierzam pieprzyć się z tym miejscem tak, jak z tamtym domem w Epinay. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Zniszczyłem sobie cały mundur.

– Nie narzekaj. Ja wbiłem sobie w stopę jakiś cholerny gwóźdź.

– Nie, spróbujemy znaleźć naszego Żyda w trochę bardziej logiczny sposób.

– Szkoda niszczyć takie ładne mieszkanie. – Paulus wskazała ręką na wspaniałe ściany apartamentu, obłożone bogato zdobioną boazerią i podzielone pięknymi, złoconymi pilastrami, które sięgały od podłogi aż do sufitu. Drewniany parkiet w kolorze głębokiego złota pobłyskiwał w promieniach popołudniowego słońca, a kopulasty sufit zdobiły ogromne malowidła aniołów, unoszących do nieba śliczne nimfy.

– Wiesz, co moglibyśmy zrobić? – zapytał Paulus, uśmiechając się szeroko. – Zróbmy w pokojach trochę bałaganu, a potem weźmy z ulicy jakiegoś Żyda, zabijmy go i powiedzmy, że znaleźliśmy go tutaj. Schlegal przecież i tak się nie zorientuje.

– Paulus, będzie z ciebie jeszcze kiedyś kapitan – odrzekł Bruckner, na którym pomysł podkomendnego zrobił naprawdę duże wrażenie.

– Powiemy mu, że ukrywał się za oszukaną ścianą w jakiejś szafie, tak jak tych kilku, których znaleźliśmy w zeszłym tygodniu. I że próbował uciec, kiedy go

wyprowadzaliśmy, więc musieliśmy go zastrzelić.

– Według mnie brzmi to całkiem wiarygodnie – stwierdził Bruckner.

– Nie martw się, opowiem to w taki sposób, że nikt nie będzie miał żadnych wątpliwości. Przed wojną pracowałem jako adwokat – pochwalił się Paulus.

– Naprawdę, byłeś adwokatem? Nie wiedziałem.

– Skończyłem szkołę w trzydziestym dziewiątym.

– Więc czemu pracujesz dla takiego świra jak Schlegal?

– Pomyślałem, że zrobię sobie przerwę od prawa, zobaczę trochę akcji.

– I skończyłeś w Paryżu, ścigając Żydów – roześmiał się Bruckner.

– Tak, ale lepiej tu niż w Rosji.

– Święta prawda.

– To co ty na to? Zrobimy, jak mówię, tak żebyśmy zdążyli koło drugiej pójść na jakiś dobry obiad? – spytał Paulus. Jak większość niemieckich oficerów uwielbiał francuską kuchnię. Posiłki stanowiły zawsze główną atrakcję dnia i Niemcy planowali menu z taką samą pieczołowitością, z jaką przygotowywaliby strategię bitwy.

– Jestem za. Ale znalezienie Żyda na ulicy może być cholernie trudne. Ostatnio w ogóle już nie wychodzą.

– Masz rację. Może weźmy kilku ludzi i rozstawmy ich co kilka ulic, żeby się rozglądali? Przy odrobinie szczęścia ktoś nam się napatoczy. Powiedzmy dwudziestu ludzi na dwadzieścia przecznic. Na pewno kogoś znajdziemy.

Bruckner podszedł do kanapy i wyciągnął się na niej, kładąc łśniące, czarne buty na burgundowych poduszkach. Spojrzał w górę na ozdobny sufit i posłał w stronę nimf kilka kółek dymu. Paulus wstał z fotela i zaczął oglądać niektóre z przedmiotów stojących na półce nad kominkiem.

– Jaka przepiękna porcelana – zawołał, podnosząc figurkę jelenia. Była utrzymana w ciepłych, ziemistych kolorach, a szczegóły wymalowano na niej z taką dokładnością, że dało się dostrzec białka w oczach zwierzęcia. – Niesamowicie misterna robota.

Bruckner kiwnął głową w kierunku porucznika, postanawiając zachować własne zdanie dla siebie. Nie znosił takich dupereli, które tylko stały i zbierały kurz; jego żona miała ich milion.

– Mojej żonie bardzo się spodoba – dodał Paulus. Wyciągnął chusteczkę, owinął figurkę i schował ją do kieszeni kurtki. – Jest zbyt delikatna, żeby wysłać ją pocztą,

więc jak pojedę w przyszłym miesiącu na przepustkę, to zrobię jej niespodziankę.

– Dobrze, bierzmy się do pracy – odezwał się Bruckner. – Tak, jak mówiłeś, powinniśmy coś tu zdemolować. Pójdiesz po Krügera?

Paulus otworzył podwójne drzwi prowadzące na korytarz i zastał sierżanta Krügera oraz czterech jego ludzi siedzących beczynnie na stopniach głównych schodów.

– Krüger, rusz dupę i chodź tutaj – rzucił.

Sierżant wstał wolno ze schodów, a razem z nim podniósł się Wolfe – żołnierz o bardzo bladej cerze.

– Krüger, leniu, chcę, żebyś razem ze swoimi ludźmi przeszedł po pokojach i zrobił w nich taki burdel, jakbyście kogoś szukali – rozkazał Bruckner.

– Słucham?

– Słyszałeś mnie, idioto. Rozwalcie szafy i wywróćcie wszystkie łóżka.

– Tak jest, rozkaz – wrzasnął zdezorientowany Krüger i krzycząc z kolei na swoich ludzi, rozkazał im wejść do środka.

– Poczekaj chwilę – wtrącił Paulus. – Może najpierw podziurawić tu trochę ściany dla lepszego efektu? Schlegal będzie zachwycony.

– Świetny pomysł, mój chłopcze. Krüger, przejedź serią po ścianach.

Krüger zdjął z ramienia swój MP 40 i ruszył dookoła wielkiego salonu, ostrzeliwując wszystkie cztery ściany z bliskiej odległości. Kule podziurawiły drewniane pilastry, rozłupały gipsowe sztukaterie i zniszczyły piękne, olbrzymie lustro w złotych ramach.

– W porządku, wystarczy. Teraz idźcie wybebeszyć resztę pokojów. Tylko żadnego strzelania, Krüger. Zrozumiano? – zakomenderował Bruckner.

– Tak jest.

Paulus i Bruckner wyszli na korytarz, czekając aż Krüger i jego ludzie skończą demolować mieszkanie. Rozmawiali o wrażeniach na temat Luwru, o koniaku, który pili poprzedniego wieczoru, i o tym, że Niemki są o wiele bardziej biuściaste niż Francuzki. Krüger w końcu wyszedł na zewnątrz i wszyscy zeszli po schodach.

– A teraz znajdziemy sobie jeszcze jakiegoś Żyda – powiedział Bruckner.

Godzinę później podstawa pilastra na środku jednej ze ścian zaczęła się wolno unosić. Mendel Januski z trudem pchał do góry udawaną kolumnę, używając obu

rąk. Góra pilastra zawieszona była na zawiasach zamontowanych u dołu grubej drewnianej listwy, która biegła pod sufitem wzdłuż całej ściany. Januski zdołał wreszcie odchylić wejście do kryjówki na tyle, by wysliznąć się ze środka. Ciężki pilaster zatrzasnął się za nim z ogromnym hukiem. Mężczyzna osunął się na podłogę. Spojrzał na swoją lewą nogę i zobaczył stróżkę krwi sącząca się przez jasnobrązowe spodnie w miejscu, gdzie drasnęła go kula. Wyczerpany i mokry od potu, oparł się plecami o ścianę. Wyciągnął z kieszeni brudną chustkę, wytarł twarz i zaczął ścierać z nogi płynącą krew.



Fontanna wody, która trysnęła spod kół rozpędzonego mercedesa, trafiła Luciena prosto w brzuch, mocząc mu doszczętnie spodnie i płaszcz od pasa w dół.

– Zastrany szwab – wrzasnął za samochodem, ale po chwili uświadomił sobie, że może nie był to najlepszy pomysł i miał nadzieję, że auto jednak się nie zatrzyma.

Miał na sobie swój ulubiony, jasnoszary garnitur i brudna, oleista woda zostawiła mu poniżej pasa bardzo ciemną, widoczną plamę. Wiedział, że nie może tak pójść na spotkanie – Niemcy będą się gapili na jego krocze przez całą prezentację. Musiał jakoś spróbować to sprać. Zdał sobie sprawę, że był dwie przecznice od domu Bette. Dwa razy zostawiał ją przed budynkiem, choć nigdy nie zaprosiła go do środka. Nigdy nie kochali się ani u niej, ani u niego w mieszkaniu. Bette mówiła, że wciąż gości u siebie krewnych spoza miasta, Lucien za każdym razem wymyślał jakąś marną wymówkę ze względu na Pierre'a.

Postanowił, że spróbuje zajść do niej do domu. Bette znała się na modzie i ubraniach, więc uznał, że będzie w stanie wymyślić coś, żeby pozbyć się plamy. Ruszył szybkim krokiem w dół ulicy. Kiedy wszedł do kamienicy, zorientował się, że nie ma pojęcia, pod którym numerem mieszka Bette, więc musiał zadzwonić do konsjerżki. Zza drzwi wychyliła się zaszuszonego kobiecina z papierosem w ustach i spytała, czego do diabła chce. Kiedy już zdobył numer lokalu, zapytał, czy u Bette ciągle mieszkają jej krewni. Staruszka rzuciła mu zdziwione spojrzenie i machnęła ręką, żeby sobie poszedł.

Lucien już miał zapukać do drzwi Bette, gdy usłyszał nagle cichą muzykę dochodzącą z mieszkania. Była to jakaś wesoła, dziecięca melodia. „Może jednak nadal są u niej krewni?” W pewnym sensie rozumiał ich i nie winił ich za to, że przyjechali do Paryża. Wiedzieli, że Bette ma znajomości i będzie w stanie zdobyć dla nich jakieś jedzenie. Wszyscy chodzili teraz wiecznie głodni, więc trzeba było robić, co tylko się dało, żeby przeżyć. Często znaczyło to objadanie własnych krewnych. Zastukał głośno i czekał na korytarzu.

Gdy po minucie nie otworzyła, zapukał jeszcze raz. Wreszcie Bette podeszła do

drzwi.

– Kto tam? – zawołała zza grubego, dębowego drewna. – O co chodzi?

Lucien był mocno zdziwiony jej nieprzyjemnym tonem.

– Czy zawsze witasz w ten sposób swoich kochanków?

– Lucien, to ty? – zapytała zaskoczona.

– Tak, kochanie, to ja. Otwórz, proszę, miałem mały wypadek. Potrzebuję kobiecego wsparcia.

Spodziewał się, że otworzy z radością drzwi, rzuci mu się w ramiona i zaprosi go do środka, ale odpowiedziało mu tylko długie milczenie. Zapukał po raz kolejny.

– Bette, to ja, Lucien. Błagam, potrzebuję twojej pomocy. Niedaleko stąd samochód ochlapał mi garnitur i muszę go jakoś wyczyścić. Za godzinę mam spotkanie. Proszę, otwórz.

Znów nastała długa cisza i Lucien zaczynał już sobie wyobrażać różne rzeczy. Na przykład kochanka, który ubiera się w pośpiechu, próbując znaleźć miejsce, gdzie mógłby się ukryć. Załomotał pięścią w drzwi. W mieszkaniu obok otworzyły się drzwi i wyrżał z nich jakiś mężczyzna w starszym wieku.

– Co to ma znaczyć? Czemu pan tak wrzeszczy? – spytał ze złością.

– Nie pańska sprawa.

– Proszę w tej chwili przestać hałasować.

– Zamknij się, staruchu.

Mężczyzna spojrział na niego z oburzeniem i zatrzasnął drzwi. Po chwili Bette otworzyła swoje.

– Lucien, do cholery, co ty tu robisz? Mówiłam ci, że są u mnie krewni i że nie możesz przychodzić – powiedziała. – Robisz sceny.

– Spójrz na mój garnitur – odparł Lucien. – Jest cały poplamiony. Muszę to jakoś zmyć. Pomyślałam sobie, że może mogłabyś spróbować go wyczyścić i wysuszyć przy piecyku, czy coś, tak żebym mógł pójść na spotkanie jak człowiek.

– Powiedziałam ci, nie możesz wejść.

Jej reakcja wprawiła go w osłupienie. Po chwili jednak poczuł się zraniony i wściekły.

– Cholera jasna, z czym ty masz problem, kobieto?

Nie czekając na odpowiedź, odsunął Bette i wszedł do przedpokoju. Zdziwiło go, że mieszka tak elegancko. Wszystko urządzone było nowocześnie i ze smakiem, a dookoła stały wspaniałe, wyglądające na drogie, meble. Gdy minął mu pierwszy,

architektoniczny zachwyty powróciła złość. A potem pomyślał, że Bette zachowuje się w ten sposób, bo gdzieś tu chowa się jej kochanek, i ogarnął go jeszcze większy gniew.

– No dobrze, to z kim jeszcze sypiasz? Jest w sypialni? Z chęcią go poznam. Uwielbiam poznawać twoich przyjaciół – Ruszył w kierunku sypialni, ale zdał sobie sprawę, że w mieszkaniu jest więcej pokoi sypialnych. – A ja sądziłem, że wszyscy mężczyźni, którzy zajmują się modą, to cioty – dodał z pogardą.

Wpadł do pierwszej sypialni i zanurkował pod łóżko, a następnie zajrzał za zasłony i do dużej szafy. Potem znalazł kolejną i również zaczął ją przeszukiwać. Bette przez cały czas szła za nim.

– Lucien, czyś ty oszalał? Przestań. Mówię ci, że nikogo tu nie ma. Na litość boską, przestań! – zaklinała, szarpiąc go za ramię. – Wynoś się stąd.

– Gówno prawda, wiem, że on gdzieś tu jest. I wyjaśnij mi, gdzie się u diabła podzieli ci twoi tajemniczy krewni?

– Do licha ciężkiego, kazałam ci się wynosić – wrzasnęła z furią, okładając go teraz po głowie.

Lucien z trudem zwalczył chęć, by uderzyć Bette w twarz, i szukał dalej. Wściekłość niosła go jak rwąca rzeka. Nie był w stanie jej powstrzymać. Świadomość zdrady wstrząsnęła nim tak mocno, bo czuł się z Bette niesamowicie szczęśliwy. Po wszystkich tych okropnościach, jakie go spotkały – po śmierci Serraultów, odkryciu schodów – była jak cud, który rozświetlił jego życie. Gdy spędzał z nią czas, mógł zapomnieć o wszystkim i po prostu cieszyć się wspaniałymi chwilami czystej przyjemności. I nie fascynowało go tylko jej piękno czy seksualność, ale uwielbiał ją za jej błyskotliwość, poczucie humoru i inteligencję. Zdawał sobie sprawę, że zaczynał się w niej zakochiwać. Dziwiło go i zachwycało jednocześnie, że w tak strasznych czasach można znaleźć miłość. Po tym wszystkim jej zdrada bolała go jeszcze bardziej.

Bette ciągle biła go po plecach, gdy podszedł do wielkiego, rzeźbionego kufra z orzechowego drewna i otworzył wieko. Jej uderzenia stały się dużo szybsze i bardziej wściekłe, więc wiedział, że trafił w dziesiątkę.

– Chyba znalazłem ukryty skarb.

– Nie. Lucien, proszę, nie rób tego – błagała Bette, starając się ze wszystkich sił odciągnąć go od kufra.

– Musiał cię chyba przelecieć za wszystkie czasy – zawołał, wyciągając ze środka ciężkie koce, które leżały na górze. – Uduszę tego sukinsyna.

Kiedy podniósł trzeci koc, zobaczył przerażone twarze dwojga dzieci, patrzące na niego z dołu. Zamarł w bezruchu i gapił się na nie zbaraniały – egipska mumia nie zdziwiłaby go bardziej.

Bette odepchnęła go brutalnie i pomogła dzieciom wyjść ze skrzyni. Chłopiec i dziewczynka objęły ją za nogi, wtulając twarz w jej białą sukienkę. Bette pogłaskała maluchy po głowie i spojrzała na Luciena wzrokiem, który mówił: „Idź do diabła”.

Widok, jaki architekt miał przed sobą, kompletnie go zahipnotyzował. Bette – mądra, piękna i niezależna modelka – nigdy nie zdradzała żadnego instynktu macierzyńskiego. A teraz stała tu jak lwica, broniąc dwójki małych dzieci, gotowa rzucić się na każdego, kto spróbowałby je skrzywdzić. Lucien uśmiechnął się do całej trójki, czując jak ogarnia go fala ogromnej miłości i podziwu dla Bette. Ukłęknął i wyciągnął dłoń w stronę chłopca.

– Jestem Lucien. Bardzo przepraszam, że was wystraszyłem. Szukałem kogoś innego. Jak masz na imię?

Chłopiec spojrzał pytająco na Bette, a ona kiwnęła głową.

– Emile.

– A ty, młoda damo?

– Carole – oświadczyła dziewczynka. Lucien zauważył, że nie jest tak nieśmiała, jak chłopiec.

– Bardzo mi miło. Bette, może pójdziemy z dziećmi do salonu, żeby lepiej się poznać, a ty zajęłabyś się moim garniturem?

– Wyglądasz strasznie. Dam ci jakiś szlafrok, żebyś mógł się rozebrać.

Lucien wziął dzieci za ręce i zaprowadził je do dużego pokoju. Ściągnął płaszcz i spodnie i oddał je Bette, która przyniosła z kuchni coś do picia. Architekt przebrał się w biały szlafrok i usiadł wygodnie na kanapie, pytając chłopca i dziewczynkę o to, o co tradycyjnie pyta się małe dzieci: ile mają lat, jakie są ich ulubione zabawki i książki. Emile i Carole powoli przełamywali początkową nieufność i zaczęli czuć się przy Lucienie coraz swobodniej, śmiejąc się głośno z jego żartów i głupich min. Architekt nie musiał się domyślać, jakiego są wyznania. Było to widać gołym okiem.

Bette stanęła w drzwiach i z przyjemnością przyglądała się scenie w salonie. Nie licząc jej, Lucien był pierwszą osobą, z którą dzieci rozmawiały od ponad roku. Uśmiechnął się do niej, widząc jak jest zadowolona z tego, że Emile i Carol dobrze się bawią i że Lucien, który również nigdy wcześniej nie wykazywał specjalnych talentów rodzicielskich, pozwolił im poczuć się bezpiecznie i komfortowo. Po paru chwilach powiedziała dzieciom, żeby poszły pobawić się do własnego pokoju,

i usiadła na szeszlengu naprzeciwko Luciena.

– Pański garnitur będzie suchy za jakieś pięć minut, monsieur.

– To wspaniale. Zdążę na czas. Wiesz, jak Niemcy cenią punktualność.

Nie zadał żadnych pytań, ale Bette opowiedziała mu całą historię. Słuchał jej, nie przerywając, a potem zaczął w ciszy krążyć po salonie. Patrzyła, jak ogląda jej mieszkanie.

– Czy twój zmysł architektoniczny nie ucierpiał zbyt na widok mojego gniazdka? – zapytała z fałszywą skromnością.

– To wspaniałe mieszkanie. Zazdrość mnie zżera, że sam go nie zrobiłem. Sposób, w jaki człowiek urządza swój dom, bardzo dużo o nim mówi.

– A co mówi o mnie, monsieur Bernard?

– Że ma pani wspaniały gust, mademoiselle. Ale te dwa „drobiazgi”, które bawią się teraz w korytarzu, mówią o twoim charakterze o wiele więcej.

– Podoba ci się taki charakter?

– Och, tak. Bardzo – odparł Lucien. Uklęknął przed nią i ucałował ją czule w rękę.

– Lucien, jesteś taki kochany. Jesteś wspaniały. Przepraszam, że cię oszukiwałam.

– Jest tylko jeden problem, kochanie. Zauważyłaś, jak łatwo odkryłem twój sekret? Gestapo również nie będzie z tym miało większego problemu. Nie może tak być. Musimy temu natychmiast zaradzić.

Lucien wstał i podszedł do okna, które wychodziło na ulicę.

– Ten parapet jest bardzo szeroki. Co jest pod spodem?

Bette stanęła obok niego.

– Nie wiem. Ty tu jesteś architektem. Sam mi powiedz.

– Musiał tam być kiedyś jakiś stary kaloryfer. Potem go wyjęli. – Lucien delikatnie podważył drewniany parapet szczyrykiem i zajrzał do środka. – Poproś dzieci, żeby tu przyszły – dodał, biorąc z kanapy kilka poduszek i wrzucając je do dziury.

– Króliczki, chodźcie tutaj.

Emile i Carole przydreptali z radością do salonu.

– Słuchajcie, zagramy w pewną grę – oznajmił Lucien.

Dzieci uśmiechnęły się i entuzjastycznie pokiwały głowami.

– To trochę jak zabawa w chowanego. Chciałbym, żebyście schowały się pod oknem – wytłumaczył architekt. Podniósł Emile’a i opuścił go przez otwór. To samo zrobił z Carole. Miejsca było akurat tyle, by zmieścili się obok siebie.

- To będzie nasza tajna kryjówka – powiedział, wyciągając ich z powrotem. – Dobrze, maluchy, lećcie się bawić do swojego pokoju.
- Jeśli szkopy będą tu szukać, podniosą parapet i bez trudu ich znajdą.
- Zamontujemy z tyłu zawiasy, a od dołu przymocujemy dwa rygle. Kiedy dzieci będą już w środku, każesz Emile’owi je zasunąć. Niemcy nie będą w stanie podnieść wieka. I postaw potem na górze mnóstwo rzeczy, jakieś miski czy wazon z kwiatami.
- Co za sprytny mężczyzna. Szybko na to wpadłeś.
- Mam już trochę doświadczenia w tych sprawach. A teraz proszę o garnitur, bo muszę już iść. Ale wrócę zaraz po spotkaniu. Ja również mam pewien sekret, który chciałbym ci pokazać. Myślę, że cię zainteresuje.



Nie wiedziałem, że ma pan tak specyficzne poczucie humoru, monsieur Manet.

– Prawda jest taka, że w ogóle nie mam poczucia humoru. Tak przynajmniej mówi moja żona. Ale w tym przypadku po prostu nie miałem wyboru.

– Zauważył pan, że to mieszkanie znajduje się dokładnie naprzeciwko rue de Saussaies 11?

– Tak, monsieur Lucien. Zauważyłem.

– Pod jakim to adresem znajduje się siedziba Gestapo? – Lucien rozchylił lekko zasłony, żeby spojrzeć na budynek. Architekt odwiedził mieszkanie po raz pierwszy przed tygodniem, próbując znaleźć miejsce na kolejną kryjówkę. Tak bardzo skupił się wtedy na tym, by mieć pewność, że nikt go nie śledzi, że dopiero gdy wyszedł, zorientował się, iż po drugiej stronie ulicy znajduje się główna kwatera Gestapo. Na sam widok budynku zrobiło mu się niedobrze, jak gdyby zjadł przed chwilą nieświeżą ostrygę. Miał nadzieję, że na tym spotkaniu uda mu się przekonać Maneta, żeby jednak zmienił lokalizację.

– Oczywiście, każdy człowiek w Paryżu zna to miejsce – odparł milioner z chytrym uśmiechem.

– I nadal chce pan wykorzystać to mieszkanie?

– Już mówiłem, nie miałem innego wyboru. Czas ma decydujące znaczenie, a to jest jedyne mieszkanie, jakie udało mi się w tym momencie znaleźć. Będzie pan musiał być tym razem wyjątkowo sprytny.

– To stanowczo za mało powiedziane, monsieur Manet. Nie ma szans na żadne inne miejsce?

– Nie. I niestety, trzeba również zbudować kryjówkę wyjątkowo szybko. Mój gość musi się wprowadzić za kilka dni. Jest w tej chwili w ogromnym niebezpieczeństwie. Będzie musiał tu jakiś czas pomieszkać. Podróż do Hiszpanii jest wciąż zbyt niebezpieczna, a o Szwajcarii nie ma już nawet co mówić.

– Nawet teraz Gestapo robi tam straszne rzeczy – odezwał się Lucien, niemal oczekując, że z naprzeciwka rozlegną się nagle jakieś przeraźliwe krzyki.

– Jeśli nie będziemy ostrożni, obaj możemy tam trafić.
– Niech mi pan wierzy, myślałem już o tym setki razy.
– Nie dziwię się – odrzekł Manet.
– No cóż, trzeba przyznać, że wybór tego mieszkania, choć szalony, jest w pewnym sensie też błyskotliwy.

– Więc ma pan jakiś pomysł, Lucien?

– Tak, po ostatniej tu wizycie przyszło mi do głowy kilka możliwości – Lucien pewnym krokiem wziął Maneta na tradycyjny obchód. Jeszcze raz przyjrzał się dokładnie każdemu metrowi kwadratowemu ścian i podłogi. Apartament był bardzo okazały, tak jak wszystkie wcześniejsze miejsca, w których projektował kryjówki. Pomyślał, że gdyby musiał wymyślić skrytkę w jakimś zwykłym, skromnym mieszkaniu, miałyby zapewne nie lada problem. Ściany ozdobione były białą boazerią i złoceniami, a w każdym pokoju znajdował się wielki marmurowy kominek z potężnym, wysuniętym na około metr do przodu kamiennym paleniskiem.

Jakieś dwa metry nad podłogą ciągnęła się dookoła salonu szeroka, wystająca na prawie trzydzieści centymetrów, półka. Tuż nad nią, wmurowane w biały gips jednej ze ścian, znajdowały się ogromne obrazy, obramowane złożonymi listwami. Malowidła rozdzielone były przez wysokie pilastry, sięgające od podłogi aż do sufitu. Lucien obszedł całe mieszkanie, a potem okrążył je znowu – tym razem sporządzając na kawałku papieru jakieś notatki i miniaturowe szkice. Od czasu do czasu zapisywał też niektóre wymiary: szerokość pilastrów, grubość paleniska, szerokość drzwi i grubość ścian. Architekt usiadł na sofie, zrobił jeszcze kilka notatek i zamyślił się.

– Powiedziałyby pan, że nasz gość jest raczej gruby czy szczupły?

– Jest tak szczupły, jak pan. Może nawet bardziej – odpowiedział Manet.

– A mniej więcej jak wysoki?

– Jakieś dwa lub trzy centymetry niższy od pana.

– Czy jest w miarę silny i sprawny fizycznie?

– Tak, tak bym powiedział.

– Dobrze, więc to chyba wszystko na dzisiaj. Wrócę tu jutro, żeby sprawdzić kilka rzeczy i wieczorem dostarczę panu rysunek.

Manet spojrział w stronę siedziby Gestapo.

– Mamy pewien problem. Mój najlepszy człowiek, który zajmował się tymi kryjówkami, jest właśnie zabawiany przez naszych sąsiadów po drugiej stronie

ulicy.

Lucien podszedł do okna i rzucił okiem na budynek naprzeciwko, jak gdyby spodziewał się, że uda mu się zobaczyć torturowanego mężczyznę.

– Jak się trzyma?

– Bardzo go okaleczyli. Nigdy już nie będzie mógł pracować.

– Są w stanie go złamać?

– Nie.

– Czy wie o tym mieszkaniu?

– Tak.

Lucien potrzebował sześciu kieliszków rozwodnionego wina, żeby uspokoić się po tym, co usłyszał od Maneta. Architekt siedział właśnie przy stoliku na zewnątrz kawiarni i obserwował ptaka, który przysiadł na kiosku nieopodal. Chciałby być tym ptakiem. Mógłby wtedy po prostu odfrunąć i lecieć tak długo, aż dotarłby do Szwajcarii, zostawiając za sobą wszystkie swoje problemy. Gestapo katuje w tej chwili człowieka, który wie o mieszkaniu i może wszystko wydać. Jeśli cokolwiek powie, wystarczy, że Niemcy będą ich obserwować i poczekają chwilę, aż Manet sprowadzi Żyda, i wtedy uderzą. Co tam obóz, zastrzelą Luciena na miejscu.

Dał znać ręką, że chce kolejny kieliszek. Kelner, który go obsługiwał, był pod dużym wrażeniem, że architekt nie jest jeszcze ani trochę pijany – nawet jeśli pił tylko rozwodnionego sikacza, którego nazywano winem, powinno to być już po nim widać. Lucien przemyślał jeszcze raz beznadziejną sytuację, w jakiej się znalazł, ale choć był śmiertelnie przerażony, nie zamierzał się wycofywać.

Chciał zrobić to, co do niego należy.



Myślałem, że jesteś moim najbardziej kompetentnym oficerem, Schlegal, ale chyba byłem w błędzie.

Schlegal zagotował się ze złości. Nikt jeszcze nigdy nie kwestionował jego umiejętności. Ale stał dalej na baczność i nie odezwał się ani słowem. W końcu Kurt Lischka, szef paryskiego Gestapo, był jego zwierzchnikiem.

Schlegalowi Lischka kojarzył się zawsze bardziej z pracownikiem biura ubezpieczeniowego niż z policjantem. Łysiejąca głowa i druczane okulary sprawiały, że wyglądał mizernie i niearyjsko. W rzeczywistości był jednak modelowym gestapowcem – urodzonym mordercą, pozbawionym jakiegokolwiek współczucia. Wielu Francuzów zmarło przy rue de Saussaies 11 na jego oczach.

– Wiedziałeś, że Heinrich Müller osobiście zainteresował się sprawą Januskiego?
– spytał cicho Lischka, przechadzając się przed Schlegalem.

– Nie, panie pułkowniku – odparł Schlegal, wiedząc, że za chwilę usłyszy cały wykład. Kiedy szef całego Gestapo stał nad głową dowódcy lokalnego referatu, oznaczało to kłopoty.

– Dla Müllera Januski jest nie tylko Żydem czy wrogiem ojczyzny, ale przede wszystkim rezerwuarem bogactwa liczącego jakieś sto milionów franków, które mogłyby pomóc Rzeszy sfinansować ostateczne zwycięstwo, jakiego pragnie nasz Führer. Podobnie jak złoty ząb najbardziej nędznego Żyda, fortuna Januskiego należy do Niemiec, ale nie jesteśmy w stanie jej znaleźć. I to nie wszystko. Czy wiesz, ilu Żydom ten sukinsyn pomógł uciec w ostatnich latach? Prawdopodobnie tysiącom, i to nie tylko we Francji. Ma całą siatkę agentów, którzy dla niego pracują, nawet w Niemczech. Przekupił dziesiątki urzędników w Hiszpanii, Portugalii i Turcji, żeby załatwić tym ludziom fałszywe dokumenty. Wydał tysiące na to, by zorganizować im transport na statkach w bezpieczne miejsce. A teraz podobno nawet kupił statki i ma własny transport, by wywozić Żydów. Jakby tego było mało, Göring cholernie chce zaopiekować się jego kolekcją sztuki. Codziennie wydzwania w tej sprawie do Müllera. Dlatego, Schlegal, musisz za wszelką cenę znaleźć wreszcie

Januskiego.

– Szukamy go każdego dnia. Ale tej gnidzie pomaga cała zgraja Francuzów. Cały czas systematycznie rozbijamy tę konspirację i jesteście już coraz bliżej.

– Nie chciałbym, żeby Müller przyjechał tu osobiście nadzorować poszukiwania. Ty chyba też byś tego nie chciał, prawda? – Lischka usiadł na krześle po drugiej stronie pokoju i wyciągnął papierosa. Schlegal zauważył, że zwierzchnik nie zaproponował mu, by zapalił. Był to zły znak.

– Nie będzie to konieczne. Znajdziemy go, to już tylko kwestia dni – skłamał Schlegal. Wiedział, że gdyby Müller przyjechał do Paryża, Lischka zamieniłby jego życie w piekło.

– Mam taką nadzieję, bo dobrze ci życzę. Masz za sobą bardzo imponującą karierę i ludzie w Berlinie zwrócili na ciebie uwagę. To twoja szansa, żeby zabłysnąć. Znajdź tego Żyda i jego pieniądze, a świat będzie leżał ci u stóp. Mówimy o awansie na generała.

Te słowa dodały Schlegalowi otuchy. Jego matka i ojciec nie posiadaliby się z dumy – ich syn generałem. Postanowił działać z jeszcze większą determinacją. Lischka podniósł z biurka plik czarno-białych zdjęć i zaczął je przeglądać. Wyciągnął jedno i pokazał je Schlegalowi. Przedstawiało Januskiego w stojącej pozycji z ręką wspartą na książce.

– Spójrz na pierścień na ręce tej parszywej, żydowskiej świni. Ten szmaragd ma wielkość piłki golfowej. Za taki pierścień można by było kupić czołg. Nie sądzisz? – zapytał Lischka.

– Chyba nawet dwa – wymamrotał Schlegal, choć nie miał pojęcia, ile może kosztować czołg.

– Możesz już spocząć – rozkazał Lischka. Zaciągnął się ostatni raz i wstał. – A teraz powiedz mi coś o tym nieszczęśniku.

Lischka podszedł spokojnie do mężczyzny, który leżał w rogu pokoju, i kopnął go w głowę.

– Dzień dobry, monsieur. Wstajemy – zawołał radośnie, jak gdyby budził rano małe dziecko.

– Aubert jest mistrzem stolarskim, który robi najlepsze meble w całym Paryżu – odparł Schlegal. – Rozmawialiśmy z wieloma osobami i wszyscy zgadzają się, że w tym fachu nie ma sobie równych.

– I co to ma wspólnego z naszym problemem?

– Mam powody przypuszczać, że niektórzy Żydzi ukrywają się w bardzo pomysłowych, specjalnie skonstruowanych kryjówkach. Żeby można było zbudować coś takiego, potrzebni są zdolni rzemieślnicy, tacy jak Aubert, którzy potrafią tak zamaskować schowki, żebyśmy nie byli w stanie ich znaleźć.

– Fascynująca historia, Schlegal. Udało ci znaleźć w Paryżu takie schowki?

– Tak, dwa.

– A czy Aubert zdążył nam już coś na ich temat powiedzieć?

– Na razie jest nastawiony do współpracy raczej niechętnie, ale jestem pewien, że już wkrótce zmieni zdanie. – Schlegal skinął na Vossa, który stał w drugim rogu. Porucznik wyjął z kieszeni kurtki przecinak do drutu i uklęknął obok Auberta.

– Pobudka – ryknął Francuzowi do ucha. Starzec poruszył się i próbował unieść głowę, ale nie był w stanie. Jego skroń opadła po chwili z powrotem na drewnianą podłogę.

– Monsieur Aubert, założę się, że ręce są pańskim najcenniejszym skarbem – powiedział Schlegal. – To nimi właśnie robi pan te wszystkie piękne meble, którymi ludzie tak się zachwycają, prawda?

Z ust Francuza, którego twarz stanowiła krwawą miazgę, wydobył się słaby jęk.

– A co by się stało, gdyby stracił pan palce wskazujące? Pewnie byłoby panu ciężko ciąć wtedy drewno?

Voss uciął cały prawy palec wskazujący Auberta, jakby była to łodyga kwiatu. Odcięty palec zatoczył łuk w powietrzu i upadł na podłogę. Z ręki Francuza, niczym z ogrodowego węża, wytrysnął strumień krwi. Krzyki starca odbiły się od szarych, gipsowych ścian przerażającym echem.

– Powinniśmy jakoś wyciszyć te ściany, żeby chociaż trochę pochłaniały hałas, nie sądzisz? – skrzywił się Lischka.

Nie czekając na kolejne instrukcje, Voss odciął Francuzowi środkowy palec u prawej ręki, wywołując tym kolejne wrzaski bólu.

– Monsieur Aubert pewnie będzie chciał zabrać stąd do domu jakieś pamiątki – stwierdził Schlegal.

– Oczywiście, panie pułkowniku – odrzekł Voss, podnosząc z podłogi ucięte palce. Podrapał się po głowie jednym z nich, na co wszyscy w pokoju, włącznie z Lischką, wybuchnęli głośnym śmiechem. Potem wsunął Aubertowi oba palce do kieszeni marynarki i podszedł do Schlegala.

– Dajmy monsieur Aubertowi chwilę czasu, żeby odpoczął i wszystko sobie

przemysłał. Porozmawiamy z nim jeszcze. W końcu zostało mu jeszcze osiem palców.
– Schlegal machnął ręką na swoich oficerów. – Dajcie mu coś, żeby powstrzymać krwawienie. Nie chcę, żeby nam tu umarł. I wyczyśćcie tę krew z podłogi.

Lischka stał z wyrazem uznania wymalowanym na twarzy.

– Zaimponowałeś mi, Schlegal – rzucił, wychodząc z pokoju. – Oby tak dalej.

Voss zawołał z korytarza dwóch żołnierzy, a potem wrzasnął przez drzwi:

– Marie, ty stara suko, bierz szmatę i wiadro i chodź tu.

Żołnierze wzięli Auberta za ręce i wyciągnęli go z pokoju jak worek ziemniaków. Minutę później, powłócząc nogami, do środka wgramoliła się stara kobieta w pomiętej bordowej sukience. Postawiła wiadro na ziemi, uklękła i zaczęła wycierać ścierką krew. Oficerowie przyglądali się jej z rozbawieniem.

– Przepraszam, że zrobiliśmy taki bałagan, Marie. To się więcej nie powtórzy, obiecuję – oświadczył Schlegal.

– Zawsze pan tak mówi, panie pułkowniku, a potem i tak zostawiacie bajzel – burknęła kobieta.

– Marie, nie zdawałem sobie sprawy, że wciąż masz taki ładny tyłek – zauważył Voss. – Musiał być z ciebie niezły kociak w czasie wojny francusko-pruskiej.

Niemcy zarżeli ze śmiechu. Voss pochylił się i mocno klepnął kobietę w pośladki, ale staruszka wycisnęła krew ze szmaty do wiadra i sprzątała dalej.

– Dziękuję, poruczniku. Uchodziłam w młodości za piękność. Pewnego dnia opowiem panu, jak przeleciał mnie sam Wilhelm I. Dał mi za to Krzyż Żelazny pierwszej klasy.

– Marie, skarbie, gdybyś tylko była dwadzieścia pięć lat młodsza, wziąłbym cię tu i teraz, na tej podłodze – zaśmiał się Schlegal, wrzucając kilka franków do wiadra z zakrwawioną wodą.

Kiedy wszyscy Niemcy już sobie poszli, Marie podniosła się wolno z obolałych kolan, podeszła do stojącego w rogu biurka i zaczęła przeglądać leżące na nim papiery. Jedną z kartek przeczytała bardzo dokładnie, po czym wzięła wiadro i wyszła z pokoju przesłuchań jak gdyby nigdy nic.



Lucien omawiał właśnie z Labrunem jakiś szczegół na planach, gdy zorientował się, że coś jest nie tak.

Cały jazgot, który normalnie rozbrzmiewał na placu budowy w Tremblay, nagle ucichł. Wokół panowała absolutna cisza. Nie było słycać stuku młotów, szurania pił, pracujących dźwigów czy krzyczących robotników. Labruno również to zauważył i na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia. Lucien odwrócił się i zobaczył, że wszyscy mężczyźni patrzą w tę samą stronę. W pierwszej chwili pomyślał, że zobaczyli na horyzoncie nadlatujące bombowce. Na budowie nie było jeszcze żadnych dział przeciwlotniczych ani schronów bombowych. Niemieckie dowództwo w Paryżu nie sądziło, że będą już potrzebne. „Gdzie się teraz wszyscy ukryją?”

Lucien podążył za wzrokiem robotnika, który przystanął obok z taczka, i odkrył ze zdumieniem, co przyciągnęło uwagę pracowników. W jego stronę, ubrana w ciemnoniebieską sukienkę i grafitowy szal, szła Bette. Uśmiechnęła się, gdy ją zobaczył, i pomachała mu ręką. Lucien rozejrzał się dookoła z rozbawieniem. Wszyscy mężczyźni na budowie stali jak wryci i gapili się na nią. Byli tak zdziwieni tym niewyobrażalnym widokiem, jakby właśnie zobaczyli Marsjan w latającym spodku.

– Dzień dobry – powiedziała Bette, gdy była już kilka kroków od niego. – Jesteś pewnie zaskoczony, że mnie widzisz.

– To prawda. Dwustu innych facetów też właśnie zbiera szczęki z podłogi – odparł Lucien, kiwając głową w kierunku robotników. Bette spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– A co, nigdy nie widzieli kobiety na budowie?

– Takiej, jak pani, nie. Proszę mi wierzyć, mademoiselle – odrzekł Labruno, który odwrócił się do Luciena, oczekując, że go przedstawi.

– Mademoiselle Tullard, to monsieur Labruno, nasz generalny wykonawca.

– Bardzo mi miło – starzec pochylił się, by ucałować ją w rękę.

– Cieszę się, że mogę pana poznać. Lucien mówił mi, że bez pana nic by tu nie

powstało. – Poorana zmarszczkami twarz Labruna’ a pojaśniała z zadowolenia.

– Pomyślałam, że zrobię ci niespodziankę. Karin z naszego biura ma starego renaulta i przydział na paliwo, więc mnie tu podrzuciła – wyjaśniła Bette, zwracając się do Luciena. – Zajrzałam najpierw do twojej pracowni, ale ten dzieciak, Alain, powiedział mi, że jesteś tutaj. Miałam nadzieję, że zjesz ze mną obiad.

– No cóż... jak widzisz, jestem teraz dość zajęty...

– Do licha ciężkiego, jak możesz sprawiać przykrość tak wyjątkowo pięknej kobiecie, Bernard? Musisz ją wziąć na jakiś królewski obiad – zaprotestował Labruna, uśmiechając się szeroko do Bette. – Zjeżdżaj stąd natychmiast. Nie każ damie czekać ani sekundy dłużej. – Wykonawca zabrał mu rysunki, położył rękę na plecach Luciena i zaczął go dość brutalnie popychać. – Poradzimy sobie świetnie bez ciebie.

– Dobrze, chodźmy więc. Mój samochód stoi tam. – Bette pożegnała się z Labrunem i odeszła z architektem.

– Mną się nie martwcie i w ogóle się nie śpieszcie. Możecie spędzić ze sobą całe popołudnie. Młodzi ludzie, tacy jak wy, powinni się bawić – krzyczał za nimi Labruna.

– Co za uroczy staruszek. A ty mówisz, że jest wstrętnym skurwysynem.

Labruna spojrział wokół i wrzasnął:

– Do roboty, lenie skończone. Wracać do pracy. Nigdy w życiu nie widzieliście kobiety? – Niektórzy mężczyźni otrząsnęli się z oszołomienia, ale większość wciąż nie spuszczała wzroku z Bette.

Kiedy szli, Bette wpadła prawą szpiłką w kałużę błota.

– Cholera jasna, moje najlepsze buty – syknęła.

Lucien wybuchnął śmiechem.

– Następnym razem musisz założyć jakieś gumowce.

– Nie mam takich, które pasowałyby do tej sukienki, głuptasie. – Bette zdjęła but i resztę drogi do samochodu skakała na jednej nodze.

Gdy wsiedli wreszcie do auta, objęła go mocno i długo, namiętnie pocałowała. Lucien nie przejmował się specjalnie, czy ktoś na nich patrzy. W głębi serca czuł się naprawdę dumny, że wszyscy mogli zobaczyć, jaką ma wspaniałą dziewczynę.

Przez całą drogę do Paryża trzymała mu głowę na ramieniu. W swoim stosunkowo krótkim życiu Bette miała wielu kochanków – przychodzili i odchodzili, przypominając jej niekończący się sznur mężczyzn wchodzących przez obrotowe

drzwi. Przystojni, starzy, samotni, żonaci, wielu z nich bogatych. Uważała się więc za specjalistkę w tej dziedzinie i doszła do wniosku, że ostatecznie każdy mężczyzna to tylko jedno wielkie rozczarowanie. Lafont, arystokrata, który zalecał się do niej dawno temu, nauczył ją kiedyś jeździć konno, co stało się jej pasją. Szybko jednak nauczyła się też, że koń potrafi być o wiele bardziej lojalny i godny zaufania niż jakikolwiek mężczyzna.

Gdy miała dwadzieścia kilka lat, zaczęła prowadzić dokładną analizę wszystkich swoich kochanków, byłych i obecnych. Niczym antropolog zajmujący się kulturą plemion we Francuskiej Afryce Równikowej, stworzyła kategorie i listy charakterystycznych cech swoich obiektów badawczych. Były wśród nich bardzo podstawowe atrybuty, takie jak zamożność, klasa społeczna, inteligencja, wykształcenie, wygląd zewnętrzny, stan cywilny i umiejętności seksualne, ale były również bardziej specjalistyczne kategorie, takie jak spożycie alkoholu, roztropność, siła charakteru czy poziom zaangażowania. Zapełniała tymi danymi całe notatniki, interpretowała je i szukała powiązań. Prowadzenie tego typu badań niezmiernie ją bawiło. Gdyby mogła specjalizować się w tym przedmiocie, z chęcią zawalczyłaby o stanowisko profesorskie na jakimś uniwersytecie. Większość kobiet we Francji umawiała się tylko z jednym czy dwoma facetami, a potem społeczeństwo i rodzina zmuszały je do małżeństwa. Ponieważ Bette nigdy nie uległa tej presji i miała w swoim życiu wielu mężczyzn, mogła pochwalić się doświadczeniem zdobytym na dość zróżnicowanej grupie badanych, dzięki któremu była w stanie zauważyć pewne powtarzające się schematy zachowań. Niektórych wniosków można się było oczywiście spodziewać. Bogaci mężczyźni, na przykład, byli najczęściej samolubni, znudzeni i roszczeniowi. A im bardziej facet był przystojny, tym bardziej traktował ją jak szmatę.

Luciena polubiła od pierwszej chwili. Był człowiekiem kreatywnym, co zdarzało się niesamowicie rzadko. Niewielu jej kochanków było artystami – malarzy i rzeźbiarzy, którzy namawiali ją na pozowanie, żeby się z nią przespać, nie brała pod uwagę. Ale Lucien miał jeszcze jedną wyjątkową cechę.

Jak dotąd w kategorii „charakter” wszyscy mężczyźni wypadali zawsze słabo. Jej badania przekonały ją, że faceci po prostu nie mają za grosz odwagi ani kręgosłupa moralnego. Miała wrażenie, że konie mają więcej charakteru od nich. Uwielbiała towarzystwo Luciena i lubiła się z nim kochać, ale kiedy dowiedziała się o Pierze, wskaźnik charakteru architekta podskoczył bardzo wysoko. Prawdę mówiąc, Bette była pod ogromnym wrażeniem, gdy powiedział jej, że ukrywa Żyda. Jeszcze nigdy

nie spotykała się z mężczyzną, który był gotów za coś umrzeć. Ten jego pojedynczy akt odwagi pociągał ją bardziej, niż mogłaby to zrobić ogromna willa czy ekskluzywny samochód. Bette mogłaby stwierdzić, że przygarniając dwoje żydowskich dzieci, sama przecież robi to samo, ale nią kierowało wrodzone kobiece współczucie, a to coś zupełnie innego. Lucien poruszył jej serce tak, jak jeszcze nikt dotąd. Z wiekiem Bette coraz bardziej zdawała sobie sprawę, czym jest miłość i co nią nie jest. I wiedziała, że zaczyna kochać Luciena.

– Mam pewien pomysł – odezwała się, przerywając długą ciszę. – Skoro monsieur Labrune był tak miły, że dał ci wolne na całe popołudnie, to może pokazałbyś mi po obiedzie wszystkie budynki, które zaprojektowałeś w Paryżu i okolicy? Obejrzałam już sklep winiarski przy rue Vaneau.

– Widziałaś go? – Lucien mocno się zdziwił, ale jednocześnie bardzo mu to pochlebiało.

– Och, tak. Podobało mi się, w jaki sposób zakrzywiłeś okna witrynowe w stronę wejścia. Ma się wrażenie, że zachęcają klientów do wchodzenia do środka.

– Właśnie o to mi chodziło.

– A ta metalowa kratownica na drzwiach frontowych jest bardzo piękna... Jest z brązu?

– Tak, podobnie jak klamki w drzwiach.

– Wnętrze jest bardzo eleganckie. Widziałam półki, na których wystawiali butelki z winem. Sprytnie je zaprojektowałeś. Wyglądają, jakby falowały. Zwykle, proste półki nie byłyby takie ciekawe.

– Tak, sporo nad tym myślałem.

– Bardzo pomysłowe rozwiązanie.

Lucien miał zamiar przez całe popołudnie kochać się z Bette, ale zaczął sobie właśnie przypominać wszystkie miejsca, w których stały jego budynki, i zastanawiał się, którędy najlepiej można do nich dojechać.



Cieszę się, że mogę pana wreszcie poznać, monsieur Bernard. Słyszałem o panu wiele dobrego.

Kiedy Niemiec mówił Francuzowi komplement, zawsze trzeba było rozstrzygnąć, czy pochwała jest szczerą, czy też oznacza tak naprawdę jakąś zawołowaną obelgę. Lucien miał wrażenie, że Schlegal mówi poważnie, ale wiedział, że ma słabość do pochlebstw, więc mógł się mylić. Zdołał się wreszcie trochę rozluźnić. Przez ostatnie dwadzieścia minut siedział na drewnianym krześle całkowicie spięty i wystraszony, czekając na przyjście Schlegala. Nie umiał się powstrzymać, żeby przez cały ten czas nie zerkać w stronę mieszkania przy rue de Saussaies 12 – które jak na złość znajdowało się naprzeciwko okna w gabinecie Schlegala.

Kiedy pułkownik do niego zadzwonił, Lucien o mało nie dostał zawału. Był tak przerażony, że miał ochotę wskoczyć do swojego citröena i wjechać prosto do kanału La Manche. Oficer Gestapo był jednak niezwykle pogodny i serdeczny i cały czas powtarzał, że jest pod ogromnym wrażeniem fantastycznej roboty, jaką architekt wykonuje, pracując nad fabrykami dla sektora zbrojeniowego. Lucien od razu pomyślał, że Schlegal usłyszał o nim od Herzoga, więc udawało mu się jeszcze nie panikować. Gdy gestapowiec powiedział, że chciałby się z nim spotkać, Lucien założył, że chodzi o rozmowę na temat jakiegoś zlecenia i projektu. Choć równie dobrze mogła być to pułapka, która miała na celu zwabić go na Gestapo, gdzie torturami spróbują wyciągnąć z niego wszystko, co wie o działalności Maneta. Ego Luciena pozwalało mu jednak myśleć, że spotkanie związane jest wyłącznie z jego talentami architektonicznymi, więc zgodził się przyjść. Wiedział zresztą, że nie może odmówić. Po tamtym wieczorze, kiedy zetknął się z ruchem oporu, architekt zdołał przekonać samego siebie, że wcale nie jest kolaborantem. Praca dla Gestapo była jednak czymś zupełnie innym. Gdyby był zmuszony dla nich projektować, mogły go czekać bardzo poważne konsekwencje. Ruch oporu nie będzie się już wtedy jakoś specjalnie zastanawiać – przy pierwszej sposobności uduszą go na ulicy lub wpakują mu kulkę w łeb. Pewnie i tak widzieli, jak wchodzi do budynku. Znów jego

pierwszą myślą nie był strach o siebie, ale o to, co stanie się wtedy z Pierre'em.

– Dziękuję, panie pułkowniku. – Nie był w stanie zrewanżować się za komplement, mówiąc, że słyszał o działaniach Gestapo same dobre rzeczy. Brzmiałoby to nie do końca szczerze.

– Zaprojektował pan dla Rzeszy kilka wspaniałych budynków. Miałem przyjemność je oglądać. Są trochę zbyt nowoczesne jak na mój gust, ale dowództwo w Paryżu jest z nich oczywiście bardzo zadowolone, a tylko to się liczy. Nieprawdaż?

– Jak dotąd nikt się jeszcze nie skarżył. Podejrzewam zresztą, że gdyby nie podobały się im moje fabryki, nie zlecaliby mi kolejnych.

– Otóż to. Zastanawia się pan pewnie, czemu pana tu dziś zaprosiłem. Chciałbym poprosić o konsultację w pewnej bardzo szczególnej kwestii architektonicznej.

Dotychczasowe pochwały pozwoliły Lucienowi opanować nieco lęk i niepokój, ale ostatnie zdanie sprawiło, że mocno chwycił się krzesła, a oczy zwięziły mu się ze strachu. A więc naprawdę chodziło o jego projekty dla Maneta. Wiedział, że gdy tylko Schlegal zapyta go o kryjówkę, wyraz twarzy natychmiast go zdradzi. Musiał za wszelką cenę zachować obojętność. Minęła chyba cała wieczność, zanim oficer odezwał się znowu.

– Natknęliśmy się jakiś czas temu na pewną kryjówkę. Znajdowała się pod schodami. Bardzo pomysłowa konstrukcja. I zastanawiamy się, kto w Paryżu byłby w stanie wykonać tak piękną stolarkę. Tak się chyba mówi w waszej branży, prawda? Stolarka?

– Tak, można w ten sposób powiedzieć. Proszę kontynuować.

– Skrytka znajduje się pod schodami, które zawieszono na zawiasach.

„Adele pieprzy się więc ze Schlegalem”. Lucien już rozumiał dlaczego. Pułkownik był niesamowicie przystojny i – co ważniejsze – miał ogromną władzę. Mógł zrobić lub załatwić wszystko, co tylko chciała. Schody znajdowały się w jej posiadłości wiejskiej, dokładnie rzecz biorąc, w jej sypialni, w której sypiała przecież także z oficerem. Bez wątplenia to Adele powiedziała Schlegalowi, że Lucien może coś wiedzieć na temat schodów, skoro jest architektem. Gdyby była teraz w pokoju, udusiłby ją gołymi rękami na oczach tego przeklętego gestapowca.

Lucien bał się nie na żarty, ale wiedział, że kolejne minuty mogą zadecydować o jego losie. Zdawał sobie sprawę, że musi być przekonujący. Nie mógł spanikować.

– Czy to były zupełnie nowe schody?

– Nie, ktoś bardzo sprytnie wykorzystał stare.

Architekt uśmiechnął się delikatnie. Bawiło go, że Schlegal – nie zdając sobie z tego sprawy – właśnie go komplementuje.

– Ciekawe. Czy mógłby pan wyjaśnić jeszcze raz, jak to działało?

– Ktoś przerobił cztery schodki prowadzące do niewielkiego gabinetu. Od góry były zawieszane na zawiasach, tak że można było podnieść całość i wśliznąć się do środka.

– Jak pan znalazł ten schowek, skoro był tak dobrze ukryty?

Schlegal zamilkł na moment, szukając odpowiednich słów.

– Ja... natknąłem się na niego zupełnym przypadkiem. Inaczej nigdy bym się nawet nie domyślił, że tam jest.

– No cóż, jest kilku Paryżan, którzy byliby w stanie zrobić coś takiego, ale dwóch nie żyje, a trzeci, którego znam, uciekł na południe. Poza nimi nie przychodzi mi do głowy nikt, kto mógłby stworzyć coś podobnego.

– Czy ci ludzie umieliby zaprojektować taką kryjówkę, czy może potrafiliby nie tylko ją wymyślić, ale także wykonać? Chodzi mi o to, kto byłby w stanie w ogóle wpaść na taki pomysł?

Lucien miał już na końcu języka, że zwykły stolarz nigdy w życiu nie opracowałby tak sprytnej kryjówki i że tylko architekt miałby dostateczny talent i umiejętności, żeby zrobić coś takiego, ale w porę opanował własne ego.

– Takie schody bez problemu mógłby wymyślić jakiś stolarz.

– I nie zna pan już nikogo innego, kto zdołałby zbudować podobny schowek?

– Niestety, panie pułkowniku. Bardzo mi przykro.

– Rozumiem, jeśli kiedykolwiek...

Schlegal nie zdążył dokończyć, bo do gabinetu wszedł nagle bez pukania jego adiutant.

– Panie pułkowniku, na zewnątrz czeka pułkownik Herzog i chce się z panem natychmiast zobaczyć. Odpowiada za konstrukcję...

– Do jasnej cholery, człowieku, wiem, czym on się zajmuje. Powiedz mu, żeby poczekał kilka minut.

Herzog przepchnął się przez drzwi, odsuwając na bok adiutanta, który pospiesznie wycofał się za swoje biurko.

– Co to ma znaczyć, Schlegal? Dlaczego mój architekt tu jest?

– Proszę się uspokoić, panie pułkowniku. Pański człowiek doradza mi w pewnych sprawach architektonicznych. Nie mam zamiaru go panu zabierać.

Wszyscy wiemy, że wykonuje dla pana kawał dobrej roboty. I wcale go nie aresztowałem, jeśli to pan sugeruje – odparł Schlegal.

Herzog wpatrywał się przez kilka chwil w Schlegala, który nie pofatygował się nawet, aby wstać, gdy wszedł do pokoju. Lucien, który zdążył już dość nieźle poznać Herzoga, bez trudu zauważył, że nie ma on dla Schlegala absolutnie żadnego szacunku.

– Co to za sprawy architektoniczne?

Schlegal zawahał się.

– Są w Paryżu ludzie, którzy ukrywają Żydów w specjalnie skonstruowanych kryjówkach, panie pułkowniku.

Herzog rzucił Lucienowi zdumione spojrzenie i naskoczył na gestapowca.

– Śmiechu warte. Ktoś wykorzystuje stolarkę, żeby ukrywać Żydów? Jak pan w ogóle wpadał na tak poroniony pomysł?

Schlegal podniósł się z krzesła i stanął z Herzogiem twarzą w twarz. Lucien był pewien, że za chwilę w ruch pójdą pięści. Nie umiał przewidzieć, kto wyjdzie z bójki zwycięsko; obaj byli podobnego wzrostu i wydawali się tak samo silni.

– Chyba zdaje pan sobie sprawę, pułkowniku, że Rzesza uważa międzynarodowe żydostwo za realne i istotne zagrożenie. Problem Żydów należy rozwiązać szybko i bezwzględnie. Führer uczynił z tego absolutny priorytet.

– Myślałem, że zależy mu przede wszystkim na wygraniu wojny z aliantami i komunistami – odrzekł Herzog. – Nie na przeczesywaniu Paryża w poszukiwaniu garstki przestraszonych Żydów. Wehrmacht, w którym na szczęście służą jeszcze prawdziwi żołnierze, nie zniża się do takich rzeczy. Marnuje więc pan czas tego człowieka. A to znaczy, że marnuje pan również mój cenny czas.

– Lepiej uważać z takimi słowami, starszku. Wielu osobom mogłyby się one nie spodobać.

– I co, oskarży mnie pan za chwilę o filosemityzm?

Schlegal roześmiał się Herzogowi w twarz.

– Skądże znowu. Uważam tylko, że szkodzi pan interesom Rzeszy. A to dość poważny zarzut, panie pułkowniku.

– Może mnie pan pocałować w dupę. A teraz proszę mi wybaczyć, ale mam wojnę do wygrania. Gdyby chciał pan jednak pójść do kogoś i się na mnie poskarżyć, zostawię panu na wszelki wypadek osobisty numer domowy ministra Speera – Herzog wziął ołówek i zapisał na podkładce na biurku Schlegala rząd cyfr. – Proszę

do niego zadzwonić. Kto wie? Może okaże się, że trzyma pod łóżkiem kilku Żydów, których będzie pan mógł aresztować. Chodźmy, monsieur Bernard, najwyższy czas stąd iść.



To co, Lucien, może podrzuciłbyś przyjacielowi jakąś robotę? Przez wzgląd na dawne czasy?

Architekt nigdy nie uważał Henriego Devereaux za przyjaciela. Był to wredny, małostkowy, egotyczny drań, który gdy tylko wygrał konkurs na jakiś ważny projekt, natychmiast dzwonił do Luciena, żeby się pochwalić i go zgnębić. Choć Lucien nie cierpiał go z całego serca, zawsze bardzo mu zazdrościł – Devereaux miał liczne znajomości w odpowiednich miejscach i ciągle dostawał duże zlecenia.

Architekt mocno się zdziwił, gdy Henri zadzwonił do niego z pytaniem, czy nie chciałby spotkać się na drinka. Coś takiego nigdy nie zdarzyło się przed wojną. Arogancki dureń był zdania, że Lucien nie ma na tyle talentu, by warto było spędzać z nim czas przy jednym stole. Tymczasem siedzieli właśnie w kawiarni, popijając wino, wymieniając uprzejmości i uśmiechając się nieszczerze. Architekt wiedział jednak, że Devereaux przejdzie w końcu do rzeczy i powie, dlaczego tak naprawdę chciał się z nim spotkać.

– Nie wiem, szwaby dobierają sobie architektów wedle własnego uznania – odparł Lucien.

Obaj wiedzieli, że zabrzmiało to fałszywie. Oczywiście było, że Niemcy zatrudniali innych znajomych Luciena do prac przy projektach. Devereaux jednak, ku ogromnej satysfakcji Luciena, nie dostawał ostatnio wcale żadnych zleceń i był wściekły, że takie okazje przechodzą mu koło nosa.

– Nie przeszkadza mi, że to praca dla Niemców – oznajmił Devereaux. – Jestem zdesperowany. Chcę znowu zaprojektować coś prawdziwego. Podczas wojny architekci rysują tylko do szuflady, a to się nie liczy. Projekt na kartce to żaden projekt, żeby coś znaczył, trzeba go zbudować. Zaczynam już wariować, nie mam nic do roboty... A do tego wszystkiego kończą mi się pieniądze.

– A co z twoimi klientami i wszystkimi wykonawcami, których znałeś? – spytał Lucien, powstrzymując uśmiech. Świetnie zdawał sobie sprawę, że klienci Henriego dawno uciekli z kraju, a żaden z wykonawców, którzy przed wojną musieli ciągle

znosić jego obelgi i upokorzenia, nigdy nie zaangażuje go teraz do jakiegokolwiek pracy. Zawsze nie cierpieli jego arogancji i wreszcie mogli się na nim odegrać.

Devereaux też chyba nie miał ochoty odpowiadać, bo zamiast tego zapytał:

– Czy Raoul Cochin nie dostał jakoś teraz roboty nad tymi nowymi koszarami w Joinville? Jeśli dobrze pamiętam, to jeden z twoich znajomych.

– Owszem, znam Raoula, ale nic mu nie załatwiałem, jeśli to masz na myśli.

– Więc dostał to zlecenie tak po prostu?

– Możliwe. Każdy ma jakieś znajomości, a wiesz, że znajomości często oznaczają pracę – rzucił Lucien tonem, w którym pobrzmiwała ironia.

– Ja nie mam teraz żadnych znajomości.

Lucien miał ochotę roześmiać się Henriemu w twarz, ale zamiast tego spojrzął na kolegę po fachu z wyrazem udawanej troski.

– Ciężko dostać pracę w czasie wojny. Musi być ci teraz strasznie trudno, tym bardziej że tyle kiedyś projektowałeś. Trafiało do ciebie chyba każde większe zlecenie w mieście, prawda?

Lucien z przyjemnością pastwił się nad kolegą po fachu. Bawiło go, że Devereaux jest tak zdesperowany.

– Tak, przed wojną wiodło mi się całkiem nieźle. Sam o tym wiesz. Stworzyłem jedno z najlepszych budynków w całym Paryżu. Czasami miałem tyle roboty, że musiałem odsyłać klientów.

– Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek odesłał kogoś do mnie.

– To niemożliwe, przyjacielu. Jestem pewien, że wysłałem do ciebie jedną lub dwie osoby – odrzekł Devereaux, kłamiąc w żywe oczy.

– Nie, nikt nigdy nie przyszedł do mnie z twojego polecenia. Wierz mi, na pewno bym to zapamiętał. Bo coś takiego byłoby równie unikalne jak kometa Halleya.

– Musiałeś zapomnieć. Był monsieur Renier. Nie przyszedł do ciebie z tym warsztatem samochodowym? Powiedziałem mu, że zajmujesz się takimi rzeczami.

Czas było wreszcie zakończyć ten absurd. Lucien cieszył się, że Devereaux kiepsko teraz przędzie. Zasługiwał na to jak mało kto.

– Henri, miło było się z tobą spotkać, pogadać o starych czasach. Na pewno wspominasz je z ogromnym sentymentem – wszystkie te wspaniałe zlecenia, nad którymi pracowałeś. Ale muszę już lecieć, mam po południu spotkanie związane z projektem nowej fabryki amunicji. Chciałbym zrobić ją w całości z żelbetu. Wydaje mi się, że konstrukcja będzie wtedy bardzo ekspresyjna, nie uważasz? Kiedy już

zaczę budowę, zabiorę cię, żebyś rzucił okiem.

Tego Devereaux już nie zniósł. Walnął pięścią w stół, przewracając kieliszki i przyciągając spojrzenia pozostałych klientów restauracji. Lucien uśmiechnął się. Jego ostatni cios trafił dokładnie tam, gdzie chciał. Zamierzał sprowokować Henriego do histerycznej tyrady i właśnie mu się to udało.

– Ty sukinsynu – wycedził Devereaux. – Jak to możliwe, że takie beztalencie jak ty realizuje wszystkie zlecenia, a człowiek mojego pokroju i umiejętności nie dostaje nic?

Lucien wciąż się uśmiechał, delektując się tą chwilą. Wiedział, że Devereaux dopiero się rozkręca.

– Widziałem tę twoją fabrykę w Chaville. To jakieś gówno. Nie wiedziałbyś, jak wygląda modernistyczny budynek, nawet gdyby ugryzł cię w dupę. Za kogo ty się niby uważasz? Za drugiego Gropiusa?

Lucien zaczął się śmiać. Jego twarz zrobiła się czerwona i musiał napić się wody. Devereaux rozjuszyło to jeszcze bardziej. Do tej pory obrażał Luciena normalnym głosem, ale teraz zaczynał już krzyczeć.

– Pozwól, że ci coś powiem, przyjacielu. I tak bym nie chciał tych twoich zaszranych zleceń. Nie jestem jakimś parszywym kolaborantem, który pracuje dla szkopów. Pierdolony zdrajca! Zapłacisz za to wszystko po wojnie. Sam tego dopilnuję.

– Cóż za przepiękny przykład zawiści – stwierdził Lucien, nadal trzęsąc się ze śmiechu. – Gdyby Niemcy zaproponowali ci jutro zaprojektowanie latryny, przyjąłbyś od nich robotę z pocałowaniem ręki.

Lucien wstał od stolika.

– Pozwól, Henri, ja zapłacę – powiedział, rzucając pieniądze na biały obrus. – Ta przyjemność warta była każdego grosza.

– Jeszcze ci pokażę, Bernard – wrzasnął Devereaux za wychodzącym z kawiarni architektem.



Bette pozwoliła im walić w drzwi przez całą minutę, zanim wreszcie otworzyła.

– O co wam chodzi, do jasnej cholery? – wrzasnęła do dwóch gestapowców ubranych po cywilnemu. Złowrogie spojrzenie, jakie jej rzucili, zmieniło się nagle w kompletne osłupienie.

Bette stała przed nimi ubrana wyłącznie w czarny stanik i majtki oraz cienkie, czarne jedwabne pończochy, przypięte tasiemkami do pasa na biodrach. Mężczyźni gapili się na nią oniemiałi, aż wreszcie ten wyższy w okularach zaczął się jękać.

– Co takiego? Nic nie rozumiem? – warknęła Bette.

– Po-powiedziałem, że mamy rozkaz przeszukać pani mieszkanie.

– A wolno mi zapytać, czego macie zamiar szukać?

– Poinformowano nas, że może pani ukrywać wrogów Rzeszy.

– Naprawdę? A któż to sprzedał wam taką bajeczkę? Założę się, że mój sąsiad z dołu.

– To już nie powinno pani interesować. Proszę się odsunąć – powiedział gestapowiec o ogromnych uszach. Bette pomyślała, że gdyby spróbował nimi zamachać, na pewno uniósłby się w powietrze.

Stała dalej w rozkroku z rękami na biodrach, prezentując swoje długie, zgrabne nogi. Wiedziała, że ma jedno z najpiękniejszych ciał w całym Paryżu, i chciała, żeby dobrze się jej przyjrze. Pozwoliła im się gapić jeszcze przez kilka sekund, po czym odsunęła się od drzwi.

– Wejdźcie, chłopcy. Nie chciałabym przeszkadzać oficerom Gestapo w wykonywaniu obowiązków. Proszę, szukajcie do woli.

Mężczyźni powoli, niemal nieśmiało, wsunęli się do mieszkania i dość niechętnie zaczęli przeszukiwać salon. Bette podeszła do okna, pod którym ukrywali się Emile i Carole, przesunęła na bok kwiatek w doniczce i usiadła na parapecie, zakładając nogę na nogę. Uśmiechnęła się do gestapowca z wielkimi uszami, po czym wolno i dokładnie wygładziła najpierw jedną, a potem drugą podwiązkę.

Mężczyźni bez słowa przeszukali jej sypialnię i łazienkę. Jeden z nich wyjrzał na

dach.

– No, nie trzymajcie kobiety w niepewności – odezwała się Bette. – Czego szukacie? Może będę w stanie wam pomóc.

– Już pani mówiłem, wrogów Rzeszy – wymamrotał okularnik, wchodząc z powrotem do salonu.

– Ach, chodzi o Żydów. No tak. Ukrywa tu się ich w tej chwili chyba pięciu czy sześciu. Szukajcie dalej, na pewno ich znajdziecie. Jeśli chcecie, możemy pobawić się w ciepło-zimno.

Mężczyzna w okularach nie wyglądał na rozbawionego.

– Bardzo, bardzo zimno, kochasiu... trochę cieplej... nie, znowu zimno.

Gestapowiec zaczął przeszukiwać półki w przedpokoju. Bette trzymała wszystkie książki i zabawki dzieci w swojej sypialni, ukryte w schowku na tyłach szafy. Zastawiały je dziesiątki pudeł wyładowanych jakimiś bzdetami.

– Poczekajcie chwilę – zawołała Bette, a mężczyźni zamarli w pół ruchu. – Jeden siedzi na żyrandolu. O tam, widzicie? Tuż nad wami. Żyd ze strasznie wielkim nosem – zapiszczała ze śmiechem.

Miny oficerów mówiły wyraźnie, że mają świadomość, iż tylko tracą czas, ale niemiecka obowiązkowość i tak kazała im chociaż pobieżnie przeszukać resztę mieszkania. Ten z dużymi uszami poszedł znowu do sypialni i otworzył szafę. Zaniepokojona Bette postanowiła, że trzeba coś zrobić.

– Wiecie, chłopcy, skoro już tu jesteście, to poproszę was o przysługę. Poczekajcie tutaj. – Podeszła do sterty kartonów stojących w rogu salonu i ściągnęła pokrywki z dwóch pudeł. Mężczyźni przyglądali się jej z zainteresowaniem, gdy wyjęła dwie długie suknie wieczorowe: jedną burgundową, a drugą białą.

– Którą powinnam założyć dziś wieczorem? Potrzebuję męskiej opinii. – Bette przyłożyła do ciała białą sukienkę i ruszyła w stronę gestapowców wyćwiczonym, kołyszącym krokiem, którego zawsze używała na wybiegu. Zatrzymała się, przymierzyła drugą suknię i powtórzyła spacer. – W końcu stroimy się po to, żeby podobać się naszym mężczyznom. Więc co myślicie?

– Ta jest bardzo elegancka, mademoiselle. Oczywiście na pani obie wyglądają wspaniale – wydukał gestapowiec w okularach.

– Och, to takie słodkie. Ale która jest lepsza? Biała czy czerwona? – spytała Bette.

– Zdecydowanie czerwona – stwierdził drugi.

– A więc obaj się zgadzacie? – Bette odsunęła burgundową suknię na odległość

ramion i otaksowała ją wzrokiem.

– Tak – odpowiedzieli niemal jednym głosem.

– No dobrze, skoro mówicie, że czerwona, niech będzie czerwona. Bardzo mi dziś pomogliście, więc mam dla was małą nagrodę.

Bette była pewna, że obu Niemcom przyszła do głowy ta sama fantazja i że byli pewnie dość rozczarowani, kiedy odrzuciła suknię na bok i podeszła do barku.

– Bardzo proszę, dwa koniaki. Tylko nie ważcie się mówić, że nie wolno wam pić na służbie.

Podawała drinki gościom; nie wyglądali, jakby chcieli odmawiać.

– Bardzo mi przykro, że nie udało się wam znaleźć żadnych Żydów. Zazwyczaj jest ich tu pełno. Przychodzą czytać Stary Testament i liczyć pieniądze.

Mężczyźni spojrzeli po sobie i roześmiali się, popijając alkohol.

– Najwyraźniej zaszło jakieś nieporozumienie, madame – wykrztusił wielkouchy.
– Przepraszamy, że sprawiliśmy pani kłopot. Mam nadzieję, że się pani na nas nie gniewa?

– Ależ skąd, takie rzeczy zdarzają się cały czas. Wykonywaliście po prostu swoją pracę.

– Bardzo dziękujemy za zrozumienie. Pójdziemy już. Nie będziemy zabierać pani więcej czasu.

Bette położyła rękę na ramieniu każdego z nich i odprowadziła ich do drzwi, jak gdyby byli niewidomi. Miała świadomość, że obaj wykręcają szyje, aby rzucić na nią jeszcze ostatnie spojrzenie. Gdy zatrasnęła wreszcie drzwi, oparła się o nie plecami i westchnęła z ulgą. Nasłuchiwała jeszcze chwilę, czekając aż wyjdą z budynku, i pomaszerowała prosto do barku. Potrzebowała kieliszka, aby się uspokoić. Po odebraniu telefonu, w którym ktoś uprzedził ją, że jedzie do niej Gestapo, Bette miała niecałe dziesięć minut, aby wszystko przygotować. Schowała dzieci, ukryła ich rzeczy i zdążyła się rozebrać.

Spojrzała w stronę okna w salonie i uśmiechnęła się. Emile i Carole nawet nie pisnęli. Serce przepelniała jej miłość do dzieci. Były niesamowicie dzielne. Bette zastukała trzy razy w parapet i Emile – z niezwykłą zręcznością jak na sześciolatka – odsunął rygle, zamontowane wewnątrz kryjówek. Podniosła wieko i zobaczyła, jak jej dzieci tułą się mocno do siebie, leżąc na boku. Maluchy spojrzały na nią i uśmiechnęły się. Bette miała ochotę się rozplakać, ale zagryzła wargi i powstrzymała łzy, sięgając do środka, żeby wyciągnąć Carole.

– Chodźcie, króliczki. Jest już bezpiecznie. Nikt was nie skrzywdzi.

Zaczęła kołysać dziewczynkę, przeczesując palcami jej miękkie, brązowe włosy. Emile wyszedł ze schowka i przytulił się mocno do jej uda. Bette spojrzała w dół na kryjówkę, którą zaprojektował Lucien. Uratował jej dzieci i kochała go teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Chciała spędzić z nim resztę życia.

– Ciociu Bette. – Emile wreszcie puścił jej nogę. – Nie jest ci zimno w samej bieliźnie?



Alain wiedział, że Lucien idzie właśnie do miejsca, gdzie ukrywa się Żyd. Szedł bardzo pokrętną trasą, żeby sprawdzić, czy nikt go nie śledzi. Alain zrobiłby tak samo. Tylko że Alain nigdy nie byłby na tyle szalony, żeby ukrywać Żydów.

Lucien spacerował długo po Ogrodach Tuileries, doszedł do Place de la Concorde, obszedł obelisk dwa razy i ruszył na północ wzdłuż rue Royale. Kiedy dotarł do kościoła de la Madeleine, okrążył go dwukrotnie, udając, że podziwia jakieś neoklasycystyczne detale, a potem powędrował na wschód ulicą Saint-Honoré i zatrzymał się dopiero przy rue d'Anjou. Tam skręcił w prawo i po chwili w lewo, w rue de Serene. Kiedy Alain wyszedł zza rogu i dotarło do niego, że zbliżają się do rue de Saussaies, przypomniał sobie, że to właśnie tam zgubił Luciena poprzednim razem. Teraz postanowił więc trzymać się przez całą ulicę jak najbliżej. Dwie kamienice przed skrzyżowaniem z rue Montalivet architekt przystanął w bramie, zapalił papierosa i długo wpatrywał się w gmach Gestapo, który znajdował się naprzeciwko. Alain przeszedł na drugą stronę ulicy, skąd miał na swojego szefa dużo lepszy widok. I nagle, ni stąd, ni zowąd, Lucien wyskoczył z niesamowitą szybkością na chodnik i zniknął w drzwiach budynku pod numerem dwunastym.

Alain przemknął przez ulicę, stanął przy wejściu do kamienicy i uchylił lekko jedno skrzydło podwójnych drzwi, aby zajrzeć do środka. Zdążył zauważyć lewy but Luciena, znikający za pierwszym załomem schodów. Alain wśliznął się do holu i przystanął obok klatki schodowej; nieobecność konsjerżki przyjął z wielką ulgą. Słyszał nad sobą szybkie kroki wspinającego się architekta. Gdy Lucien zbliżał się do pierwszego piętra, Alain wszedł na schody. Trzymał się bardzo blisko ściany, żeby Lucien nie był w stanie go zobaczyć, jeśli przyszłoby mu do głowy spojrzeć w dół. Kiedy architekt doszedł do drugiego piętra, Alain znajdował się zaledwie pół piętra niżej.

Na trzecim piętrze Lucien podszedł do drzwi jednego z mieszkań, zapukał trzy razy, a po chwili kolejne trzy. Alain położył się na brzuchu i podpełznął w górę na tyle, by móc zobaczyć, co dzieje się na korytarzu. Lucien wchodził właśnie do

mieszkania. Alain odczekał kilka sekund i podkraść się pod drzwi. Ze środka dobiegały jakieś męskie głosy, ale rozmowa toczyła się na tyle daleko, że nie był w stanie zrozumieć, co mówią. Nie pomogło nawet przyłożenie ucha do drzwi – grube drewno tłumilo prawie wszystkie dźwięki. Alain odszedł kilka kroków, zanotował w pamięci numer mieszkania, 3A, i zszedł szybko po schodach.

Już na zewnątrz przyjrzał się dokładnie kamienicy, odszukując okna trzeciego piętra. Pamiętał układ budynku i wiedział, że mieszkanie znajduje się od strony ulicy. Przeszedł przez rue de Saussaies, żeby lepiej widzieć dom, ale schował się w bramie na wypadek, gdyby Lucien wyjrzał przez któreś okno – teraz jednak wszystkie były szczelnie zasłonięte.

Alain próbował sobie wyobrazić, gdzie architekt umieścił kryjówkę tym razem, ale nie sposób było tego zgadnąć bez wizyty w mieszkaniu. Czy znowu wykorzystał kominek? A może zaprojektował skrytkę pod podłogą? Żyda prawdopodobnie jeszcze tam nie było. Sprowadzą go pewnie w nocy, kiedy Lucien zdąży sprawdzić schowek i zdecyduje, czy można go już używać. Nie było szans, żeby Alain dostał się do mieszkania po tym, jak wszyscy wyjdą. Mógłby, co prawda, spróbować przekupić konsjerżkę, ale ten, kto zorganizował to wszystko, niewątpliwie upewnił się, że można na niej polegać. Nie mógł też pokazać się tam, powiedzieć, że jest z pracowni Luciena i skłamać, że architekt go przysłał – na pewno zorientowano by się, że coś jest nie tak. Gdyby to był film, Alain po prostu przyszedłby w środku nocy i otworzył zamek wytrychem, ale nie miał pojęcia, jak się to robi.

Postanowił poczekać, aż Lucien i pozostali wyjdą z mieszkania. Domyślał się, że z powodu tego, że w mieście roi się od niemieckich szpicli, mężczyźni będą wychodzić z budynku pojedynczo, aby nie zwracać na siebie uwagi. Całkiem sprytnie to wymyślili, żeby ukrywać Żyda zaledwie dziesięć metrów od siedziby Gestapo. Komu w ogóle przyszłoby do głowy coś podobnego? Alain miał teraz szansę przynajmniej zobaczyć, kto jeszcze jest w to wszystko zamieszany, chyba że kamienica ma tylne wyjście – w takich dużych budynkach często się to zdarzało – wtedy nie zobaczy nikogo. Wyszedł na chwilę z bramy, żeby rozejrzeć się, czy w okolicy jest jakaś kafejka, gdzie mógłby usiąść, mając dom wciąż na widoku, ale niczego nie znalazł. Wrócił więc na miejsce i czekał. Zmierzch zdążył już przejść w noc i Alain był w bramie praktycznie niewidoczny.

Po zaledwie piętnastu minutach drzwi kamienicy otworzyły się wolno. Lucien wymknął się na chodnik i ruszył zważym krokiem w dół ulicy. Alain odczekał kolejne piętnaście minut, ale z każdą kolejną chwilą miał coraz większą ochotę, żeby

odejść. Nie zależało mu już na odkryciu tożsamości pozostałych konspiratorów. Był głodny, spragniony i musiał skorzystać z toalety. Wystarczy mu, jeśli Gestapo arestuje Luciena. Architekt rozplynie się w powietrzu jak tysiące innych mieszkańców Paryża.

Przydeptał butem papierosa i miał już zamiar odejść, gdy zobaczył, jak z budynku wychodzi monsieur Manet. Przedsiębiorca był najwidoczniej mózgiem całej operacji – jak to mówią w amerykańskich filmach. Manet szedł spokojnie wzdłuż rue de Saussaies; wyglądał jakby nie miał w życiu żadnych trosk czy zmartwień. Alain nie mógł się nadziwić, że milioner jest na tyle głupi, żeby ryzykować życie i fortunę dla tak niebezpiecznego, szalonego przedsięwzięcia. Koordynacja tych wszystkich kryjówek musiała być nie lada wyzwaniem. Alain wielokrotnie rozmawiał z Manetem w pracowni o szczegółach jego fabryk. Poznał go wtedy jako prawdziwego dżentelmena z wyższych sfer i tym bardziej nie potrafił zrozumieć, dlaczego ktoś taki chciałby pomagać jakimś Żydom. Na pewno nie robił tego dla pieniędzy, był przecież jednym z najbogatszych ludzi w Paryżu. Może ktoś go szantażował i nie miał innego wyjścia? Alain wiedział natomiast doskonale, że Lucienowi chodziło tylko o to, aby wypchać sobie kieszenie – na projektach dla Niemców przecież prawie nic nie zarabiał.

Idąc w stronę rue du Faubourg Saint-Honoré, Manet przeszedł obok starej, zniszczonej ciężarówki, która była zaparkowana na chodniku. Kiedy ją mijal, dotknął laską ramienia, a wtedy z samochodu wysiadło dwóch potężnych mężczyzn wyglądających na jakieś trzydzieści lat. Podeszli na tył ciężarówki, wyciągnęli z niej ogromny kufer i zaczęli taszczyć go w kierunku kamienicy. Alain roześmiał się na głos; wiedział, co znajdowało się w skrzyni. Żyd musiał być naprawdę duży; obaj mężczyźni nieźle się napracowali, żeby przenieść kufer przez drzwi domu pod numerem dwunastym. Alain poczuł, jak ogarnia go euforia. Mógł teraz wreszcie zadzwonić do wuja. Bez sensu było powiadamiać Gestapo wcześniej, kiedy nie miał pewności, czy Żyd jest w mieszkaniu – gdyby przyszli na próżno i nikogo nie znaleźli, jego wuj musiałby się potem wstydzić przed zwierzchnikami. Teraz mogą tam pójść w każdej chwili i Żyd będzie już na nich czekał. Kusilo go, żeby pobiec od razu do budki telefonicznej na rue du Faubourg, ale postanowił dać jeszcze mężczyznom czas na wypakowanie Żyda. Pół godziny później obaj tragarze, tym razem już z o wiele lżejszym kufrem, znów pojawili się na ulicy.

Kiedy tylko wyszli z budynku, Alain miał ochotę pognać do telefonu ile sił w nogach, ale opanował się i ruszył spokojnie, jak gdyby nigdy nic. Oczami

wyobraźni widział już, jak Gestapo wali do drzwi Luciena w środku nocy, żeby go aresztować, i uśmiechnął się szeroko. Zbliżała się godzina dwudziesta, ulice opustoszały i kiedy doszedł do budki telefonicznej, na rue du Faubourg nie było żywej duszy. Było dość późno i Alain wiedział, że nie zastanie wuja w biurze przy rue de Saussaies, więc postanowił zadzwonić do niego do domu, mając nadzieję, że nie wyszedł jeszcze na jakieś wieczorne przyjęcie. Wrzucił monety do automatu tak podekscytowany, że ledwo zdołał wykręcić numer. Ku jego wielkiej uldze, wuj odebrał telefon.

– Halo, mówi...

Alain urwał w pół zdania. Niecały metr od niego stał Pierre. Chłopiec patrzył mu w oczy z tak ogromną nienawiścią, że Alain puścił słuchawkę i cofnął się w głąb budki. Pierre uśmiechnął się, nie odzywając się ani słowem. Alain spojrzał na dwunastolatka z niedowierzaniem, jakby widział ducha. Po chwili jednak oprzytomniał i poczuł, jak ogarnia go gniew.

– Co ty tu robisz, gówniarzu? – Był wściekły, że ten osierocony gnojek przeszkadza mu w takiej chwili. Słuchawka wisiała w powietrzu, a głos ze środka wołał:

– Kto tam? Kto dzwoni?

– Czego, kurwa, chcesz? Odpowiadaj, dupku – warknął Alain, chwytając słuchawkę i podnosząc ją do ucha.

Pierre wciąż patrzył mu prosto w oczy i bez żadnego ostrzeżenia rzucił się nagle do przodu. Alain poczuł dziwny, piekący ból w klatce piersiowej, a kiedy spojrzał w dół, zobaczył spory kuchenny nóż, wbity w swoją pierś aż po rękojeść. Z trudem złapał powietrze i puścił słuchawkę, próbując oprzeć się o automat. Chciał zawałać o pomoc, ale nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Czuł się, jakby ktoś ścisnął mu gardło. Z rany, rozkwitając czerwoną plamą na jego białej koszuli, trysnęła krew. Alain upadł na ziemię, oczy rozszerzyły mu się z niedowierzania, a głos nadal odmawiał posłuszeństwa. Pierre przyglądał mu się bez słowa z absolutną obojętnością. Gdy Alain zwinął się wreszcie w kulkę na podłodze budki i nieruchomiał, chłopiec kopnął go, aby upewnić się, że nie żyje, i odwiesił słuchawkę. Uklęknął jeszcze, żeby wyjąć Alainowi portfel z marynarki, po czym ruszył wolno w kierunku domu.

Pierre szedł po ciemnych, pustych ulicach, przekonany, że nie mógł postąpić inaczej. Zwłaszcza po tym, gdy dowiedział się, czym zajmuje się Lucien. Skoro Lucien ratował ludzi z jego narodu, Pierre musiał zrobić wszystko, żeby uratować

Luciena. Był z siebie dumny, że tym razem udało mu się ochronić swojego opiekuna. I że zrobił to zupełnie sam – jak na mężczyznę przystało.



Dobry wieczór, monsieur Bernard. Miło pana znów widzieć.

Lucien spojrział do góry z podłogi pod tylnym siedzeniem pędzącego samochodu, rozpoznając twarz przywódcy ruchu oporu, z którym rozmawiał przed kilkoma tygodniami. Przed paroma minutami architekt szedł niewielką uliczką, gdy zauważył, że obok niego zatrzymuje się zielony sedan. Wiedział, że nie jest to samochód Gestapo, więc nie przejął się zbytnio, dopóki na ulicę nie wyskoczyło dwóch mężczyzn, którzy złapali go za ręce i wrzucili siłą na tył auta. Ruch był doskonale wyćwiczony – cała operacja zajęła im może ze dwie sekundy.

– Proszę, niech pan usiądzie obok mnie. Porozmawiamy – powiedział starzec, poklepując siedzenie.

Lucien podniósł się i usiadł na tylnym fotelu. Wygładził garnitur i poprawił krawat. Cały aż trząśł się z oburzenia, ale postanowił trzymać nerwy na wodzy. Skoro ruch oporu znowu się z nim kontaktował, należało się martwić, tym bardziej że zaproszono go na spotkanie w tak dramatyczny sposób.

– Monsieur Bernard, jest pewna kwestia, w której tylko pan może nam pomóc.

– Postaram się zrobić wszystko, co w mojej mocy – wymamrotał Lucien, przypominając sobie wyraźnie, że poprzednim razem wyzywano go od kolaborantów.

– Dostaliśmy instrukcje z Londynu nakazujące nasilenie aktów sabotażu.

– To wspaniale. Idźcie przecinać kolejne druty telefoniczne. Życzę wam powodzenia. A teraz możecie mnie wypuścić tu na rogu.

– Sprawa jest odrobinę bardziej skomplikowana. Mamy zdeorganizować niemiecką produkcję wojenną.

– Niech robotnicy namieszają coś przy procesie wytórczym. Wystarczy, że będą niestarannie frezować albo nacinać coś nie tak, jak trzeba. A szwabry zorientują się dopiero, gdy wystrzelą pocisk lub nacisną spust. To niezawodny sposób. Nic lepszego nie wymyślę, więc możecie mnie wypuścić.

– Nie do końca o to nam chodzi. Planujemy coś o wiele bardziej drastycznego.

– I co chcecie zrobić?

– Wysadzić fabrykę. Alianci nie są na razie w stanie zbombardować zakładów zbrojeniowych we Francji, więc my się tym zajmiemy i podłożymy bombę od środka.

Lucien wybuchnął śmiechem. Co za zaślepiona zgraja głupców. Każda ich akcja, nieważne jak mała, oznaczała represje ze strony Niemców. Przesławiają zwrotnicę, żeby pociąg trafił nie tam, gdzie trzeba, powodując godzinne opóźnienie, a płaci za to dwudziestu niewinnych Francuzów rozstrzelanych w ramach odwetu.

– Odbiło wam zupełnie. Wiecie, ilu ludzi Niemcy rozstrzelają za coś takiego? Przynajmniej tysiąc – zawołał Lucien.

Starzec spojrzął przez okno.

– To prawda, każdy akt oporu ma swoją cenę, ale w ostatecznym rozrachunku okaże się, że było warto.

– Na litość boską, niech pan mi znowu nie wciska, że żyć pokonanym to znaczy umierać codziennie!

– Mamy jednak rozkazy i naszym obowiązkiem jest zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby powstrzymać Niemców. To prawda, alianci zwyciężyli w Afryce Północnej, ale szkopy wciąż mogą wygrać tę wojnę. Walka nadal trwa. Chce pan, żeby Francja została niemiecką prowincją? Żeby zostali tu na zawsze i robili, co im się podoba?

– Teraz po naszej stronie walczą też Amerykanie. Prędzej czy później tu przyjdą, a Niemcy uciekną w popłochu – odparł Lucien. – Zobaczysz pan, będzie tak, jak w 1918 roku.

– Pewnie ma pan rację. I mam nadzieję, że tak właśnie się stanie. Ale zanim to nastąpi, muszę wykonywać rozkazy.

– A jak niby chcecie wysadzić tę fabrykę? Niemcy każą ludziom pracować dwadzieścia cztery godziny dziennie; wszystkich byście zabili. I jak macie zamiar podłożyć tam ładunki tak, żeby nikt was nie zauważył?

– Planujemy wysadzić w powietrze fabrykę, która znajduje się jeszcze w trakcie budowy. Tę w Tremblay.

Ciałem Luciena targnął gwałtowny wstrząs, jak gdyby został właśnie porażony prądem. Był kompletnie oszołomiony.

– Ale to moja fabryka – wydusił, gdy zdążył już trochę się uspokoić.

Mężczyzna na przednim fotelu pasażera roześmiał się głośno.

– Armand, słyszałeś tego palanta? To jego fabryka.

– Nie możecie jej wysadzić.

– A czemuż to, monsieur?

– Bo ja ją zaprojektowałem... Dlatego.

Wszyscy poza Lucieniem zaczęli trząść się ze śmiechu i kręcić głowami. Architekt czuł się, jakby ktoś prosił go, żeby zabił własne dziecko. Tak jak w tej historii z Abrahamem, gdy Bóg kazał mu złożyć Izaaka w ofierze. Ale w przeciwieństwie do Abrahama, Lucien nie miał zamiaru się zgadzać. Zawsze uważał, że Abraham był skończonym draniem, skoro w ogóle brał coś takiego pod uwagę.

– Nie rozumiecie, ile pracy w nią włożyłem. Zrobiłem chyba z milion szkiców, każdy szczegół jest dokładnie przemyślany. To najlepszy projekt, jaki w życiu stworzyłem.

– Armand, pamiętasz, jak pytałeś mnie, co chcę na urodziny? Zapomnij o tej kiełbasie, pozwól mi w ramach prezentu zastrzelić tego cholernego zdrajcę – syknął pasażer.

– Uspokój się, Remy. Nikt tu nie będzie do nikogo strzelał – oświadczył starzec.

– Monsieur Bernard, ta fabryka nie należy do pana. Należy do Niemców. I będzie produkować broń, od której zginą setki Francuzów i naszych sprzymierzeńców.

Lucienowi ciężko było w tym momencie zaakceptować sposób rozumowania Armanda. Wciąż miał przed oczami szczegółowy rysunek ukończonego budynku. W czasie pokoju na pewno dostałby za ten projekt nagrodę. Kto wie, może zyskałby nawet międzynarodowe uznanie?

– Czy wie pan, ile osób zginęło dzięki temu arcydziełu architektury, które zaprojektował pan w Chaville, monsieur Bernard?

– Nie... nie wiem – odrzekł wstrząśnięty Lucien.

– Chciałbym coś panu pokazać. Może to pana zainteresuje.

Starzec wręczył architektowi plik zdjęć. W ciemnościach, jakie panowały w samochodzie, Lucien miał problem z zobaczeniem czegokolwiek.

– Chwileczkę, pomogę panu. – Mężczyzna zwany Armandem zapalił zapalniczkę i uniósł ją tak, by oświetlała fotografie. – Teraz lepiej?

Zdjęcia przedstawiały zwłoki ludzi, leżące na pustyni i przy jakiejś polnej drodze.

– Pozwolę sobie wyjaśnić. To są żołnierze, którzy zginęli w Afryce Północnej. Niech pan zwróci uwagę na mundury... należeli do sił Wolnych Francuzów. Zostali ostrzelani przez myśliwce wyposażone w silniki Heinkla, które, tak się składa, wyprodukowano w tej pięknej fabryce pańskiego autorstwa. A to są zdjęcia

francuskich cywili zastrzelonych podczas próby przekroczenia szwajcarskiej granicy. Ciekawi pana, skąd pochodziły silniki samolotów, które ich zabiły?

Lucien siedział bez słowa, patrząc za okno.

– Zatrzymajmy się, to go zastrzelę – warknął pasażer z przodu. – Znam tu niedaleko świetne miejsce, w którym można porzucić ciało.

– Mówiłem ci, żebyś się zamknął, Remy.

Fotografie wysunęły się z ręki architekta i upadły na podłogę. Cały czas patrzył za okno. Byli na wsi gdzieś pod Paryżem. Obserwując przemykające za szybą ciemne pola i lasy, Lucien przypomniał sobie, co powiedziała mu Celeste – że jest jak Mefistofeles. Że sprzedał duszę Niemcom, żeby móc projektować. Pracował nad budynkami, które przyczyniały się do śmierci jego rodaków. Celeste miała rację; tak bardzo kochał to, co robił, że przekroczył granicę dzielącą go od kolaboracji. Wiedział też, że Armand mówi prawdę. Projekt zakładów w Tremblay może i zasługiwał na setki nagród, ale fabryka należała ostatecznie do Niemców, nie do niego.

Lucien powtórzył w głowie wszystkie racje, którymi próbował usprawiedliwić się przed samym sobą po pierwszym spotkaniu z ruchem oporu. Tak bardzo zależało mu na sukcesie architektonicznym, że było mu wszystko jedno, dla kogo projektuje. Przyszła wojna i jego kariera stanęła pod znakiem zapytania; wydawało mu się, że nigdy nie zdobędzie kolejnego zlecenia. Był gorzko rozczarowany, że w latach trzydziestych nikt się na nim nie poznał. Że nie miał możliwości stworzyć przełomowego projektu, który zapewniłby mu uznanie i sławę. Kiedy Manet zaproponował mu pracę nad fabryką w Chaville, czuł, że stoi przed życiową szansą, której po prostu nie można było nie wykorzystać.

Diabłem, któremu sprzedał swoją duszę, był Herzog. Ale nie był to typowy diabeł. Nie miał rogów, czerwonego stroju ani spiczastego ogona i nie zachowywał się jak nazista. Zamiast tego był utalentowanym inżynierem, który kochał architekturę i naprawdę chciał, żeby Lucien mógł tworzyć wspaniałe budynki. Nie był barbarzyńcą, tak jak reszta. Herzog rozumiał jego pasję i mobilizował go, żeby zaprojektował coś wyjątkowego, bo miał świadomość, że Luciena na to po prostu stać. Nie pomylił się – projekty obu fabryk udowodniły, że architekt rzeczywiście ma talent. Wszystkie te argumenty przemknęły mu teraz przez myśl, ale czuł, że wcale nie przekonują go tak, jak wcześniej. Zdał sobie sprawę, że w głębi serca wiedział, iż to, co robił, było złe.

Lucien nie czuł w tej chwili żadnego strachu – palący wstyd wymazał cały

dotychczasowy lęk. Schylił się, podniósł zdjęcia i przejrzał je jeszcze raz. Nie potrzebował dłużej się zastanawiać.

– Co mam zrobić? – spytał.

– Brytyjskie Kierownictwo Operacji Specjalnych przekazało nam bardzo ograniczoną ilość plastiku, więc musimy założyć ładunki w miejscach, które spowodują najwięcej zniszczeń – wyjaśnił starzec. – Pan powie nam gdzie. Ale najpierw będziemy potrzebowali planów fabryki; musimy zapoznać się z topografią terenu, zanim rozpoczniemy akcję. Wrócimy do Paryża i pojedziemy do pańskiej pracowni. Remy odeskortuje pana na górę.

– A jeśli będziesz próbował uciec, wpakuję ci kulkę w głowę – rzucił Remy, uśmiechając się szeroko.

– Kiedy zamierzacie to zrobić?

– Dziś w nocy – odpowiedział Armand. – Przez najbliższe kilka godzin całej fabryki będzie pilnować tylko dwóch strażników. Pójdzie pan z nami, żebyśmy mieli pewność, że robimy wszystko tak, jak trzeba. Mamy tylko jedną szansę.

Lucien nie miał siły protestować. Pogodził się już ze swoim losem.

– W porządku. Jestem z wami.

– Cieszę się. Monsieur Devereaux mówił, że jest pan prawdziwym patriotą.

– Devereaux? Ten architekt?

– Nasz wspólny znajomy. To on zasugerował pana fabrykę i zaręczył, że pan będzie wiedział najlepiej, jak ją zniszczyć. „Bernard – powiedział – z radością poświęci swój budynek dla dobra Francji”.

– Jestem to sobie w stanie wyobrazić.



Nie wychylaj się, do diabła. Cholerny idiota.

– Wiesz, że próbuje nas wydać Niemcom, Remy. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Mam nadzieję, że tak właśnie jest, Albert. Będę miał wtedy dobrą wymówkę, żeby strzelić mu w ten głupi łeb – szepnął Remy wprost do ucha Luciena.

Remy wyglądał właśnie zza palety cegieł, gdy Lucien postanowił sam rzucić okiem na fabrykę. Chodziło w końcu o jego własny budynek. Ale Remy złapał go za kark i przycisnął z powrotem do wilgotnej ziemi. Chwilę później Francuz przykucnął tuż obok niego.

– Strażnik skończył właśnie obchód, wróci do środka dopiero za pół godziny – zakomunikował Remy, zwracając się do Alberta. Luciena traktował jak powietrze, mimo że siedział w środku.

– To zbyt mało czasu, żeby podłożyć ładunki – odezwał się architekt.

– Kazałem ci siedzieć cicho, mądralo. Jesteś tutaj tylko po to, żeby powiedzieć nam, w którym miejscu najlepiej zamontować plastik – warknął Albert.

Lucien prychnął z oburzeniem. Jak śmieli traktować go w ten sposób? Obaj byli ludźmi z niższych sfer, zwykłymi łachudrami, jakich pełno było na ulicach Paryża. Śmierdzącymi komunistami bez żadnego wykształcenia czy wychowania. Za to właśnie, między innymi, Lucien nie cierpiał wojny: wywracała porządek społeczny do góry nogami.

– Pokaż nam plany i przypomnij, gdzie były te kolumny – zakomenderował Remy, wyciągając zapalniczkę z kieszeni kurtki.

Lucien wyjął arkusz papieru, rozłożył go na ziemi i wskazał palcem cztery kolumny, które zaznaczył uprzednio czerwonym ołówkiem.

– Żeby zniszczyć całą konstrukcję, wystarczy wysadzić te cztery filary.

– Nigdy nie umiałem czytać rysunków technicznych. Wchodzisz z nami – zarządził Remy.

– Ale Armand powiedział, że będę mógł zostać na zewnątrz.

– Słyszysz tego palanta, Albert? Co za żałosny tchórz.

– Też mi patriota. Zastrzelmy go, jak już skończymy z fabryką. Powiemy, że dorwał go strażnik – zaproponował Albert.

– Słuchaj, baranie – wycedził Remy, łapiąc Luciena za kołnierz. – Armanda tu nie ma, więc słuchasz mnie. A ja mówię, że wchodzisz do środka.

– W porządku, w porządku, pójdę. – Architekt wyrwał się z uścisku Remy’ego.

– Tracimy czas. Trzeba zaczynać – przynaglił Albert.

– Którędy najlepiej wejść do środka? – zapytał Remy.

– Możemy pójść w lewo dookoła tych palet i wśliznąć się do fabryki południowym wejściem.

– Drzwi nie będą zamknięte?

– Nie ma jeszcze żadnych drzwi.

– W porządku. Do dzieła – zarządził Remy, popychając architekta przodem. Wszyscy trzej zaczęli czołgać się na czworakach wzdłuż palet, co wydało się Lucienowi nadmiernym dramatyzowaniem. Równie dobrze mogli iść po prostu mocno pochyleni i też nikt by ich nie zauważył. Albert miał ze sobą płócienną torbę z plastikiem, a Remy niósł detonator i szpulę drutu. Kiedy weszli już do środka, Lucien miał pewien problem, aby odnaleźć się w przestrzeni; ze względu na bezksiężycową noc w budynku panowały kompletne ciemności. Architekt czuł się jak w kinie po zgaszeniu światła – nie był w stanie zobaczyć własnej ręki, nawet gdy trzymał ją tuż przed własnym nosem.

– Którędy teraz? – syknął Remy, poirytowany wahaniem Luciena.

– Dajcie mi chwilę – odparł Lucien, próbując przyzwycząić oczy do ciemności. – Tędy.

Poprowadził ich do ostatniej kolumny na drugim końcu fabryki.

– To ta. – Architekt wskazał ręką podstawę kolumny. Remy sprawnie zamontował ładunek i wetknął drut ze szpuli w materiał wybuchowy. Lucien był pod dużym wrażeniem szybkości i zręczności mężczyzny.

– Ej, dobry w tym jesteś – zauważył.

– A ty co? Moja matka? – odburknął Remy. – Nie potrzebuję twojej aprobaty.

– Która następna? – przerwał im Albert.

– Pójdziemy zygzakiem – szepnął Lucien. – Tamta w drugim rzędzie na przeciwległym krańcu.

– Jesteś pewien, że to wystarczy, żeby budynek się zawalił? – upewnił się Remy.

Lucien poczuł się obrażony pytaniem.

– Z mechaniki konstrukcji byłem najlepszy w grupie. Oczywiście, że jestem pewien.

Przeciagnęli drut do kolumny i założyli kolejny ładunek, a potem zaminowali pozostałe dwa filary. Albert przez cały czas patrzył na zegarek.

– Za pięć minut wróci strażnik. Pośpieszcie się, do cholery.

Architekt był lekko zdziwiony, że Albertowi zaczynają puszczać nerwy. Wybiegli z fabryki, rozwijając drut, ale gdy tylko minęli linię palet, skończyła im się szpula. Lucien nie mógł złapać oddechu i czuł, jak w lewym boku łapie go skurcz.

– Jesteśmy za blisko. – Głos Alberta drżał ze strachu. Lucien pomyślał to samo.

– Nie mamy wyboru – stwierdził Remy. – Wywołamy eksplozję i spieprzamy ile sił do lasu.

Podłączył szybko drut do detonatora i nakręcił do oporu trzpień zapalnika.

– No to jedziemy – powiedział, trzymając rękę na dźwigni.

– Poczekaj, to mój budynek. Ja to zrobię. – Lucien wypowiedział te słowa tak pewnie, że Remy oddał mu zapalnik bez najmniejszego sprzeciwu. Architekt doszedł do wniosku, że skoro fabryka była jego dziełem, tylko on ma prawo ją zniszczyć.

Lucien nacisnął dźwignię detonatora. Spodziewał się natychmiastowego wybuchu, ale pierwszą eksplozję usłyszał dopiero po kilku sekundach; po niej, w krótkich odstępach czasu, nastąpiły kolejne trzy. Kolumny jakby uniosły się i zgięły w bólu. Potem zaczęły się walić, pociągając za sobą w dół piękne, strzeliste łuki, które tak bardzo kochał. Żelbetonowa konstrukcja załamała się, powalając zewnętrzne ściany i posyłając na ziemię deszcz szklanych odłamków z roztrzaskanych okien. Zamiast uciekać, architekt stał jak zahipnotyzowany, patrząc, jak znika jego budynek. Widok rujnowanej fabryki rozdzierał mu serce. Czuł się tak, jakby zabił własne dziecko.

– Nie stój tam, idioto – wrzasnął do niego Remy. Był już pod lasem, ale zawrócił, podbiegł do Luciena i szarpnął go za rękę, wyrwijąc z transu. – Tylko tego nam teraz brakuje, żeby cię złapali i żebyś im wszystko wyśpiewał.

Lucien rzucił się w stronę lasu. Biegł tak szybko, że wyprzedził obu mężczyzn. Kiedy dotarli do linii drzew, wszyscy trzej upadli na ziemię i spojrzeli z powrotem na morze ruin, które mieli przed sobą.

– Rzeczywiście, znasz się na konstrukcji, Bernard – przyznał Albert, waląc architekta w plecy.

– Boże, co za piękny widok – zawołał Remy. – Wiesz co, mądralo? Jestem tak

zadowolony z naszej akcji, że postanowiłem, że jednak cię nie zabiję.



Przepraszam, panie pułkowniku. Nie chciałem.

Schlegal i major Hermann Holweig stali nad bezwładnym ciałem stolarza Auberta. Holweig trącił Francuza butem, mając nadzieję, że starzec stracił tylko przytomność, ale mężczyzna był ewidentnie martwy.

– Hermann, mówiłem ci, żebyś trochę mu odpuścił – krzyknął Schlegal. – Niedługo by się złamał. Ale ty tłukłeś go dalej tą swoją cholerną pałką.

– Przepraszam. Rzeczywiście, mówił mi pan, żebym nie używał pałki. Powinienem być posłuchać – odparł Holweig i zwiesił głowę ze wstydem.

– Chryste, zabiłeś nią już dwie osoby. Dlatego właśnie wolę pracować z Vossem. On nigdy nie przegina tak, jak ty. Co jest z tobą nie tak?

– Po prostu spotykają mnie ostatnio same złe rzeczy. Najpierw strata Heleny, potem morderstwo Alaina. Musiałem się wyładować i poniosło mnie przy tym stolarzu – powiedział Holweig.

Schlegal położył majorowi rękę na ramieniu w nieczystym dla siebie geście współczucia.

– Tak, bardzo mi przykro z powodu twojego siostrzeńca. Zabili go i obrabowali gdzieś tu w okolicy, prawda? W budce telefonicznej?

– Zamordował go jakiś zaszran Francuz. Dla kilku franków. Jeśli kiedykolwiek złapię tego żabojada, słono zapłaci za to, co zrobił. Sprawię, że będzie cierpiał tysiąc razy bardziej.

Schlegal zapalił papierosa i przysiadł na krawędzi biurka.

– Czy twój siostrzeniec nie pracował przypadkiem dla tego architekta, Bernarda? Holweig usiadł na krześle w rogu pokoju i ukrył twarz w dłoniach.

– Tak, był jego prawą ręką. To był taki zdolny chłopak, dopiero co skończył studia. Miał przed sobą całą przyszłość.

– Kto znalazł go w budce?

– Jakiś człowiek, który chciał rano stamtąd zadzwonić.

– Więc zabili go w nocy?

– Tak powiedział koroner.

– Co robił tutaj o tak późnej porze? Myślisz, że chciał się z tobą zobaczyć?

– Nie mam pojęcia. Dostałem tamtej nocy dziwny telefon. Ktoś zadzwonił do mnie i nie odezwał się ani słowem.

Ta ostatnia wiadomość mocno zainteresowała Schlegala. Przydeptał papierosa tuż obok zwłok Auberta i podszedł do Holweiga.

– Nikt się nie odezwał? I było to tej samej nocy, gdy zginął Alain?

– Tak.

– Myślisz, że to on próbował się do ciebie dodzwonić?

– Nie wiem. Po drugiej stronie słuchawki była tylko głucha cisza.

– Idź do domu i odpocznij, Hermann. Nie wychodź dzisiaj do nocnych klubów. Chcę, żebyś trochę odetchnął. A Aubertem się nie przejmuj.

– Twardy był z niego skurczybyk. Stracił wszystkie palce i nic nie powiedział – stwierdził z podziwem Holweig, przechodząc nad ciałem stolarza. – Na pewno był zaangażowany w ukrywanie tych Żydów. Że też gotów był tyle wycierpieć, żeby chronić garstkę jakichś zawszonych kundli. Nie rozumiem tego. Zupełnie tego nie rozumiem, panie pułkowniku.

Major wyszedł z pokoju, zostawiając Schlegala samego z martwym Aubertem. Pułkownik jednak w ogóle nie zwracał uwagi na ciało, traktując zwłoki niemal jak dywanik na podłodze. Zapalił kolejnego papierosa, podszedł do okna i otworzył je szeroko. Było chłodne, grudniowe popołudnie. Rue de Saussaies skąpana była w promieniach słońca, które kładło się miękkim, złotym blaskiem na budynkach po drugiej stronie ulicy. Schlegal wrócił do biurka, zastanawiając się głęboko nad swoją sytuacją. Naprawdę miał nadzieję, że Aubert zacznie wreszcie gadać i że da mu jakiś trop, którym będzie mógł podążyć. Teraz musiał znowu zaczynać od zera, a Lischka robił się z każdym dniem coraz bardziej niecierpliwy. Nie było innego wyjścia – będzie trzeba aresztować kolejnych podejrzanych ludzi z branży budowlanej i ich przesłuchiwać. Z takimi wynikami prędko generałem nie zostanie. Przygnębiony tą perspektywą, podniósł głowę i spojrział przed siebie przez otwarte okno.

Jego uwagę zwrócił jasny błysk światła po drugiej stronie ulicy. Popołudniowe słońce odbijało się od czegoś bardzo lśniącego na poręczy balkonu niemal naprzeciwko jego biurka. Schlegal podniósł się wolno z krzesła. Był w stanie wyraźnie dostrzec, że podwójne okno, szczelnie zaciągnięte zasłonami, było nieco

uchyłone i że na kutej poręczy balkonu opierała się czyjaś dłoń. Na ręce znajdował się ogromny pierścień, który błyszczał w promieniach zimowego słońca. Zza uchyłonego okna wydobywała się cienka strużka dymu. Schlegal poczuł nagły ucisk żołądka i drętwienie w plecach. Nie wierząc w to, co widzi, obserwował, jak ręka chowa się z powrotem do mieszkania, zatraskując okno. Usiadł i próbował zebrać myśli. Ogarnęło go niezwykle podniecenie i euforia. Zaczął się histerycznie śmiać. Dopadł do drzwi pokoju, wykrzykując rozkazy na cały korytarz. Zdezorientowani oficerowie rzucili się pod gabinet pułkownika, prawie przewracając biedną Marie, która ścierała właśnie podłogę, i stanęli wokół Schlegala.

– Voss, wyślij natychmiast oddział w cywilnych ubraniach na ulice wokół kamienicy przy rue de Saussaies 12. Niech zatrzymują wszystkich, którzy będą próbowali wyjść z budynku przednim lub tylnym wejściem. Poślij też kilku ludzi na dach, ale niech nie rzucają się w oczy. Ryckel, zorganizuj kilkunastu żołnierzy i niech czekają na mnie na dole w holu. Mają na razie nie wychodzić na zewnątrz. Będą potrzebowali młotów, siekier, łomów i pił ręcznych. No, ruszać się! – Schlegal wciąż nie mógł przestać się śmiać. Voss i Ryckel spojrzeli na siebie ośmupiali i pobiegli w dół korytarza. Marie przywarła do ściany, żeby nie stać im na drodze.

– Aha, Voss, i niech ktoś pójdzie po tego architekta, Luciena Bernarda. Jeśli nie będzie go w pracowni, to znaczy, że siedzi u pułkownika Herzoga z Wehrmachtu, tego od przemysłu zbrojeniowego. Znajdźcie go i przyprowadźcie do mnie bez względu na wszystko.

Schlegal odprowadził wzrokiem pędzącego Vossa i zauważył nagle Marie.

– Marie, ślicznoto, kupię ci najpiękniejszą sukienkę w Paryżu, żebyś mogła założyć wreszcie coś porządnego na ten stary, zgrabny tyłek – rzucił do niej, przechodząc obok.

– Rozmiar dwanaście będzie w sam raz, panie pułkowniku. I najlepiej chabrową. W niebieskim zawsze było mi do twarzy – zawołała za nim. – Podkreśla kolor moich oczu.

– Załatwione – krzyknął przez ramię Niemiec.

Marie patrzyła za nim, aż zniknął na końcu korytarza, i kiedy nikt jej nie widział, wśliznęła się do gabinetu Schlegala. Zupełnie niezdziwiona widokiem leżących na podłodze zwłok, podeszła do telefonu, wykręciła numer, odczekała cztery sygnały i odwiesiła słuchawkę. Następnie podeszła do okna i spojrzała w stronę kamienicy pod numerem dwunastym.



Pełen najwyższego podekscytowania, Schlegal pędził w górę po schodach kamienicy przy rue de Saussaies 12. Czuł się tak, jakby prowadził szarżę kawalerii w jednym z tych amerykańskich westernów, na które tak często chodził do kina, zanim Führer nie wypowiedział wojny Stanom Zjednoczonym i nie zakazał wyświetlania ich filmów. Najbardziej brakowało mu tych z Johnem Waynem.

– Voss, przyprowadź konsjerżkę, a potem zbierz wszystkich mieszkańców w holu wejściowym – krzyknął w dół schodów.

Dwunastu żołnierzy z pistoletami maszynowymi na plecach i narzędziami w rękach biegło tuż za Schlegalem. Doskonale wiedzieli, co robić. Rozbili w drzazgi zamek w drzwiach i wpadli do mieszkania. Jeden z Niemców ostrzelał ściany salonu. Schlegal wszedł za nimi, rozglądając się uważnie w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów świadczących o obecności Żyda.

– Januski tu jest – powiedział, podnosząc niedokończony kieliszek wina. Na stoliku obok sofy stała popielniczka pełna niedopałków papierosów. Schlegal sprawdził, czy któryś nie jest jeszcze ciepły, co stanowiłoby niezbity dowód, że Żyd wciąż jest jeszcze w mieszkaniu, ale ku swojemu wielkiemu rozczarowaniu wszystkie były zimne. Wiedział jednak, że Żyd nie miał jak uciec – dach i tył budynku były obstawione przez jego ludzi. Kiedy poszedł do kuchni, znalazł w spiżarni trochę chleba i sera.

Na korytarzu przed drzwiami rozległy się przeraźliwe krzyki konsjerżki. Wrzeszczała na Vossa, który włókł ją po schodach na trzecie piętro, ciągnąc za kark.

– Ty niemiecki sukinsynu, nie mogę chodzić po tyłu stopniach. Mam potworny reumatyzm. Trzeba było pojechać windą.

– Trochę ćwiczeń dobrze ci zrobi. – Voss roześmiał się jej w twarz i rzucił ją na podłogę przed Schlegalem. Pułkownik delikatnie trącił kobietę lśniącem, czarnym butem.

– Babciu, kto używał tego mieszkania? Potrzebuję nazwisk.

– Apartament od lat stoi pusty. Monsieur Lamont wyjechał z kraju jeszcze przed

kapitulacją.

– Więc kto pił z tego kieliszka? I kto wypalił te papierosy? Duch?

– Nikogo nie powinno tu być.

– Ktoś przynosił tu jedzenie. Musiała pani coś widzieć.

– Przysięgam, nic nie wiem. Nikogo nie widziałam. Nigdy tu nawet nie przychodziłam. Reumatyzm nie pozwala mi chodzić po schodach – skomlała konsjerżka, ściskając Schlegala za buty.

– Znam świetny lek na reumatyzm. Zaręczam, nigdy więcej nie będzie już pani dokuczał. – Schlegal odsunął się od kobiety i skinął na Vossa, który złapał starszkę za kołnierz brązowo-żółtej podomki. Porucznik pociągnął konsjerżkę w stronę schodów i wyrzucił ją za poręcz jak worek z praniem. Spadła prosto na parter, omijając znajdującą się z boku klatki schodowej windę.

Eskortowany przez żołnierza Lucien wchodził właśnie po schodach, gdy usłyszał krzyk i zobaczył, jak obok przelatuje brązowo-żółta plama; głuchy łoskot poniósł się echem po całej klatce. Architekt wyjrzał za poręcz i popatrzył w dół. Na dole klatki schodowej leżała wątpa starsza kobieta – jej głowa skrzycona była pod dziwnym kątem, a lewa ręka zgięta na pół. Lucien ścisnął mocno drewnianą poręcz, próbując opanować ogarniającą go panikę.

Kiedy u jego drzwi pojawił się ubrany po cywilnemu gestapowiec, był pewien, że chodzi o morderstwo Alaina. Dowiedział się niedawno, że wuj chłopaka pracuje w Gestapo i że jest wściekły z powodu tego, co się stało. Lucien domyślał się, że oficer będzie miał do niego pewnie mnóstwo pytań. Morderstwo zdarzyło się na rue du Faubourg, tuż obok kryjówki na rue de Saussaies. Architekt był mocno zaniepokojony tym zbiegiem okoliczności. Śmierć Alaina była dla niego dużym szokiem. Nie miał zamiaru udawać, że kiedykolwiek lubił dzieciaka, ale stracił cennego pracownika, którego trudno będzie mu zastąpić. Nie przypuszczał, że ktoś zechce go przesłuchiwać w związku ze zniszczeniem fabryki. Niemcy uznali podłożenie bomby za kolejny akt sabotażu i rozstrzelali po prostu następnego dnia sto osób – dużo mniej, niż przypuszczał. Słyszał, że sam Hitler domagał się śmierci przynajmniej pięciuset ludzi. Dopiero gdy wysiedli z samochodu przed siedzibą Gestapo i gdy żołnierz poprowadził go do budynku przy rue de Saussaies 12, wiedział, że znalazł się w ciężkich tarapatkach. Był zaskoczony, że nie zaczął od razu uciekać; cały czas czuł dziwny spokój.

Lucien wiedział, że zamordowana w tak brutalny sposób kobieta była konsjerżką. Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym wziął głęboki oddech i zaczął spokojnie wspinać się po schodach razem z oficerem Gestapo. Spodziewał się, że za kilka minut zostanie aresztowany, ale zdecydował, że nie pozwoli wziąć się żywcem. Wkrótce dołączy do tej starszki na podłodze. Nie martwił się, co stanie się z Pierre'em, jeśli go zabiją. Rozmawiał już o tym z Bette i czuł ogromną ulgę na myśl, że jest ktoś, kto zaopiekuje się chłopcem. Nie czuł żadnego strachu. Zorientował się, że ma w sobie wiele spokoju; wreszcie stał się kimś, kim zawsze pragnął być – ojcem – i co więcej, był w tym całkiem dobry.

Kiedy zbliżał się do trzeciego piętra, Schlegal wyszedł się z nim przywitać. Z wnętrza mieszkania dochodził niesamowity hałas. Lucien domyślił się, że Niemcy szukają Januskiego. Uśmiechnął się i pomachał pułkownikowi, a on, ku ogromnemu zdziwieniu architekta, odwzajemnił gest z równą zyczliwością.

– Monsieur Bernard, proszę wybaczyć, że przeszkadzam panu w pracy, ale znów muszę prosić pana o konsultację w pewnej kwestii architektonicznej.

Może jednak jego czas jeszcze nie nadszedł. Ale może nadejść w każdej chwili, jeśli nie będzie się pilnował.

– Nic nie szkodzi, panie pułkowniku. Cieszę się, że mogę służyć Rzeszy pomocą. Czego pan potrzebuje?

Schlegal położył mu rękę na ramieniu i poprowadził do mieszkania. Żołnierze z siekierami rozbijali właśnie w drobny mak każdy centymetr kwadratowy ściany. Inni podważali łomami deski podłogi. Wszędzie dookoła unosił się pył i ciężko było cokolwiek zobaczyć.

– Jak pan widzi, prowadzimy bardzo dokładne poszukiwania pewnego dżentelmena o hebrajskich korzeniach. Jestem przekonany, że znajduje się teraz w tym mieszkaniu.

Lucien zdołał przyjąć nieodgadniony wyraz twarzy. Wiedział, że Schlegal bacznie się mu przygląda, czekając na najdrobniejszy sygnał, który mógłby zdradzić położenie kryjówki.

– A skąd pan to wie?

– Widziałem go na własne oczy.

– Musi więc tu być.

– Ma pan jakieś sugestie, gdzie mógłby się ukryć? – spytał Schlegal.

Lucien obrócił się i stanął w miejscu.

– Sprawdźcie przewód kominowy, a potem podnieście kamienną podstawę paleniska, tutaj i w innych pokojach. To świetne miejsca na schowek.

Schlegal natychmiast kazał jednemu z żołnierzy zrobić to, co zasugerował Lucien. Architekt ruszył w stronę łazienki, rozglądając się po mieszkaniu. Pułkownik nie odstępował go nawet na krok.

– Sprawdzaliście za obudową wanny? Jest na tyle wysoka, że ktoś byłby w stanie zmieścić się pod spodem.

Żołnierz rozwalił szybko drewniany panel, ale pod wanną nikogo nie było.

– Wie pan, może też ukrywać się gdzieś pod podłogą pomiędzy belkami stropowymi. Są na tyle grube, że człowiek spokojnie mógłby się tam schować, przechodząc przez jakąś zakamuflowaną klapę. Musicie zerwać każdy centymetr parkietu – stwierdził z autorytetem Lucien.

Schlegal kiwnął głową, zapewniając architekta, że jego żołnierze już się tym zajmują.

– Regałami w ogóle się nie przejmujcie. To byłoby zbyt oczywiste – dodał Lucien, wiedząc, że Schlegal i tak zerwie wszystkie półki. – I sprawdźcie podłogi we wszystkich szafach, tam również mogą być jakieś skrytki.

Architekt prawie zapomniał o tym, że w każdej chwili może zginąć. Krążył po ogromnym mieszkaniu, napawając się panującym wokół chaosem. Po jakimś czasie usiadł na sofie i po prostu obserwował zamieszanie, rzucając kolejne sugestie. Bawiło go, że żołnierze robią to, co im każe. Palił papierosa za papierosem, pilnując się bardzo, aby nie patrzeć w stronę kryjówki. Po godzinie jego ciemnoniebieski garnitur był całkowicie pokryty pyłem gipsowym. Gdy spojrział w jedno z wielkich ozdobnych luster, zobaczył, że włosy także ma już zupełnie szare; uśmiechnął się, gdy uświadomił sobie, że oto ma przed sobą dziwną zapowiedź tego, jak będzie wyglądał jako starzec.

Coraz większa ilość przekleństw i coraz bardziej nerwowe tempo kroków Schlegala pozwalały mu się domyślić, że pułkownik zaczyna się denerwować. Niemiec złapał jakiś łom i zabrał się do zdzierania boazerii ze ścian, po czym roztrzaskał wszystkie przepiękne lustra, mając nadzieję, że za którymś z nich znajdzie kryjówkę. Na podłodze wałało się już tyle gruzu i zniszczonych sprzętów, że trudno było w ogóle poruszać się po mieszkaniu, więc Schlegal kazał swoim ludziom wyrzucać wszystko za poręcz schodów, wprost na biedną konsjerżkę. W powietrzu unosiły się tumany kurzu, a żołnierze zaczęli przypominać białe zjawy poruszające się w zwolnionym tempie. Gruby pył wciskał się do nosów i gardeł,

powodując kaszel i trudności z oddychaniem. Wszyscy jednak pracowali dalej bez słowa skargi, nie chcąc narazić się na gniew Schlegala; systematycznie niszczone każdy centymetr kwadratowy mieszkania.

Mendel Januski słyszał ze swojej kryjówki wszystko, co działo się dookoła. Hałas, jaki panował w mieszkaniu, był ogłuszający, ale najgorsze było to, że w ogóle nie ustawał. Nie mógł się nadziwić, że ludzie potrafią pracować w ten sposób bez chwili przerwy niczym maszyny zasilane elektrycznością. Ze względu na to, że przestrzeń, w której się znajdował, była bardzo wąska, Januski musiał leżeć na prawym boku z ręką wciśniętą pod siebie. Czuł więc doskonale wszystkie uderzenia siekier i łomów, a także wszystkie drgania ścian, podłóg i sufitu. Wzdrygał się i krzywił przy każdym wstrząsie. Po spędzeniu kilku miesięcy na walkach pod Sommą podczas wielkiej wojny sądził, że już nigdy nic go nie będzie w stanie przestraszyć – do tej pory pamiętał przeraźliwy wizg wpadających do okopów pocisków artyleryjskich czy widok ludzi rozerwanych na strzępy. Mylił się jednak; trząśnięcie w tej chwili tak, jakby targała nim jakaś gorączka tropikalna. Wiedział, że ma już słabe serce. Bał się, że za chwilę dostanie zawału i Gestapo znajdzie w kryjówce jego martwe ciało. Mieliby niezły ubaw, gdyby okazało się, że dosłownie umarł ze strachu. Nie zamierzał dawać im takiej satysfakcji.

Kiedy usłyszał krzyk spadającej konsjerżki, uznał, że nie zniesie tego dłużej i miał już zamiar się ujawnić. To wszystko by się nie zdarzyło, gdyby nie podszedł wtedy do okna. „Cóż to była za cholerna głupota – pomyślał. – Wyjrzeć za głupie okno”. Ale nie chodziło tylko o staruszkę. Zbyt wielu już ludzi zginęło, aby go chronić. Nie był tego wart i nie chciał mieć już więcej niewinnej krwi na rękach. A potem usłyszał, jak Niemiec rozmawia z Bernardem, architektem Maneta. Januski był w szoku. Dlaczego przyprowadzili tu tego człowieka? Czy zorientowali się wreszcie, w czym pomaga Manetowi? Januski myślał początkowo, że architekt pokaże Niemcom, gdzie znajduje się kryjówka, ale Bernard poprowadził ich w zupełnie inną stronę. To dodało Mendlowi otuchy, wziął się w garść i postanowił zostać na swoim miejscu. Nie miał ochoty umierać. Żołnierze pracowali w amoku dalej, demolując mieszkanie zaledwie kilka centymetrów od niego.

Nagle kakofonię łoskotów i trzasków przerwał głośny krzyk.

– Schlegal, kretynie! Kazałem wam zostawić mojego architekta w spokoju.



Herzog obszedł mieszkanie, uśmiechając się szeroko. Gdy wrócił pod drzwi wejściowe, gdzie stał Schlegal, zdjął z głowy czapkę i zaczął strzepywać pył z munduru.

– Niech zgadnę. Żadnego Żyda – powiedział, nie patrząc na gestapowca.

Herzog wiedział, że Schlegal i tak jest już wściekły jak diabli, bo nie udało mu się nikogo znaleźć. Miał również świadomość, że jego drwiny rozżłoszczą pułkownika jeszcze bardziej. I o to właśnie chodziło.

– Wciąż szukamy – odparł zwięźle Schlegal.

Herzog wybuchnął śmiechem.

– Chryste, człowieku, zrujnowałeś chyba każdy milimetr tego mieszkania. Nikogo tu nie ma. Kogo w ogóle szukacie?

– Mendla Januskiego.

Herzog zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na Schlegla.

– Tego kolekcjonera sztuki? Skąd pan wie, że jest tutaj?

– Widziałem go przez ulicę.

Voss podszedł do drzwi, przy których stali, i zasalutował obu oficerom.

– Panie pułkowniku, co mam zrobić z lokatorami w holu?

Lucien domyślał się, jaka będzie odpowiedź. W ciągu ostatniej godziny Schlegal zdążył przejść od euforii do całkowitego zwątpienia, a teraz, co było pewnie najgorsze, Herzog upokarzał go jeszcze przed własnymi ludźmi. Lucien był pewny, że czekający na dole mieszkańcy kamienicy skazani byli na śmierć.

– Jest tu tylne wyjście? Może zdołał uciec tamtędy? – spytał Herzog.

– Moi ludzie go pilnowali. Tyłem na pewno się nie wydostał – odrzekł Schlegal.

Widać było, że jest poirytowany tego typu pytaniem.

Niemiec spojrzał na Vossa.

– Spytaj ich jeszcze raz, gdzie ukrywa się Januski. – Porucznik kiwnął głową i zbiegł po schodach.

Herzog okrążył powoli salon, przyglądając się zniszczeniom. Pokój był kompletnie zdewastowany.

– Wymknął się panu – stwierdził, potrząsając głową.

Z klatki schodowej dobiegł nagle dźwięk strzałów z karabinu maszynowego.

– Najwidoczniej nie wiedzieli, gdzie jest Januski. – Schlegal wzruszył ramionami.

Do grupy przy drzwiach podszedł niepewnie grubawy sierżant, wyglądający na jakieś trzydzieści pięć lat. Widział, że Schlegal jest rozjuszony, więc nie chciał znaleźć się na pierwszej linii.

– Panie pułkowniku, zniszczyliśmy już wszystko. Oprócz tych obrazów na górze.

Herzog zauważył, że Lucien zerknął w stronę malowideł, a potem szybko odwrócił wzrok.

Schlegal odszedł od drzwi i spojrzał nad gzyms, przypatrując się ogromnym płótnom, które zajmowały całą długość jednej ze ścian.

– W całym tym zamieszaniu zupełnie o nich zapomniałem – rzekł ze śmiechem.

Herzog podszedł wolno w stronę obrazów, popatrzył do góry i przyjrzał się im dokładnie. Była to seria sielankowych scen przedstawiających pasterzy i ponętne nimfy z lutniami i dzbanami wody, utrzymana w bogatej paletce zieleni i brązów.

– Chwila – zawołał Herzog, stając niespodzianie między Schlegalem a sierżantem.

– Naprawdę jest pan aż takim ignorantem? Nie widzi pan, że te płótna są niesamowicie cenne? Namalował je Giorgione da Castelfranco, wenecki artysta z szesnastego wieku. Uczył się u Belliniego, a sam był mistrzem Tycjana.

– I kogo to obchodzi?

– Kosztują fortunę, ty baranie. Dla Rzeszy są równie wartościowe jak złoto. Nie można ich tak po prostu zniszczyć. Rzesza kolekcjonuje takie skarby.

– Nie widzę, co w nich takiego wspaniałego – mruknął Schlegal, gapiąc się na obrazy.

– Schlegal, one są jak diamenty! – Herzog był wyraźnie podekscytowany. – Niech pan nie waży się ich tknąć. Jeśli tylko pan spróbuje, za dwie minuty będzie z panem rozmawiał przez telefon minister Speer. On doskonale wie, kim jest Giorgione, to jemu będzie się pan tłumaczył, czemu zniszczył pan należące do Rzeszy dzieła sztuki warte miliony marek.

– To bez znaczenia. I tak pójdą w drobny mak. Nie będziemy nawet potrzebowali drabiny.

– Co to ma, do cholery, znaczyć? – zapytał Herzog. Na jego twarzy malowało się zdziwienie.

– Proszę wyjrzeć na zewnątrz.

Herzog podszedł do otwartego okna, które wychodziło na rue de Saussaies. Na chodniku po drugiej stronie ulicy stało spore działo wycelowane dokładnie w kamienicę pod numerem dwunastym. Działo obsługiwało dwóch ludzi, z których jeden właśnie ładował do niego pocisk.

– Ma pan dwie minuty, żeby ściągnąć sobie te płótna, jeśli nadal tak panu na nich zależy – dodał Schlegal z szerokim uśmiechem. – Sierzancie, wszyscy mają natychmiast opuścić budynek.

Tęgawy oficer i jego oddział z radością przyjęli rozkaz.

– Do licha ciężkiego, co pan sobie wyobraża? – wrzasnął Herzog. – Chce pan zniszczyć cały budynek tylko dlatego, że nie znalazł pan jakiegoś Żyda?

Lucien podszedł do okna, żeby zobaczyć, co się dzieje, i serce mu zamarło.

– Właśnie tak. Nie zamierzam marnować więcej czasu na demolowanie mieszkań. Rozwalę całą kamienicę – odparł cicho Schlegal. – On jest gdzieś tutaj i tutaj zdechnie.

– Czy pan do reszty oszalał? Rozpęta pan tu pożar, a ogień przeniesie się na sąsiednie budynki. To będzie jakieś cholerne inferno!

– Została panu minuta, żeby uratować te cenne obrazy.

– Odbiło panu. Nie może pan zniszczyć tego budynku. Siła uderzenia zniszczy wszystkie okna w siedzibie Gestapo po drugiej stronie ulicy. – Herzog podszedł do szarego stolika z marmurowym blatem, na którym stał telefon, i wykręcił numer.

– Panie pułkowniku, czy mogę już iść? – spytał Lucien.

– Chwilowo nie będę pana potrzebował, ale już niedługo utniemy sobie małą pogawędkę, monsieur Bernard.

Lucien doskonale wiedział, na czym będzie polegała „mała pogawędką”. Schlegal był wkurzony nie na żarty, co więcej, został upokorzony na oczach swoich ludzi i miał zamiar wyładować złość na każdym, kto wpadnie mu w ręce.

– Tak jest, już przekazuję mu słuchawkę – powiedział do telefonu Herzog. – Schlegal, ktoś chce z panem rozmawiać.

– Niech pan powie ministrowi Speerowi, że jestem zajęty.

– Radzę panu ze szczerego serca. Lepiej niech pan porozmawia ze swoim szefem, pułkownikiem Lischką, bo inaczej będzie pan musiał zacząć pakować jakąś ciepłą

bieliznę na jutrzejszą wycieczkę do Rosji. – Herzog uśmiechnął się szeroko. Schlegal rzucił mu lodowate spojrzenie i podszedł, aby wziąć od niego słuchawkę. Lischka darł się tak głośno, że musiał trzymać ją kilka centymetrów od ucha.

– Schlegal, ty pomyłony ośle. Co ty tam, kurwa, wyprawiasz? – ryczał Lischka. – Stoję właśnie przy oknie i widzę działo wycelowane w budynek dokładnie naprzeciwko mojego. Rozwalisz tu wszystkie szyby, jeśli odpalisz to cholerstwo.

Schlegal spojrział przez okno na drugą stronę ulicy i dostrzegł rozwścieczonego Lischkę, uderzającego otwartą dłońią w okno.

– Ale, panie pułkowniku, w tym budynku znajduje się Januski. Jestem o tym przekonany.

– Więc czemu nie poprosisz Luftwaffe, żeby zbombardowali całą tę okolicę? W ten sposób na pewno go dorwiesz.

– Takie rozwiązanie wydaje się zbyt przesadne.

– A to, co masz zamiar zrobić, niby nie jest? Poza tym zależy nam, żeby mieć tego Żyda żywego. Nic z tego, Schlegal. Rozkazuję ci natychmiast wycofać działo.

– Rozumiem. Skoro to pański bezpośredni rozkaz, oczywiście się do niego dostosuję. Dziękuję. – Lischka trzasnął słuchawką po drugiej stronie. Schlegal założył bez słowa czapkę i wyszedł z mieszkania, zostawiając Herzoga i Luciena w mieszkaniu.

– Wrózę mu odmrożenia dupy i podróż do Stalingradu. I to w bardzo niedalekiej przyszłości – rzucił Herzog, uśmiechając się od ucha do ucha.

Niemiec spojrział jeszcze raz na obrazy.

– Cóż za niezwykle znalezisko. Giorgione da Castelfranco. Wiesz, że niektórzy uczeni sądzą, że część jego płócien mógł namalować sam Tycjan? Kto wie, może to jedno z nich? Wyobrażasz to sobie? – Herzog zapalił papierosa i przeszedł się po salonie. – Aż żal, że takie piękne obrazy muszą tkwić pośród tego całego bałaganu. Chyba zajrzę tu w tym tygodniu, żeby je uratować. – Niemiec uśmiechnął się i puścił do Luciena oko.

Kiedy Lucien podniósł wzrok na malowidła, Herzog położył mu rękę na ramieniu i szepnął wprost do ucha:

– Najlepiej będzie, jeśli zabierzecie go stąd w środku nocy. A ty, przyjacielu, musisz jutro koniecznie zniknąć.



Mendel, jest już bezpiecznie. Możesz wyjść.

Manet, który stał na środku mieszkania, podszedł do pokrytej pyłem sofy i usiadł.

– Słyszałeś mnie? Możesz już zejść.

Manet usłyszał nieznaczny ruch. Rozpoznał dźwięk odsuwanego rygla, a potem dół jednego z obrazów nad gzymsem zaczął się unosić, ukazując schowanego za malowidłem Mendla Januskiego. Mężczyzna leżał na boku i popychał ramę jedną ręką. Góra obrazu była zawieszona na zawiasach, ciągnących się przez całą długość złożonej listwy; całość otwierała się jak klapka chlebaka. Wnęka wydrążona w ścianie za obrazem była bardzo wąska – miała tylko czterdzieści centymetrów głębokości.

– Dasz radę wyjść?

– Tak, po prostu cały zdrętwiałem. Daj mi chwilę.

Januski powoli wyczołgał się spod ramy na szeroką półkę pod obrazem. Przewiesił ciało przez krawędź gzymsu, próbując postawić nogę na gorze pilastra. Kiedy mu się to udało, wyciągnął drugą stopę, szukając oparcia na podstawie płaskiego filaru, ale but ześliznął mu się po ścianie. Stracił równowagę, puścił półkę i zleciał ciężko na podłogę. Obraz opadł z powrotem na miejsce.

Manet podbiegł do Januskiego, pomógł mu wstać i podprowadził go do sofy. Mężczyzna opierał się na nim ciężko, oddychając z trudem; ubranie miał całe mokre od potu.

– Co za szalony dzień. Nieprawdaż, przyjacielu? – spytał Manet, klepiąc Januskiego po kolanie.

– Nie masz może czegoś do picia, Auguste?

– Oczywiście, że mam. Wiedziałem, że będziesz głodny i spragniony, więc przyniosłem ci wino i trochę chleba.

Januski wyciągnął korek z butelki i jednym tchem wypił niemal całą jej zawartość. Potem rzucił się na kawałek chleba z żarłocznością zwierzęcia.

– Musisz wybaczyć mi moje maniery.

Manet roześmiał się i poklepał go po ramieniu.

– Zginęli dziś przeze mnie niewinni ludzie, Auguste. Wszystko słyszałem. Nie mogę tak dłużej żyć. Jak tylko dopiję to wino, pójdę prosto na Gestapo i pozwolę się aresztować. Powinienem był to zrobić już dawno temu. – Głos Januskiego drżał z emocji.

– Właśnie ze względu na ich ofiarę musisz koniecznie uciec. Jeśli tego nie zrobisz, całe ich poświęcenie pójdzie na marne.

– Gdyby nie ja, nadal by żyli, Auguste.

– Nie możesz zmienić tego, co się stało, Mendel. Jest wojna, ludzie umierają cały czas. I będzie tak jeszcze długo, ale wreszcie zwyciężymy.

– Nadal sądzisz, że możemy wygrać? Podziwiam twoją wiarę. Ja straciłem swoją już dawno temu.

– Dziś po południu dobro zatriumfowało. Czyż nie?

– To, mój przyjacielu, był istny cud.

– I spryt pewnego architekta, który postanowił ukryć cię tam na górze – dodał Manet, spoglądając na obraz.

– Myślałem, że kryjówka przy rue de Bassano była pomysłowa. Ale tutaj przeszedł samego siebie. Czy ten twój Bernard wie, co znaczy słowo „mensch”?

– Tak, kiedyś mu je tłumaczyłem.

– Więc przekaz mu ode mnie, że postąpił jak „mensch”.

– Obawiam się, że nigdy więcej go już nie zobaczę. Wyjeżdża z miasta. Ale sądzę, że teraz już sam ma tego świadomość.

– Więc co teraz, przyjacielu? Czy twój architekt zdążył przygotować dla mnie kolejną kryjówkę?

– Po tym, co się tu dzisiaj wydarzyło, cała operacja stała się już zbyt niebezpieczna. Dziś w nocy wyruszasz do Hiszpanii. To ogromne ryzyko, ale myślę, że damy radę.

– W porównaniu z dzisiejszymi przeżyciami wszystko wydaje się dziecinnie proste.

– Musimy iść. Nasi sąsiedzi z naprzeciwka mogą nadal obserwować budynek. Znasz może przypadkiem Modlitwę Pańską?

– Nie, Auguste, zapomnieli mnie tego nauczyć w hebrajskiej szkole. A co, zamierzasz mnie chrystianizować?

Manet podszedł do drzwi, podniósł spore zawiniątko opakowane w brązowy

papier i podał je Januskiemu.

– Właśnie taki mam zamiar. Załóż to, jeśli łaska – odparł Manet.

– Bardzo stylowe – powiedział Januski, biorąc do rąk sutannę. – Całe szczęście, że nie każesz mi się przebrać za zakonnice. – Mężczyzna pochylił się i wyciągnął z paczki kapelusz, buty, skarpetki, spodnie, białą koszulę i koloratkę.

– Zostaniesz na pewien czas duchownym. I tak się składa, że dziś w nocy wyruszasz z pielgrzymką do Lourdes, które znajduje się, jak wiesz, całkiem niedaleko hiszpańskiej granicy.

– Czy wizyta w sanktuarium i modlitwa o cud jest w planach?

– Spotkał cię już dzisiaj jeden cud. Nie kuś losu.

Januski przebrał się w nowe ubrania i włożył kapelusz. Stał przed rozbawionym Manetem i obrócił się jak model na wybiegu.

– I jak? Nie wyglądam chyba bardzo żydowsko, co?

– Jasne, że wyglądasz. Z nosem nic nie jesteśmy w stanie zrobić, więc naciągnij kapelusz głęboko na oczy. A tu na pasku powieś sobie różaniec. Ale wszystko po kolei. Powtarzaj za mną... Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

– Barukh atah Adonai, Eloheinu...

– Przestań.



Nie przyjdzie.

– Przyjdzie.

– Czekamy w dobrym miejscu? Na pewno tu mieliśmy przyjechać? A może źle zapamiętałeś godzinę?

– Wszystko się zgadza, zostawił mi bardzo dokładną wiadomość. Nie martw się – odrzekł wesoło Lucien, starając się zamaskować własny strach.

– Nie potrafię – szepnęła Bette, zerkając na tylne siedzenie Citroëna, gdzie spali Emile i Carole. Obok nich siedział Pierre – całkowicie spokojny i niezdradzający żadnych oznak senności. Chłopiec uśmiechnął się do niej.

– Będziesz miała na zmartwienia jeszcze mnóstwo czasu. Czeką nas czterogodzinna jazda do granicy ze Szwajcarią. Po drodze wszystko się może zdarzyć – stwierdził Lucien, patrząc przez przednią szybę w chłodną grudniową noc.

– Uspokoiłeś mnie, skarbie.

– Taka jest prawda. A przecież ciągle powtarzasz, że bym mówił ci prawdę.

– Skąd wiesz, że można mu ufać? To Niemiec.

Architekt uśmiechnął się na to pytanie. Była dopiero dziewiąta czterdzieści pięć i nie miał żadnych wątpliwości, że Herzog się pojawi. Do pracowni Luciena dostarczono list, w którym kazano mu pojechać do Saint-Dizier, miejscowości na zachód od Paryża. W samym mieście miał skręcić w drogę, która biegła z centrum na południowy wschód, i zatrzymać się za ruinami kamiennej stodoły. Byli spakowani i gotowi do wyjazdu przez cały dzień, ale postanowili opuścić Paryż dopiero pod osłoną nocy. Godziny oczekiwania w mieszkaniu Bette ciągnęły się w nieskończoność. W każdej chwili mógł wpaść Schlegal i jego ludzie. Pułkownik nie kontaktował się z nim jeszcze w sprawie obiecanej „pogawędki”, ale Lucien wiedział, że Niemiec na pewno o niej nie zapomni. Siedzieli z Pierre’em przy oknie, wypatrując samochodów Gestapo. Gdyby Niemcy rzeczywiście przyjechali, Pierre i pozostała dwójka dzieci mieli schować się w kryjówce pod oknem i czekać, aż przyjdzie po nich monsieur Manet. Ponieważ milioner znajdował się jeszcze poza

podejrzeniami, Lucien i Bette umówili się z nim, że gdyby stało się coś złego, zatroszczy się o dzieci i pomoże im wydostać się z Francji. Pierre nie chciał się ukrywać, ale Lucien, jedyny raz tracąc cierpliwość w stosunku do chłopca, krzyknął na niego, żeby robił to, co się mu każe. Czas włókł się niemilosiernie, ale na szczęście nic się nie stało.

– Studiował w Bauhausie, wiesz?

– I dlatego można na nim polegać? Bo jest architektem?

– Nie jakimś zwykłym architektem. Modernistą.

– Masz jakieś dziwne podejście do zaufania, mój drogi. On nadal jest Niemcem, a Niemcom nie można wierzyć. Nie zapominaj o tym.

– Dobrze, kochanie, postaram się pamiętać. – Lucien opuścił trochę szybę, żeby wpuścić do samochodu nieco chłodnego powietrza. Była piękna, jasna noc. Lekki wiatr przyjemnie chłodził twarz, osuszając krople potu, które perliły się mu na czole. Przesesał obiema rękami włosy i przetarł oczy, starając się zachować czujność. Cisza panująca wokół przypomniawsza mu głuszę, która zapadała w Paryżu po godzinie policyjnej; dawało się wtedy usłyszeć szpilkę spadającą na podłogę w bloku obok. Teraz słychać było tylko wiatr szmerzący miękko w drzewach obok samochodu. Nagle z lewej strony dobiegł do nich trzask łamanych gałązek i szelest liści. Lucien czuł, jak wali mu serce. Cały czas patrzył wprost przed siebie, ściskając mocno kierownicę. Niespodziewane stuknięcie w bok auta przestraszyło go tak, że aż poskoczył. Obrócił wolno głowę w lewo i ujrzał tuż przed sobą uśmiechniętą twarz Herzoga. Niemiec dał mu znak, żeby wysiadł z samochodu. Lucien zdziwił się, że Herzog ubrany jest po cywilnemu. Nie wiedział, co o tym sądzić, i poczuł się trochę dezorientowany.

– Wiesz, co masz robić? – spytał Herzog tonem tak zwyczajnym, jakby prosił Luciena, żeby odebrał jego rzeczy z pralni.

– Pojedziemy na zachód od Belfort, w to miejsce, o którym mówiłeś, tam zostawimy samochód i przejdziemy przez granicę.

– Pamiętaj, że to musi być dokładnie to miejsce. Dziś w nocy nikt nie będzie tam pilnował granicy – rzekł z naciskiem Herzog. – Nie wolno wam się pomylić.

Niemiec położył Lucienowi rękę na ramieniu.

– Mam dla was kilka rzeczy na podróż – dodał, wyciągając z kieszeni spodni dwie złożone kartki papieru. – To jest oficjalna przepustka z naszego departamentu do spraw uzbrojenia, wystawiona z dzisiejszą datą. Upoważnia was do podróży o dowolnej porze, więc nie powinniście mieć po drodze żadnych kłopotów.

– Francuska policja nie zacznie czegoś podejrzewać, gdy zobaczy dzieciaki w aucie?

– W razie czego pokaż im wtedy to. To list ode mnie, który tłumaczy, że zaczynasz pracę nad projektem fabryki w Montbéliard i że musisz przenieść się tam z całą rodziną.

– Pomyślałeś o wszystkim.

– Nie do końca. To jest plan awaryjny na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. – Herzog wyciągnął lugera z drugiej kieszeni spodni. – Może się przydać, jeśli pojawi się jakiś nieoczekiwany problem.

– Rety... dziękuję – wymamrotał Lucien, biorąc niepewnie pistolet do ręki.

– Uczyli was we francuskiej armii, jak się strzela, prawda? Wiem, że nie znacie się specjalnie na prowadzeniu wojen. Wolicie siedzieć na tyłku, pić, palić i nic nie robić – uśmiechnął się Herzog.

– Coś kojarzę. Trzeba pociągnąć za to – odrzekł Lucien, wskazując na spust.

– Znakomicie. A kula wylatuje stąd. Warto to zapamiętać.

– Mamy jeszcze trochę miejsca w samochodzie, Dieter. Jesteś pewien, że nie chcesz jechać z nami? Ubrany jesteś całkiem odpowiednio.

– Wciąż jestem niemieckim żołnierzem, który przysięgał bronić ojczyzny, więc zamierzam dalej budować fabryki i fortyfikacje. Poza tym chciałbym jednak poszerzyć jeszcze trochę moją kolekcję sztuki. I kto wie, może nawet odbuduję tę twoją fabrykę, którą zniszczyli ci dranie z ruchu oporu.

Lucien odwrócił wzrok i przez chwilę przyglądał się drzewom.

– Mam nadzieję, że kiedy to całe szaleństwo wreszcie się skończy, będzie nam dane spotkać się znowu – odezwał się architekt.

– Jestem pewien, że jeszcze się zobaczymy – odparł Herzog.

– Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek powiem coś takiego do niemieckiego okupanta, ale będzie mi cię brakować. Tworzyliśmy niezwykły zespół.

– To prawda, przyjacielu – zgodził się Herzog. – Ale czas, żebyś już ruszał. Macie przed sobą długą noc.

– Do zobaczenia – powiedział Lucien, wyciągając rękę.

Herzog mocno uściskał mu dłoń.

– Powodzenia, Lucien.

Architekt odwrócił się, podszedł do auta. Gdy siadał za kierownicą, pomachał Niemcowi ręką w ostatnim geście pożegnania. Bette patrzyła przed siebie, nie

odzywając się ani słowem. Lucien odpalił silnik i ruszył w drogę.

Herzog wyciągnął papierosa, przyglądając się, jak tylne światła samochodu robią się coraz mniejsze i znikają wreszcie za horyzontem. Zaciągnął się głęboko i spojrzął do góry na zimne, nocne niebo, na którym migotało morze gwiazd. Nie znał się zupełnie na konstelacjach i astronomii, ale widok był tak piękny, że nie mógł oderwać od niego oczu. W Paryżu nigdy nawet nie zwracał uwagi na to, co działo się nocą na firmamencie, ale tutaj, poza miastem, robiło to niesamowite wrażenie – jakby się było bliżej nieba. Człowiek mógł tylko stać i patrzeć w zachwyceniu. Herzog zadarł głowę ku górze i palił papierosa, podziwiając miriady gwiazd i ich niezwykle konfiguracje. Wreszcie wyrzucił niedopałek, przydeptał go butem i zwrócił się w kierunku drogi. Po jakieś minucie na horyzoncie pojawiły się światła samochodu. Herzog zerknął jeszcze raz ku niebu i podążył wolno w stronę lasu, gdzie ukrył swoje auto. Otworzył przednie drzwi od strony pasażera i zabrał z fotela zieloną płócienną torbę i karabin maszynowy. Schował się za krzakami na samym końcu drogi, czekając na nadjeżdżający pojazd. Gdy samochód był jakieś pięćdziesiąt metrów od niego, wyszedł na skraj szosy i wystrzelił serię z karabinu. Kule przebiły przednią szybę i boczne okna, a szaro-zielone służbowe niemieckie auto przechyliło się na prawo i zaryło w ziemię po drugiej stronie drogi, zatrzymując się niemal naprzeciwko niego. Gdy podszedł bliżej, zauważył żołnierza przewieszzonego bezwładnie przez kierownicę i dwóch oficerów kotłujących się na tylnym siedzeniu. Herzog odłożył karabin maszynowy i sięgnął spokojnie do płóciennej torby, którą niośł na ramieniu, wyciągając z niej ręczny granat trzonkowy. Zrobił jeszcze kilka kroków do przodu i cisnął granat pod samochód. Eksplozja wyrzuciła auto na metr ponad ziemię, zamieniając wóz w kulę ognia. Pułkownik przyglądał się szalejącym płomieniom przez kilka chwil, a potem wrócił do swojego samochodu i odjechał w stronę Paryża. Uśmiechnął się do siebie w drodze do miasta. Wiedział, że Schlegal nigdy nie zignorowałyby anonimowego donosu.

Lucien jechał przez noc i uświadomił sobie nagle, że w ogóle się nie boi. Pomimo niebezpieczeństwa, które wciąż było realne, wiedział, że im się uda. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Przyglądał się światłom reflektorów, wydobywającym z ciemności drogę, którą jechał, i uśmiechnął się, gdy wyobraził sobie, co powiedziałyby jego ojciec, gdyby opowiedział mu o ostatnich sześciu miesiącach swojego życia. Stwierdziłyby, że ma syna idiotę. Ryzykować życie dla garstki Żydów!

Co za szaleństwo! „Czy niczego cię nie nauczyłem, chłopcze?” – westchnąłby profesor Bernard, dodając po chwili: „Jeśli dziecko zawodzi, to znaczy, że zawiedli rodzice”. Ale Lucien wiedział, że wcale nie zawiódł. Zawsze uważał, że nie ma w sobie dość siły i empatii, by pomagać innym ludziom. Ale okazało się, że to nieprawda, co jego samego również bardzo zaskoczyło. Był dumny z tego, co zrobił. Udowodnił, że jego ojciec się mylił.

Wciąż nie mógł się nadziwić, że w tak strasznych czasach spotkało go takie szczęście. Ludzie mówią, że wojna nigdy nie przynosi nic dobrego, ale nie mają racji. Lucien dobrze o tym wiedział. Miłość Bette, przyjaźń z Herzogiem i Manetem, a przede wszystkim to, że znalazł Pierre’a. Ich drogi nigdy by się nie spotkały, gdyby nie wojna.

– Myślisz, że wszystko dobrze się skończy? – szepnęła Bette głosem drżącym od strachu. Odezwała się pierwszy raz, odkąd ruszyli.

– Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Bette pochyliła się, pocałowała go w policzek, a potem położyła mu głowę na ramieniu. Lucien wiedział, że mu wierzy i jej całkowite zaufanie nappełniło go głęboką otuchą i pokojem. Podkreślił ogrzewanie i nacisnął delikatnie na pedał gazu, nie chcąc nikogo obudzić. Mrużący cicho citroën był jak ciepły kokon, w którym czuli się bezpiecznie, mknąc przez chłodną zimową noc.

Lucien miał świadomość, że jego poprzednie życie było iluzją. Budynki, łuki, miękkie, zgrabne linie. Przez cały ten czas czcił fasady z betonu i szkła.

Oddech Bette stał się miarowy i Lucien zorientował się, że zasnęła. Odwrócił się, by zerknąć na trójkę śpiących dzieci, przytulonych do siebie pod niebieskim, wełnianym kocem na tylnym siedzeniu. Uśmiechnął się na widok tej niezwykłej rodziny. Swojej rodziny.

Podziękowania

Pewien cieszący się sukcesami autor dał mi kiedyś bardzo dobrą radę. Powiedział, że jedną z najważniejszych rzeczy przy pisaniu książki jest znalezienie kogoś, kto całkowicie w nią uwierzy. Nie mylił się. Najwidoczniej miałem niezwykle szczęście, bo udało mi się znaleźć dwie takie osoby. Pierwszą z nich jest moja agentka literacka, Susan Ginsburg z Writers House. Jej doświadczenie i sugestie były dla mnie ogromną pomocą. Wierzyła we mnie i wspierała mnie w bardzo trudnym okresie mojego życia. Nigdy nie zapomnę, jak bardzo mi wtedy pomogła. Drugą osobą jest Shana Drehs, redaktorka wydawnictwa Sourcebooks Landmark, która uwierzyła w architekta próbującego napisać pierwszą w życiu powieść. Jej entuzjazm dla mojej książki pozwolił mi nabrać pewności siebie, a jej praca i umiejętności sprawiły, że powieść jest znacznie lepsza i bardziej interesująca.

Dziękuję im obu, że uwierzyły we mnie i w moje dzieło.

Charles Belfoure

O autorze

Charles Belfoure, z zawodu architekt, wydał kilka książek o historii architektury, z których dwie otrzymały nagrodę państwowej agencji Maryland Historical Trust. Jego badania w dziedzinie architektury finansowała również Fundacja Ernesta Grahama i Fundacja Jamesa Marstona Fitcha. Ukończył architekturę na Uniwersytecie Columbia i w Instytucie Pratt, gdzie później wykładał. Uczył także w Goucher College w Baltimore w stanie Maryland. Specjalizuje się w zagadnieniach ochrony budynków historycznych. Prowadzi blog o architekturze i konserwacji zabytków: www.thewickedarchitect.com. Jego artykuły publikuje „The Baltimore Sun” i „The New York Times”.

Tytuł oryginału

The Paris Architect

Copyright © 2013 by Charles Belfoure

Projekt okładki

Mariusz Banachowicz

Fotografia na pierwszej stronie okładki

Jitka Saniova/ARCANGEL

Opieka redakcyjna

Norbert Nowotnik

Adiustacja

Bogusława Wójcikowska

Korekta

Agnieszka Mańko

Grażyna Rompel

Projekt mapy

Anna Styrska-Mróz

© Copyright for the translation by
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak Sp. z o.o., 2016

ISBN 978-83-240-3446-8



Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

